

Olgierd Dudek

Ostatnia awatara

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO





Olgierd Dudek

Ostatnia awatara

ZYSK I S-KA

WYDAWNICTWO

Podobno każdy u schyłku swoich lat powinien zadać sobie pytanie: kim był, co osiągnął i jak zapamiętają go ci, którzy przyjdą po nim. Wspominanie minionych dawno lat i ludzi, którzy odeszli już na zawsze, jest przywilejem starości. Dlatego właśnie postanowiłem spisać to, co mnie spotkało. Bardziej jednak dla rozrachunku ze sobą samym, niż ku przestrodze młodych, których prawem jest powtarzanie błędów ojców i dziadów.

Teraz, kiedy kreślę te słowa, otoczony szacunkiem oraz opieką bliskich mi osób, spoglądając w lustro na swą siwą brodę i włosy, dostrzegam głęboki sens wydarzeń, w których dane mi było uczestniczyć. Rozproszone niekiedy, zdawałoby się mało ważne spotkania i przygody obecnie układają się w przejrzysty nurt wydarzeń, które musiały nadejść i które odmieniły mnie, a także życie wielu istot. Choć wiek przyćmił światło moich źrenic mętną zasłoną starości, a drżące dłonie z trudnością utrzymują pióro, postaram się opowiedzieć wszystko, najdokładniej jak pamiętam.

Kim byłem? Tym, kim nakazało mi przeznaczenie. Urodziłem się w okrutnym wieku; rządziły w nim zaraza, głód i wojna. Moje dzieciństwo wolne jednak było od doczesnych trosk. Jako trzeci syn potężnego księcia Akwitanii odebrałem staranne wykształcenie w Montpellier. Byłem taki, jaki może być młody człowiek naznaczony piętnem władzy - butny, dumny i nieustępliwy. Czy byłem zły? Nie, po prostu byłem ślepcem, który nie jest w stanie dostrzec tego, co go otacza.

Kiedy po śmierci ojca nadszedł czas sukcesji, mój najstarszy brat, obawiając się spisków ze strony rodzeństwa, zaczął knuć przeciw nam intrygi, a kiedy one okazały się bezskuteczne, nie zawahał się przed czynem znacznie śmielszym.

To było kilkanaście dni po ceremonii pogrzebowej, kiedy pogrążony jeszcze w smutku, nie dostrzegałem grożących mi niebezpieczeństw. Szedłem właśnie z kaplicy, po wieczornym nabożeństwie, zatopiony w myślach, kiedy nieoczekiwany szelest w końcu ciemnego korytarza zwrócił moją uwagę.

- Jest tu kto? - spytałem głośno, spodziewając się kogoś ze służby pałacowej.

Zatrzymałem się, podnosząc wyżej pochodnię. Odpowiedziała mi cisza.

- Odezwij się, kimkolwiek jesteś! - rozkazałem. - Jestem Tomasz...

Nie zdążyłem skończyć. Jakiś cień poruszył się, ledwie majacząc w mroku korytarza i bełt kuszy z sykiem przeciął powietrze. Poczulem uderzenie w ramię, a potem krew popłynęła wzdłuż mojego ramienia, barwiąc szkarłatnymi kroplami kamienną podłogę.

- Straże! - krzyknąłem przestraszony. - Na Boga! Straże!

Rzuciłem pochodnię i zacząłem uciekać w stronę schodów. Kolejny bełt minął moją głowę, niemal

dotykając jej - uratowały mnie jednak ciemności.

Nie słyszałem żadnych dźwięków nadciągającej pomocy, choć byłem przekonany, że idąc z kaplicy, minąłem trzech zbrojnych strażników. Kiedy dobiegłem do schodów, wpadłem wprost na nich. Stali za załomem muru.

- Nie słyszeliście?! - wrzasnąłem na nich. - Ktoś dybie na moje życie! Trzeba go schwytać!

Dowódca straży nie odpowiedział nic, spojrział w milczeniu na podwładnych, a potem sięgnął po miecz. Kiedy jego zimny wzrok spoczął na mnie, wystraszyłem się jeszcze bardziej. Chwyciłem za sztylet przypasany do boku.

W tym samym momencie, gdzieś na dole schodów zamigotało światło pochodni.

Szczęk stali świadczył o tym, że ktoś usłyszał moje wołanie i zbliżała się pomoc. Dowódca straży odwrócił głowę w tamtym kierunku, a potem głową dał znak swoim ludziom.

- Już biegniemy, panie... - powiedział do mnie z lekkim ociąganiem, a potem we trzech znikli w głębi korytarza. Nie śpieszyli się jednak.

Cały bok kaftana miałem nasiąknięty krwią. Czulem, jak opuszczają mnie siły, osunąłem się na podłogę, opierając plecami o ścianę.

- Panie, panie! Co się stało? - Na schodach pojawiło się dwu giermków. - Słyszeliśmy wołania...

- Panie, ty krwawisz! - Jeden z nich klęknął obok mnie, odchylając połę mojego kaftana.

Zanim wróciła straż, opatrzyli mi ranę, pozostawiając w niej bełt. Dowódca straży zameldował tylko, że wszyscy uciekli i nikogo nie udało się schwycić. Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się po nim niczego innego.

- Chodź, panie. - Giermkowie ujęli mnie pod ramiona, pomagając wstać. - Medyk musi obejrzeć twoją ranę i zająć się nią.

Wtedy właśnie zrozumiałem, jak wielkie są ambicje mojego najstarszego brata i jak wielkie może grozić mi niebezpieczeństwo - choć nie powiedziałem o tym absolutnie nikomu.

Czulem gniew, ale również bezsilność. Zgodnie z prawem, to mój brat dziedziczył

tron, a skoro postanowił pozbyć się zagrożenia, jakim byliby dla niego potencjalni kandydaci do tytułu księcia Akwitanii, niewiele mogłem zrobić. Podejrzewałem, że moje staranne wykształcenie było cierniem w jego oku. On spędzał młodość wraz z ojcem na licznych wyprawach wojennych, a jego umiejętności walki obrosły prawdziwą legendą na dworze. Do rządzenia jednak nie wystarczało silne ramię. Potrzebna była wiedza o świecie, której brat nie posiadał. Zareagował w jedyny znany mu sposób - atakiem.

To moja matka, chcąc mnie ochronić, zabiegała, abym wstąpił w szeregi zakonu rycerskiego.

Wzdrygałem się na tę myśl. Od oręża ceniłem sobie wtedy o wiele bardziej rozum i wiedzę. Sytuacja jednak nie pozostawiła mi zbyt wielkiego wyboru.

Do dziś pamiętam, jak po raz pierwszy zobaczyłem templariuszy. Wyglądali wspaniale na swych okutych stalą koniach, w lśniących zbrojach, okrytych śnieżnobiałymi kropieżami. Na ich piersiach pyszniły się krzyże barwy krwi. Przyjechali na życzenie mej matki, aby się ze mną rozmówić. Jeden z nich, którego imienia już nie pamiętam, opowiedział o swojej służbie w Ziemi Świętej. Im dłużej opowiadał o odległych ziemiach, o rozległych pustyniach, potężnych twierdzach i walce z niewiernymi, tym bardziej rozpałał

moją młodzieńczą wyobraźnię. Byłem młody. Zapragnąłem sławy i bohaterskich czynów, a świat Orientu kusił mnie swą tajemniczością. W opowieściach templariusza słyszałem tyle samo godnej pochwał dumy, ile spotykałem w księgach w Montpellier, czytając o dawnych wydarzeniach. Jego słowa jednak były żywe - to on i jego bracia tworzyli historie, o których później mogli pisać skrybowie.

Natychmiast zapragnąłem zostać jednym z rycerzy zakonu. Mój brat przyjął to z zadowoleniem. Wyposażył mnie w najprzedniejszą broń, oddał mi najlepsze konie ze stajni ojca, a także obdarował niemałym majątkiem w zamian za przysięgę, że nigdy nie wystąpię przeciw niemu.

Kiedy odjeżdżałem z zamku, byłem pełen nadziei, ale też gniewu. Moim skrytym pragnieniem, które bałem się ujawnić komukolwiek, był powrót na zamek w blasku chwały, jaką przyniesie mi walka z niewiernymi ramię w ramię z braćmi z zakonu. Mógłbym wtedy odpłacić bratu za upokorzenie lęku o własne życie. Pragnąłem sławy, i to jak najszybciej. W

zakonie jednak zamiast tego odebrałem szkołę pokory, a starsi bracia zmienili mnie z nieopierzonego młokosa w wiernego, zahartowanego w trudach mężczyznę. Twarda reguła zakonna pozbawiła mnie majątku, a wszystko, co robiłem, robiłem dla chwały zakonu templariuszy. Oręż i modlitwa. Tylko te dwie rzeczy miały odtąd kształtować moje życie.

Zamiast wojennej wyprawy czekała mnie ciężka, niewdzięczna służba. Ochronialiśmy na szlakach podróży do Ziemi Świętej znamienitych mężów i bogatych pielgrzymów, dużo częściej jednak odpowiadaliśmy za transport cennych relikwii i złota należącego do zakonu.

Wiele wtedy podróżowałem, a moim kompanem stał się Piotr z Blois. Poznaliśmy się jeszcze w czasie nowicjatu i zaprzyjaźniliśmy w sposób, w jaki mogą zaprzyjaźnić się dwaj mężczyźni, w walce wspólnie stawiający na szalę losu własne życie. Ufałem mu całkowicie, a on ufał mnie.

Nie pamiętam dokładnie, który był to rok mojej służby, ale pomnę, że wiosna owego roku była najpiękniejszą ze wszystkich, jakie widziałem dotychczas. Pełna kwiecica, zapachów i słońca. Mieliśmy wtedy wyruszyć do komandorii Ludwika z Arles, towarzysząc w podróży jego siostrze. Wszystko zapowiadało się jak miła wycieczka. Wyruszyliśmy tylko we dwu: ja i Piotr, oprócz tego kilku zbrojnych i giermkowie. Siostra komandora Ludwika okazała się wiekową, zącną matroną i wraz z młodym akolitą jechała w wozie, który mieliśmy ochraniać. Kiedy opuszczaliśmy mury warowni, zdjąłem z głowy hełm, aby móc się rozkoszować chłodnym, porannym powietrzem.

- W trzy dni powinniśmy być na miejscu - odezwał się Piotr.

- Daj Boże. - Przeżegnałem się.

Piotr jechał na koniu tuż obok mnie. Podobnie jak ja, jedną ręką trzymał lejce, a drugą hełm. Kiedy odezwały się trąby wieszczące opuszczenie przez nas zamku, musiałem przyciągnąć wodze konia, czując, że zrobił się niespokojny. Nie pomogło to jednak wiele. W

pewnym momencie mój wierzchowiec niemal poderwał się spłoszony. Przytrzymałem go zdecydowanie. Dopiero po chwili odzyskałem nad nim panowanie.

- Zły znak - zapowiedziałem.

- Zły - zgodził się Piotr.

Zjechaliśmy powoli ze wzgórza. Na przodzie jechali giermkowie, a za nami włókł się wóz i maszerowali piesi. Przed nami rozpościerały się równiny, na których mogliśmy z wielkiej odległości dostrzec jakiegokolwiek ślady ruchu. Mimo wszystko czułem wszak pewien rodzaj napięcia i zaniepokojenia. Odpędziłem jednak od siebie złe myśli.

Kiedy za naszymi plecami zginęły w oddali mury twierdzy, a nic poza jednostajnym poskrzypywaniem kół wozu i chrzęstem kroków pieszych nie mąciło spokoju, monotonia podróży całkowicie uspokoiła mój umysł. Omijaliśmy wsie, starając się trzymać jak najdalej od lasów i miejsc, gdzie łatwo byłoby przygotować pułapkę.

Wieczorem dotarliśmy do spalonej wioski. Na jej skraju wisało kilka obrzydliwych, kończących się rozkładających ciał chłopów. Zatrzymałem kolumnę, a potem sięgnąłem po miecz.

- Sprawdź wioskę. - Dałem znak Piotrowi, aby pozostał na miejscu i wraz z jednym z giermków ruszyliśmy drogą w stronę domów.

Mimo że z większości budynków pozostały tylko zgliszcza, karczma była prawie niezniszczona. Zsiedliśmy z koni, przywiązując je przed karczmą, w pobliżu koryt. Wioska musiała zostać napadnięta i opuszczona dawno temu. Na ziemi nie zachowały się już żadne ślady, a pajęczyny osnuwały okna i drzwi wielu domów. Jakieś ubrania smętnie powiewały na wietrze, wypłowiałe i zmienione przez czas w strzępy szmat.

Drzwi od karczmy, choć uchylone, wymagały sporego wysiłku, aby je otworzyć. W

środku musiało też dojść do walki, sądząc po poprzewracanych ławach i skorupach naczyń zaścielających podłogę. Tuż obok schodów na piętro, na podłodze zauważyłem olbrzymią czarną plamę.

- Spójrz, panie! - Giermek przełożył topór do lewej dłoni i przyklęknął, rozgarniając dłonią w stalowej rękawicy śmieci na podłodze. - Jakieś symbole!

Miał rację. Na deskach ktoś czerwoną kredą namalował pentagram obwiedziony magicznymi

symbolami. Dużo gorszą jednak rzeczą był talerz ze świeżymi resztkami kości, który ktoś pozostawił na jednej z ław. Były to ludzkie kości. Tego giermek jeszcze nie zauważył.

- To nieczyste miejsce, musimy je spalić. - Cofnąłem się w stronę wyjścia i wtedy usłyszałem huk na górze. Schody zaskrzypiały. Pojawiła się na nich jakaś zgarbiona postać.

Starzec okryty brudnymi postrzępionymi szatami. Spoglądał na nas z lękiem, ale w jego oczach kryła się chytryść i przebiegłość.

- Witajcie, rycerze - powiedział skrzekliwym głosem. - Po co tutaj przyszliście?

- Kim jesteś i co tutaj robisz? - odpowiedziałem pytaniem.

Przez wysuszoną wiekiem, pooraną zmarszczkami twarz przebiegł wyraz rozbawienia.

- Wynoście się stąd! - krzyknął, wyrzucając w górę w gniewnym geście swoje chude ramiona. - Wynoście!

Z wściekłością zbiegł ze schodów, kierując się w naszą stronę, ale zatrzymał się i syknął jeszcze raz:

- Wynoście się!

- Zamknij się, sługo diabła! - Wymierzyłem w jego stronę miecz. - Odpowiadaj na moje pytanie, jeśli dbasz o swoje życie!

Zanim się zorientowałem, sięgnął gdzieś pod pazuchę i szybkim ruchem wyciągnął skórzany worek.

- Tego szukacie? - spytał. - Nikt go nie odbierze. To należy do mojego pana. Czekam tu na niego. Odejdźcie precz!

Mówił szybko i z pasją.

- Oni chcieli to zrobić, chcieli mnie zabić, ale pan mnie obronił. Przyszli jego słudzy i pożarli ich! Niewdzięczni prostacy, mówiłem, żeby przyłączyli się do pana. Nie chcieli mnie słuchać. - Roześmiał się. - Kwiczeli jak prosięta, kiedy przyszli słudzy pana. A teraz mam prezent dla niego. Przyjdzie po raz drugi. Wiem to. Czekam na niego! Będę jego sługą!

Widząc, że jego słowa nie robią na mnie wrażenia, sięgnął po nóż i szybkim ruchem rozciął swoją dłoń. Syknął boleśnie, a kiedy pociekła z niej posoka, wbiegł na środek narysowanego na podłodze symbolu. Z namaszczeniem zaczął chlapać krwią na magiczne symbole.

- Panie, uciekajmy! - przestraszył się giermek. - To czarownik!

- Stój! - rozkazałem mu pozostać na miejscu.

Postąpiłem kilka kroków naprzód, w stronę starca.

- Wzywam cię, Szatanie! Panie Mroku! Napełnij mądrością cierpienia swojego sługę i ześlij karę na niewiernych za ich bluźnierstwa przeciw twojej mądrości! - wykrzykiwał w zapamiętaniu. Kątem oka widziałem, jak giermek, blady ze strachu, cofa się w stronę wyjścia.

Wziąłem solidny zamach, potem ciąłem mieczem w poziomie. Starzec umilkł

natychmiast, a jego odcięta głowa potoczyła się po deskach podłogi. Olbrzymia kałuża krwi rozlała się u moich stóp, zmywając nakreślone kredą znaki. Spojrzałem na giermka.

- I tyle są warte jego czary - stwierdziłem. - Pomieszało mu się na starość w głowie.

Pewnie ukrywał się tutaj od spalenia wioski.

- Nie wierzysz, panie, w czary? - spytał zaskoczony giermek.

- Nie w czary obłąkanego starca i kanibala. - Uśmiechnąłem się. - Pewnie tylko jemu udało się przeżyć i myślał, że to Szatan go uratował.

Giermek podszedł do ciała, a potem z lekką obawą je przeszukał.

- Spójrz, panie. - Wyciągnął sakiewkę, którą wcześniej pokazywał starzec. W jej środku znajdował się dziwnie wyglądający krucyfiks. W miejscu Zbawiciela na krzyżu znajdował się anioł. Wykonano go z jakiegoś kosztownego, połyskującego metalu.

Wyglądało to tak, jakby ktoś bardzo cenną, wspaniałej roboty relikwię przytwierdził

zwykłymi gwoździami do krzyża wykonanego przez kiepskiego, wioskowego cieślę.

- Na pewno ukradł z kościoła. Być może jest to coś cennego. - Wytarłem miecz w leżący na podłodze kawał sukna. - Wracajmy. Ta wioska jest dobrym miejscem na nocny obóz. Będziemy nocowali w tej karczynie.

- Tak, panie. - Giermek podał mi krucyfiks, a potem wróciliśmy do koni.

Kiedy cała nasza kolumna wjechała do wsi, panował już półmrok. Trochę czasu zajęło uprzątnięcie wnętrza gospody i rozpalenie kilku ognisk, ale zanim nad horyzontem ukazał się księżyc, obozowisko było gotowe. Rozstawiliśmy warty, a reszta ludzi udała się na spoczynek. Widząc, że mój kompan nie szykuje się do spania, podszedłem do niego.

- Idź spać pierwszy, Piotrze. - Położyłem dłoń na jego ramieniu. - Zmienimy się w połowie nocy.

- Masz rację, Tomaszu. - Odwzajemnił się tym samym gestem. - Musimy odpocząć.

Jutro ruszamy w dalszą drogę.

Kiedy odszedł, skierowałem się w stronę ogniska na dziedzińcu. Był tam mój giermek i kilku zbrojnych. Na mój widok wstali.

- Siadajcie - powiedziałem, nakazując im to samo gestem dłoni.

Wybrałem sobie wygodne miejsce, tuż przy ogniu. Zrobiło się chłodno, więc zdjąłem hełm i rękawice, grzejąc dłonie. Nad ogniem, w garnku bulgotał jakiś mięsny wywar.

Giermek nabrał go do drewnianej miski i podał mi wraz z pajdą chleba.

- Pokrzep się, panie, ciepłą strawą - powiedział z zachęcającym uśmiechem.

- Dziękuję. - Z wdzięcznością przyjąłem miskę. Choć zupa miała niezbyt zachęcający zapach, smakowała dużo lepiej, niż pachniała.

- Strasznie wilcy wyją dzisiejszej nocy... - jeden ze zbrojnych odważył się podjąć na nowo rozmowę, którą zapewne przerwało moje pojawienie się.

- Ty, Bober, to się w nocy nawet własnej baby boisz - podsumował go jeden z kompanów.

- Jak ci mówię, to mówię - obruszył się ten nazywany Boberem. - Ja w lesie wychowany jestem, a takich wilków żem nie słyszał.

- A ja słyszałem - utrzymywał tamten.

Ich rozmowa służyła bardziej odpędzeniu senności niż rzeczywistej wymianie zdań, ale przysłuchiwałem się jej mimowolnie.

- A w mojej wiosce to wilcy porwali jedną dziewczkę...

- Taaaa... i wychędożyli ją...

Gromki śmiech eksplodował wśród zebranych wokół ogniska.

- Potem urodziła wilkołaka...

- Nie wierzysz w wilkołaki?!

- Wierzę. Sam żeś jeden z nich, jak dziewczkę młodą zobaczysz. Od razu byś ją chędożył jak ci twoi wilcy.

Kolejny wybuch śmiechu znów rozległ się donośnie w nocnym, spokojnym powietrzu.

Skończyłem posiłek, a potem założyłem hełm i wstałem, poprawiając oporządzenie.

- Sprawdź warty - odpowiedziałem na pytające spojrzenie giermka. W zasadzie powinien to robić on, ale nauczony doświadczeniem, wolałem sam dopilnować takich spraw.

Pierwszy posterunek rozmieściliśmy na drodze u wylotu wioski. Widać z niego było rozległą puszcę, którą zamierzaliśmy jutro ominąć. Wartownik stał oparty na włóczni, wpatrując się w przestrzeń pokrytą ugorami. Kiedy podszedłem, poruszył się nieco, wskazując mi granicę drzew.

- Spójrz, panie, tam. Widzisz może coś? Ruch jakiś? - spytał szeptem.

Wyteżyłem wzrok. Z początku nie zauważyłem nic, ale później dostrzegłem jakieś cienie przemykające szybko przy granicy mrocznego lasu.

- Tak. Jakby coś było... - odpowiedziałem z zastanowieniem.

Nieoczekiwanie do moich uszu dobiegł bardzo wyraźny skowyt, a potem przeciągłe wycie.

- Wilki...

- Tak, panie, wilki - wartownik potwierdził moje przypuszczenia. - Wilki podchodzą pod wieś.

Jakby na potwierdzenie jego słów, od cienia lasu oderwał się jakiś strzęp czerni i zakręcił, szybko zbliżając się w naszą stronę. Obserwowaliśmy go przez dłuższą chwilę.

Kiedy można było już wyróżnić podrygujące w biegu zwierzęce grzbiety, nie było sensu czekać dłużej.

- Szybko! Biegnij budzić ludzi, niech rozpalają ogień! - Potrząsnąłem ramieniem wartownika.

Bez zastanowienia odwrócił się i usłyszałem chrzęst jego oddalających się szybko kroków. Sam sięgnąłem po pochodnię, po czym wrzuciłem ją w stertę ułożonego w kopiec chrustu. Płomienie podniosły się natychmiast w niebo, strzelając krwawymi iskrami. Światło zalało otoczenie. Na moment moje oślepienie oczy straciły zdolność widzenia tego, co jest w oddali, ale kiedy dostrzegłem to ponownie, poczułem trwogę. Jeszcze nigdy nie widziałem tak dużego stada wilków, a co najgorsze, ogień wyraźnie ich nie odstraszył. Zbliżały się jak żywa lawina. Sam nie miałem przeciw nim żadnej szansy. Odwróciłem się i pobiegłem w stronę karczmy, słysząc za sobą coraz bliższe ujadanie. Kiedy wbiegłem na dziedziniec przed karczmą, wszyscy byli już pod bronią.

Pierwszy bolesny skowyt za moimi plecami i wściekle, pełne przekleństw krzyki przekonały mnie, że walka się rozpoczęła. Zatrzymałem się, odwracając, i w tym samym momencie dostrzegłem na wysokości swojej twarzy rozchylony wściekle, pełen ostrych kłów pysk. Odruchowo ciąłem mieczem, uchylając się przed atakiem. Wilki zdawały się być wszędzie. Kiedy rozplątałem jednego, już musiałem bronić się przed atakiem następnego.

Świeża krew zaczęła wsiąkać w ziemię.

Kątem oka dostrzegłem, jak jeden ze zbrojnych włócznią przybił do ziemi jedno z rozwścieczonych zwierząt, ale zanim zdążył zamachnąć się toporem, dopadło go naraz kilka bestii. Krzyknął przerażony, a jego gardło chwilę później zmiażdżyły wilcze kły.

- Do karczmy! - krzyknąłem, widząc Piotra w pobliżu wozu. - Piotrze, zabierz wszystkich do

karczmy! Zaryglujcie drzwi i okna! Jest ich zbyt wiele, aby obronić się tutaj!

Piotr dał mi znać, że zrozumiał. W czasie kiedy ja starałem się osłaniać odwrót, zbrojni uciekali w stronę drzwi, obok których Piotr piętrzył swoim mieczem ciała wilków.

Czując, że napiera na mnie coraz większa liczba bestii, sięgnąłem lewą ręką po puginał i wtedy poczułem w palcach dłoni dziwne mrowienie. Szykujący się do ataku wilk zaskowyczał i wycofał się, odskakując ode mnie. Spojrzałem w dół. Zamiast puginału, dotknąłem krucyfiks, który odebraliśmy starcowi. Błękitnofioletowe światło ledwie widocznymi smużkami przepływało między figurą anioła a moimi palcami.

Stado zawyło przeraźliwie. Wilki przerwały atak, otaczając mnie kołem. Dało to czas ludziom na schronienie się w budynku, ale kiedy mieli już zatrząskiwac drzwi, ja pozostałem w pułapce na dziedzińcu.

- Tomaszu! Szybko! - ponaglał mnie Piotr, krzycząc przez szczelinę w niedomkniętych drzwiach.

Nie wiedziałem, co się dzieje. Znalazłem się w centrum kręgu stworzonego przez wilki. Patrzyły na mnie dziesiątki dzikich, wściekłych oczu, widziałem ociekające krwawą śliną kły, ale coś sprawiało, że zwierzęta utrzymywały się w pewnej ode mnie odległości.

Sięgnąłem po krucyfiks. Widocznie w czasie walki gwoździe się poluzowały, bo drewniany krzyż odpadł od figury. Nie schyliłem się nawet po niego. Czułem jakiś dziwny rodzaj ciepła bijący od wizerunku anioła. Blade światło stało się intensywniejsze. Wilki rozluźniły krąg. Oddaliły się. Piotr przestał nawoływać, obserwując mnie ze zdziwieniem.

Stałem z figurą wzniesioną do góry w lewej dłoni, a w prawej trzymałem gotowy do ciosu miecz.

Nieoczekiwanie powietrze wypełniło się głośnym wyciem wielu wilczych gardeł i w moją stronę ruszył jeden z nich. Był większy i potężniejszy. Wyglądał na przywódcę watahy.

Okrzyknął mnie, jakby oceniając swoje siły, a potem gwałtownie zaatakował. Uniosłem miecz, tnąc szybkim ruchem, ale kiedy ostrze go dosięgło, jakiś mrok zawirował w powietrzu, a on sam rozplątał się niczym cień. Ze zdumieniem dostrzegłem, że ostrze mojego miecza opalizuje takim samym światłem jak figura.

Wilki zawyły powtórnie. Wydały się zdezorientowane. Po chwili cała wataha z pewnym ociąganiem zaczęła się oddalać.

Bestie powoli zanurzały się w mrok nocy. Jeszcze przez chwilę było słychać w ciemności ich oddalające się zawodzenie. Pozostałem na dziedzińcu całkiem sam. Wilki odeszły.

- Odstąpiły! Odstąpiły! - odezwały się pełne radości krzyki od strony karczmy.

Przyglądałem się figurze. Światło znikło. Usłyszałem dziesiątki szybkich kroków.

Otoczyli mnie ludzie z pochodniami.

- Panie, co to było! Jak je odpędziłeś?! - zarzucono mnie pytaniami, na które nie znalazłem odpowiedzi.

- Musimy podwoić straż. Do rana mogą jeszcze wrócić. - Powiedziałem tylko, nie chcąc tracić czasu. - Obronę przygotujemy w gospodzie. Żwawiej, nie stójcie tak tutaj!

Zbrojni się rozeszli. Pozostał przy mnie tylko Piotr oraz siostra Ludwika z Arles i towarzyszący jej akolita.

- Panie, czy mógłbyś pokazać mi figurę, którą trzymasz w dłoni? - Kobieta obserwowała mnie uważnie. Bez słowa spełniłem jej prośbę. Zauważyłem, że wymienili znaczące spojrzenia z młodym duchownym.

- Tomaszu, dla swojego dobra, oddaj mi tę figurę. - Kobieta szybko zawinęła ją w chustę. - Tak będzie dla ciebie lepiej, jeśli nie chcesz być posądzony o czary.

- Tomasz i czary. - Piotr się roześmiał. - Bzdura i pomówienie!

- Dostałeś szczególnej łaski Stwórcy, jeśli byłeś w stanie uwolnić moc z tej figury -

kobieta ściszyła nieco głos. - Najlepiej jednak dla ciebie będzie, jeśli zapomnisz o tym, co zaszło. Obiecuję ci, że przez swojego brata oddam tę figurę Wielkiemu Mistrzowi. Tylko Wielki Mistrz będzie wiedział, co dalej należy zrobić z tak potężnym przedmiotem.

Oczywiście opowiem mu o twojej odwadze i o tym, że właśnie tobie zakon będzie zawdzięczał posiadanie tak cennego skarbu jak klucz Haruta... - przerwała, nie chcąc najwidoczniej powiedzieć zbyt wiele. - Jaka jest twoja decyzja? - zakończyła pytaniem.

Milczałem przez chwilę.

- Pani. Niech będzie, jak mówisz - zdecydowałem. - Zdradź mi jednak, czego byłem świadkiem.

- Najwidoczniej jest w tobie wielka moc, Tomaszu, którą dał ci Stwórca. Nie staraj się jednak jej poznać ani zrozumieć. Tylko tyle mogę ci powiedzieć. Moc i magia dla inkwizycji to niemal to samo. Nasz świat jest bardzo niedoskonały - odpowiedziała z uśmiechem, a potem dotknęła mojego policzka. - Jesteś wielkim rycerzem, to jest twój los i na nim się skup.

- Będzie, jak mówisz, pani. - Pochyliłem głowę, dotykając dłonią piersi.

Kiedy odeszła, akolita zawahał się chwilę, a potem powiedział z przekonaniem:

- One już nie nadejdą. Odeszły. To nie była zwykła wataha.

Domyśliłem się, że mówił o wilkach. Do rana czuwaliśmy jednak wszyscy. Kiedy przyszedł świt, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Siostra Ludwika z Arles dotrzymała obietnicy. Gdy miesiąc później zostałem wezwany przed oblicze Wielkiego Mistrza, dowiedziałem się, że w uznaniu moich zasług obejmuję samodzielnie komandorię

nad jedną z naszych twierdz w Ziemi Świętej. Nikt jednak nawet słowem nie wspominał o figurze. Nie pytałem o nic.

Przez ponad dwa lata zajmowałem się zarządzaniem twierdzą i rozbudową jej murów.

Czułem się wtedy bardziej jak budowniczy niż wojownik.

I nadszedł czas kolejnej wielkiej wojny za wiarę. Mój zakon stanął zbrojnie w obronie naszych najświętszych miejsc wiary.

Wtedy właśnie zrozumiałem, czym naprawdę jest wojna. Pamiętam dumnie łopoczące na wietrze sztandary, długie szeregi najwierniejszych braci, kiedy wspólną modlitwą przygotowaliśmy się do wyruszenia na wschód. Z odkrytymi czołami, z hełmami pod pachami przyjmowaliśmy najświętszy sakrament z rąk samego Wielkiego Mistrza, później zaś nadszedł czas rzezi i zniszczenia. Śmierć i gwałty szły za nami jak mroczny cień. Moje oczy przywykły do widoku płonących miast, dymu i odoru rozkładu. Widziałem, jak bracia, będący wcześniej wiernymi synami zakonu, staczali się na samo dno upodlenia, zapominając o swoim powołaniu.

Lata wojny zmieniły nas wszystkich. Nauczyłem się zabijać, nie czując nienawiści, tylko obojętność. Widziałem tyle twarzy umierających, że śmierć przestała wydawać mi się czymś strasznym. W moich uszach wciąż dźwięczał oszalały ryk i zgiełk bitewny. Nie dbałem o nic, nawet o to, czy następnego dnia dosięgnie mnie czyjeś ostrze. Godziłem się z wyrokami losu, wierząc, że jeśli pozostanę wierny swojemu Bogu, jeśli pozostanę sprawiedliwy, mój los dopełni się zgodnie z przeznaczeniem.

Pozostało nas niewielu braci rycerzy, pamiętających o zasadach i wiernych zakonowi.

Prowadziliśmy surowe, pełne dyscypliny życie. Ze zgorszeniem patrzyliśmy, jak inni rycerze, niepomni przyświecającego nam celu, oddawali się rozpuście niczym zwykły motłoch. Do dziś pamiętam krzyki kobiet gwałconych na oczach swych dzieci i błaganie ich mężów o skrócenie męki pchnięciem miecza. Naszym grzechem było to, że nie umieliśmy temu zapobiec. Nie mogliśmy zrobić nic, kiedy tłuszcza oddawała się zwyrodniałym swawolom. Z

czasem i ja zapomniałem o naszej szczytnej misji. W kolejnych bitwach, zamiast drogi do chwały Pana, szukałem drogi do własnej śmierci. Czekałem, aż wyzwoli mnie z szaleństwa życia, jakie prowadziłem. Pragnąłem jej, nie mogąc znieść tego, kim się stałem. Jednak moje zahartowane w wojennym rzemiośle ciało broniło się, wyprowadzając mnie z najcięższych nawet opresji. Czułem dziwną dwoistość swojej natury. Jakby w ciele wojownika ktoś umieścił inny umysł. Dopóki walczyłem, nie przeszkadzała mi żadna zła myśl, kiedy tylko jednak walka się kończyła, opadały mnie wątpliwości co do celu i środków, jakimi posługuje się Zakon Strażników Świątyni. Byłem jednak templariuszem i ślubowałem wierność zakonowi, a od tej przysięgi mogła uwolnić mnie tylko śmierć.

Wtedy właśnie nadszedł ów pamiętny dzień, kiedy razem z księciem Edwinem stanęliśmy zbrojnie pod miastem Ruad wraz z kwiatem francuskiego rycerstwa. W

przeddzień bitwy w naszym obozie panowało niepojęte rozprężenie i butna wiara w zwycięstwo.

Dziewki i wino - to zamiast modlitwy zagrzewało wszystkich do bitwy. Księżę patrzył na to bezsilnie. I nadeszli oni. Morze wojowników pod zielonymi sztandarami Mahometa. My jednak mieliśmy przewagę oręża i miejsca, w którym rozłożyliśmy obóz.

Wtedy właśnie zbyt pewni siebie Francuzi, nie czekając nawet na mających do nas dołączyć pozostałych krzyżowców, wbrew rozkazom Króla, nawet nie formując szyków, rzucili się do bezładnego ataku. Starli się z pieszymi po długiej szarzy, brnąc pod górę wśród krzewów i drzew, choć ich konie już całkiem opadły z sił. Zobaczyliśmy, jak zza wzgórza rusza na nich lawina konnych i wiedzieliśmy, że wszystko przepadło. Paladyni natychmiast nakłonili księcia do odwrotu, a my przyjęliśmy na siebie obowiązek zatrzymania choć na chwilę ataku wroga. Nasza armia uciekała już wtedy, dziesiątkowana przez wojowników pewnego zwycięstwa sułtana Mohammeda Abdula Al-Sarafa.

Sformowaliśmy szyki, gotowi na śmierć. Byłem pewien, że to moja ostatnia bitwa.

Uderzyliśmy na nich konno, ścierając się z chrzęstem pancerzy.

Tylko czuwająca nade mną opatrność tłumaczy to, że kiedy już bez konia, brocząc krwią, odrzuciłem tarczę i zdjąłem hełm, aby z odkrytą twarzą i wzniesionym mieczem przyjąć wyrok losu, napierający zewsząd niewierni odstąpili, otaczając mnie kołem wyciągniętych włóczni. Kiedy ich atkowałem, mieczem odtrącając ostrza, odstępowali tylko po to, aby chwilę potem zacieśnić swe sidła. Pochwycili mnie. Atkowałem ich z furją, starając się sprowokować, ale wyraźnie nie mieli zamiaru ze mną kończyć. Drwili sobie ze mnie, w języku, którego nie rozumiałem. Każdy zamach odbierał mi siły, aż w końcu, zupełnie osłabiony padłem na kolana, dysząc ciężko. Kiedy wsparłem się na mieczu, by wstać, otaczające mnie koło rozszerzyło się tak bardzo, że zobaczyłem idącego w moją stronę ciężkozbrojnego. Jego twarz zasłaniał kaptur kolczy, a kunsztownie zdobiona zbroja, bazubandy i nagolenniki lśniły złotem. Starłem się podnieść, ale nie miałem siły. Obcy jednym ruchem włóczni wytrącił miecz z moich dłoni, a potem brutalnym kopnięciem przewrócił mnie na plecy.

- Mój pan, sułtan Mohammed Abdul Al-Saraf, chce, aby przyprowadzić przed jego oblicze najbardziej odważnego z was, niewierne psy - powiedział do mnie w języku Franków. - Dowodziłeś tymi żalonymi straceńcami, więc ty dostąpisz tego zaszczytu.

Później skrupowali mnie i zabrali do swojego taboru. Wóz, którym mnie wieziono pod eskortą sześciu zbrojnych, odłączył się od armii sułtana i przez długie tygodnie wędrowaliśmy w głąb zupełnie nieznanymi mi ziem. Traktowano mnie dobrze. Choć nie miałem już na sobie żadnego oręża, zachowałem biały płaszcz z czerwonymi krzyżami, dzięki czemu wciąż czułem się członkiem zakonu. Być może strażnicy pozwolili na to, dlatego że mieszkańcy tych ziem na widok mojego stroju od razu stawali się wrody, rozpoznając w mojej osobie jednego z Franków. Nie miałem szansy na ucieczkę. Zresztą nie wiedziałbym, dokąd uciekać.

Stolica i dwór sułtana wywarły na mnie nieopisane wrażenie. Błękitne i złote kopuły pałaców, minarety, tłum zupełnie obcych mi ludzi noszących przewiewne, kolorowe szaty, to wszystko było dla mnie czymś zupełnie nowym. Chyba jako pierwszy chrześcijanin znalazłem się tak głęboko wewnątrz ziem obcej mi wiary. Tutaj, w stolicy, przyjmowano mnie z obojętnością. Kiedy wyglądałem na

zewnątrz wiozącego mnie wozu i wsłuchiwałem się w zgiełk wypełniający ulice zatłoczone ludźmi, rozumiałem, że moje życie jest teraz zależne od kaprysu władcy tej krainy. Nie dbałem jednak o nie, podobnie jak o to, co dalej miało mnie spotkać.

Pałac sułtana zbudowano na wzniesieniu za miastem, a drogi do niego strzegło osiem wież wysuniętych daleko przed wysokie, masywne mury. Otoczony ogrodami, już z daleka wyglądał dużo wspanialej niż wszystkie budowle, które dotąd widziałem, jednak dopiero gdy przekroczyliśmy wrota bramy, przekonałem się, jak wiele przepychu mieści siedziba sułtana.

Wypełnione zielenią zakątki, rzeźby, fontanny, zdobne w fantazyjne inkrustacje łuki i filary oraz ganki budynków, wszystko to razem oszałamiało swoją wielobarwnością i kunsztem wykonania.

Wbrew jednak temu, czego się spodziewałem, nie zaprowadzono mnie przed oblicze władcy. Rozkuto mnie z kajdan i po wizycie w łaźni poznałem jednego z ważniejszych mieszkańców pałacu. Był to młody, ubrany w jedwabne szaty mężczyzna, o łagodnym wyrazie twarzy.

- Jestem Rahman, trzeci syn sułtana Mohammeda Abdula Al-Sarafa - przedstawił się, kłaniając lekko.

- Tomasz z Akwitanii, syn księcia Bernarda, komandor i brat zakonu templariuszy -

przedstawiłem się również, naśladowując jego ukłon.

- Wiem, kim jesteś, panie. Mój ojciec i pan chętnie pozna osobę, o której opowieści dotarły już dawno na nasz dwór. Jesteś jednym z naszych najzacieklejszych wrogów, ale prawość twojego postępowania nakazuje, abyśmy traktowali cię z należyty szacunkiem. -

Ruchem ręki zaproponował mi wspólną przechadzkę po ogrodzie. Kiedy ruszyliśmy, mówił dalej.

- Ufam, że potrafisz docenić wielkoduszność sułtana, tak więc od tej chwili jesteś jego gościem i, o ile nie opuścisz przydzielonych komnat, przysługują ci wszystkie prawa, jakimi cieszą się bliskie jego sercu osoby. Wyzaczyłem już dwu służących oraz służebną, którzy będą spełniać wszystkie twoje polecenia.

Usiedliśmy na kamiennej ławie obok niskiego drzewa.

- Na pewno w tym momencie pragniesz spytać mnie o wiele rzeczy - domyślił się syn sułtana. - Pytaj więc, a ja odpowiem na wszystko.

Zaszokowała mnie nagła zmiana mojej roli. Milczałem. Myślałem szybko i gorączkowo, starając się zrozumieć to, co właściwie działo się ze mną. Przełałem morze arabskiej krwi, nie byłem wobec nikogo z wrogów bardziej wielkoduszny i prawy niż cała reszta templariuszy, a moja sława na pewno nie była aż tak wielka, aby rzeczywiście dotrzeć do sułtana. Jego syn był po prostu starannie wykształconym i przebiegłym dworzaninem, który chciał mnie zjednać, pogrywając na strunach mojej próżności. To był jednak jego błąd.

Nie docenił mnie, uznając za niewykształconego rycerza. Skoro jednak brał mnie za kogoś takiego, nie umiałem sobie wyobrazić, co skłania sułtana do takiej pobłażliwości wobec wroga. Na pewno nie liczył na okup. Żelazną regułą zakonu było niepłacenie okupu za uwięzionych braci. Nawet za wysoko urodzonych. Sułtan o tym też na pewno wiedział. Coś jednak musiało się kryć za tym wszystkim. Tylko co?

- Panie. W pełni doceniam wielkoduszność sułtana. Zdradź mi jednak powód, dla którego znalazłem się tutaj, oraz oczekiwania, jakim muszę sprostać, kiedy stanę przed obliczem sułtana - powiedziałem, starannie dobierając słowa.

- Po twojej mowie, panie, od razu poznaję, że słusznie poradziłem sułtanowi, aby wybrał ciebie. - Uśmiechnął się. - Musisz jednak wykazać się cierpliwością. To sam sułtan zdradzi ci przyczyny swojej decyzji. Zanim jednak do tego dojdzie, musisz poznać naszą mowę i zwyczaje. Codziennie będzie przychodził do ciebie nauczyciel, który pomoże ci zdobyć niezbędną wiedzę. Nie obawiaj się. Sułtan w swojej szlachetności nie wymaga od ciebie, abyś uwierzył w nauki Proroka Mahometa. Pozwala ci nawet pozostać przy swojej wierze. Kiedy będziesz gotów, przyjdę po ciebie.

- Rozumiem. Skoro taka jest wola sułtana, podporządkuję się jej.

- Tego właśnie od ciebie oczekujemy. - Znowu się uśmiechnął, a potem wstał i zaklaskał w dłonie.

Wstałem również. Młody chłopiec pojawił się obok nas i nie podnosząc wzroku na Rahmana, w lekkim ukłonie czekał na polecenia.

- Ahmed zaprowadzi cię, panie, do twoich komnat. Jeśli będziesz miał jakieś życzenia, on mi je przekaże. Czy coś jeszcze zaprzęta twoją głowę?

- Nie, panie. - Cóż mogłem powiedzieć. Mimo swej komfortowej pozycji, nadal byłem więźniem.

- A zatem żegnaj.

- Żegnaj.

Kiedy syn sułtana się oddalił, chłopiec gestem wskazał mi kierunek, w którym zamierzał mnie poprowadzić. W jego czarnych oczach widziałem z trudem pohamowywaną ciekawość. Byłem pewnie dla niego zjawiskiem podobnym do oswojonej bestii, którą można pooglądać bezpiecznie z bliska. Uśmiechnął się, a kiedy odpowiedziałem uśmiechem, zalał

mnie potokiem słów, których nie zrozumiałem. Kiedy rozłożyłem bezradnie dłonie, wyraźnie zawiedziony umilkł, a potem ruszył przede mną, wciąż jednak przypatrując mi się ukradkiem spod turbanu.

Przydzielone mi pokoje pałacowe wypełnione były sprzętami, o których zastosowaniu nie miałem pojęcia. Okna zasłonięto delikatnym, lekkim materiałem, a na rzeźbionych meblach z ciemnego drewna stały oliwne lampki i kadzidła. Kiedy usiadłem na wielkim, wzorzystym dywanie, chłopiec przyniósł złotą tacę z owocami oraz dzban jakiegoś niezwykle orzeźwiającego napoju. Napilem się wprost z dzbana, co rozbawiło chłopca. Spojrzałem na niego, a on, mówiąc szybko, ujął dzban za

wygięte jak łabędzia szyja ucho, nalał napój do zdobionego kubka, który następnie podał mi z ukłonem. Zrozumiałem, że to on będzie mi usługiwał i że takie jest jego zadanie. Od czasu, kiedy moim życiem zawładnęła wojna, odzwyczaiłem się od dworskich wygód oraz etykiety.

Gestem kazałem chłopakowi, by nalał napój do drugiego kubka. Natychmiast wykonał moje polecenie. Podniosłem kubek i podałem mu na wyciągniętej dłoni.

Zaskoczony, zaczął się wzbraniać, ale gdy nakazałem mu to surowym spojrzeniem, nie odmówił. Podniosłem kubek w geście toastu. Chłopak nieudolnie naśladował mój gest, a potem napiliśmy się zgodnie. Pewnie nie powinienem spoufalać się ze służbą, ale jak przypuszczałem, tylko w ten sposób byłem w stanie zjednać sobie kogoś w pałacu. Mój wybór padł na tego chłopca i nie pomyliłem się. Kiedy już poznałem trochę jego mowę, stał

się dla mnie nieocenionym źródłem informacji, choć pewnie nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

Zgodnie z dyspozycją sułtana, kolejne dni, które spędzałem, nie opuszczając komnat, wypełnione były nauką. Codziennie przychodziło do mnie dwu nauczycieli, z których jeden dbał o moje postępy w poznawaniu zwyczajów obcego mi narodu, a drugi nauczał języka i pisma. Wzbudzałem ich niemałe zdumienie, gdyż - jak na kogoś, kto wprawnie włada mieczem - czyniłem bardzo szybkie postępy. Szczerze muszę się przyznać, że czułem się jak za dawnych czasów, gdy żakiem będąc, uczyłem się łaciny w Montpellier. W naprawdę niewielkim stopniu odczuwałem swoją niewolę. Służba spełniała wszystkie moje zachcianki, a mimo że nie było ich dużo, mogły wydać się bardzo wyszukane: jak chociażby prośba o egzemplarz Pisma Świętego czy też krucyfiks. Po całym dniu, gdy nadchodził wieczór, Ahmed przyprowadzał do mojego pokoju dwie tancerki, te zaś miały mnie zabawiać aż do późnej nocy. Nie chciałem tego. Choć tłumaczyłem Ahmedowi, że jestem zakonnikiem i ślubowałem czystość, wyraźnie oświadczył, że taka jest wola sułtana, który dba o mnie jak mężczyzna powinien dbać o mężczyznę. Właśnie przy okazji jednej z takich rozmów, dowiedziałem się, że nie jestem jedynym Frankiem w pałacu. Ahmed stwierdził, że tylko ja spośród niewiernych nie korzystam z towarzystwa kobiet.

- Ahmedzie, templariusz to nie to samo co zwykły rycerz - powiedziałem wtedy z uśmiechem, starając się wybadać, czy wie coś więcej na temat innych więźniów.

- Tamci dwaj to też templariusze, a żłopią wino i niczego sobie nie żałują. - Chłopak wydał usta.

- Widzę, że ich nie lubisz - sondowałem. - Im też usługujesz?

- Nie. Nimi zajmuje się mój brat. Ale ty, panie, jesteś zupełnie inny. - Widziałem, że jest ze mną szczerzy. - Ty jesteś jak prawdziwy krzyżowiec. Tylko że ty jesteś dobry. Dlatego nie powinieneś dzisiaj odmawiać Dżamili.

- Dlaczego nie powinienem jej odmawiać, Ahmedzie?

- Ona bardzo chciałaby, abyś był z niej zadowolony, bo wtedy pan Rahman zapłaci jej dużo pieniędzy i będzie mogła pomóc swojej matce. Jej matka jest winna dużo pieniędzy innym ludziom. Jeśli ich nie zapłaci, wyrzucą ją z domu, a to bardzo stara kobieta. Nie przeżyłaby tego. Sułtanowi

bardzo zależy, żebyś zainteresował się którąś z kobiet.

- Znasz Dżamilę? - spytałem.

- Nasze matki mieszkają niedaleko siebie. Dżamila to bardzo ładna kobieta. Ładna i mądra.

- A więc chcesz, żebym to ją sobie wybrał?

- Tak, panie i, wybacz mi moją śmiałość, proszę cię o to.

- Niech tak będzie. - Uśmiechnąłem się. - Jeśli jest tak wytrawnym rozmówcą jak ty, na pewno nie będę się nudził.

- Będziesz naprawdę zadowolony. - Radość rozpromieniła oblicze chłopaka.

Prawdę mówiąc, choć bałem się do tego przyznać, stopniowo przesiąkałem zwyczajami pałacu. Kiedyś mogłem nie kąpać się całymi tygodniami, ba, nawet byłem dumny, że z łatwością znoszę trudy wojennej codzienności. Teraz jednak przyzwyczailem się do miękkich szat i cowieczornej kąpieli.

Tego wieczoru właśnie, po ostatniej lekcji z historii muzułmanizmu, wziąłem kąpiel i zamierzałem pomodlić się do swojego Boga. Zgodnie jednak z zapowiedzią i zwyczajami pałacu, Ahmed przyprowadził kobietę. Tym razem jednak była tylko ona jedna. Miała kruczoczarne włosy, twarz przesłoniętą półprzejrystym czadorem i ciemnobrązowe nerwowo wpatrujące się we mnie oczy. Gdy spojrzałem na nią, natychmiast opuściła wzrok i klęknęła przede mną, kłaniając się z uniżeniem. Ahmed uklonił się również, a potem odszedł

dyskretnie, pozostawiając nas samych. Zamknąłem Biblię, położyłem ją obok krucyfiksu, a następnie podszedłem do kobiety.

- Ty jesteś Dżamila? - spytałem.

- Tak, panie. - Nie podnosiła wzroku.

- Ahmed powiedział ci, kim jestem?

- Wszyscy w pałacu wiedzą, kim jesteś, panie.

Usiadłem przed nią na dywanie, a potem dotknąłem jej podbródka i podniosłem głowę, tak aby spojrzała na mnie. W jej oczach zobaczyłem strach. Kiedy ująłem brzeg jej czadoru, wzdrygnęła się w pierwszej chwili, potem zaś domyślając się, czego chcę, sama zdjęła zasłonę. Była piękną, młodą, śniadą kobietą. Złote ozdoby pobrzękiwały cicho, kiedy się poruszała.

- Na pewno ci opowiadali, że Frankowie zjadają niemowlęta i żywią się krwią kobiet.

- Uśmiechnąłem się.

Nie umiała ocenić mojego zachowania, ale widząc pogodną minę, odgadła, że żartuję.

- Różne rzeczy ludzie mówią o Frankach - powiedziała ostrożnie.

- Na przykład jakie?

- Panie, nie każ mi mówić tego, co może wprawić cię w zły humor - przestraszyła się.

- Jestem tylko kobietą. Nie mnie sądzić o twoim narodzie. Jestem tu po to, aby spełniać twoje życzenia, ale tego nie każ mi robić.

Znów opuściła głowę. Widziałem, że drży. Była inna niż kobiety, które przychodziły do mnie dotąd. Nie wyglądała na tancerkę, choć była ubrana podobnie wyzywająco jak one.

- Znasz dobrze Ahmeda? - spytałem.

- Nie, panie - odpowiedziała.

- Ahmed mówił coś innego - stwierdziłem.

Przesłała mi spłoszone, szybkie spojrzenie.

- Znam go, panie, ale czy to źle? - z tonu jej głosu wyczułem, że nie jest całkowicie szczerą.

- Kim jesteś? - Znów zmusiłem ją, by spojrzała mi prosto w oczy. - I co przede mną ukrywasz?

Miała na głowie diadem, dzięki któremu między jej gęstymi, ciemnymi brwiami pysznił się oprawiony w złoto beryl - kamień jasnovidzących.

- Jestem wierną poddaną sułtana Mohammeda Abdula Al-Sarafa, panie. Nikim więcej.

- Skoro tak mówisz, chcę, abyś dla mnie zatańczyła. - Wstałem i zaklaskałem w dłonie. - Zaraz wezwę muzyków.

- Panie! - Gwałtownym, błagalnym gestem chwyciła mnie za kolana. - To prawda.

Nie jestem tancerką, ale wysłuchaj mnie, proszę, zanim zrobisz cokolwiek.

Gestem odesłałem Ahmeda, który pojawił się natychmiast na wezwanie.

- Prosiłam Ahmeda, aby pomógł mi się spotkać z tobą, panie. To była jedyna możliwość... Proszę, nie zdradź mnie przed ludźmi sułtana. To ważne dla twojego i mojego bezpieczeństwa.

- Dobrze. Nic nikomu nie powiem, ale bądź ze mną szczerą. - Usiadłem z powrotem.

- Będę, panie. Po to tutaj przyszłam. - Tym razem zebrała w sobie całą odwagę i nie spuszczała ze mnie wzroku.

Kłęknęła, potem zaczęła rozwiązywać szeroką szarfę z błękitnego jedwabiu, którą miała opasaną wokół talii. Pomiędzy zwojami materiału coś błysnęło. Kiedy rozścieliła przede mną materiał,

położyła na nim ukryty wcześniej łańcuch. Wyglądał na bardzo stary.

Wykonano go ze srebra pokrytego miejscami ciemną patyną. Zrobiony był bez specjalnej dbałości o wyszukane kształty i zdobienia, choć wokół błękitnego topazu dostrzegłem niezrozumiałe znaki i symbole.

- Mój pan polecił mi, abym przekazała ci ten amulet - rzekła.

- Sułtan?

- On nie jest moim panem.

- Kto nim jest?

- Jestem kapłanką Haruta. To jego wola.

Teraz mówiła prawdę. Widziałem to po sposobie, w jaki akcentowała każde słowo.

- Co ja mam wspólnego z twoim bogiem? Jestem zakonnikiem i podlegam woli Pana Najwyższego.

- Harut nie jest bogiem. Jest Ojcem stworzenia wyklętych aniołów Babilonu.

- Demonów?

- On i Marut nigdy nie byli az-Zabaniya. To sułtan jest sługą az-Zabaniya. Ten amulet uchroni cię przed mrokiem dzina, który służy sułtanowi z woli az-Zabaniya.

Nie rozumiałem, o czym mówi dziewczyna. Bez względu na to, komu służyła, nie mogłem odgadnąć, czy jest dla mnie zagrożeniem, czy też wręcz przeciwnie - chce mnie przed nim uchronić.

- Wierzysz w Święty Koran? - spytałem.

- Panie. To, o czym mówię, nie ma nic wspólnego z wiarą i jest równie rzeczywiste jak ty, ja i dzisiejszy wieczór. Wojna z twoim narodem nie jest jedyną, jaką prowadzi sułtan.

Nie jest nawet najważniejszą. Sługą sułtana jest bardzo potężna istota, która nauczyła go magii o potędze tak niesłychanej, że potrafi na odległość spopielać miasta i powodować, że ziemia się rozstępuje, grzebiąc w przepaściach całe armie. Spójrz...

Podeszła do okna i odsunęła okrywającą je zasłonę.

- Widzisz tę wysoką wieżę?

- Tak. To podobno minaret - stwierdziłem obojętnie.

- Mylisz się. To magiczna wieża, dzięki której sułtan może kierować mocą, jaką przesyła mu jego dzin. Dokładnie pod wieżą są najpilniej strzeżone lochy, w których dzin mieszka. Nikt

niewtajemniczony nie ma tam dostępu. Podobno cała wieża jest jedną wielką konstrukcją przekazującą moc do postaci, którą steruje sułtan. Czasami powietrze wokół

wieży aż faluje od nadmiaru energii. Wtedy właśnie sułtan rzuca najpotężniejsze zaklęcia.

Rahman, trzeci syn sułtana też jest czarnoksiężnikiem.

- To, co mówisz, jest równie niewiarygodne, jak religia, której służysz. -

Spoważniałem. - Jeśli sułtan faktycznie posiada tak przerażającą moc, to dlaczego nie użył jej w wojnie przeciw zakonowi?

- Zrobi to, ale najpierw musi pokonać znacznie potężniejszego wroga, radzę Tedonga.

Radża Tedong mieszka bardzo daleko stąd w niedostępnych górach, a w jego mieście stoi pałac z jeszcze wyższą wieżą. Wszyscy mówią, że służy mu istota dużo potężniejsza niż ta służąca sułtanowi. Podobno, kiedy przekazuje swą moc, musi spać, bo inaczej moc zabiłaby radżę. Dlatego też o tym mieście mówią, że jest miastem śpiącego demona. Radża wiele razy pokonał sułtana, okazując się silniejszym czarnoksiężnikiem. Teraz sułtan opracował plan, jak to zmienić.

- Magia... - Roześmiałem się. - Kto ją tak naprawdę widział?

Dżamila umilkła. Nerwowym ruchem spojrzała w stronę wejścia.

- Mamy jeszcze chwilę. Może zdążę cię przekonać, panie - powiedziała coś niezrozumiałego, kreśląc w powietrzu zawiły wzór.

- Co robisz? - zaniepokoiłem się.

- Panie, spójrz do misy z wodą - poleciła.

Zrobiłem to. W wodzie, zamiast swojego odbicia, zobaczyłem widok ośnieżonych szczytów i bardzo dziwnych ulokowanych na zboczach gór domów. Zabudowa była tak gęsta, że niektóre z domów stały tuż przy przepaści, a prowadziły do nich drewniane kładki biegnące wzdłuż urwisk.

- To właśnie Miasto Śpiącego Demona - wyjaśniła Dżamila. Niedawne onieśmienie i strach znikły z jej twarzy. Śpieszyła się wyraźnie. Była pewna siebie i tego, co robi.

- W imię Boga, przeklęta, przestań igrać z moimi zmysłami. - Teraz już zacząłem się bać. Odsunąłem się od misy, a potem się przeżegnałem.

- Panie. Jutro sułtan wezwie cię do siebie. Weź ze sobą ten amulet. Nie rozstawaj się z nim nigdy - rzekła, a jej oczy zapłonęły dziwnym ogniem.

- Chcesz zniszczyć sułtana? - spytałem.

- Nikogo nie chcę niszczyć. Ja jestem kapłanką Haruta. Przekazuję ci tylko jego wolę.

Kiedy podeszła do mnie, ujęła srebrny łańcuch i założyła mi go na szyję.

- Jego wolą było, abyś otrzymał ode mnie ten amulet. - Ukłoniła się. - Na tym moja rola się kończy.

Wstała pośpiesznie i z powrotem przewiązała się błękitną szarfą.

- Muszę już iść, panie. Żegnaj. - Skłoniła się powtórnie i pośpiesznie odeszła.

- Zaczekaj! Co mam robić? - spytałem, starając się ją zatrzymać.

- Powiedziała ci wszystko, co wiem. Postępuj zgodnie z własnym sumieniem, panie

- to były jej ostatnie słowa.

Powody jej pośpiechu zrozumiałem kilka chwil po jej wyjściu. Do mojego pokoju wbiegło czterech uzbrojonych seldżuków z gwardii pałacowej. Bez słowa wyjaśnień przetrząsnęli wszystkie kąty, w których mógłby ukryć się człowiek, a potem również bez słowa wyszli. Nigdy więcej nie zobaczyłem już ani Ahmeda, ani Dżamili.

* * *

Dżamila miała rację. Następnego dnia sułtan przywołał mnie do siebie. Rano, po modlitwie przyniesiono mi czyste rzeczy, a zamiast nauczyciela przyszedł po mnie człowiek, którego zupełnie nie znałem i którego funkcji nie umiałem określić. Mógł być tylko służącym albo też należeć do grupy doradców sułtana. Na wszelki wypadek zachowywałem się powściągliwie, nie zadając zbędnych pytań.

Przepastnymi korytarzami poprowadził mnie gdzieś w głąb pałacu, aż pod wielkie, zdobione drzwi, przedstawiające sceny z bitew. Tam usiedliśmy na obitych czerwona skórą ławach i czekaliśmy w milczeniu. Domyśliłem się, że to prywatna część pałacu. Nie można było tutaj spotkać żadnego z leniwie przechadzających się dworzan, a seldżuci wciąż przyglądali nam się podejrzliwie. Nie byłem w stanie określić czasu, jaki upłynął, aż drzwi się otworzyły i zobaczyłem w nich Rahmana.

- Witaj, panie. - Uśmiechnął się. - Sułtan pragnie cię zobaczyć.

- Witaj, panie - odpowiedziałem, kłaniając się. - Będzie to dla mnie wspaniała okazja, aby podziękować mu za łaskawość, jakiej od niego doświadczyłem.

- Widzę, panie, że słowa pochwały, jakie słyszałem o tobie z ust twoich nauczycieli są w pełni uzasadnione. - Szerokim gestem zaprosił mnie do sali.

Minąłem go, a potem przekroczyłem próg. Sala, rozjaśniana światłem lamp, nie miała okien, a jej ściany pokrywał wzorzysty materiał. Na podwyższeniu, wśród atłasowych poduszek siedział starszy mężczyzna z długą, siwą brodą. Za jego plecami stali dwaj starcy ubrani w kapłańskie szaty. Barwne dywany były tak grube, że moje stopy w miękkich pantoflach odciskały wyraźne ślady. Oczy seldżuków śledziły mnie nieustannie.

- Witaj, Tomaszu z Akwitanii. - Twarz sułtana się rozpozogodziła. Wyjął z ust końcówkę fajki, która połączona była ze skomplikowanym systemem rurek i butli pełnych wody. Nawet z dużej odległości czułem przyjemną woń tytoniu.

- Witaj, panie. - Zatrzymałem się w stosownej odległości, po czym zgodnie z europejskim zwyczajem klęknąłem na jedno kolano, pochylając głowę.

- Podejdź bliżej i usiądź tutaj. - Zachęcił mnie gestem dłoni.

Zrobiłem, jak chciałem, siadając obok niego. Widziałem, że dostrzegł srebrny łańcuch na mojej szyi, ale najmniejszy grymas twarzy nie zdradził jego prawdziwych myśli. Jeden ze starców pochylił się, a potem powiedział coś szeptem wprost do ucha władcy. Ten zaś odprawił go gestem dłoni.

- Mam dla ciebie niespodziankę - powiedział, po czym spojrzał w stronę syna, który uklonił się i wyszedł.

- Co to za niespodzianka, panie? - spytałem.

- Odrobinę cierpliwości, Tomaszu - nakazał mi milczenie, więc czekałem na dalszy rozwój wypadków.

Po chwili przyprawiono dwóch mężczyzn, którzy już na pierwszy rzut oka wyglądali na dwu templariuszy, o których opowiadał mi Ahmed. Usiedli obok mnie, w podobny sposób przywitani przez sułtana. Czekaliśmy nadal, domyśliłem się więc, że nie jest to niespodzianka, którą zapowiedział sułtan.

Kiedy powtórnie pojawił się Rahman, zrozumiałem, kogo jeszcze spodziewał się sułtan. W zdobionych drzwiach sali zobaczyłem braci z zakonu templariuszy, Edwarda i Rodryga. Znałem ich dobrze, jeszcze z czasów, gdy byłem adeptem w klasztorze. Na pewno nie byli więźniami, a sądząc po ich odświętnym stroju, przebywali na dworze sułtana jako posłowie. Skoro tak sprawy się miały, sytuacja zakonu musiała być naprawdę ciężka. Na pewno chcieli zawrzeć rozejm, nie istniało inne wytłumaczenie.

- Panie, poselstwo zakonu templariuszy - rzekł Rahman, a potem minął nas i usiadł obok ojca.

Edward i Rodryg wyglądali na zaskoczonych naszą obecnością. Uklonili się lekko, a potem zamarli w oczekiwaniu. Kiedy podszedł do nich jeden z seldżuków, przekazali mu zwój zapisany starannym pismem. Wojownik podał ów zwój jednemu z tłumaczy, a ten zaczął go uroczyście odczytywać. Choć znałem już ich język, nie w pełni mogłem zrozumieć przekład. Usłyszałem jednak, co najważniejsze.

Edward i Rodryg byli oficjalnymi przedstawicielami Wielkiego Mistrza, o czym zapewniało pismo, i mieli wszelkie plenipotencje, aby w jego imieniu oraz imieniu zakonu prowadzić rozmowy z sułtanem. Propozycja rozejmu obejmowała wycofanie się z części ziem, na których toczyły się walki i oddanie wojskom sułtana czterech najpotężniejszych twierdz zakonu. Skoro ustępstwa w zamian za pokój były tak wielkie, pojąłem, że szala zwycięstwa przechyliła się na stronę wojsk sułtana, a misja

Edwarda i Rodryga miała za zadanie uratowanie resztek królestwa chrześcijan. Na pewno rozumiał to również sułtan.

Odczytanie warunków rozejmu w naszej obecności było również swego rodzaju formalnością. Znałem już zwyczaje tego dworu i wiedziałem, że władca poznał ich treść od swoich doradców na długo przed tym, jak posłom pozwolono wejść do sali. Nie rozumiałem tylko, jaką rolę przypisano w tym całym przedstawieniu mnie oraz moim dwóm współwięźniom.

Sułtan celowo zwlekał, udając, że rozważa propozycję. Dopiero po dłuższym milczeniu spojrzął na posłów i zaczął mówić. Jego poważne oblicze nie wyrażało żadnych emocji.

- Z uwagą wysłuchałem prośby Wielkiego Mistrza i rozważyłem jego słowa. Wojna z zakonem nigdy nie była celem moim ani mojego ludu. Nauki Proroka Mahometa nakazują nam umiłowanie pokoju i sprawiedliwości. Moi pisarze sporządzą pismo, które przekażecie waszemu przywódcy jako moją odpowiedź. Do tego czasu będziecie moimi gośćmi, podobnie jak trzej wasi bracia, którzy mogą zaświadczyć o szczerości naszych intencji.

- Wybacz, panie, moją śmiałość wypływającą z troski o przyszłość naszych wzajemnych kontaktów. - Edward pochylił nieco głowę. - Czy mogę rozumieć twoje słowa jako zapowiedź pokoju?

Sułtan uśmiechnął się lekko, a potem pogładził brodę. Pierścienie na jego palcach błysnęły w świetle lamp.

- Jestem zwolennikiem wzajemnego poznania się i wspólnego budowania dobrobytu oraz zadowolenia poddanych. Moja kraina słynie z bogactwa, a nasi kupcy są naszymi emisariuszami w wielu królestwach. Mamy też wielu zręcznych rzemieślników. Pokój będzie służył zarówno nam, jak i waszemu zakonowi. Jednak... - zawiesił głos - pokój ma zawsze wysoką cenę, nic tak nie umacnia przyjaźni jak walka ze wspólnym wrogiem.

- Co masz na myśli, panie? - Na poblądłej twarzy Edwarda pojawiło się napięcie.

- Traktowałem waszych trzech braci w sposób, w jaki w moim kraju traktuje się członków rodziny, choć każdy z nich przybył, aby mieczem i ogniem walczyć ze świętą nauką Koranu. Są to trzej najwięksi rycerze waszego zakonu i żaden z nich nie wyrzekł się swojej wiary. Każdy z nich poznał też moją gościnność i wielkoduszność. - Sułtan spojrzął na nas, a potem skierował do nas pytanie. - Czy spotkała was, zacni mężowie, jakaś zniewaga lub niesprawiedliwość na moim dworze?

Spojrzelismy po sobie. Nie znaleźliśmy się i żaden się nie kwapił, aby jako pierwszy zabrać głos. Rudobrody, barczysty, wyglądający na najstarszego z nas mężczyzna zdecydował przyjąć na siebie tę rolę. Dworskie, uprzejme rozmowy nie były jednak jego mocną stroną, bo nie poszło mu zbyt składnie.

- Mieliśmy moc jadła i wypitki... no i zabawy... - wydukał ciężko, z każdym słowem pałając coraz większymi rumieńcami.

- Panie. - Wstałem, przejmując na siebie rolę mówcy, co brodacz przyjął z wyraźną ulgą. - Pragnę w

naszym wspólnym imieniu podziękować ci za łaski, jakich doświadczyliśmy. Nie tylko byliśmy traktowani w należyty sposób, ale dzięki twojej woli mieliśmy również cenną możliwość poznania języka oraz obyczajów ludów Orientu. Dlatego właśnie mogę zaświadczyć o twej niezwyklej tolerancji, poszanowaniu obcej ci wiary chrześcijan i sprawiedliwości, powołując się na swój honor rycerza zakonu templariuszy.

- Wielkiego męża zawsze można poznać po jego czynach, a wielkiego mędrca po słowach. - Sułtan uśmiechnął się z zadowoleniem. - Twoje słowa i czyny są najlepszym świadectwem twojej prawości, Tomaszu.

Odwrócił się do posłów, a potem stwierdził oficjalnie.

- Moja wola jest następująca. Przekażcie Wielkiemu Mistrzowi, że w zamian za pokój oczekuję oddania mi ziem, które zaproponował. O moich dobrych intencjach świadczy to, że zakon może zachować twierdze, o których mówi pismo waszego przywódcy. Oczekuję jednak pewnej przysługi od jednego z waszych rycerzy. Jest nim Tomasz z Akwitanii.

Właśnie jego wybieram do zadania, które pomoże mi pokonać mojego najgroźniejszego wroga. To miałem na myśli, mówiąc o wspólnej walce. Dwaj towarzyszący mu rycerze mogą powrócić wraz z wami pod sztandar zakonu, a jako że znają nasz język, pomogą nam we wzajemnych kontaktach w przyszłości. Tak więc, jeśli zgodnie z moją wolą oddacie ziemie, a Tomasz z Akwitanii wypełni dla mnie pomyślnie trudne zadanie, zakon może być pewien, że pokój zapanuje pomiędzy nami. Takie jest moje ostatnie słowo.

- Oczywiście, panie. - Edward pochylił się z szacunkiem. - Nasz zakon dołoży wszelkich starań, aby pokój między nami stał się jak najtrwalszy. Pozwól jednak spytać, czy jeden rycerz sam będzie w stanie sprostać zadaniu, od którego zależy pokonanie twojego wroga. W naszym zakonie jest wielu męźnych rycerzy i działając w zespole...

- Wierz mi, panie. Tylko pojedynczy rycerz, niebędący sługą Mahometa, może dokonać tego, czego oczekuję od Tomasza z Akwitanii. Jeden prawy rycerz. Tylko tyle jestem skłonny ci powiedzieć.

- Oczywiście, jeśli taka jest twoja wola. - Edward spojrzał na mnie, a potem odezwał

się po łacinie, której nie mógł zrozumieć tłumacz sułtana. - Tomaszu z Akwitanii, zaklinam cię, zrób wszystko, co w twojej mocy, aby doprowadzić do pokoju, który uchroni zakon przed upadkiem. Od ciebie zależy teraz los naszego świętego zgromadzenia.

- Zawsze byłem wiernym sługą zakonu i zrobię wszystko, co możliwe - odrzekłem w tym samym języku.

Sułtan wstał, więc wszyscy wstali wraz z nim.

- Nikt w mojej obecności nie ma prawa rozmawiać w niezrozumiały dla mnie sposób.

- Wyglądał na urażonego.

- Wybacz, panie. Prosiłem Tomasza, aby dzielnie walczył w twojej służbie -

pośpieszył z wytłumaczeniem Edward.

- Oddalcie się już i bądźcie moimi gośćmi. - Sułtan ruchem dłoni odesłał posłów.

Już bez słowa, cofając się, tyłem wyszli z sali.

- Ty, Tomaszu udaj się ze mną - nakazał władca, a potem poszedł w stronę ukrytego za kotarą wyjścia.

Po chwili wahania pośpiesznie poszedłem za nim. Jego syn Rahman też do nas dołączył. Mały przedsiónek, ozdobiony obrazami i zwierciadłami krył kilka przejść za zasłoną ze złotych łańcuchów. Wybraliśmy jedno z nich. Wąski, wypełniony widmowym blaskiem lamp korytarz prowadził do krętego labiryntu schodów i drzwi. Ta część pałacu stanowiła zupełnie osobny budynek, sądząc po niezwykle skromnych zdobieniach, zupełnie niepasujących do przepychu, jaki otaczał mnie dotychczas. Korytarz to się wznosił, to znów opadał, a jego zawile rozwidlenia zdawały się nie podlegać żadnemu porządkowi. Rzędy okutych stałą, surowych drzwi wskazywały, że jest to coś w rodzaju skarbcza lub - co bardziej prawdopodobne - magazynu. Nie umiałem odczytać pisma, a właściwie symboli na drzwiach.

Dopiero kiedy zeszliśmy w głąb podziemi, sułtan odezwał się do mnie.

- Na pewno wiesz już, Tomaszu, że ja i mój syn zgłębiamy tajniki magii - mówiąc to, nie patrzył na mnie.

- Dotarli do mnie takie plotki - przyznałem ostrożnie.

- Czy wśród plotek, które słyszałeś, była jakaś dotycząca radży Tedonga?

- Kilka...

- A więc wiesz, że jest moim największym wrogiem.

Zatrzymaliśmy się przed bramą. Na jej dwu skrzydłach wyrzeźbiono symetryczne względem siebie płaskorzeźby smoków, w taki sposób, że ich szpony się splatały. Rahman podszedł do bramy, a potem szepcząc coś, wykonał kilka tajemniczych gestów. Zobaczyłem wyraźnie, jak rzeźby poruszyły się, rozluźniając uścisk, a brama z ciężkim skrzypnięciem otworzyła się szeroko.

- To właśnie jest magia. Musisz do niej przywyknąć - wyjaśnił Rahman, widząc moje osłupienie.

Ruszyliśmy dalej.

- Od wielu już lat toczymy z radżą wojnę, a im dłużej ona trwa, tym staje się potworniejsza. Zamierzamy zakończyć ją jak najszybciej. - Słowa sułtana wzbudzały echo w zakamarkach lochów. - Wiem, Tomaszu, że nie brak ci rozsądku, więc nie będę ubierał

niczego w piękne słowa. Twój zakon jest teraz zdany na moją łaskę. Wystarczy, że wypowiem jedno słowo, a zostanie zmiądzony przez zastępy moich wojsk. Zginęło tak wielu templariuszy, że w wasze szeregi przyjmujecie nieopierzonych młodzików, którzy za nic mają wiarę i zamiast drogi do Boga, szukają łatwych łupów oraz bogactw. W zamian za to spotykają śmierć. Czy wiesz, co mnie powstrzymuje przed ostatecznym zmiądzeniem waszego zakonu? - spytał i nie czekając na reakcję, odpowiedział: - Ty.

- Nie rozumiem, panie - odezwałem się.

- Tylko ty możesz pokonać radzę. - Dopiero teraz spojrzał na mnie.

Po ostatnich miesiącach wypełnionych spokojem, otaczające mnie sprawy zaczęły płynąć wartkim, zmiennym i niepojętym nurtem. Mogłem tylko biernie się temu poddać.

- Idziemy teraz do mojej wieży. Tam zapoznam cię ze swoim planem - rzekł.

W załomach muru dostrzegłem kształty, które w pierwszej chwili wziąłem za posągi.

Dopiero kiedy je mijaliśmy, ożyły. Poczułem nieprzyjemne ciarki na plecach. Nieprzyjazne syki i trzepotanie skrzydeł znaczyły naszą dalszą drogę. Zza rozchyłających się w gwałtownym geście poruszenia ptasich skrzydeł spoglądały na nas przerażające, zdeformowane twarze ni to kobiet, ni to wiedźm. Szpony wielkości sztyletów niespokojnie chrzęściły po kamiennych półkach, na których siedziały te stwory. Istoty były olbrzymie, prawie równe wielkością człowiekowi.

- To harpie. Mamy tutaj wiele różnych istot - wyjaśnił Rahman.

- Czy to czarna magia? - spytałem.

Moje pytanie wyraźnie ich rozbawiło.

- Jest wiele rodzajów magii, ale czarną i białą magię wymyślili ludzie z gminu. Nie istnieje coś takiego jak biała i czarna magia. - Rahman znajdował wyraźne upodobanie w pouczeniu mnie na ten temat. - Harpie to żywe stworzenia, a demonami posługuje się każdy mag, zajmujący się magią ceremonialną. Tylko od niego zależy, jak wykorzysta tę moc.

Zgodnie czy niezgodnie z naturą. Dla dobra lub aby szerzyć zło.

- W jaki sposób ktoś wiedzący tak mało o magii jak ja może być wam potrzebny? -

Wykorzystałem sposobność, aby zadać to pytanie.

Wymienili znaczące spojrzenia.

- Wszystko w swoim czasie, Tomaszu. - Sułtan dotknął mojego ramienia.

Dotarliśmy do końca korytarza. Tutaj nie było już żadnego rozwidlenia, tylko ściana zagradzająca drogę. Na moich oczach w ścianie pojawiła się szczelina, która chwilę potem zmieniła się w

szerokie przejście. Przejście zamknęło się, kiedy tylko przeszliśmy na drugą stronę.

Pierwszy raz widziałem coś takiego. W wieży nie było drzwi, tylko długie korytarze i ślepe pokoje. Aby przejść gdziekolwiek, należało otworzyć przejście przez ścianę, używając magii. Ktoś, kto tak jak ja, nie potrafił tego robić, stawał się bezradnym więźniem. Symbole na gładkich ścianach oznaczały dalszą możliwą drogę, którą sułtan i jego syn prowadzili mnie bez wahania. Nie należałem do lękliwych osób, ale zaczynało mi się robić nieprzyjemnie. Na nic nie miałem wpływu, byłem jak bezradne, zdane na łaskę innych dziecko.

Niektóre z mijanych symboli powtarzały się kilkakrotnie, inne nie. Nie dostrzegałem w tym jakiegoś porządku. Wnętrze wieży zupełnie pozbawione były przepychu i zdobień.

Poza surowymi, gładkimi ścianami barwy piasku i palącymi się migotliwym światłem lampami, nic nie zaburzało ascetycznego nastroju odosobnienia. Nawet dźwięki brzmiały tutaj głucho.

Nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób sułtan otwiera przejścia. Nie wypowiadał ani słowa, nie wykonywał żadnego gestu, a ściany po prostu się rozstępowały. Zatraciłem zupełnie rachubę czasu i poczucie rzeczywistości, kiedy dotarliśmy na miejsce. W

półkolistej, zwieńczonej czaszą sufitu sali czekało dwu magów w czarnych, długich strojach.

Na widok sułtana ukłonili się z szacunkiem.

- Czy przygotowaliście purbę? - spytał sułtan.

- Tak, panie. Wszystko jest gotowe.

- To dobrze. - Sułtan wskazał na mnie. - Ten Frank dotrze dla nas do Etherni i uwolni nas od jej mocy.

Spojrzenia mężczyzn skupiły się na mnie.

- Portal jest gotowy? - tym razem odezwał się Rahman.

- Tak, panie. Trzech mistrzów otwarcia czeka na polecenie.

- Sala przywołań jest gotowa?

- Zgodnie z życzeniem.

- To wspaniale. - Sułtan wyglądał na zadowolonego. Odwrócił się do swego syna. -

Wytłumacz teraz wszystko naszemu pomocnikowi. Ja zajmę się przygotowaniem do transu.

Sułtan i magowie opuścili nas.

- Pozwól tutaj, panie. - Rahman zachęcił mnie gestem dłoni. Podeszliśmy do sporego, okrągłego

stołu, zaścienionego jakimiś rysunkami. Rahman rozgarnął je, wyciągając starannie naszkicowany plan dziwnej budowli.

- Oto twój cel - powiedział.

- Co to oznacza? - spytałem.

- To wieża radży Tedonga. - Obciążył krawędzie zwijającego się w rulon papieru leżącymi na stole przedmiotami. - Jest tak wysoka, że sięga ponad góry, na których wzniesiono miasto. Na szczycie wieży jest sala magii. Stamtąd radża włada całą krainą. Może zmienić w kamień lub spalić na popiół największą nawet armię, która wyruszy, aby się z nim zmierzyć, zanim ta w ogóle zbliży się do miasta. Nie potrafisz wyobrazić sobie nawet potęgi magii, jaką on dysponuje. Tutaj, pod salą magii - przesunął palec nieco niżej, wskazując inną część planu - w korpusie wieży umieszczone są zwierciadła i kryształy transformujące moc płynącą z podziemi. Nie znamy dokładnie ich konstrukcji, ale nie będzie to potrzebne. -

Przeciągnął palcem, pomijając poszczególne poziomy. - O tutaj. Tutaj jest świątynia Śpiącego. Wasale radży przychodzą w to miejsce, aby odprawiać rytuał emanacji. Energia z podziemi w drodze do sali magii przechodzi przez świątynię. Tutaj jest jeszcze w niemal czystej formie. Kapłani w czasie emanacji modlą się do demona, a specjalny, kryształowy ołtarz przekazuje im drobny ułamek mocy, aby mogli czynić cuda i utrwalac w ten sposób władzę radży wśród poddanych. Podobno w czasie rytuału dochodzi nawet do ożywień.

- Nekromancja... - powiedziałem mimowolnie.

- Coś w tym rodzaju... - Rahman przysunął stojącą na blacie lampkę, aby lepiej oświetlić plany. - Pod świątynią są lochy, do których wtrąceni są wrogowie radży. Nie są to jednak więzienia, o jakich myślisz. To olbrzymie ciemne i puste sale, w których zamurówuje się setki ludzi, aby ich powolne konanie z głodu i cierpienie dostarczały pożywki dla śpiącego demona. Pośród tych sal, w samym ich centrum znajduje się krypta demona. -

Zakreślił łuk, zaznaczając miejsce. - Właśnie w podziemiach jest jego leże. Odkąd tam zamieszkał, nikt, nawet radża, nie zakłóca jego spokoju.

Spojrzał na mnie uważnie. Jego ciemne oczy wypełnione były determinacją.

- To właśnie będzie twój cel - rzekł. - Krypta Śpiącego Demona.

Umilkł.

Przez dłuższy czas, zbierając słowa, przyglądałem się rysunkom.

- Nie pomyśl, panie, że jestem nadmiernie bojaźliwy, ale w jakim celu chcecie mnie tam wysłać? - zapytałem. - Czy mam wykraść jakiś artefakt? Jeśli tak, lepszym wyborem byłoby wysłanie złodzieja.

- Nie chodzi o żadną kradzież - zaprzeczył. - Potrzebujemy wojownika, a demon jest odporny na zwykłą broń. Można nią co najwyżej pozbawić go na jakiś czas powłoki cielesnej. My mamy jednak

dla ciebie purbę. Sztylet bogów, którym można ostatecznie unicestwić demona takiego jak Śpiący. Przeniesiemy cię do krypty, a ty go zabijesz. Tylko rycerz, który nie zna magii, w którego żyłach nie płynie krew potomków Mahometa i co najważniejsze - który nie boi się śmierci, będzie w stanie zapanować nad sobą i pokonać demona.

- Czy ktoś już tego próbował?

- Nie będziesz pierwszy. - Rahman oparł się bokiem o stół. - Przywołamy dla ciebie opiekuna, aby ochroniał cię w razie potrzeby przed niebezpieczeństwami, ale nie ukrywam, że czeka cię trudna próba.

- O jakim opiekunie mówisz, panie?

- O istocie z innego świata. Wy, chrześcijanie, wierzycie w anioła stróża; to będzie ktoś taki, kto ochroni cię przed magią.

Stało przede mną zupełnie nowe wyzwanie. Magia, w którą, prawdę mówiąc, nie wierzyłem, nagle wkroczyła do mojego życia, odbierając mi zdolność oceny sytuacji.

Otoczyła mnie silnymi więzami, spętała tak, że nie widziałem już drogi ucieczki. Mój los nie miał jednak znaczenia, dopóki mogłem coś zrobić dla zakonu. Wierzyłem w to; musiałem w to wierzyć, inaczej strach i zwątpienie zabiłyby moją duszę.

- Kiedy wyruszam? - spytałem.

- Jutro. - Rahman zwinął plan wieży. - Dzisiaj musisz odpocząć, przespać się, a jutro wyposażymy cię w oręż i wszystko zostanie w twoich rękach.

- Rozumiem. - Myślałem, że to już będzie wszystko na dziś.

- I jeszcze jedno. - Spojrzał na mnie. - Ten amulet, który masz na szyi.

- Co z nim?

- Jesteś, panie, wyznawcą Haruta?

- Nie... dostałem go od kogoś... jako podarek.

- Najlepiej byłoby, gdybyś zostawił go tutaj. To amulet wyznawców Haruta, może osłabić moc purby.

- Pomyślę o tym.

- Zrób, jak mówię, bo amulet może kosztować cię bardzo drogo. Nie wiesz nawet, jak mściwe są demony, a jeśli go nie pokonasz, śmierć stanie się twoim jedynym pragnieniem.

- Zrobię tak - potwierdziłem, choć targały mną wątpliwości.

- Idź zatem odpocząć. - Uśmiechnął się. - Wszyscy musimy się przygotować, bo jutro czeka nas bardzo ciężki dzień.

Kiedy skończył mówić, zobaczyłem otwierające się w ścianie przejście.

- Idź po prostu tam, gdzie poprowadzą cię ściany - odpowiedział na moje pytające spojrzenie.

Poszedłem. Magia sama zaprowadziła mnie do małej celi z przygotowanym już łóżkiem, gdzie miałem oczekiwać, aż ktoś po mnie przyjdzie. Nawet gdybym chciał z niej wyjść, nie mógłbym tego zrobić z powodu braku drzwi. Pomodliłem się więc, po czym położyłem na pościeli i zapadłem w niespokojny sen.

* * *

Widziałem wyraźnie twarz młodej kobiety. Była piękna i choć rysy wypełniał

wyniosły chłód szlachetnego urodzenia, w jakiś niepojęty sposób jej twarz wyrażała cierpienie. Nie widziałem postaci, tylko oblicze, a wokół niego oślepiający blask.

Obudziło mnie potrząsanie za ramię. Otworzyłem oczy.

- Tomaszu, musimy już iść. Już czas. - To był jeden z magów.

- Tak. Oczywiście. - Przegarnąłem dłonią włosy, a potem usiadłem. Blade światło ledwie rozjaśniało moją celę. Twarz maga ukrywał półmrok. Gdy się odwrócił, schowałem do kieszeni talizman, który dostałem od Dżamili. Miałem dziwne wewnętrzne przekonanie, że powinienem to zrobić. Niemal słyszałem w moich uszach powtarzający to szept. Kiedy rozbudziłem się, wrażenie znikło zupełnie.

Mag zaprowadził mnie do pomieszczenia, w którym przygotowano oręż. Czekał na mnie służebny, mający pomóc mi w założeniu pancerza. Zbroja, którą otrzymałem, była inkrustowana srebrem i tak wspaniałej roboty, że w pierwszej chwili zawahałem się, czy powinienem ją nosić ze względu na swoje śluby ubóstwa. Podobnie rzecz się miała z mieczem i resztą wyposażenia. Nawet biały płaszcz z grubej tkaniny wyróżniał się ręcznym haftem wspaniałych czerwonych krzyży.

Kiedy zakładałem na siebie pancerz, mag z uwagą doglądał wszystkiego. Miałem wrażenie, że nie o wszystkim mi powiedziano, a w pancerzu też kryje się jakaś magia. Kiedy o to spytałem, mag się uśmiechnął.

- Masz rację, panie. Wzmocniliśmy cię nieco naszą wiedzą - potwierdził moje przypuszczenia.

Następnie zaprowadzono mnie do kaplicy, w której czekał Rahman. Na ołtarzu oprócz świec zauważyłem czaszkę, która z pewnością nie była ludzka, kryształową kulę i wykonaną z hebanowego drewna zdobną szkatułę. Właśnie ją stworzył Rahman.

W wyłożonym czarnym atłasem wnętrzu leżał sztylet. Jego krótkie ostrze składało się z dwóch trójkątnych grotów połączonych pod kątem prostym i było trzy razy krótsze od rękojeści, utworzonej

przez sześć rzeźbionych sfer zwieńczonych wykrzywioną w dziwacznym uśmiechu twarzą demona.

- To jest właśnie purba. - Rahman delikatnie ujął sztylet, ostrożnie podnosząc go do góry. Domyśliłem się, jak jest cenny i jak wielką moc musi posiadać ten niepozornie wyglądający przedmiot. Rahman wypowiedział kilka słów, których nie zrozumiałem, a następnie odwrócił się do mnie.

- Pamiętaj, Tomaszu, purba to jedyna twoja broń. Jeśli ją stracisz, stracisz życie... i duszę.

- Będę pamiętał, panie. - Wziąłem od niego sztylet, następnie wsunąłem za pas, starannie sprawdzając, czy jest dobrze umocowany. Czuję się dużo pewniej, w pancerzu i z mieczem. Teraz naprawdę przestałem być więźniem. Stałem się na powrót rycerzem zakonu.

- Teraz poznasz swojego opiekuna - powiedział Rahman i zaprowadził mnie do sali, w której nie zauważyłem nic, poza wymalowanym na posadzce magicznym kręgiem i drugim, mniejszym o nieznanym mi przeznaczeniu. Zawsze myślałem, że pracownie czarnoksiężników pełne są przepychu, tymczasem wnętrza wieży sułtana były pełne ascetycznego umiaru, dorównując najbardziej wymagającym regułom zakonów.

- Chodź tutaj, panie. - Rahman, widząc moją bezradność, zaprowadził mnie do środka większego kręgu. Stałem obok niego.

- Widzisz? - spytał.

- Co mam widzieć? - Zdjąłem hełm.

- Pamiętaj, panie, taka jest siła magii. Jest tym groźniejsza, im mniej widoczna. -

Uśmiechnął się. Spod tuniki wyciągnął okrągły przedmiot, przypominający monetę z ołowiu.

- To sygila twojego opiekuna. Dopóki będziesz miał ją ze sobą, dopóty będzie słuchał

twoich poleceń, a dopóki będziesz trzymał ją w dłoni, dopóty będzie dla ciebie widoczny. -

Podał mi przedmiot.

Kiedy tylko dotknąłem sygili, w mniejszym kręgu dostrzegłem wyraźny kształt.

Przestraszony, cofnąłem się o krok. Patrzyłem wprost w lśniące zielenią oczy demona.

- Nie obawiaj się panie, to twój sprzymierzeniec - uspokoił mnie Rahman. - Czerpie swoją energię z elementali ziemi i w rzeczywistości jest tylko ich emanacją. Przywołaliśmy go i będzie istniał, dopóki nie zniszczysz wykonanej przez nas sygili.

Stwór był dziwaczny. Miał kozłą głowę z rogami, troje oczu, długie ptasie nogi ze szponami i pokryty opalizującymi łuskami muskularny tors z czterema ramionami suchymi jak konary drzewa.

- Jest jak... jak sam szatan - powiedziałem. Skojarzenie nasunęło mi się zupełnie bezwiednie.

- Sygiliczne demony elementali nie mają swojej postaci. To ty widzisz go w ten sposób. Widocznie wzbudza w tobie strach. Przywykniesz do tego. Schowaj sygiłę.

Kiedy to zrobiłem, demon znikł.

- Bądź spokojny, od tej chwili będzie ci towarzyszył. - Rahman otworzył przejście. -

Chodźmy do portalu.

Tym razem zwinięty spiralnie korytarz poprowadził nas w górę.

- Sułtan jest w wieży. Gdyby coś poszło nie tak, postara się wykorzystać swoją moc, aby ci pomóc lub ściągnąć cię z powrotem. Pamiętaj jednak, że otwarcie portalu to długotrwały i wyczerpujący zabieg. Jeśli coś się wydarzy, ufaj własnemu rozumowi i doświadczeniu, a także swoim siłom. Wybraliśmy cię, bo w przeciwieństwie do tych dwu półgłówków, którzy wykorzystywali czas na rozrywki, ty starałeś się doskonalić umysł i zdobywać mądrość.

Domyśliłem się, że mówi o dwu innych więźniach sułtana. Wiedziałem, że jesteśmy obserwowani, ale nie miałem pojęcia, jak ważne decyzje zapadną na tej podstawie.

- Nie udało nam się otworzyć stabilnego portalu prowadzącego bezpośrednio do krypty Śpiącego. Pierwszy portal zaprowadzi cię więc do pracowni zaufanego czarownika, który przygotowuje drugi portal prowadzący już bezpośrednio na miejsce. Po przejściu przez bramy, możesz czuć się nieco zagubiony, ale to za chwilę minie. - Rahman po drodze udzielał mi ostatnich wskazówek i dopiero wtedy zauważyłem zdenerwowanie na jego twarzy. Do tego momentu wydawał się bardzo spokojny i opanowany, teraz jednak i u niego emocje wzięły górę.

- Nasz sprzymierzeniec już na ciebie czeka. To Porfirion, nekromanta z Miasta Śpiącego Demona. Nie jest zbyt wprawny w magii portali, ale pomaga mu nasz czarownik Exceus. Jeśli wszystko się uda, wrócisz, zanim twoi bracia skończą poranne nabożeństwo.

Portal przypominał zwierciadło zawieszone w przestrzeni między masywnymi ramami. Kiedy stanąłem przed nim, ujrzałem swoje odbicie. Magowie stali nieruchomo przy portalu, patrząc na mnie z wyczekiwaniem. Podeszedłszy wystarczająco blisko, poczułem lekką wibrację i usłyszałem jakiś ledwie słyszalny wysoki dźwięk. Przysunąłem twarz. Pod moim odbiciem widmowo pojawił się inny obraz. Jakieś pomieszczenie.

- Po prostu wejdź w bramę. - Rahman dotknął mojego ramienia. - Nadszedł już czas.

Życzę ci powodzenia, Tomaszu.

Zrobiłem krok, zanurzając stopę w zwierciadlanej powierzchni. Poczułem coś, jakby ścianę chłodu, w miejscu, w którym stopa utonęła w portalu. Przeżegnałem się, po czym zrobiłem kolejny, zdecydowany krok. Przez moje ciało przebiegł mroźny dreszcz, ogłuszył

mnie przeraźliwy pisk, świat zafalował, a potem poczułem, że tracę równowagę. Ktoś w ostatniej chwili podtrzymał mnie za ramię. Oszołomiony, rozejrzałem się wokół.

Poczułem gwałtowne zawroty głowy.

- Spokojnie, panie. To potrwa tylko chwilę, zaraz minie - czyjś uspokajający głos odezwał się tuż przy mnie. Nie kłamał, po chwili stanąłem pewnie na nogach.

Rozejrzałem się wokół. Pracownia wypełniona była książkami, a na jej środku stał

spory kominek, w którym buzował ogień. Od razu zauważyłem też bramę i otwarty w niej portal, jednak jego powierzchnia nie przypominała zwierciadła, raczej matową, falującą niespokojnie toń wody. Stał przy niej starzec w fioletowej todze i szepcząc, manipulował

przy bramie, dotykając połyskujących kryształów.

- Jestem Porfirion. - Mężczyzna przytrzymujący mnie pod rękę wyglądał na zaniepokojonego. - Ty jesteś Tomasz z Akwitanii, panie?

- Tak - potwierdziłem.

- Mamy problem z otwarciem stabilnego portalu do krypty - powiedział bez ogródek.

- Radza niedawno udał się na szczyt swojej wieży i przygotowuje jakieś potężne zaklęcie.

Wieża wypełniona jest teraz mocą Śpiącego Demona, która zakłóca nasz promień. Musimy czekać na odpowiednią chwilę.

- Rozumiem - stwierdziłem, choć nie rozumiałem z tego nic i nie wiedziałem, na jaką odpowiednią chwilę czekamy.

- Spocznij, panie. - Porfirion odszedł w głąb pomieszczenia i wrócił z drewnianym, masywnym siedziskiem. Nie odmówiłem. Choć byłem przyzwyczajony do ciężaru zbroi, z zadowoleniem wykorzystałem ten czas na odpoczynek. Poprawiłem miecz i purbę.

Za oknem rozpościerał się widok na pobliskie góry. Nie wiedziałem, jak daleko jestem od znanych mi ziem, ale pierwszy raz zobaczyłem tak imponujące szczyty, a widziałem już w życiu niemało. W oddali dostrzegłem miasto. Było dokładnie takie, jak pokazała mi Dżamila. Ponad wszystkim górowała fantastyczna iglica wieży. Zdawała się sięgać chmur. Jej szeroka podstawa ginęła gdzieś w zabudowie miasta, ale zwężający się ku górze korpus z daleka lśnił bielą i złotem na tle błękitu nieba. Z zewnątrz zdobiły ją rzeźby, lecz poza ich zarysem niewiele więcej widziałem z tej odległości.

- Właśnie tam musisz się dostać, panie. - Porfirion dostrzegł moje zainteresowanie.

- Czy jestem daleko od Jerozolimy? - spytałem, odwracając wzrok.

- Od Jerozolimy? - Zaskoczenie na jego twarzy wskazywało na to, że powiedziałem jakąś

niedorzeczność.

- Od Jerozolimy - potwierdziłem.

- Panie, miasto, o którym mówisz, jest pewnie na drugim końcu świata, bo ja nie wiem, co to Jerozolima.

- Miasto Zbawiciela.

- Zbawiciela? Mówisz o jakimś potężnym magu lub istocie wyższej? - starał się domyślić.

- Mówię o Synu Boga, którego ukrzyżowano.

- Synu Boga? Panie, istot boskich nie da się ukrzyżować. Istoty czwartej, piątej i szóstej sfery mogą posiadać ciało, ale same są nieśmiertelne.

- Nieważne... zapewne nie znasz mojej wiary - skonstatowałem, odkrywając bezsensowność dalszej dyskusji.

- Ty, panie, mówisz o wierze, a ja o rzeczywistości... - Porfirion uśmiechnął się lekko.

- Zapewne walczysz za swoją wiarę? Sułtan opowiadał nam wiele o waszych zakonach rycerskich.

- Jestem rycerzem zakonu. Czy to coś zmienia? - Kiedy spojrzałem w jego oczy, dziwnie się zmieszał.

- Nie... w zasadzie nie... ale to, w co wierzycie... jakby to powiedzieć, panie... - zaczął się jąkać. - W każdym razie wiesz, co musisz zrobić?

- Tak, wiem. - Było coś dziwnego w jego zachowaniu. - Mam zabić Śpiącego Demona.

- Zabić go?! - Nie był w stanie ukryć przerażenia. - Sułtan kazał ci go zabić?

Porfirion natychmiast spojrzał w stronę Exceusa zajętego portalem, upewniając się, że ten nie zorientował się, jaką rozmowę prowadzimy. Zniżył głos do szeptu, a potem zaczął

bardzo szybko mówić, co chwilę zerkając za siebie.

- Panie, nie wszystko rozumiesz, ale wierz mi, magia nie jest ani zła, ani dobra. Jest jak miecz, którego możesz użyć dla obrony słabych lub aby ich sobie podporządkować.

Magia radzy jest potężna i zła, pamiętaj jednak, że nie wszyscy, którzy mu służą, robią to z własnej woli i są równie jak on warci pogardy. Śpiący Demon... jego moc... magia...

- Teraz! Panie, pośpiesz się, bo portal może za chwilę zamknąć się zupełnie -

podniesiony głos Exceusa przerwał wypowiedź Porfiriona. - Szybciej, pośpiesz się!

Wstałem i z lekkim ociąganiem podszedłem do bramy. Portal, choć przestał falować, był zupełnie matowy, jak odlany z żelaza. Porfirion odprowadził mnie gorejącym wzrokiem, lecz nie powiedział już ani słowa. Jego usta zamknęła obecność Exceusa. Spojrzałem na niego, ale nie wykonał najmniejszego ruchu, więc zrobiłem krok przed siebie.

Usłyszałem potworny, ogłuszający ryk i poczułem ból w całym ciele. Przestrzeń wokół przestała istnieć, a ja - pozbawiony zmysłów - runąłem w jakąś nieokreśloną otchłań.

Coś uderzyło we mnie gwałtownie, z mocą odbierającą oddech. Starłem się zasłonić ramionami, lecz nie czułem ich. Drugie uderzenie nadeszło równie nieoczekiwanie i było tak gwałtowne jak pierwsze. Poczulem ciepło oraz smak krwi w ustach, a potem straciłem świadomość.

* * *

Najpierw dotarło do mnie uczucie chłodu. Chłodu i ociężałości. Słyszałem dziwny, monotony dźwięk. Ból zgniatał moje piersi i głowę. Trudno określić, ile czasu trwałem w tym dziwnym stanie, ale w końcu pokonałem własną słabość i otworzyłem oczy.

Tuż przy mojej twarzy leżała okuta w stalową rękawicę dłoń. Moja dłoń.

Przekonałem się o tym, zaciskając powoli palce. Leżałem na kamiennej posadzce o zielonej barwie, kontrastującej z kolorem plam krwi. Powróciło do mnie czucie. W ustach miałem krew. Zacząłem przypominać sobie, co się stało, a także, w jakim celu znalazłem się w tym dziwnym miejscu. Uczucie otaczającego mnie zagrożenia spowodowało, że zacząłem pośpiesznie mobilizować wszystkie siły. Napiąłem mięśnie, unosząc się na ramionach.

Podniosłem głowę.

Leżałem na korytarzu. Wpadające przez wąskie okienne szpary światło układało się poprzecznymi pasami na pokrytej barwnymi wzorami posadzce. Masywne filary wspierały łukowe sklepienie, lśniąc gładką powierzchnią. Ściany pokryte były gęsto płaskorzeźbami przedstawiającymi splątane w miłosnym uniesieniu pary.

- Dobry Boże! - Z wielkim wysiłkiem klęknąłem, a potem stanąłem niepewnie na nogach.

Dźwięk, który słyszałem, dochodził gdzieś z głębi korytarza. Wyciągnąłem miecz i trzymając go w dłoni, powoli ruszyłem w tamtym kierunku. Monotonny śpiew kojarzył mi się z modlitwą. Barwa głosu nie pozwalała ustalić, czy jest on męski, czy też należy do kobiety.

Stopniowo powracały mi siły. Rozglądałem się po obcym mi wnętrzu. Lubieżność rzeźb i jednoznaczność ich póz upewniały mnie, że nie mogą mieć nic wspólnego z ideałami, w jakie wierzyłem. Kojarzyły mi się tylko z gniazdem zepsucia i rozwiązłości. Wzory na posadzce okazały się olbrzymimi obrazami. Ich przesłanie było dokładnie takie samo jak naściennych rzeźb.

Jeśli kiedykolwiek w życiu potrzebowałem pomocy, to teraz pragnąłem jej w najwyższym stopniu. Zgodnie z radami Dżamili, wyciągnąłem talizman, który mi podarowała, po czym zawiesiłem na szyi. Spoczywał wprost na napierśniku, a kiedy okryłem się płaszczem, mogłem zupełnie zapomnieć o jego

istnieniu. Jeśli naprawdę była w nim magia, miałem nadzieję, że już zaczęła działać.

Choć starałem się iść najciszej, chrzęst zbroi oraz moje kroki wzbudzały echo w pustej przestrzeni. Co chwilę zatrzymywałem się, upewniając, że nikt nie pojawił się na korytarzu. Szczęśliwie, wciąż pozostawałem niezauważony. Tylko śpiew stawał się silniejszy z każdym moim krokiem.

Za rozwidleniem korytarza zobaczyłem olbrzymie, zdobione drzwi. Były tak wielkie, że sporządzono w nich dużo mniejszą fortę. To ona właśnie była uchylona. Podeszedłem, po czym końcem miecza odchyliłem ją i ostrożnie zajrzałem do wnętrza. Sala za drzwiami była równie imponująca, jak wejście do niej. Przypominała kształtem czaszę podzieloną na trzy poziomy. Pamiętałem rysunki, które pokazał mi Rahman, wiedziałem więc, że jest to świątynia w wieży radży.

Na pierwszym poziomie salę otaczały duże posągi skrzydlatych istot, które natychmiast skojarzyły mi się z aniołami. Każdy z aniołów siedział na tronie, z wyrazem skupienia patrząc na środek świątyni. Ponad tymi posągami, na drugim poziomie, również umieszczono posągi aniołów, ale te trzymały się za rozłożone szeroko ręce, a ich ramiona splatały się w krąg. Ich pozy przypominały taniec. Ponad tymi posągami, na ostatnim piętrze umieszczono anioły z ramionami uniesionymi do góry. Ich dłonie łączyły się na samym środku sklepienia świątyni, jak gdyby podtrzymywały je czymś w rodzaju kryształowej kuli.

Najdziwniejszy i największy posąg znajdował się jednak w centralnym miejscu sali.

To na niego spoglądały posągi pierwszego poziomu, wokół niego tańczył drugi poziom aniołów i to ponad nim trzeci poziom utrzymywał kryształową kulę. W pierwszej chwili oniemiałem. Posąg przedstawiał dwa siedzące, zupełnie nagie ciała. Twarze odchylonych do tyłu głów wyrażały miłosne uniesienie i ekstazę, podobnie jak splecione nogi, ramiona oraz rozpostarte szeroko... skrzydła. Widziałem dwa kochające się w sposób cielesny anioły.

Jeden z nich był męski, a drugi żeński. Gdzieś z podstawy figury, pomiędzy nagimi aniołami, wydostawało się światło, a właściwie oślepiający słup fioletowego blasku. Idealnie pionowy słup trafiał wprost w kryształową kulę na sklepieniu, a jej lśnienie nadawało wnętrzu świątyni przerażającą, niezemską atmosferę. Odbłyśki światła pełzające po wypolerowanych powierzchniach rzeźb zadawały się je ożywiać.

Śpiew, który słyszałem, pochodził z wnętrza posągu. Jakby wypływające z niego światło samoczynnie wzbudzało drganie powietrza. Głos o monotonnym i mechanicznym brzmieniu kojarzył mi się z dźwiękiem wydawanym przez coś sztucznego, jakby organy.

Kiedyś widziałem mechaniczne organy, napędzane miechami i cudacznymi metalowymi kołami. Wykonał je dla benedyktynów pewien przemyślny kowal, ale one nie umiały naśladować mowy. Nie umiały nawet dobrze grać.

Słuchając tego dźwięku, czułem nieprzyjemne dreszcze. Magia, do której przez całe życie czułem uprzedzenie, wypełniała najdrobniejszy zakamarek tych pomieszczeń.

Zamknąłem za sobą furtę i z mieczem gotowym do cięcia ruszyłem w stronę figury. Z

tej odległości słyszałem wyraźnie słowa:

Elohim Rabban Elohim Edolai,

Elohim Ethernia Elohim Corines.

W połowie drogi przypomniałem sobie o sygili, którą dał mi Rahman. Kiedy ją wyciągnąłem, biorąc w dłoń, zobaczyłem swojego demona, stał tuż obok. Wsunąłem sygilę do wnętrza stalowej rękawicy, aby wciąż pozostawała w mojej dłoni, a potem zacisnąłem palce na rękojeści miecza.

Skoro znalazłem świątynię, Śpiący Demon musiał być dokładnie pod jej podłogą.

Światło najprawdopodobniej pochodziło wprost od niego. Musiałem sam poszukać drogi, skoro plan sułtana zawiódł. W sumie po tylu latach spędzonych w polu, wiedziałem, że zawsze coś musi się nie udać, a siła rycerza polega na jego zdolności pokonywania niespodziewanych przeszkód. Dlatego właśnie zacząłem rozglądać się po świątyni w poszukiwaniu przejścia, którym mógłbym przedostać się do krypty. Pamiętając swoje doświadczenia z wieży sułtana, w duchu modliłem się tylko, aby takie przejście w ogóle istniało.

Szczyście dopisało mi, kiedy już prawie straciłem nadzieję. Krawędzie jednej z płyt podłogi niedaleko wejścia odcinały się wyraźnie od reszty posadzki. Klęknąłem, przyglądając się uważnie. Kiedy zdjąłem rękawicę i zbliżyłem dłoń do krawędzi, wyraźnie poczułem lekki ruch powietrza. Płyta przykrywała przejście.

Odgłos szybkich kroków zmusił mnie jednak do natychmiastowego szukania kryjówki. Schowałem się w cieniu tronu jednej z anielskich rzeźb. Mój demon przebiegł

przez świątynię, stając tuż przy mnie. Jego oczy lśniły w mroku. Czułem przyspieszony rytm serca, ale panowałem nad tym całkowicie. Wsłuchiwałem się w kroki. Dawno temu, jako adept zakonu, nauczyłem się, jak z ich rytmu można wywnioskować, ilu nadchodzi przeciwników. Dzięki temu wiedziałem, że jest ich czterech.

W świątyni było zadziwiająco ciepło. Pot wąskimi strużkami zaczął płynąć wzdłuż moich pleców. Czułem go też na brodzie. Szybkim ruchem starłem go z twarzy rogiem białego płaszcza, aby nic nie zdekoncentrowało mnie w decydującej chwili. Zaskoczony, dostrzegłem, że kamień zdobiący łańcuch z amuletem Haruta lśni widmowym, bladoniebieskim światłem. Nie miałem jednak czasu, aby zastanawiać się nad tym dłużej, bo furta świątyni otworzyła się z piskiem. Podniesione głosy rozległy się donośnym echem.

Nabrałem powietrza w płuca, a potem powoli wychyliłem głowę z ukrycia. Wyglądali jak straż pałacowa - czterech mężczyzn w lekkich, szykownych zbrojach z krótkimi, prostymi mieczami. Rozglądali się po wnętrzu, wyraźnie sprawdzając, czy na pewno jest puste.

Wszystko wskazywało na to, że moje pojawienie się w wieży nie jest już tajemnicą, a odkrycie mojej kryjówki, to tylko kwestia czasu. Musiałem się śpieszyć, aby wykonać zadanie. Ostrożnie cofnąłem się w głąb ciemności, przygotowując do walki. Ku mojemu zaskoczeniu, po krótkiej i gwałtownej

wymianie słów strażnicy wyszli ze świątyni, a ich kroki oddaliły się w głąb korytarza. Znów zostałem sam.

Nie zwlekając, rzuciłem się w stronę płyty, by odsłonić przejście. Klęknąłem, starannie badając krawędź. O wyważeniu jej nie było nawet mowy. Musiał istnieć inny sposób, aby ją poruszyć. Kiedy uderzyłem w nią pięścią, pod spodem wyraźnie odpowiedział

dźwięczny pogłos pustej przestrzeni.

Mój demon przechadzał się nieśpiesznie, trojgiem oczu obserwując moje zmagania.

Zdesperowany, spojrzałem na niego złowrogo.

Demon zamarł, po czym zerwał się do biegu na swych ptasich nogach. Zanim się zorientowałem, znikł w jednej ze ścian.

- Wspaniale - skwitowałem jego zachowanie.

Jeśli tak miała wyglądać jego pomoc, mogłem o nim zupełnie zapomnieć.

Próbowałem podważyć płytę krawędzią miecza, ale jeszcze zanim zacząłem to robić, straciłem wiarę w sens takiego działania.

W pewnej chwili uświadomiłem sobie, że coś uległo zmianie. Podniosłem głowę.

Monotonnej mantrze rozbrzmiewającej w świątyni zaczął towarzyszyć inny dźwięk. Był to jak gdyby chór męskich głosów, układający się w jednostajny, niski pomruk. Spojrzałem w kierunku posągu. Stała przed nim ubrana w barwne szaty kobieta o śniadej cerze. Tańczyła, a właściwie falowała ramionami w rytm dźwięku, który zdawał się poddawać jej woli. Na wszelki wypadek pozostałem w cieniu, obserwując uważnie, co robi. Jej ciemne, spięte w dziwną fryzurę włosy miały kruczoczarny odcień, kontrastujący ze złotym, podtrzymującym je diademem.

Ruchy jej ramion stopniowo stawały się coraz szybsze oraz gwałtowniejsze i choć mantra nie zmieniała się już, zorientowałem się, że natężenie dźwięku wzrosło gwałtownie.

Zaczynałem czuć wibrację powietrza wypełniającego salę. Pomruk wprawiał w drżenie moje ciało. Zaskoczony, oparłem się dłonią o figurę, przy której stałem. Kamień przenosił wibrację na moją dłoń. Kobieta poruszała się w ekstatycznym uniesieniu. W pewnym momencie odwróciła się tyłem do posągu, a wtedy zobaczyłem jej twarz. Źrenice jej oczu pokrywało bielmo ślepoty, a kiedyś piękną twarz znaczyły mroczne tatuaże.

Niemal czułem całym sobą, jak drży najmniejszy nawet fragment świątyni.

Zaczynałem głuchnąć, z przerażeniem odkrywając, że przestaję również widzieć. Chwyciłem oburącz hełm, ale nie potrafiłem zerwać go z głowy. Miałem wrażenie, że moja głowa za chwilę eksploduje z hukiem. Miecz leżał tuż pod nogami, lecz sięgnięcie po niego również przekraczało moje możliwości.

Gdy już zamierzałem rzucić się do ucieczki, nieoczekiwanie jakiś głos odezwał się wyraźnie w moim umyśle.

- Wytrzymaj. To tylko tancerka dźwięku.

Głos był czysty, a słowa - choć nie zostały wypowiedziane w żadnym z ludzkich języków - były dla mnie zupełnie zrozumiałe i natychmiast przyniosły mi uspokojenie.

Zacisnąłem powieki. Zobaczyłem twarz młodej kobiety, która śniła mi się w wieży sułtana. Zanim jednak zdołałem skupić się na jej rysach, znikła, zmieniając się w blask. -

Pomóż mi! Wytrzymaj! - głos oddalił się szybko, ustępując fali bolesnego nacisku w uszach.

Wydawało mi się, że za chwilę sklepienie sali runie mi na głowę. Kołysałem się wraz z nią.

Postanowiłem jednak wytrzymać, bez względu na wszystko. Zawierzyłem głosowi.

Po pewnym czasie zaległa nagła cisza. Otworzyłem oczy. W miejscu, w którym tańczyła kobieta, nie było nikogo. Po prostu rozplynęła się w powietrzu. Wołałem nie wiedzieć, jak to zrobiła ani w jakim celu. Spojrzałem przed siebie. Stałem na wprost otwartego przejścia w podłodze. Płyta, która jeszcze chwilę wcześniej stanowiła przeszkodę nie do pokonania, po prostu się odsunęła, a surowe kamienne schody pod nią prowadziły stromo w dół.

- Bóg jest wielki. - Przeżegnałem się, po czym zrobiłem pierwszy krok, schodząc do ciemnego korytarza. Przed sobą zobaczyłem oczy demona. Zejście było tak ciasne, że musiałem pochylić głowę. Co chwilę którymś z ramion ocierałem się o ścianę. Stał chrzęściła nieprzyjemnie po porowatym kamieniu. Demon biegł przede mną jak pies, co chwilę sprawdzając, czy za nim idę. W powietrzu wisiał zapach stęchlizny i czegoś jeszcze, co przyprawiało mnie o mdłości. Z każdym pokonanym przeze mnie stopniem amulet Haruta lśnił intensywniej. Kiedy rozchyliłem płaszcz, niczym pochodnia rozświetlał drogę.

Tutaj nie było żadnych zdobień, tylko surowe, nieobrobione bloki piaskowca. Na ich łączeniach tworzyły się puste szczeliny. Gdy połam płaszcz zahaczałem o nie, z ich wnętrza wysypywały się prawdziwe lawiny robactwa. Stromy korytarz kończyły pokryte brunatną naroślą drzwi. Wystarczyło popchnąć lekko, a ustąpiły z suchym piskiem zardzewiałych zawiasów. W nozdrza uderzyła mnie fala słodkiego zapachu rozkładających się ciał.

Stałem oniemiały.

Przed moimi oczami roztoczył się widok na podziemną komorę, która zdawała się nie mieć końca. Strop, mający jeszcze ślady pociągnięć kilofa, wznosił się w górę, ginąc w mroku, a długie, równe rzędy wyciosanych z kamienia półek wypełnione były zwłokami ludzkimi w różnych stadiach rozkładu. W opactwach, które mnie gościły, podobnie wyglądały komory grobowe zakonników. Tam jednak nie widziałem kajdan, którymi pętano by umarłych. Tutaj każde zwłoki przytwierdzono stalowymi obręczami na nogach i rękach do ich miejsc spoczynku. Wszystko razem przypominało jakąś makabryczną imitację biblioteki, w której książki na regałach zastąpiono ludźmi.

Podłoga między rzędami komór zaścielona była dawno zbutwiałymi fragmentami kości. Idąc, musiałem uważać, aby nie poślizgnąć się na jednej z wielu obrzydliwych tłustych plam. Moim krokom odpowiadało zwielokrotnione przestrzenią echo. Szedłem, obserwowany przez puste oczodoły i twarze wyszczerzone w trupim spazmie śmierci.

Czułem się coraz bardziej nieswojo, brnąc w to milczące sanktuarium rozkładu i niebytu.

Aby dodać sobie siły, zacząłem po cichu intonować słowa modlitwy przed bitwą.

Bóg jest wielki,

Bóg jest miłosierny,

Jestem tylko Jego ostrzem,

Jestem Jego mieczem i tarczą,

Za mną kroczy sprawiedliwość i Jego łaska,

To On przyniesie światu pokój, miłość i światło wiary, A kiedy zabierze mnie do Siebie,

Stanę po Jego prawicy,

I ujrzę tych, którzy przede mną

I za mną oddali życie za prawdę wiary.

Zgubiłem się, a mój demon znów gdzieś znikł. Kiedy wróciłem do miejsca, w którym spodziewałem się zastać wyjście, trafiłem na surową ścianę. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się lochy, a ja stałem się ich więźniem. Błądziłem w nich coraz bardziej. Po dłuższym czasie zauważyłem pewną prawidłowość. Amulet Haruta lśnił nierównomiernie; bardzo gwałtownie zwiększał swój blask, kiedy docierałem do jednej z części lochów, dokładnie - do jednej ze ścian. Nie wiedząc, dlaczego tak się dzieje, postanowiłem sprawdzić wszystko uważniej.

Wtedy właśnie usłyszałem coś na granicy płaczu i rozpaczliwego zawodzenia.

Nasłuchując, z przygotowanym mieczem ostrożnie zacząłem przeszukiwać szeregi półek. Na jednej z nich dostrzegłem ruch. Głos pochodził właśnie stamtąd. Z bijącym sercem i napiętymi aż do bólu mięśniami podszedłem bliżej. Byłem gotowy na wszystko.

Z kamiennej niszy spojrzały na mnie pełne bólu i przerażenia oczy. To była kobieta, a właściwie obszarpana, wyglądająca jak żebrak, dziewczyna. Krwawe rany na rękach oraz nogach zdradzały, że musiała bezsilnie szarpać się w swych kajdanach już od wielu dni.

Kiedy się poruszała, stalowe pierścienie pobrzękiwały sucho. Miała bardzo jasną cerę i równie jasne, złociste włosy. Przypominała Słowiankę i to mnie właśnie najbardziej zastanowiło. Na mój widok zamarła. Światło amuletu musiało ją oślepić, bo mrużyła powieki. Jej oczy wydały mi się

zupełnie czarne, jak dwa węgle.

Dotknąłem dłonią jej twarzy. Wyszarpnęła się gwałtownie, przesuając w głąb niszy, na ile tylko pozwoliły jej łańcuchy. To na pewno nie była twarz, którą widziałem we śnie.

- Rozumiesz mowę Franków? - spytałem.

Odpowiedziała mi cisza.

- Znasz język Proroka Mahometa?

Dalej panowała cisza.

- Znasz język łaciński?

Ledwie dostrzegalnie poruszyła głową.

- Czy wierzysz w Boga Jedynego?

Znów odpowiedziała mi takim samym skinieniem.

Oparłem miecz o kamienny postument, a potem ściągnąłem rękawice i sztyletem zacząłem manipulować przy zamkach kajdan. Nie były zbyt starannie zaklepane. Po dłuższej chwili wypchnąłem blokujące je bolce. Dziewczyna cały czas obserwowała mnie uważnie, ale nie zrobiła najmniejszego ruchu, kiedy już była wolna.

- Już po wszystkim - powiedziałem, gestem zachęcając ją, aby wydostała się z półki.

Bardzo powoli i wciąż mnie obserwując, wysunęła się z wnętrza, po czym niepewnie stanęła. Była bardzo osłabiona. Wciąż się opierała o jedną z kamiennych płyt.

Podniosłem miecz, po czym ukloniłem się jej lekko i odwróciłem, odchodząc.

Dopiero wtedy gwałtownie otrząsnęła się ze stanu, w jakim pozostawała.

- Panie! - krzyknęła za mną. - Panie, czy ty naprawdę jesteś templariuszem?

Podbiegła parę kroków w moją stronę, pewnie w obawie, że znów pozostanie sama w ciemności.

- Tak na nas mówią. Jesteśmy rycerzami Świątyni - uśmiechnąłem się.

- Panie, wyprowadź mnie stąd. Błagam! - Stała przede mną bosa, w postrzępionej brudnej sukni, ale dostrzegłem w jej mowie ogładę osoby niewywodzącej się z gminu.

- Obawiam się, pani, że nie mogę ci tym służyć. Sama będziesz musiała poszukać drogi ucieczki.

- Ale nie potrafię jej odnaleźć. - Miała łzy w oczach.

- Ani ja, pani, ale jestem tutaj w zupełnie innym celu. Muszę podołać swojemu losowi, ty swojemu. Żegnaj więc...
- Poczekaj, pani! - Podbiegła i chwyciła mnie gwałtownie za ramię. - Pozwól mi pójść ze sobą.
- To nie jest dobry pomysł. Jeśli chcesz stąd ujść z życiem.
- Podobnie jak ten, abym sama włóczyła się po wieży radzy.
- Pani. Wybacz, ale samotnie pewniej wypełnię swoje zadanie. Nie wiesz nawet, co zamierzam.
- Na pewno ci w tym pomogę. - Po dłuższym wahaniu dodała: - Znam się na magii.
- Naprawdę? - Spojrzałem na nią, nie kryjąc wątpliwości.
- Jestem... byłem uczennicą Alhazreda IV.
- Nie wiem, kim jest Alhazred IV.
- Tym bardziej więc potrzebujesz mojej pomocy. - Jej determinacja i argumenty były zastanawiające. Być może miała rację. Postanowiłem jej zaufać.
- W takim razie pomóż mi dostać się do krypty Śpiącego Demona.
- Gdzie?! - Na twarzy kobiety odmalowało się nieskończone przerażenie.
- Do krypty. Muszę się tam dostać.
- Pani. Nie wiesz, o czym mówisz. To szaleństwo. Nawet najpotężniejszy czarnoksiężnik nie poważyłby się na taki czyn. Może mag... ale bardzo potężny. Zakłócić spokój demona zamieszkującego kryptę to tak, jakby... jakby płonąca pochodnią przypalić brzuch smoka.
- Nie przestraszysz mnie. - Uśmiechnąłem się, choć moja odwaga polegała bardziej na rezygnacji z życia niż wierze we własne siły. - Jeśli nie umiesz mi pomóc, powiedz po prostu o tym.
- Krypta jest tam. - Wskazała dłonią. - Jedna ze ścian pod piaskowcem wykonana jest z czarnego kamienia sukubów, który ma w sobie więcej magii, niż możesz pojąć. Nie znajdziesz tam żadnych drzwi ani przejścia. Sarkofag jest całkowicie odizolowany od reszty pomieszczeń. Magiczne glify czerpiące moc z wnętrza krypty zapobiegają jakimkolwiek próbom otwarcia portali lub przejść. Nie dostaniesz się tam.
- Jesteś tego pewna? - spytałem.
- Tak. Tylko moc demona może otworzyć przejście, pod warunkiem, że taka będzie jego wola.
- Umilkłem. Jeśli mówiła prawdę, znalazłem się w sytuacji bez wyjścia.

Nieoczekiwane, obce dźwięki całkowicie odwróciły moją uwagę od niezbyt wesołych myśli. To były szybkie kroki, a właściwie bieg oraz pobrzękiwanie zbroi. To mogli być tylko strażnicy. Dziewczyna odwróciła głowę, nasłuchując podobnie jak ja.

- Rób, co ci powiem - zacząłem mówić bardzo cicho i szybko. - Załóż ten amulet, stań naprzeciw drogi, którą nadbiegną i pod żadnym pozorem się nie ruszaj. Nic ci się nie stanie.

Po prostu nie uciekaj.

Założyłem na jej ramiona srebrny łańcuch z jarzącym się kamieniem i popchnąłem ją w stronę otwartej przestrzeni. Sam ukryłem się za płytą, w cieniu, w momencie kiedy pierwsze rozbłyśki czerwonego światła z pochodni zdradziły kierunek, z jakiego nadejdą przeciwnicy. Uniosłem oburącz miecz, obliczając w pamięci ich kroki i dzielącą nas odległość. Dziewczyna stała, patrząc to na mnie, to na nadchodzących. Widziałem wyraźnie, jak bardzo była blada.

Uśmiechnąłem się, aby dodać jej odwagi, opuściłem przyłbicę, a potem nabrałem powietrza, czując łomotanie serca. Szeptalem w rytm kroków: *Bóg jest wielki,*

Bóg jest miłosierny,

Jestem tylko Jego ostrzem.

Wykonałem pierwszy wyrok:

Jestem jego mieczem i tarczą.

To był ten moment. Zrobiłem krok do przodu, wychodząc z ukrycia, a potem całą swą siłą ciałem z półobrotu, trafiając w lewy bark rozpędzonego mężczyzny. Jego łuskowaty pancerz pękł jak suche źdźbło trawy. Zobaczyłem wykrzywioną w spazmie bólu twarz, poczułem, jak miecz tnie ścięgna i kości. Posoka wytrysnęła na kamienną posadzkę, a przeraźliwy krzyk rozdarł ciszę grobowej komory.

Za mną kroczy sprawiedliwość i Jego łaska.

Dalszą częścią mojego ruchu było przesunięcie się na prawą stronę alejki, co pozwoliło mi wykonać kilka czynności naraz. Unikałem naporu upadającego ciała, oceniłem siłę przeciwników, pozwoliłem mieczowi zakreślić pełne koło, tak że kiedy drugi ze strażników wpadł z rozpędu na ciało i pochylił odruchowo głowę, mój miecz znów był w najwyższej pozycji. Ciałem łukiem, a jego głowa potoczyła się po płytach.

To On przyniesie światu pokój, miłość i światło wiary.

Wykonałem krok do przodu, zataczając mieczem koło na wysokości głowy, a następnie ciałem trzeciego z nich na wprost, pomiędzy oczy. Padł z rozplataną czaszką, nawet nie wydając z siebie głosu.

A kiedy zabierze mnie do Siebie,

Stanę po Jego prawicy.

Miecz stracił już swój rozpęd, a więc i moc. Dodałem do niego siłę swojego ciała, wykorzystując sztych do głębokiego pchnięcia z kolejnego już wykroku. Miecz wszedł

miętko w podbrzusze zaskoczonego strażnika, od spodu zagłębiając się w płuca. Mężczyzna padł na kolana i wypuścił z dłoni broń. Przekręciłem miecz w brzuchu przeciwnika, łapiąc dłonią za jelec, a potem oparłem stopę na jego barku i wyszarpnąłem broń, cofając się o dwa kroki. Walka była już zakończona.

I ujrzą tych, którzy przede mną,

I za mną oddali życie za prawdę wiary.

Zdjąłem hełm, dysząc ciężko. Wytarłem spoconą twarz, a potem spojrzałem na dziewczynę. Stała tam, gdzie jej nakazałem. W jej oczach podziw mieszał się z obrzydzeniem.

- Panie. Zabijasz w okropny sposób. Jeśli każdy rycerz twojego zakonu potrafi to, co ty, nigdy nie chciałabym stać się waszym wrogiem.

- Pani. Jeśli znasz mniej okropny sposób na zabijanie, chętnie zobaczę następnym razem - stwierdziłem.

- Co dalej? - spytała.

- Nie wiem. Na razie zyskaliśmy trochę czasu - odpowiedziałem. Pochyliwszy się, wytarłem ostrze w ubranie jednego z martwych strażników.

Dziewczyna zdjęła amulet i oddała mi go, oglądając uważnie.

- Jesteś jednym z nich?

- O kim mówisz?

- O miłośnikach kontaktów z Archajami.

- Archaje nie istnieją - powiedziałem, poprawiając oporządzenie.

- I właśnie templariusz mówi coś takiego... - była zaskoczona.

- Jak masz na imię? - spytałem.

- Jestem Julita z Krasnogradu.

- Laszka?

- Nie. Rusinka.

- A ja jestem Tomasz z Akwitanii.

- Naprawdę?! Tomasz z Akwitanii?

- Tak.

- Krzyżowcy w Ziemi Świętej dużo o tobie rozprawiają.

- Co mówią? - Spojrzałem na nią zaintrygowany.

- Podobno już nie żyjesz, ale zanim cię zabili, sam położyłeś na ziemi sześćdziesięciu mameluków. Potrafisz jednym cięciem topora rozplatać człowieka na pół, a jednoręcznym mieczem obciąć głowę konia.

- Wierzysz w to? - Roześmiałem się rozbawiony.

- Po tym, co przed chwilą widziałam, uwierzę we wszystko.

- To bzdury. - Wytarłem spocone czoło. - Żyję, i jestem zupełnie zwyczajnym rycerzem.

- I bratem księcia Akwitanii.

- To nie ma znaczenia.

- A co dla ciebie ma znaczenie?

- To, po co przysłał mnie tutaj zakon.

- Tego właśnie nigdy u was, templariuszy, nie rozumiem.

Podeszła do leżących, a potem podniosła z ziemi jeden z ich małych mieczy.

- Umiesz się tym posługiwać? - spytałem.

- Nie, ale lepsze to niż obrona gołymi rękami.

Na pewno miała sporo racji. Poczekaliśmy, aż dopasuje pas na biodra, założy sandały i okryje się szkarłatną peleryną, a potem ruszyłem w stronę, którą wcześniej mi pokazała.

Chciałem sprawdzić, czy naprawdę nie istnieje żadne przejście do krypty. Szła ze mną krok w krok. Była osłabiona, więc jej nie popędzałem. Jeśli tylko na chwilę została z tyłu, natychmiast ogarniał ją paniczny strach. Nie dziwiło mnie to - i tak miała silną wolę, skoro zachowała rozum, leżąc spętana w zupełnych ciemnościach wśród trupów i odoru rozkładu.

Czas mijał. Szliśmy wzdłuż niekończącej się ściany, która od czasu do czasu lekko zmieniała kierunek, wciąż skręcając w prawo. Musiała coś otaczać. Jakąś równie olbrzymią komorę. Pewnie to była krypta.

Mój demon znów się pojawił, przebiegł niemal między nami, niezauważony przez dziewczynę. Zatrzymałem się, patrząc na niego. Stał jakieś dziesięć kroków przed nami, po czym zaczął wykonywać dziwny taniec, wykręcając swoje cztery ramiona w nieprawdopodobny sposób.

- Na co patrzysz? - spytała zaniepokojona Julita.

- Mówiłaś, że znasz się na magii...

- To prawda.

- Mam pomocnika. - Pokazałem jej sygilę.

- To egregor ziemi. - Wystarczył jej rzut oka, aby odczytać symbolikę pieczęci. -

Magia z Lemegetona jest dość niebezpieczna. Ja na twoim miejscu złamałabym sygilę.

- To coś stoi tam. - Wskazałem ruchem dłoni.

- Możliwe. - Uśmiechnęła się. - Jeśli pozwolisz egregorowi, aby ci służył, po pewnym czasie sam możesz zostać jego sługą.

- Wy tłumacz mi to - poprosiłem.

- Egregory czerpią część swojej mocy z właściciela. Stopniowo też przejmują jego cechy, wiedzę i usamodzielniają się. Dopóki nie wytworzą sobie własnej świadomości, są posłuszne, a potem... potem bywa różnie. Mogą stać się naprawdę potężnymi istotami.

- Wtedy złamię pieczęć.

- Będzie już za późno. Wtedy to nic nie da. - Okryła się szczelniej płaszczem. - Ile czasu ona ci służy?

- Dzień.

- Możesz się nie obawiać, ale pamiętaj o tym, co powiedziałam.

- Będę pamiętał. Dziękuję. - Jej słowa zastanowiły mnie poważnie, ale skoro na razie mogłem czuć się bezpieczny, postanowiłem nie rezygnować z dodatkowej pomocy.

Kiedy podeszliśmy blisko, demon odsunął się i oboje ujrzelśmy, co było powodem jego zachowania.

Na posadzce wryto znak. Heksagram z dziwnym niepokojącym symbolem w środku.

- Brama do innego świata - odczytała go dziewczyna, zanim zdążyłem zapytać.

Obejrzałem go z bliska. Nie wyglądał jakoś wyjątkowo. Egregor krążył wokół

nieświadomej tego Julity, obserwując ją i zbliżając szkaradne oblicze do jej twarzy.

- Przestań! - rozkazałem.

- Co mam przestać? - W spojrzeniu Julity pojawiło się zaskoczenie.

- Nie ty... on... egregor - wyjaśniłem.

Odruchowo zrobiłem krok do przodu, stając na heksagramie.

Wszystko rozegrało się w ułamkach sekund. Ze ściany wystrzelił w moją stronę wąski, przypominający lśniąca nić promień. Trafił wprost w kamień amuletu Haruta.

Poczułem gorąco promieniujące od niego na cały mój tors, a potem oślepiające, białe światło niemal eksplodowało przed moimi oczami. Krzyknąłem, zasłaniając oczy. Rozległ się huk.

W powietrzu zawirował kamienny pył, a podmuch powietrza niemal przewrócił mnie na ziemię.

Jakiś przerażający, nieludzki dźwięk rozległ się w moich uszach. Jakby setki, tysiące kobiecych głosów bardzo szybko szeptały niezrozumiałe słowa. Słowa zlewały się w przeciągły, demoniczny pomruk.

Z wielkim trudem rozchyliłem piekące powieki, osłaniając dłonią oczy. Kamienna ściana rozsypała się, zmieniając w gruz i piach zaścielający podłogę. Spod niej ukazał się połyskujący, czarny monolit. Wokół promienia wciąż biegnącego do mojej piersi monolit rozstąpił się, tworząc przejście. Stamtąd wydostawał się ów przerażający dźwięk. Nie dostrzegałem, co znajduje się za przejściem, widziałem tylko niewyraźne, wirujące kolory rozmazujące przestrzeń w barwne plamy.

- Co to znaczy?! - krzyknąłem w stronę Julity. - Co się dzieje?!

Przestraszona dziewczyna nawet nie patrzyła w kierunku przejścia. Prąd powietrza rozwiewał jej jasne włosy. Kołnierzem peleryny zasłaniała spieczona usta.

- On cię wezwał do siebie! - odkrzyknęła, pokonując dźwięk.

- Śpiący Demon?

- Tak. Chce ciebie!

Chwyciłem mocno rękojęść purby, a wtedy powietrze z rykiem popędziło wprost na mnie. Zrobiłem pierwszy krok w stronę przejścia.

- Nie idź tam! - Julita chciała podbiec do mnie, ale runęła na ziemię. Przez moment przesłoniła ją chmura pyłu.

- Nie idź! - krzyczała. - Jesteśmy dla niego jak bezbronne robactwo.

- Uciekaj. - Rzuciłem jej sygilę. - Egregor pomoże ci się stąd wydostać.

- Nie rób tego! - Nie mogła się podnieść, więc klęczała.

- Muszę. Mój los właśnie się dopełnia. - Odwróciłem głowę, zmrużyłem powieki i przekroczyłem rozchylone przejście w monolicie. Nie musiałem zerkać do tyłu, wiedziałem, że zamyka się za mną. Pęd powietrza zmniejszył się natychmiast, choć wciąż czułem, jak szarpie moim płaszczem. Ostrożnie otworzyłem oczy.

Dźwięk tutaj był jeszcze intensywniejszy. Słyszałem go w swoich uszach i głowie.

Wypełniał mnie, wibrował we mnie, zabijając myśli i wolę. Teraz jednak odkryłem, że tysiące głosów mówią słowa w tysiącach języków, splatając się w słowa modlitw i zaklęć.

Czasami udawało mi się zrozumieć poszczególne słowa w językach, które znałem. Melodia szeptów była przejmująca i straszna. Co chwilę dziwny chłód przenikał mnie do szpiku kości.

Jakieś cienie przemykały przed oczami.

Wciąż trzymając w dłoni purbę, rozejrzałem się wokół. Krypta w całości wykonana była z czarnego monolitu. Nie widziałem żadnych śladów łączeń na ścianach, które stanowiły idealną czaszę nakrywającą rozległą podłogę. Na gładkich ścianach wyraźnie odcinały się barwne glify, o których mówiła Julita. Pentagramy o barwach żółtej, czerwonej, niebieskiej i zielonej zdawały się stanowić integralną część monolitu. Podobnie jak runiczne symbole oraz lustrzane pismo. Zauważyłem, że wszystkie symbole powoli się poruszają, zmieniając w rytm szeptów. Niektóre znikają, ustępując miejsca nowym, potężniejszym. Glify powoli okrążyły salę.

Płaszczynę podłogi prawie w całości wypełniały magiczne okręgi. Również one nie pozostawały w spoczynku, krążąc podobnie jak glify. Symbole na magicznych okręgach zmieniały się, jednak ich barwy pozostawały stałe. Zewnętrzny okrąg miał barwę zieloną, następny, krążący w przeciwną stronę oślepiał czerwienią, kolejny o odwrotnej do poprzedniego rotacji był fioletowy, a ostatni - niebieski. Symbole na magicznych okręgach promieniowały oślepiającym blaskiem o właściwym sobie kolorze. Blask ten wznosił się w górę szerokimi barwnymi, przeplatającymi się nawzajem warkoczami. Z przenikania barw tworzyły się zupełnie nowe kolory, a te z kolei pobudzały zmiany symboli na ścianach.

Trudny do objęcia wzrokiem słup światła z magicznych kręgów zwiężał się ku górze, trafiając w zdobiący szczyt kopuły kryształ. Od razu domyśliłem się, że jest podstawą posągu aniołów, który widziałem w świątyni. Wewnątrz rotujących magicznych kręgów zobaczyłem kolejne okręgi, te pozostawały jednak nieruchome. Były to trzy kręgi, podzielone na pojedyncze pola zawierające litery z alfabetu łacińskiego. Długie, krzyżujące się w niezrozumiały sposób linie przebiegały od pola do pola w dziwnym porządku. Pojąłem natychmiast. To była gigantyczna sygila demona. Wodząc wzrokiem wzdłuż linii, odczytałem jego imię - Ethernia.

W centrum magicznych kręgów i sygili ujrzałem zbudowany z kryształu sarkofag.

Miał kształt piramidy. Biło od niego tak intensywne światło, że nie mogłem dostrzec niczego więcej z miejsca, w którym stałem.

Teraz nie miałem już drogi odwrotu. Choć groziło mi wielkie niebezpieczeństwo, byłem jak ślepiec, niedostrzegający, z której strony może ono nadejść. Postanowiłem nie odwlekać nieuniknionego. Podszedłem do wijących się strumieni światła, a potem, gotów na wszystko, zanurzyłem się w nim. Niemal czułem, jak coś gęstego okleja moje ciało.

Wszystkie dźwięki przycichły, gwałtownie stłumione przez magiczną barierę. Kiedy przekroczyłem wszystkie kręgi, stając na sygili, szepty ucichły całkowicie. Otoczyła mnie dziwna cisza i lekkie, eteryczne, bładniebieskie światło. Poczułem nieoczekiwaną lekkość oraz spokój. Rozejrzałem się, dostrzegając, że wokół mnie unoszą się złote, wyglądające jak płatki śniegu iskry. Zawieszane w świetlistym błękicie, dryfowały leniwie niezliczoną ławicą błyszczących drobin. Żaden dźwięk i żaden obraz spoza magicznych kręgów nie docierał

tutaj. Jakbym wkroczył w inny świat. Towarzyszyło mi nieodparte wrażenie, że czas zatrzymał się lub bardzo zwolnił. Przestrzeń wokół stała się tak nierzeczywista, że wyciągnąłem przed siebie ramię, aby sprawdzić, czy jestem w stanie zobaczyć.

Nagle usłyszałem śmiech. Rozejrzałem się, ale nie zobaczyłem nic poza wirującymi drobinami i światłem. Bardzo przyjemny, kwiatowy zapach uderzył w moje nozdrza. Śmiech rozbrzmiał dużo bliżej. Zaraz po nim doszedł mnie odgłos szybkich kroków bosych stóp.

Zdezorientowany, rozglądałem się dookoła, nadal bezskutecznie.

- Nie obawiaj się, Tomaszu - znów odezwał się ten głos mówiący w dziwnym, nieziemskim, choć zrozumiałym języku.

- Kim jesteś, demonie?! - krzyknąłem. - Stań naprzeciw mnie!

Złote drobinny zbiegły się w jedno miejsce w przestrzeni, a potem zobaczyłem przed sobą dwie uskrzydłone postacie. Jedną z nich było małe dziecko, stojące tuż przy moich stopach, drugą - wysoki, smukły młodzieniec. Ponad ich ramionami rozpościerały się cztery świetlistopurpurowe, rozłożyste skrzydła.

Zacisnąłem dłoń na purbie, gotowy do obrony.

- Bądź spokojny, Tomaszu. - Młodzieniec podniósł dłoń w pozdrowieniu.

Dziecko z uśmiechem wyciągnęło w moją stronę dłoń, prosząc, abym wziął je na ręce.

Cofnąłem się o krok. Bałem się podstępny, a słyszałem, że zło potrafi przybierać najprzeróżniejsze formy, by zmylić ludzką duszę. Umie nawet przybierać formę dobra.

- Oczyszczyć swój umysł z lęku. - Młodzieniec okrążył mnie powoli, utrzymując stałą odległość. - Wiem, że to potrafisz, rycerzu. Wiem, po co tutaj przyszedłeś i zamierzam ci to ułatwić.

Z jego dłoni wystrzeliły dwa snopy światła, trafiając w mój amulet. Kamień znów zaczął lśnić.

- Jestem Ashariel, a to mój brat Aschimalieel. Jesteśmy istotami wyższymi, do których modli się twój

zakon.

Mały chłopiec, wyraźnie zniechęcony, opuścił dłonie, po czym pobiegł w stronę sarkofagu.

- Kłamiesz. Nazywałeś się Ethernia. Przeczytałem twoją sygilę - powiedziałem.

- Mylisz się. Chodź ze mną. Zobaczysz Ethernię. - Podobnie jak chłopiec, młodzieniec odwrócił się i odszedł.

Wciąż czułem ów spokój i bezpieczeństwo, musiałem więc zmuszać się do skupienia zmysłów na niebezpieczeństwach. Bardzo powoli, z wytężoną uwagą zbliżyłem się do kryształowej piramidy. Bił od niej tak jasny blask, że odwróciłem głowę.

- Nie rozumiesz magii, która tutaj działa i nie jesteś w stanie uwolnić się od niej - głos odezwał się znów w mojej głowie. Na powrót założyłem hełm, lecz oślepiłem całkowicie.

- Masz jednak rozum, potrafisz decydować. A więc decyduj teraz, Tomaszu.

Nagle światło osłabło. Zobaczyłem wszystko bardzo wyraźnie.

Młodzieniec i dziecko stali w oddali, a pomiędzy nami wznosiła się wysoka konstrukcja z kryształu. Piramida była tylko jej podstawą. Cztery wyrzeźbione w czarnym kamieniu ramiona znajdowały w niej oparcie, wznosząc się wysoko pod sklepienie, w geście władczego obejmowania. Przestrzeń pomiędzy nimi wypełniała niematerialna, przejrzysta kula, w której środku zobaczyłem postać. Tę twarz widziałem w śnie. Malował się na niej identyczny, bolesny grymas.

- To właśnie Ethernia, Tomaszu. Potężna istota światła. Dużo potężniejsza niż ja. Jej moc jest tak wielka, że mogłaby uczynić człowieka prawie równym Bogu z twoich wyobrażeń. Spójrz na nią. To ty, śmiertelnik, masz moc, aby ją zniszczyć.

- Nie rozumiem. To niemożliwe. - Zaczęły mną targać wątpliwości.

- Sułtan i radza są czarnoksiężnikami. Nie znają bliskich ci pojęć. Mają swoje cele i środki, aby je osiągać. To ty jednak jesteś tutaj i to ty zrobisz, co uznasz za stosowne. Wierzę w ciebie, Tomaszu.

Patrzyłem na istotę zawieszoną w kuli. Była żeńskim rodzajem anioła. Nie poruszała się. Była piękna, choć jej smukłe ciało miało nieco inne proporcje niż ludzkie. Niezwykle szczupłe, ale jednak zachwycało harmonijną budową. Za jej plecami rozpościerały się dwa wspaniałe, opalizujące błękitem i bielą skrzydła. Rozłożone na boki ramiona i odchyłona do tyłu głowa zdradzały całkowitą bezradność. Była zupełnie naga, więc dostrzegłem, że jej kobiecość nie jest bynajmniej umowna. To właśnie najbardziej nie pasowało do mojego pojęcia o istotach wyższych.

- To jakiś obraz? Oszukujesz moje zmysły, prawda? - spytałem.

- Moja odpowiedź nie będzie miała dla ciebie znaczenia...

- Dlaczego?

- Są dwie możliwości. Pierwsza, że widzisz rzeczywistość, druga, że to tylko złudne obrazy, stworzone przez demona. Jeśli odpowiem, że nie jesteś oszukiwany, wcale nie wykluczy to drugiej możliwości - kłamstwa demona. Rozstrzygnij sam i osądź prawdę, Tomaszu.

- Przybyłem tutaj, aby zabić demona i, na Boga, dokonam tego! - powiedziałem, choć gubiłem się w domysłach. Rządziły mną jednak dwa uczucia: determinacja oraz posłuszeństwo wobec zakonu.

- Twój wybór - nawet w intonacji głosu nie potrafiłem odnaleźć żadnej wskazówki. -

Zanim jednak to zrobisz, wiedz, że nie musisz się śpieszyć, a ja jestem tutaj, aby odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania.

Postawiłem stopę na kryształowym stopniu, potem powoli wspiąłem się na piramidę, stając przed Ethernią. Kula, która ją otaczała, okazała się tylko złudzeniem. Nie stało się nic, choć byłem już prawie u celu. Istota przede mną okazała się bezbronna i nieświadoma mojej obecności. Jeśli to ją nazywano Śpiącym Demonem i jeśli to ona służyła radzy, była raczej bezwolnym sługą niż świadomym, demonicznym pomocnikiem. Uświadomiłem sobie to w ostatniej chwili i cofnąłem dłoń z purbą.

- Dlaczego mi w tym pomagasz, Asharielu? - spytałem.

Odpowiedziało mi milczenie.

- Odpowiedz! - zażądałem.

- Nie pomagam ci w niczym - odpowiedź przyszła z pewnym opóźnieniem. - Chcę tylko wiedzieć, czy umiesz odróżnić dobro od zła.

- To dzięki tobie dostałem się tutaj.

- W pewnym sensie...

- Czy ty też jesteś istotą światła?

- Tak.

- Jeśli więc Ethernia jest istotą światła, a ja ją zabiję, część winy spadnie na ciebie.

- Nie. Podobnie jak nie na mnie spadnie wina za niewypełnienie twojej misji. Ja jestem tylko sędzią, który ocenia twój umysł.

- Ocenia mój umysł?

- Jesteś człowiekiem, Tomaszu. Masz umysł, serce i wolę.

W zaległej ciszy moje myśli galopowały jak szalone. Rozumiałem coraz mniej z tego, w czym uczestniczyłem. Jedna istota światła pomaga mi w zadaniu mającym na celu zabicie drugiej, znacznie

potężniejszej istoty światła po to, aby ocenić mój umysł. Jeśli Asharielowi zależałoby na śmierci Etherni, z pewnością nie był tym, za kogo się podawał. Oznaczałoby to, że rządzi nim trudna dla mnie do zrozumienia chęć osiągnięcia korzyści lub rewanzu.

Próba umysłu, o której mówił, stanowiłaby tylko bardzo nieporadny pretekst tłumaczący jego udział w sprawie. Zbyt nieporadny, jak na kogoś o takich możliwościach. Z drugiej jednak strony, dlaczego pozostawiłby mojej decyzji coś tak ważnego jak istnienie innej, pokrewnej mu istoty. Powinien powstrzymać mnie, a nie pomagać w misji, przyjmując pozycję bezstronnego obserwatora. Jako demon mógłby po prostu zachęcić mnie do działania, zamiast rozbudzać wątpliwości. Nie był więc chyba demonem. Nie miałem też pojęcia, czy istniał jakiś związek pomiędzy nim, sułtanem a radzą. Pozostawała jeszcze kwestia Etherni.

Jeśli krypta była jej więzieniem, powinienem ją ratować, co jednak wiązałoby się ze sprzeniewierzeniem wobec sułtana i skazałoby na śmierć wielu rycerzy mojego zakonu.

Najgorsze w tym wszystkim było jednak to, że mijający czas zmuszał mnie do podjęcia jakiejś decyzji, choć coraz bardziej gubiłem się w domysłach.

- Asharielu, dlaczego radza wokół krypty wybudował lochy, w których skazuje na głodową śmierć setki ludzi?

- Cierpienie tych ludzi i ich dusze wzmacniają działanie bariery czterech magicznych kręgów. To one zatrzymują tutaj Ethernię. Krypta pełna jest cierpienia i ludzkich dusz, które nie mogą się uwolnić, aby odnaleźć spokój. Słyszałeś ich głosy, zanim przestąpiłeś barierę.

Tancerze dźwięku w świątyni kontrolują moc bariery, aby jej siła nie spadła zbyt szybko, a glify niewolą dusze zmarłych. To cierpienie i śmierć całkowicie obojętnia Ethernię. Dzięki temu radza wykrada jej moc, a potem wykorzystuje do swoich celów.

- Dlaczego nikt z was nie uwolni jej stąd?

- Nie możemy pokonać bariery.

- A kto może to zrobić?

- Ty.

- Dlaczego ja?

- Bo jesteś jednym z ludzi. Magia śmierci, która działa w krypcie, jest silna, ale skierowana na osłabienie mocy istot światła.

Patrzyłem na bezbronną istotę, której los zależał ode mnie i stopniowo rodziło się we mnie przekonanie, że nie mogę brać na swoje sumienie tego grzechu. Czy mógł istnieć dla chrześcijanina czyn straszniejszy niż zabicie anioła? Co prawda, moja wiara zupełnie inaczej przedstawiała istoty takie jak ta, ale zawsze starałem się służyć Bogu, wierząc, że wszystko, co stworzył, przerasta ludzkie pojmowanie.

- Czy wy... czy wy naprawdę jesteście aniołami?

- Aniołami? - Odpowiedział mi śmiech. W głosie usłyszałem rozbawienie.

- Angeloi, archangeloi, exousiai, archaii, kyriothetes, throne, dewy, dakinie, istnieje tak wiele nazw, jak wiele istot. Nie nazwiesz nas wszystkich jednym słowem, choć możesz nazywać aniołami, jeśli taka twoja wola.

Moje przekonanie zmieniło się w pewność. Muszę pomóc Etherni. A kiedy podjąłem tę decyzję, stało się coś dziwnego.

Najpierw poczułem, jak coś w mojej dłoni zaczyna drżeć, a potem coś zablokowało moje ruchy. Spojrzałem na swoje ręce. Purba lśniła czerwoną poświatą. Głowa demona, zdobiąca rękojęść, ożyła. Poruszała ustami, a jej twarz wykrzywiał grymas wściekłości. Cała moja zbroja rozjaśniała się krwawą poświatą. Napreżyłem mięśnie, ale to moja zbroja zaczęła poruszać mną. Z przerażeniem widziałem, jak moja własna dłoń podnosi się do pchnięcia.

Purba syczała niczym wąż. Pojąłem teraz, jakim rodzajem magii sułtan usprawnił mój rynsztunek. Była to magia, która zabezpieczała go, na wypadek gdybym rozmyślił się w ostatniej chwili. Chciał mieć pewność, że zabiję Śpiącego Demona. Miałem być jedynie wykonawcą jego woli.

Zacząłem walczyć z siłą magii, z całych sił przeciwstawiając się jej. Purba uderzyła, ale udało mi się odchylić jej ruch tak, że nie sięgnęła celu. Natychmiast jednak ręka się cofnęła, podnosząc do kolejnego zamachu. Wykorzystałem to, zwiększając jej siłę i wytrącając się z równowagi. Przez chwilę balansowałem na krawędzi schodów, a potem omal nie runąłem w dół. Mój pancerz powrócił jednak do równowagi, wspierając się stopą na niższym stopniu. Zorientowałem się, że mogę jedynie kierować purbę w stronę swojego ciała. Byłem zbyt słaby, by przezwyciężyć opór zbroi, natychmiast więc podjąłem inną decyzję. Odchyliłem ostrze w stronę swojej piersi, a potem dodałem do jej ruchu swoją siłę, z szeroko otwartymi oczami czekając na śmierć, która miała nadejść za krótką chwilę. Wtedy właśnie rozległ się lekki trzask albo chrzęst, i błękitne światło z amuletu rozpląnęło się po całym moim rynsztunku. Czerwona poświata znikła natychmiast. Moja rękawica z głuchym hukiem uderzyła w napierśnik, a purba wyslizgnęła się spomiędzy rozchylnych palców, szerokim łukiem odlatując w przestrzeń. Odległy brzęk o posadzkę zaświadczył, że i ona na powrót stała się tylko kawałkiem metalu. W jednym momencie odzyskałem pełnię władzy nad swoim ciałem.

- Asharielu. Powiedz mi, jak uwolnić Ethernię - zażądałem.

- Usuń czarny kryształ Lilith, który jest pod jej stopami - jego głos dziwnie osłabł. - A potem..

- Co potem?

- A potem przyjmij, co przyniesie los i... zaopiekuj się nią do czasu, aż powróci jej pełnia mocy. Chronij ją przed innymi ludźmi, Tomaszu, nade wszystko przed Satanaelem oraz jego sługami. Od tej chwili Sealiah będzie twoim przewodnikiem.

Rzuciłem się na kolana, z całej siły próbując poruszyć kryształem oprawionym w złoty cokół o

kształcie kielicha. Na nic zdały się moje wysiłki. Zrezygnowałem z dalszych prób, widząc ich bezowocność.

Skoro był tylko kryształem, musiałem postawić na jego kruchość. Z tym przekonaniem wyciągnąłem miecz, a potem uderzyłem oburącz. Klinga zadzwięczała czysto, drżąc w moich dłoniach. Okruchy mętnego szkła rozsypały się po całym sarkofagu. W tej samej chwili dostrzegłem, że znika widmowy kształt kuli otaczającej szczyt piramidy, a zawieszona w przestrzeni nad nią istota traci równowagę. Nie miałem czasu. Odrzuciłem miecz, potem zaś chwyciłem Ethernę w locie. Była zadziwiająco lekka. Ku mojemu zaskoczeniu miała całkiem fizyczne ciało. Zupełnie nieświadoma i bezwładna, niemal zsunęła się z moich ramion. Musiałem mocno ją pochwycić.

Ze złotego cokołu wystrzeliły aż pod sufit oślepiające błyskawice. Rozległ się huk, po którym z góry posypały się odłamki czarnego kamienia. Przez całą salę przeszedł silny wstrząs.

Przerzuciłem Ethernę przez ramię, schyliłem się, podnosząc miecz, a potem czym prędzej zbiegłem z piramidy. Wypełniające przestrzeń niebieskie światło zaczęło zanikać, a wraz z tym odgłosy z zewnątrz zaczęły przedostawać się aż tutaj. Robiło się coraz ciemniej.

Kiedy zeskoczyłem z ostatniego stopnia, zauważyłem, że magiczne kręgi zwalniają, a ich symbole robią się coraz bledsze. Powietrze zaczynało wibrować, przez podłogę przetaczały się coraz częstsze i silniejsze fale drgań. Nie miałem pojęcia, dokąd uciekać, ale czułem, że muszę znaleźć się jak najdalej od środka sali. Z coraz większym trudem utrzymywałem równowagę.

Kiedy ruch symboli ustał, magiczne kręgi znikły, podobnie jak glify na ścianach.

Wszystko działo się coraz szybciej. Najpierw poczułem przejmujące uczucie bólu i przerażenia, który nie był mój - pochodził gdzieś z zewnątrz - a potem zawodzące wycie niemal rozszarpało moje zmysły.

W gasnącym poblasku światła zobaczyłem, jak cała przestrzeń faluje i zwija się w spiralne zagęszczenia, potem wszystkim wstrząsnął ogłuszający grzmot. Uderzyła we mnie niewidzialna ściana gorąca. Odebrało mi oddech, a wszystko wokół eksplodowało. Z całej siły chwyciłem Ethernę, lecz moje stopy nie znalazły oparcia na kruszącej się podłodze.

Wokół ze świstem przelatywały skalne odłamki.

- Chryste! - krzyknąłem, opadając gdzieś w dół.

Poczułem bolesne uderzenie w plecy i głowę. Wokół zaległy ciemności. Ruch ustał

równie gwałtownie, jak się rozpoczął, a w powietrzu zawirował skalny pył. Zrobiło się upiornie cicho. Opadłem głębiej w mrok, czując oparcie pod swoim ciałem. Ethernia oddychała, a więc żyła. Ja nie czułem żadnego bólu, więc przetrwałem. Ponad nami, gdzieś w oddali, otworzyła się szczelina, przez którą ujrzałem niebo.

Snop słonecznego światła wpadający przez otwór rozjaśniał fragment komory nad miejscem, w którym stała piramida. Widać było fragment pokruszonego sarkofagu oraz przechyloną na bok rzeźbę przedstawiającą dwa zespolone ze sobą anioły. Na pewno podłoga kaplicy zarwała się, a posąg spadł wprost do krypty. Zniósł to zadziwiająco dobrze. Odpadło od niego tylko kilka małych fragmentów i jedno ze skrzydeł. Jeden z aniołów dosięgał

swoimi barkami otworu w sklepieniu, co dawało szansę na wydostanie się stąd. Natychmiast więc skupiłem się na tym widoku, oceniając szanse powodzenia ucieczki tą drogą. Nie poruszałem się jednak, odpoczywałem. Dopiero obcy dźwięk zmusił mnie do podjęcia wysiłku. To były rozpaczliwe kobiece nawoływania.

- Tomasz! Tomasz z Akwitanii, jeśli żyjesz, odezwij się! Tomasz! Błagam! Nie zostawiaj mnie tutaj samej!

Wyraźnie słyszałem szloch.

- Tutaj! - krzyknąłem. - Tutaj jestem!

Usłyszałem szybkie energiczne kroki, a potem dostrzegłem Julitę biegnącą w moją stronę.

- Dobry Boże, ty żyjesz! Dzięki Bogu żyjesz! Modliłam się o to... - Jej radość była szczera i nieudawana. Miałem wrażenie, że rzuci mi się na szyję, jednak w ostatniej chwili się powstrzymała.

- Pokonałeś go, prawda? Pokonałeś go! Słyszałam, zanim wszystko się zawaliło. Ten ryk i to wycie. Zabiłeś go i żyjesz! - nie przestawała mówić.

- Żyję - potwierdziłem. Ostrożnie zsunąłem z siebie ciało Etherni, a potem usiadłem, chowając miecz.

- Kto to jest? - Julita dopiero teraz ją dostrzegła.

- Śpiący Demon - wyjaśniłem.

- Co? - Nie wierzyła.

- Śpiący Demon. Równie niegroźny jak dziecko.

Julita pomogła mi odwrócić Ethernię na plecy i ułożyć ją równo na ziemi. Cały czas przyglądała się jej uważnie.

- Niewiarygodne - odezwała się dopiero po dłuższej chwili.

- Co jest niewiarygodne? - spytałem.

- Nigdy nie uwierzyłabym, że zobaczę którąś z nich z bliska. - Uśmiechnęła się. - Ma wspaniałe ciało. Chciałabym wyglądać tak jak ona.

- Tak jak ona?

- Jak ona. Wiesz, kim jest?

- Aniołem? - zaryzykowałem niepewnie.

Odpowiedział mi szczery śmiech Julity.

- Chyba jeszcze tylko wy, templariusze, w nie wierzycie.

Ostrożnie, z namaszczeniem dotknęła skrzydła Etherni.

- Masz przed sobą Elohimę, istotę wyższą. Elohimy są tak dumne i wyniosłe, że niewielu śmiertelników mogło oglądać je z bliska.

- Są święte?

- Święte?! - Znów roześmiała się, rozbawiona. - Ze świętością mają niewiele wspólnego. Jeśli tylko któraś z nich zgodziłaby się wpuścić cię pomiędzy swoje nogi, wiedziałbyś, o czym mówię. Każda z nich ma jednak swojego męskiego Elohima i...

- Zamilcz, kobieto! - rozkazałem zagniewany.

- Jak sobie chcesz - naburmuszona, ale nieco przestraszona umilkła.

- Nie mów nic więcej, jeśli cię o to nie poproszę! - Nie lubiłem, kiedy ktoś traktował

mnie w ten sposób, starając się wzbudzić u mnie zawstydzenie, zwłaszcza jeśli robiła to kobieta.

Nie powiedziała nic więcej, choć w jej oczach widziałem bunt. Nie dbałem o to.

Rozpiąłem swój gruby, biały płaszcz, po czym owinąłem w niego Ethernię. Podniosłem ją, podobnie jak poprzednio zarzucając na ramię.

- Co chcesz z nią zrobić? - nie wytrzymała zbyt długo milczenia.

- Zabieram ją ze sobą.

- Zabierasz? - zdziwiła się. - Elohimę? Jak się zbudzi, to... nie chciałabym być w twojej skórze. Zostaw ją tutaj. Zaraz na pewno pojawi się tutaj jej Elohim.

- Takie dostałem polecenie - wyjaśniłem cierpliwie.

- Polecenie? Od kogo?

- Od Ashariela.

- Cherubina Ashariela? Nie masz pojęcia, w co się mieszasz. Wiesz, kim jest Satanael?

- Posłuchaj. - Wycelowałem w nią swój palec. - Już raz ci mówiłem, abys zamilkła.

Idź sobie, dokąd chcesz, ja mam swoje przeznaczenie, ty swoje. Może nie znam się na tym wszystkim tak dobrze jak ty, ale nie pozwolę, byś dyktowała mi, co robić.

Uniosła dłonie na znak, że się poddaje.

- Wybacz - rzekła. - To prawda. Mieszam się do rzeczy, które mnie nie dotyczą.

Ruszyliśmy w stronę posągu. Zastanawiało mnie, dlaczego światło wpadające przez szczelinę w sklepieniu jest tak intensywne. Zrozumiałem to w pełni, kiedy stanęliśmy pod nią. Nad nami nie było już wieży, tylko poskręcane resztki konstrukcji z kryształu i metalu, w których załamywały się promienie słońca.

Wspólnymi siłami, ubezpieczając się nawzajem, wspięliśmy się z Julitą na posąg i wydostaliśmy się z pułapki, jaką stała się teraz krypta. Kiedy stanęliśmy na miejscu kaplicy, mogliśmy w pełni ocenić rozmiar zniszczeń.

- Dobry Boże. - Julita nie wierzyła własnym oczom.

Pałac radzy otaczający wieżę zmienił się w ruiny. Olbrzymie fragmenty jej muru jak gigantyczne lemieszce przeorały rozległe ogrody, łamiąc drzewa i rośliny, a potem, rozsypując się setkami kamiennych pocisków, zniszczyły budynki pałacu. Posągi z wieży wciąż tkwiły powbijane w sterty gruzu, który jeszcze niedawno był chlubną siedzibą władcy. Kilka budynków płonęło, spowijając miasto czarnym woalem zniszczenia. Sam wierzchołek wieży, w którym była sala czarnoksiężnika, leżał w dużej odległości wśród ogołoconych z gałęzi drzew. Wyglądał jak zmiażdżony stopą olbrzyma.

- Spójrz! - Julita wskazała w jego kierunku. - Jeśli był tam radza, na pewno nie przeżył.

- Oby tak było. - Poprawiłem Ethernę na swoim ramieniu. - Teraz jednak musimy uciekać, zanim ktokolwiek zorientuje się, że tutaj jesteśmy.

- Masz rację - przyznała.

Zadziwiający był brak jakichkolwiek osób w pałacu. Jakby wszyscy nagle znikli.

Czym prędzej, przeciskając się pomiędzy kikutami konstrukcji i rozrzuconymi w nieładzie marmurowymi filarami, wyszliśmy z wieży, a potem ruszyliśmy w stronę odległej bramy.

Julita ledwie za mną nadążała.

- Jak ty wytrzymujesz w tych blachach? - zaciekawiała się w pewnym momencie, zdyszana. - Albo masz siłę tura, albo też zajmujesz się magią.

- To nie ma nic wspólnego z magią. - Roześmiałem się rozbawiony. - Kiedy razem z zakonem walczyłem w Ziemi Świętej, w polu nie zdejmovaliśmy rynsztunku nawet do snu.

- Musieliście strasznie cuchnąć. - Skrzywiła się, marszcząc mały, zadarty nos.

- Tak jak ty teraz. - Spojrzałem na nią z ukosa. Jej nogi i ramiona umazane były brunatną, cuchnącą mazią, a posklejane, jasne włosy pokrywał kurz i brud. Miała na sobie poplamioną krwią pelerynę, którą bez większego efektu próbowała wytrzeć umorusaną twarz.

- Wiesz dobrze, dlaczego tak wyglądam. - Sądząc po minie, uraziłem ją. - Normalnie zażywam kąpeli częściej niż raz w tygodniu.

- Kąpiele są dobre dla Arabów i paniczyków z dworu. Ja jestem rycerzem. Umiem władać mieczem, toporem, kopią, włócznią, sztyletem, walczę pieszo i konno. Nie muszę przejmować się takimi zbytkami jak kąpiele.

- Ciekawe rozumowanie - przyznała z przekąsem.

Szeroka aleja prowadząca między posągami dziwnych, przypominających gryfy istot, prowadziła wprost do bramy. Kiedy przez nią przeszliśmy, dostrzegłem grupę uzbrojonych ludzi; ci jednak uciekli na nasz widok.

- Boją się ciebie - stwierdziła Julita.

- Mnie?

- Tak. Jesteś obcy i już na pierwszy rzut oka widać, kto jest sprawcą całego tego zamieszania.

- To dobrze. Może uda nam się wydostać z miasta.

- Znam najkrótszą drogę. - Uśmiechnęła się.

- Prowadź więc.

- Nie tak szybko. - Jej spojrzenie znowu stało się zuchwałe. - Najpierw moje warunki.

- Jakie warunki? - Nie zrozumiałem w pierwszej chwili.

- Chcę coś w zamian.

- Nic nie robisz bez korzyści dla siebie? - Poczulem do niej gwałtowną niechęć.

- Takie mamy czasy, że każdy musi dbać o swoje interesy...

- Co chcesz?

- To. - Wyciągnęła spod peleryny purbę. - Ten sztylet będzie mój.

- Znalazłaś go w krypcie? - Zaskoczyła mnie całkowicie.

- Widziałam go już od momentu, kiedy mnie uwolniłeś. To święty sztylet Tybetu.

- Przeklęty sztylet. - Wydałem usta. - Wyrzuć go, zanim tobą zawładnie.

- A więc go nie chcesz. Umowa stoi?

- Niech ci będzie.

- W takim razie cię poprowadzę. - Zadowolona, okryła się peleryną.

Skręciliśmy pomiędzy posągi, a Julita uważnie oglądała cokoły.

- Tutaj - stwierdziła w pewnym momencie z wyraźną ulgą w głosie. Poruszyła ukrytym mechanizmem, a wtedy jedna z ocalałych ścian odchyliła się, otwierając dostęp do ukrytego korytarza i schodów.

- Tędy się tutaj dostałam - powiedziała z dumą w głosie. Nie doczekawszy się jednak słów uznania z mojej strony, dodała po chwili: - Ten korytarz prowadzi aż na wzgórze Milarepy.

- To daleko? - spytałem.

- Daleko - potwierdziła.

- A więc chodźmy. - Minąłem ją, schylając się przy wejściu. W środku, w zasięgu kilku kroków znalazłem przygotowane pochodnie. Na pewno Julita zakładała, że to właśnie będzie jej droga odwrotu.

Korytarz częściowo tylko wykonany był przez ludzi. W dużej mierze naturalne jaskinie połączono po prostu wykopanymi odcinkami. Na szczęście Julita dokładnie знаła znaczenie symboli pozostawionych w skalnych ścianach na rozwidleniach dróg. Dzięki temu nie pobłądziliśmy. Wyjście z korytarzy zarosnięte było pnączami i przypominającymi korzenie odrostami, zwisającymi spod sklepienia. Znaleźliśmy się daleko, nieco powyżej miasta, na pokrytej niewysoką, zrudziałą trawą górskiej łące. Jak okiem sięgnąć, rozpościerał

się widok na wysokie, pokryte śniegiem góry. Odeszliśmy nieco od jaskini, a wtedy Julita opadła ciężko na ziemię.

- Odpocznijmy - poprosiła. - Już nie mam siły.

Ja też odczuwałem zmęczenie, położyłem więc Ethernę na trawie, starannie poprawiając na niej biały płaszcz z czerwonymi krzyżami zakonu, a potem sam usiadłem, zdejmując z głowy hełm. Przeczesałem dłonią przepoczone włosy. Tutaj, na otwartej przestrzeni, panował chłód, tak że z ust wydobywała się mgielka pary.

- Masz jeszcze coś mojego. - Zakaszlałem gwałtownie.

- Co? - Spojrzała na mnie zaskoczona.

- Sygilę i demona.

- Żartujesz chyba! - oburzyła się. - Nie wiem, kto zrobił dla ciebie tę sygilę, ale kiedy ty dogadywałeś się z tymi Cherubinami, twój demon omal mnie nie zabił. Na szczęście zdążyłam posłać go, skąd przyszedł. Masz...

Rzuciła w moją stronę dwie połówki pieczęci.

- W porządku. - W pojedynczym geście podniosłem dłoń, a potem odrzuciłem daleko od siebie dwa kawałki metalu.

- Nic nie jest w porządku. - Mimo zmęczenia, rozglądała się energicznie dookoła. -

Jestem głodna, chce mi się pić, jest mi zimno i włóczę się ze świętoszkowatym rycerzem, który myśli, że jest niańką Elohimy. Piękny sposób na napytanie sobie biedy.

- Ale przynajmniej żyjesz i nie leżysz w towarzystwie nieboszczyków - zauważyłem.

- Marna pociecha. - Wykrzywiła usta. - Masz jakiś pomysł, co robić dalej?

- Nie - przyznałem szczerze.

- Ja na twoim miejscu uciekłabym jak najdalej od tej Elohimy. Lada moment pojawi się tutaj jej męskie dopełnienie, a one strasznie nie lubią, kiedy ludzie zbyt się z nimi spoufalają.

- Męskie dopełnienie? O czym ty mówisz? - Zaskoczyła mnie tak dziwnym stwierdzeniem.

- Nie obiecałam ci, że będę twoją nauczycielką, więc wystarczy, jeśli choć raz mnie posłuchasz. - Znow zaczęła traktować mnie protekcjonalnie, ale widząc moją rozgniewaną twarz, natychmiast dodała: - Zresztą sam wiesz, co czynisz i masz swój rozum. Ja mogę podzielić się z tobą swoją wiedzą.

- Kim ty właściwie jesteś? - Zaplotłem ramiona na swoich kolanach. - Wiedźmą?

Złodziejką?

- A jak myślisz?

- Ja nie myślę. Ja cię pytam.

- Po co? - Na jej twarzy pojawiła się obawa. Coś chciała ukryć.

- Boisz się? - spytałem wprost.

- Nie - zaprzeczyła, choć wiedziałem, że jest inaczej.

- Boisz się, więc jesteś wiedźmą i zajmujesz się czarami, za które w moim kraju zginęłabyś z rąk Świętej Inkwizycji. - Roześmiałem się. - W dodatku dla zysku kradniesz magiczne przedmioty i sprzedajesz je czarownikom.

Nic nie odpowiedziała, ale widziałem, że obserwuje mnie uważnie. Dopiero po chwili odezwała się, starannie ważąc słowa.

- Jesteś bardzo dociekliwy jak na...

- Jak na rycerza, na co dzień używającego tylko mięśni - dokończyłem za nią.

- Nie to chciałam powiedzieć - zaprzeczyła.

- Dokładnie to chciałaś powiedzieć i nie myśl, że jestem tak tępym żołdakiem jak inni.

Wyciągnąłem miecz, po czym wstałem.

- Co chcesz zrobić? - Odsunęła się gwałtownie. Bawił mnie strach w jej oczach. Nie była już tak

harda.

- Pomodlić się. - Wbiłem miecz w ziemię, aby zastąpił krzyż, potem klęknąłem przed nim na jedno kolano. - Jeśli masz ochotę, możesz zrobić to samo.

- Nie, dziękuję. - Uspokoili się, widząc, że nie mam wobec niej wrogich zamiarów.

Zamknąłem oczy, skupiając się na słowach modlitwy. Wielką tajemnicą zakonu było uspokajające działanie czynności tak prostej jak modlitwa. Po latach nie myślałem już nad sensem słów. Koła moją niepewność, pozwalając ze spokojem przyjmować to, co przynosiło mi niepewne jutro. Zawsze w takich chwilach myślami byłem daleko. Niemal czułem wokół

siebie obecność wszystkich braci zakonu, wyobrażałem sobie, że to nasza wspólna kompleta, po której udamy się na spoczynek. Momentami byłem niemal pewien, że kiedy otworzę oczy, zobaczę spokojne wnętrze kaplicy w moim klasztorze. Że nie może spotkać mnie nic złego.

Z początku nie zwracałem uwagi na to, co dzieje się na zewnątrz, choć wyraźnie doznawałem coraz silniejszego, otaczającego mnie ciepła. Myślałem nawet, że to tylko moje złudzenia. Dopiero kiedy poczułem, jak coś łaskocze moje dłonie, otworzyłem oczy.

Oniemiałem na ten widok. To był motyl.

Wokół Etherni rozrastało się promieniście olbrzymie pole wiosennej roślinności. Ona sama leżała w kwiatach, a zielona, wysoka, gęsta trawa wciąż w niewiarygodnym tempie opanowywała nowe fragmenty ziemi. Wstałem natychmiast. Pod moimi stopami rozkwitały lilie.

- Spójrz! - krzyknąłem w stronę Julity. - Mówiłaś, że tylko templariusze wierzą w anioły. Jeśli to nie cud, jak więc to nazwiesz?

- Jej aurą. - Uśmiechnęła się z wyższością. - Jej aura jest jeszcze pobudzona, dlatego przyśpiesza rozwój roślin. Nic w tym cudownego. Kiedy wyciągnąłeś ją z ołtarza, pewnie wypromieniowywała z siebie olbrzymie ilości energii, prawda?

Nie odpowiedziałem. Miała rację. Tak było. Schowałem miecz i rozejrzałem się po okolicy. Miasto wciąż spowijały dymy. Na pewno panował w nim chaos i zamieszanie.

Prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia, co począć dalej. Nie pytałem o to Julity, ale domyślałem się, że i ona nie wiedziała, co robić. Pozostało nam tylko czekanie na bliżej nieokreślone wydarzenia. Rahman mówił, że postara się zabrać mnie stąd po wykonaniu zadania. Teraz jednak, nawet gdyby otworzył się portal, nie zamierzałem z niego korzystać.

Skoro sułtan zadał sobie tyle trudu, aby upewnić się, że zabiję Śpiącego Demona, a ja tego nie wykonałem, nie miałem co liczyć na jego pobłażliwość. Zależało mi jednak, aby zakon poznał przyczyny mojej decyzji. Sądziłem, że sam Wielki Mistrz przyzna mi rację, jeśli tylko pozna prawdę. Czas mijał, tymczasem nie działo się nic.

Był już późny wieczór, kiedy w oddali zobaczyłem idące w naszą stronę postacie.

Było ich wiele, bardzo wiele.

- Ktoś się zbliża - powiedziałem obojętnie.

- To górale. - Julita się podniosła. - Ciekawe, czego chcą.

- Wolałbym nie przekonywać się o tym. - Sięgnąłem po hełm.

- Obawiam się, że nas to nie minie. - Stała tuż przy moim ramieniu.

- Dlaczego „nas”? Ty możesz w każdej chwili iść, dokąd chcesz.

- Na przykład dokąd? - W jej głosie wyczułem lekką nutę poirytowania.

- Tam, gdzie zbierają się wiedźmy. Przecież macie jakieś tam miejsca sabatów, na które latacie na miotłach.

- Z tymi miotłami to już przesadziłeś, a o sabatach wiesz tyle, co ja o waszych kapitułach.

- A więc zostajesz? - spytałem.

- Tak. Z czystej ciekawości - potwierdziła.

Tłum ludzi zbliżał się powoli. Przestałem ich liczyć, kiedy doszedłem do pięćdziesięciu. Byli uzbrojeni w topory i coś wyglądającego jak widły. Z tyłu szły kobiety.

Mieli na sobie płócienne łachmany oraz wyprawione skóry zwierząt. Kobiety coś niosły.

- Nie wyglądają na wrogich. - Julita drżała, nie wiem, czy z zimna, czy ze strachu.

- Kiedyś w ten sam, mało wrogi sposób powitali nas arabscy chłopci niedaleko Akki. -

Oczyściłem sztych miecza z ziemi.

- No i co? - zainteresowała się.

- No i nic. Z oddziału dwunastu konnych i trzydziestu pieszych zostało nas tylko czternastu.

- Chcesz mnie w ten sposób uspokoić?

- Nie. Dać ci ostatnią szansę na ratowanie życia.

- Znam parę sztuczek, mogę ci się przydać. - Wyglądała na zdecydowaną.

- W porządku. Jak chcesz. - Założyłem hełm. Dodałem przytłumionym już głosem: - I na wszelki wypadek, gdybym później nie miał już okazji, aby to powiedzieć - dziękuję.

Uśmiechnęła się.

Nawet z tego miejsca widziałem surowe rysy twarzy tych ludzi. Byli bardzo blisko.

Zatrzymali się szerokim półkolem na krawędzi zielonej trawy. Grupa rozciągnęła się, więc jeszcze przez chwilę dochodzili następni, zwiększając tłum. Poruszali się niespokojnie, rozmawiając przyciszonymi głosami. Ich zainteresowanie skupiało się głównie na Ethern i na mnie. Wyglądali na niezdecydowanych. Dopiero po pewnym czasie ktoś wyglądający na starszego wioski powiedział donośnym głosem kilka słów, unosząc przy tym topór, i wszyscy ucichli.

- Obawiam się, że za chwilę się zacznie - zwróciłem się do Julity.

Mężczyzna zrobił krok do przodu, po czym wziął od jednej z kobiet zawinięty w materiał tobołek. Bardzo ostrożnie stąpając po zielonym dywanie murawy, zaczął zbliżać się do mnie.

- Bóg jest wielki, Bóg jest miłosierny... - Przygotowałem się na spotkanie, napinając mięśnie. Uniosłem miecz, a wtedy przez tłum przebiegła fala niepokoju. Mężczyzna natychmiast odgadł moje intencje. Przyklęknął, odkładając topór obok swojej nogi, a potem wyciągnął w moją stronę ręce z zawiniątkiem, w wyraźnym geście ofiarowywania podarunku.

- Weź to od niego - poleciłem Julicie.

Chociaż się wahała, podeszła do mężczyzny, robiąc, co kazałem.

- To jedzenie! - krzyknęła z radością. - Ser, placek i coś do picia!

- Przyjmij je. - Opuściłem miecz i zdjąłem hełm.

- Chyba nie myślisz, że zrobię inaczej. - Nie tłumiała podniecenia. - Zostawić ci trochę?

- Nie musisz. - Podeszedłem do mężczyzny, a potem odpiąłem od pasa sztylet i podałem.

Głosy nieukrywanego zachwyty przetoczyły się przez tłum. Oczy mężczyzny zabłyśły na widok podarunku. Pocałował sztylet, chowając go jak relikwię, po czym wstał i odwrócił

się, odchodząc. Wszyscy jak na komendę zdjęli swoje okrągłe, podszyte futrem okrycia głowy i usiedli, pokłonem oddając hołd Ethern. Kobiety precisnęły się do przodu.

Podchodziły kolejno do mnie, kładąc pod moimi nogami swoje zawiniątka, a potem zbliżały się do Ethern i całowały ziemię tuż przy jej stopach. Zaraz potem wracały do grupy. Już po chwili miałem przed sobą stos podarków.

- O rany! Nareszcie najemy się do syta. - Julita usiadła na uboczu, zabierając się za ser.

- Powstrzymaj choć na chwilę łapczywość. Nie przystoi tak od razu rzucać się na ofiarowane jedzenie - powiedziałem.

- Może tobie. Ty jesteś święty. Ja jednak mogę zaspokajać swoje pragnienia zgodnie z wolą i apetytem - oznajmiła z ustami pełnymi placka.

Górale nie wyglądali na bogatych, a dary musiały kosztować ich na pewno niemało wyrzeczeń. Nucili jakąś monotonną modlitwę, z szacunkiem patrząc na mnie i z uwielbieniem na Ethernę. Jedzenia było dużo, za dużo nawet jak na mnie i Julitę. Wpadłem na pewien pomysł. Skoro górale uważali mnie za kogoś ważnego, mogłem to wykorzystać do swoich celów.

- Podejdźcie tutaj! - Wskazałem na dwie spośród kobiet i choć ich spojrzenie zdradzało, że mnie nie rozumieją, dłońmi nakazałem im to samo, co wcześniej powiedziałem.

Po chwili zastanowienia, za zgodą towarzyszących mężczyzn, zrobiły, co chciałem.

Podniosłem wtedy kilka zawiniątek, dając do zrozumienia, aby postąpiły w ten sam sposób.

Nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi, zabrały część z podarunków. Podeszedłem do modlących się, potem rozłożyłem przed nimi dary, traktując je jako poczęstunek dla wszystkich. Kobiety w lot pojęły moje intencje. Nie minęło zbyt wiele czasu, kiedy wszyscy zasiedliśmy do wspólnego posiłku. Po minach i uśmiechach górali, kierowanych w moją stronę, rozpoznawałem, że potraktowali mój gest jako szlachetny. Usiadłem tak jak oni, uczestnicząc w kolacji.

Wciąż coś mówili do mnie, ale nic z tego nie mogłem zrozumieć. Na próżno starałem się wyłowić z potoku słów jakieś znane dźwięki. Julita nie zbliżała się do nas. Odczuwałem pewnego rodzaju wrogość górali w stosunku do niej. Widocznie ona również zdawała sobie z tego sprawę. W pewnym momencie mężczyzna, któremu podarowałem sztylet, wskazał w stronę, z której przyszli, a w jego słowach wyraźnie zabrzmiało imię Porfirion, wypowiedziane z wielkim szacunkiem.

Natychmiast mu przerwałem, po czym dotknąłem dłonią swojej piersi.

- Ja - rzekłem, a potem dłonią wskazałem ten kierunek. - Chcę iść do mistrza Porfiriona.

Wszyscy zaczęli energicznie wzbraniać mi tego. Mężczyzna tym samym gestem jak ja dotknął mojej piersi, po czym poklepał ziemię obok mnie. Dla podkreślenia gestu powiedział.

- Paaam Taammaasz. - Co w wolnym tłumaczeniu mogło oznaczać mnie. -

Bodhisattwa Porfirion. - Gest najprawdopodobniej oznaczał, że on przyjdzie tutaj do mnie.

Mężczyzna znalazł na ziemi wolną przestrzeń pomiędzy kępami trawy i w twardej ziemi narysował coś, co przypominało zamek.

- Barras! Barras! - powiedział.

- Baghras - odgadłem w lot.

- Baghras. - Roześmiał się, zakłopotany swoją nieporadnością, a ja powoli zaczynałem rozumieć, o co mu chodzi.

- Paam Taammaasz, Dakini. - Zatoczył łuk wokół wizerunku zamku. - Bagra.

Teraz wszystko stało się jasne. Przysłał ich Porfirion, miałem na niego czekać, a on pomoże mi dostać się do twierdzy w Baghras. Wyglądało to na dość logiczny splot wydarzeń.

Uspokoił mnie nieco.

Zamyśliłem się. Znałem twierdzę Baghras, jej komandorem był Piotr z Blois. Kiedyś należała do Bizantyjczyków, ale dopiero templariusze rozbudowali ją, zmieniając w prawdziwie potężną warownię. Trzy rzędy murów wzmocnionych wieżami czyniły z tej budowli, wzniesionej na ośnieżonym szczycie góry, prawdziwie niezdobyty punkt oporu przeciw każdemu zagrożeniu. Kiedy gościłem tam ostatnio, w wiosce u podnóża góry ojciec Jan zbierał środki na budowę kościoła. Był to bardzo dobry wybór, jeśli zamierzałem znaleźć pewne schronienie.

Wieczór zmienił się w noc, a górale rozpalili ognisko, przy którym mogliśmy się ogrzać. Z pewnością mogłem odpocząć, bo i oni byli tu po to, aby chronić Ethernę. Wolałem jednak czuwać. Julita usiadła obok mnie.

- Wiesz, że przynieśli mi ciepłą odzież? - zagadnęła.

- Szanują cię - powiedziałem.

- Bardziej ciebie. Jesteś dla nich awatarą.

- Czym?

- Awatarą. Wierzą, że ostatnie wcielenie ich boga, które uwolni ich od demonów, będzie wojownikiem. Białym wojownikiem albo wojownikiem w bieli, czy jakoś tak...

- Bzdury. - Skrzywiłem się.

- Na twoim miejscu nie próbowałabym im tego tłumaczyć.

- Nie zamierzam tego robić.

- A co zamierzasz?

- Wrócić do Baghras.

- Do Baghras?! Zwariowałeś!

Kilka siedzących najbliżej nas osób przerwało niedawno rozpoczętą modlitwę, patrząc z zaciekawieniem.

- Dlaczego? - Spojrzałem na nią chłodno.

- To... to twierdza templariuszy! Nie mogę tam iść!

- Ale ja mogę. Jestem templariuszem.

- Słuchaj... - pośpiesznie szukała właściwych słów.

- Nie lepiej byłoby zaszyć się gdzieś w jakimś spokojnym grodzie na Rusi?

- Przecież niczego ci nie nakazuję. Jesteś wolna. Możesz robić, co chcesz. - Po chwili dodałem z przekąsem: - Możesz zaspokajać swoje pragnienia zgodnie z wolą i apetytem.

- Ale... ale... ja nie mam nikogo. Mojego... brata... zabił radza. Jeśli mnie uwolniłeś, ponosisz odpowiedzialność za to, co dalej będzie się ze mną działo.

- Skąd u ciebie taka myśl? - Roześmiałem się.

- Jeśli zostanę tutaj, zginę. Sama nie dotrę na Ruś, a chrześcijanie spalą mnie za czary.

To ty decydujesz o tym, co się ze mną stanie.

Wiedziałem, że mną manipuluje, ale jej słowa grały na najczulszych strunach mojego poczucia honoru.

- Możesz iść ze mną. Jeśli nie będziesz chwaliła się swoim dotychczasowym życiem, nic ci nie grozi. Poświadczę twoją niewinność. Musisz jednak coś mi przysiąc.

- Co?

- Że zaczniesz zachowywać się w sposób, jaki przystoi dziewczce w twoim wieku.

- To znaczy?

- Przestań wciąż mnie pouczać i wyśmiewać się ze mnie.

- Nigdy tego nie robiłam.

- A więc niech tak pozostanie.

Prawdę mówiąc, nie musiałem wcale przejmować się jej losem. W ogóle nie musiałem jej nic proponować, ale mimo to uległem namowom. Może z powodu przeczuc podpowiadających mi, że jej wiedza może być mi przydatna, a może była to moja zwykła męska, nieświadomiona słabość do tej dziewczyny lub potajemnie rzucony urok. Trudno mi to teraz osądzić. Kiedy tak siedziała obok mnie, zawinięta w gruby materiał peleryny, z poczerwieniałym od chłodu nosem i szklącymi się zmęczeniem oczami, po raz pierwszy dostrzegłem w niej kompana w moim trudnym, pełnym niebezpieczeństw losie. Zawsze swoją dolę dzieliłem z mężczyznami, tym razem było zupełnie inaczej.

- Mam pomysł. - Nieoczekiwana myśl natchnęła ją nową energią. - Mogę podać się za twojego giermka. Nie masz giermka, prawda?

- Nie, nie mam. - Jej koncept rozbawił mnie. - Po pierwsze, giermek musi sporo wiedzieć i umieć,

jeśli chodzi o walkę i oręż, a poza tym wątpię, by nikt nie zauważył, że jesteś kobietą.

- Dlaczego? Ty też masz długie włosy.

- Ale ty masz duże...

- Piersi? - Odgadła natychmiast. - To nie problem. Ścisnę się szmatami.

- Dajmy temu spokój. To niedorzeczność - znudzony przerwałem rozmowę. -

Powiedziałem, że nie wyjawię o tobie całej prawdy, ale to nie znaczy, że będę dla ciebie kłamał.

- Jasne. Rozumiem - przytaknęła, głośno wycierając nos. Umilkliśmy.

Przyglądałem się Etherni. Oddychała miarowo, choć niezwykle powoli. Zupełny brak przytomności czynił ją bezbronną. Teraz w pełni zrozumiałem, co Ashariel miał na myśli, mówiąc, że muszę się nią zaopiekować. Jeśli rzeczywiście miałby pojawić się po nią jakiś inny Elohim, na pewno byłby już obok niej. Widocznie Julita też nie wszystko potrafiła przewidzieć.

- A więc jednak jesteś tym, za kogo cię miałem, rycerzu. - Spokojny, męski głos wyrwał mnie z zadumy.

Spojrzałem w bok. Nawet nie zauważyłem, kiedy stanął przy mnie Porfirion. Miał na sobie długą, zdobną szatę, a przez ramię przewieszoną sakwę. Usiadł obok, z zafascynowaniem patrząc na Ethernię.

- Jest piękniejsza, niż się spodziewałem - powiedział. Widziałem, że syci swój wzrok jej widokiem, więc mu nie przerywałem. W oddali, nad miastem unosiła się krwawa poświata. Miałem wrażenie, że wciąż wybuchają tam pożary, choć nie potrafiłbym podać przyczyny tego zjawiska.

Porfirion po dłuższym milczeniu westchnął i spojrzał na mnie.

- Na szczęście udało mi się ciebie zauważyć, rycerzu, dzięki sile magii. Wysłałem do ciebie tych ludzi, aby w razie potrzeby służyli ci wsparciem. Widzę jednak, że nie było to na szczęście konieczne.

- Tak. Mówili mi jednak coś o Baghras.

- To jedyne miejsce, w którym możesz znaleźć teraz bezpieczne schronienie. Pomogę ci się tam dostać.

- Czy Exceus...

- On niczego się nie domyśla. Wrócił do sułtana, przekonany, że twoja misja się powiodła.

- A więc Rahman będzie starał się sprowadzić mnie z powrotem...

- Nie liczyłbym na to. Dla ciebie to miała być podróż tylko w jedną stronę. Gdybyś spełnił polecenie sułtana, nie rozmawialibyśmy teraz. Purba przebiłby także twoją pierś.
- Nie rozumiem, po co to wszystko. Przecież przysięgłem dla dobra zakonu, że zrobię wszystko, czego zażąda sułtan.
- I dziękuj swojemu Bogu, że nie zrobiłeś.
- Kiedy się zorientuje, zniszczy zakon.
- Patrz na to inaczej. - Na ustach Porfiriona zagościł tajemniczy uśmiech. - Dałeś swojemu zakonowi dodatkowy czas na obronę.
- Panie, wybacz moją naiwność, ale nie rozumiem.
- Nie uwierzysz, ale ja nie jestem sprzymierzeńcem sułtana ani radży. To dwaj szaleńcy, opętani widmem władzy nad ludźmi i istotami wyższymi. Pomagałem sułtanowi, myśląc, że chodzi tylko o pozbawienie radży mocy. Kiedy powiedziałaś mi, co masz zamiar zrobić, myślałem, że wszystko stracone. Na szczęście twoja mądrość jest równie wielka jak odwaga.
- To nie jest całkiem tak jak myślisz. - Jego słowa zawstydziły mnie. - Był tam ktoś.

Pewna istota, a właściwie dwie. To ona pomogła mi zdecydować.

- Istota? - Zaintrygowałem go.
- Mówiła, że nazywa się Ashariel.
- Czy ty jesteś...? - Wyraz jego twarzy zmienił się nagle. Zobaczyłem na niej połączenie zaskoczenia, strachu i fascynacji.
- Czy mówił... o tym... co powiedział? - bąkał.
- Nic, co umiałbym zrozumieć, poza tym, że odpowiadam teraz za Ethernę - wyjaśniłem.
- Oczywiście. - Wyraźnie się uspokoił. - To pewne.
- Czy odpowiesz na jedno moje pytanie, Porfirionie? - Poprawiłem pas przewieszony przez zbroję.
- Na każde, jakie mi zadasz.
- Mówisz, że dałem zakonowi czas na obronę. Co masz na myśli?
- Nie przejrzałeś intrygi sułtana. Wcale nie zamierzał zawrzeć pokoju z twoim zakonem. Jego plan był istic przewrotny. Zabijając Ethernę, a właściwie pozbawiając ją ciała, wykonałbyś dwa zadania

dla sułtana. Zniszczyłbyś jego największego wroga oraz swój zakon.

- Swój zakon?

- Elohim pozbawiony ciała przez pewien czas jest podatny na... transformację mocy.

Może stać się czymś w rodzaju demona, jeśli nie istnieje już jego dopełnienie, będące w stanie temu zapobiec. Astral Etherni po transformacji w pierwszej kolejności zwróciłby swoją moc przeciw swoim prześladowcom, czyli... twojemu zakonowi. Śmierć ciała jest dla Elohimów nie mniej bolesna jak dla nas ludzi, a demony są pamiętliwe.

- Ta transformacja mocy... Sułtan będzie chciał to zrobić?

- On nie - zaprzeczył Porfirion. - Żaden człowiek nie ma nawet połowy wiedzy i mocy, aby to uczynić.

- A więc kto? - nie ustępowałem.

- Być może demon, który służy sułtanowi, był kiedyś męskim Elohimem. - Porfirion nieoczekiwanie odwrócił wzrok. - Dopełnieniem Etherni. On miałby wystarczającą moc.

Poza tym jest jeszcze Satanael...

Umilkliśmy.

- Ile mam czasu, zanim zorientuje się, że Ethernia żyje?

- Tydzień, kilka dni... - Wzruszył ramionami. - Kto z nas wie aż tyle o świecie tych istot.

- Mój zakon będzie ci bardzo zobowiązany za pomoc...

- Nie zrozum mnie źle, rycerzu, ale nie chcę mieć nic wspólnego z twoim zakonem.

Nie robię tego dla sułtana, radzy ani tym bardziej Zakonu Świątyni.

- To dla kogo? - Wciąż mnie zaskakiwał.

- Dla niej. - Wskazał Ethernię. - Jestem jej to winien.

- Winien?

- Mam prośbę. - Jego chude, kościste palce zacisnęły się na moim przedramieniu. -

Nie mów jej o mnie.

- Jeśli taka jest twoja wola...

- Ani nie pytaj mnie już o nic więcej.

- Dobrze.

- Czas, byśmy zaczęli działać. - Sięgnął do sakwy. Wyciągnął z niej cztery długie różgi lub laski zwieńczone sporej wielkości kamieniami.

- Potrafisz otworzyć portal? - spytałem.

- Portal? - Roześmiał się. - Portale są dla niedouczonego bufonów, takich jak Exceus.

Sułtan myśli, że jestem tylko miernego poziomu czarownikiem i niech tak zostanie. Umiem dużo więcej, rycerzu, niż niejeden czarnoksiężnik.

- Co więc zrobisz? - Obserwowałem, jak wbija w ziemię pierwszą z lasek.

- Przenieś cię wprost na miejsce. Zwykle przeniesienie. Taka prosta sztuczka, której nauczył mnie kiedyś pewien Archaj. Portale nigdy nie będą tak bezpieczne i proste jak przeniesienia, tyle tylko, że portale działają w dwie strony, a przeniesienie jest jednorazowe.

- Ufam, że wiesz, co robisz. - Jego spokój i pewność siebie sprawiały, że i ja nie odczuwałem żadnego niepokoju.

Porfirion wokół Etherni utworzył kwadrat, w każdy z wierzchołków wbijając laskę.

Sprawdził starannie, czy kamienie zwrócone są w odpowiednie strony, a potem zadowolony z siebie przywołał mnie ruchem dłoni. Wstałem.

- Czy ten młodzieniec jest z tobą? - Wskazał na Julitę.

Spała, zawinięta w pelerynę, tak że nie było widać nic poza jej włosami.

- Tak. Jest ze mną - potwierdziłem.

- Będzie musiał stanąć razem z tobą obok Elohimy. Mam nadzieję, że Ethernia wybaczy nam, że będąc ludźmi, po raz ostatni bez jej zgody użyjemy jej mocy. Nie mamy innego wyjścia.

Pochyliłem się nad Julitą i niezbyt delikatnie potrząsnąłem jej ramieniem.

- Co, co się stało? - Zamrugnęła nerwowo oczami, patrząc wokół półprzytomnie.

- Zbieraj się. Czas w drogę. - Chwyciłem jej przedramię, pomagając wstać.

Miała dreszcze z zimna i zmęczenia. Stanęliśmy tak jak mówił Porfirion, w przestrzeni ograniczonej jego tajemniczymi laskami. Górale otoczyli nas, przyglądając się w milczeniu.

- Niech wasi bogowie będą dla was łaskawi - powiedział Porfirion, po czym rozłożył szeroko ramiona i zaczął wypowiadać zaklęcia.

Gwałtowne uderzenie jaskrawego światła zmusiło mnie do zasłonięcia oczu.

Czekałem, aż blask ustąpi, ale kiedy mimo upływu czasu to nie następowało, ostrożnie otworzyłem powieki. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że stoję tuż u podnóża góry, na której szczycie znajduje się warownia. Byłem w Baghras.

- Niesamowite - rzekłem bezwiednie.

Nie było żadnych ubocznych efektów, zawrotów głowy ani temu podobnych. Po prostu w okamgnieniu znaleźliśmy się wszyscy na miejscu. Przysiągłbym w tej chwili, że Miasto Śpiącego Demona, Porfirion i wieża radzy były tylko wytworami mojej wyobraźni, gdyby nie Elohima leżąca obok w ostrych promieniach południowego słońca.

Po błękitnym niebie przesuwały się leniwie obłoki. Pogoda była wspaniała.

Julita stała z zasłoniętymi wciąż oczami. Musiałem podejść do niej.

- Jesteśmy na miejscu - stwierdziłem, prawie siłą odrywając jej dłonie od twarzy.

Rozejrzała się niepewnie wokół, a ja w tym czasie podszedłem do Etherni i wziąłem ją na rękę.

- Idziemy - zarządziłem, wskazując brodą na szczyt góry.

- Jak sobie życzysz. - Julita, zdana teraz jedynie na mnie, zupełnie straciła rezon.

Kamienista droga wiała się pośród nierównych i stromych zboczy. Prowadziła jednak aż pod samą bramę.

Twierdzę w Baghras rozbudowano jeszcze od czasów, kiedy byłem tutaj ostatni raz.

Mury zdawały się wyrastać wprost z pionowych zboczy skał i były - równie jak one -

niedostępne. Mieliśmy jeszcze spory kawałek drogi do pokonania, a zdawało się, że idziemy niemal pod samymi umocnieniami. Wiedziałem, że powodowało to wysokie położenie warowni. Jako wrogowie stanowilibyśmy teraz wspaniałą cel dla obrońców. Obok bramy wisiały dwa wielkie sztandary z czerwonymi krzyżami zakonu. Od dawna nie czułem się tak wspaniale.

- Już nie mogę. - Zdesperowana Julita opadła ciężko na ziemię. - Najpierw mnie budzisz, a potem zmuszasz do takiej wspinaczki.

Zatrzymałem się, poprawiając na rękach bezwładną Ethernię.

- Bądź silna. To tylko kilka kroków. - Bezskutecznie starałem się ją zachęcić.

- Nie mogę. Proszę. Odpocznijmy moment. - Prawie płakała.

Wiedziałem, że mamy czas, ale nie mogłem doczekać się chwili, gdy ujrzę swoich braci. Czekałem

na to tyle lat.

- Chodź, odpoczniesz w twierdzy. - Nie zamierzałem ustępować.

- To mnie tutaj zostaw. Umrę sobie w spokoju. - Położyła się, dysząc.

Poirytowany, przerzuciłem Ethernę przez ramię, a potem podszedłem do Julity i wolną dłonią chwyciłem ją za ramię.

- Au, to boli! - Wyszarpnęła je gwałtownie.

Korzystając z jej nieuwagi, chwyciłem mocno szaty na jej plecach i jak królika podniosłem ponad ziemię.

- Co ty wyprawiasz! Jak śmiesz traktować mnie w ten sposób, jestem kobietą! -

Bezszykownie starała się odzyskać oparcie pod swoimi stopami. Bezszykownie wymachiwała przy tym rękami. Nic sobie z tego jednak nie robiłem. Ruszyłem dalej w stronę bramy, niosąc ją w ten sposób. Przez całą drogę obrzucała mnie wyzwiskami w rodzaju: „ty tępy żołdaku” czy też: „brutalny prymitywny morderco”. Musiała być naprawdę wykształconą kobietą, skoro jej obelgi należały do tak wyszukanych. Śmiałem się z nich, co jeszcze bardziej ją rozwścieczało. Pod bramą położyłem ją na ziemi.

- Teraz odpoczywaj, jeśli chcesz - stwierdziłem obojętnie.

Natychmiast wstała, a potem wymierzyła mi policzek, którego uniknąłem tylko dzięki szybkiemu unikowi.

- Jesteś, jesteś... - nie umiała znaleźć właściwego słowa.

Roześmiałem się rozbawiony, więc zrezygnowała, dając za wygraną. Dyszała bardziej niż ja.

- Hej, tam na bramie! - krzyknąłem z całych sił, przykładając dłonie do ust. -

Otwierać!

Nie było żadnego odzewu, więc po chwili znów krzyknąłem.

- Otwierać! Mówi do was Tomasz z Akwitanii!

W wąskiej szczelinie okna nad bramą pojawił się niewyraźny kształt w czarnej pelerynie konfratra.

- Panie, Tomasz z Akwitanii nie żyje! - głos, choć nieco przytłumiony odległością, brzmiał całkiem wyraźnie.

- Czy rozmawiam z dowódcą straży? - spytałem.

- Tak.

- Powiedz swojemu komandorowi, Piotrowi z Blois, że przybył Tomasz z Akwitanii.

On zna mnie osobiście.

- Panie. Komandor jest teraz na nabożeństwie...

- Zrób, co mówię! Chyba nie wyglądam na żebraka! - zareagowałem ostro.

- Nie wyglądasz, panie, ale mam swoje rozkazy.

- Posłuchaj mnie, bracie. Zrobisz, co uważasz za stosowne, ja jednak nie odejdę od tej bramy, a kiedy jutro albo pojutrze komandor spyta, dlaczego tak długo obozowałem pod twierdzą, zamiast wejść do niej i dbając o sprawy zakonu, jak najszybciej zdać sprawozdanie ze swojej misji, odpowiem zgodnie z prawdą, że wszystko to dlatego, że jeden z konfratrów odmówił mi drobiazgu, jakim jest poinformowanie komandora o moim przybyciu -

stwierdziłem spokojnie. - Podaj mi tylko swoje imię, abym nikogo niesprawiedliwie nie oczernił.

To chyba poskutkowało. Kształt w oknie znikł. Julita milczała, obrażona, ale nie zależało mi specjalnie na rozmowie.

Po długim oczekiwaniu rozległ się suchy jazgot łańcuchów. Brama podniosła się powoli. Wstałem, patrząc w tamtym kierunku. Od razu rozpoznałem Piotra oraz kapelana Baghras - Konrada. Towarzyszyło im pięciu uzbrojonych konfratrów.

- Tomaszu! Nie wierzę własnym oczom! Książę Edwin opowiadał o waszych chwalebnych czynach pod Ruad. Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek ujrzę cię żywym. -

Piotr rozłożył ramiona w geście powitania. Jego radość z pewnością nie była udawana. -

Witaj, bracie!

- Ani ja nie myślałem, że jeszcze kiedykolwiek ujrzę ciebie lub jakiegokolwiek chrześcijanina.

Uścisnęliśmy się. Radość nie zniknęła z twarzy Piotra.

- Kim są twoi towarzysze? - Spojrzał ponad moim ramieniem.

- Ja jestem kimś w rodzaju służącego. - Julita zaprezentowała się, zanim otworzyłem usta.

- A kim jest młoda dama w płaszczu?

- Wolałbym, aby nikt nie dowiedział się o jej pobycie w Baghras, zanim Wielki Mistrz i Marszałek zakonu nie poznają wszystkich związanych z nią szczegółów -

wyjaśniłem natychmiast. - Czy konfratrowie będą w stanie dochować tajemnicy?

Piotr natychmiast spoważniał.

- Zaprawdę, ważkie to muszą być powody, dla których jej obecność musi pozostać wiadoma tylko Wielkiemu Mistrzowi.

- Spojrzał na wartowników. - Dlatego możesz żądać od nas i naszych ludzi całkowitego posłuszeństwa.

- A więc musimy działać, zanim nasza obecność ściągnie tutaj innych. - Schyliwszy się, podniosłem Ethernę. Zasłoniłem jej głowę, ale bosa stopy wystawały spod białej materii.

Szybkim krokiem ruszyliśmy w stronę dziedzińca.

- Ukryjmy ją w zakrystii kościoła. - Brat Konrad wyciągnął spod sutanny pęk kluczy.

- Tam będzie bezpieczna przed wzrokiem ludzi.

- Odprowadźcie służę brata Tomasza do łaźni i dormitorium - Piotr wydał polecenie wartownikom.

- Tak, panie - potwierdzili.

- Piotrze, ale ona...

- Ona? To kobieta? - Zaskoczony, omal nie przystanął.

- Tak. Wiem, jakie są reguły zakonu, ale ona wielce mi pomogła. Wspólnie uciekliśmy przed niebezpieczeństwem i sporo zawdzięczam jej wiedzy. Poza tym wcale nie jest służą - powiedziałem.

Kątem oka zobaczyłem uśmiech na twarzy Julity.

- W takim razie i jej musimy zapewnić odosobnienie - zdecydował natychmiast Piotr.

- Tak jak mówisz - zgodziłem się.

- Skoro nie jest twoim służą, ufając twej obyczajności, przydzielę jej samodzielną celę obok twojej.

- Dziękuję, bracie. Muszę jednak skupić się na ochronie tej... kobiety... do czasu, aż odzyska siły, więc jeśli pozwolisz, będę czuwał przy niej.

- W takim razie dwu moich zaufanych ludzi będzie czuwało razem z tobą. -

Zatrzymaliśmy się przed bramą kolejnych umocnień.

- Obok zakrystii jest małe pomieszczenie. Każę służebnym przygotować dla ciebie posłanie.

- Będę wielce zobowiązany. - Pochyliłem lekko głowę.

W twierdzy panował ruch. Wszędzie kręcili się zbrojni. Widziałem, jak stajenni wyprzęgają konie z wozu pełnego prowiantu, a najemni szykują stosy drewna obok kadzi ze smołą. Na murach wciąż czuwali kusznicy. Wszystko to stanowiło nieomylny sygnał

powszechnej mobilizacji.

- Mamy nawet oddział turkopoli. Spodziewamy się w niedługim czasie wojsk sułtana, choć na razie panuje rozejm. - Piotr zauważył moje zainteresowanie. - W tajemnicy zdradzę ci, że nasi posłowie udali się na dwór sułtana, aby omówić warunki pokoju.

- Wiem o tym. To brat Edward oraz Rodryg. Moja tutaj obecność ma bezpośredni związek z ich poselstwem - zaskoczyłem go. - Będę potrzebował papieru, atramentu i pióra.

Muszę napisać list do Wielkiego Mistrza.

- Wszystko da ci brat Konrad - zapewnił Piotr.

Kiedy weszliśmy na główny dziedziniec, mogłem w pełni docenić rozmiary mobilizacji. Gęsty dym unosił się z komina kuźni. Przez otwarte drzwi widać było kowali.

Pracowali stłoczeni na niewielkiej powierzchni, a pod prowizorycznym zadaszeniem piętrzyły się stosy mieczy, pancerzy, hełmów oraz wszelkiego typu włóczni i toporów. Przy zaimprovizowanych z pni manekinach kilku rycerzy szkoliło rekrutów. Wszyscy byli tak zajęci, że nie zwracali na nas najmniejszej uwagi.

- Mamy trochę problemów z ilością oręża, ale myślę, że w porę zdążymy się wyposażyć.

- Pamiętaj, że kiedy nadejdzie pora, jestem do twojej dyspozycji, Piotrze.

- To dla mnie zaszczyt, myślę jednak, że Wielki Mistrz powierzy ci zarząd nad jakąś komandorią. Jeszcze bardziej niż oręża, brakuje nam doświadczonych dowódców.

Kościół mieścił się naprzeciw dormitorium. Kiedy weszliśmy do niego, Konrad wyciągnął spod sutanny pęk kluczy, a potem poprowadził nas do bocznej nawy. Tam przez ukryte za ołtarzem przejście oraz wąski korytarz dotarliśmy na tyły budynku. Konrad otworzył drzwi do niedużego pomieszczenia, w którym trzymał dewocjonalia.

- Pozwolisz, że zajmę się swoimi obowiązkami. - Piotr po bratersku położył dłoń na moim barku. - Jeśli będziesz czegokolwiek potrzebował, zwracaj się wprost do mnie.

- Dziękuję. - Uśmiechnąłem się.

- A ty, pani, pozwól ze mną. Choć klasztor templariuszy nie jest najwygodniejszym miejscem dla niewiast, postaram się, abyś mogła odświeżyć się i godnie przyodziać.

Odpowiedziała mu skinieniem głowy, po czym odeszli, pozostawiając mnie w towarzystwie Konrada. Dwu konfratrów natychmiast objęło wartę przed drzwiami do pomieszczenia, które

udostępnił mi kapelan. Wspólnymi siłami, szybko uprzątnęliśmy walające się tu i ówdzie przedmioty, a potem - gdy przyniesiono posłania - rozłożyliśmy jedno wprost na ziemi, a drugie, z braku miejsca, na granitowym stole, który zapewne kiedyś był ołtarzem. Na nim właśnie ułożyłem Ethernę. Rozpaliłem ogień w dawno nieużywanym kominku.

- Dla niej również będą potrzebne szaty - powiedziałem.

- Oczywiście - Konrad przytaknął gorliwie, a potem wyszedł i wrócił z długą, obszerną sutanną oraz cizmami.

- Mam tylko to. - Wyglądał na zasmuconego. - Nie gościmy zbyt często niewiast.

- Dziękuję. - Bez wahania przyjąłem sutannę. Nie wiedziałem, czy Elohimy odczuwają zimno, ale musiałem czymś ją przyodziać.

- Panie, nie sądzisz, że niezręcznie będzie, abyśmy to my ubrali tę damę? - Konrad wyglądał na zupełnie zdezorientowanego sytuacją.

- Masz rację - przyznałem. - Poczekamy, aż przyjdzie Julita. Ona się tym zajmie.

- Oczywiście. - Konrad się uspokoił. - Dobry pomysł.

Rozpiąłem pas, odkładając miecz obok posłania.

- Muszę przygotować się do wieczornej komplety. - Konrad otworzył drzwi. - W razie potrzeby będę w zakrystii.

- Dziękuję ci, ojcze. - Uśmiechnąłem się.

- Nic wielkiego. Staram się być pomocny - powiedział z uśmiechem, a potem wyszedł. Zostałem sam.

* * *

Julita - czym mnie zadziwiła - zupełnie nie przeciwstawiała się mojej woli, ani też nie protestowała, kiedy wymagano od niej, by przystosowała się do trybu życia zakonnej wspólnoty. Mało tego. Była mi wielce pomocna w opiece nad Etherną. Ubrała ją, wycinając w sutannie szczeliny tak, aby nie krępować skrzydeł. Kiedy odpoczywałem, przychodziła czuwać przy niej, a codzienne, wspólne msze święte przyjmowała jako rzecz zupełnie normalną, może poza jutrznią, na którą przychodziła zaspana i z całych sił starała się nie zasnąć przed jej zakończeniem. Kiedy zobaczyłem ją pierwszy raz czystą i schludnie ubraną, musiałem przyznać, że jest niezwykle urodziwa. Pewnie dlatego Piotr starał się pilnować, aby utrzymywała należyty dystans wobec mężczyzn na zamku. Ponieważ chętnie pomagała ojcu Konradowi w kościele, więc unikała towarzystwa rycerzy oraz konfratrów, a to z kolei całkowicie zadowalało Piotra. Kontakty między nią a mną traktował przy tym jako coś normalnego. Podejrzewam, że miało to związek z jego domysłami na temat zadania, które połączyło mnie i Julitę znową milczenia.

Napisałem do Wielkiego Mistrza list, w którym starannie opisałem swoje przeżycia, ufając przy tym,

że nie weźmie mnie za szaleńca. Przekazałem mu szczegóły rozmowy Edwarda oraz Rodryga z sułtanem.

Teraz mogłem jedynie czekać, obserwując, jak przebiegają przygotowania do oblężenia twierdzy i pilnując, by obecność Elohimy nadal pozostała tajemnicą. Ojciec Konrad w dobrej wierze przysłał do niej zaufanego medyka, ale kiedy wyjaśniłem, że nieświadomość, w jakiej się ona znajduje, jest przypadłością, z której nie uleczy jej żaden człowiek, nie domagali się, abym zdejmował z niej pelerynę, poprzestając na sprawdzeniu oddechu i ciepłoty ciała. Nadal nikt poza mną oraz Julitą nie wiedział, kim naprawdę jest Ethernia, a wszyscy wtajemniczeni byli przekonani, że to zwykła kobieta. Julita opowiedziała mi wiele o Elohimach, dzięki czemu wiedziałem, że wcale nie muszą spożywać posiłków, dlatego ze spokojem przyjmowałem kolejne mijające dni. Czasem jednak natchodziły mnie wątpliwości co do celu i sensu sytuacji, w jakiej się znajdowałem. Niepokoił mnie również brak jakiejkolwiek wiadomości od Wielkiego Mistrza. Bezczytność doskwierała mi w nie mniejszym stopniu niż niepewność. Starłem się wykorzystywać wolny czas na szkolenie adeptów w posługiwaniu się bronią oraz na własny trening.

Julita dbała o to, aby w pomieszczeniu, które zajęliśmy, było ciepło i czysto. Dzięki jej zabiegom zwykły magazyn na tyłach kościoła zmienił się w całkiem przytulny pokój. W

zasadzie jako templariusz nie powinienem korzystać z tych wygód, ale Julita spędzająca w nim nie mniej czasu niż ja, urządziła go z myślą o sobie. Znalazła nawet kilka ksiąg, które umilały jej czas. Powoli ten pokój stał się bardziej jej niż moim. Jej i Etherni. Zawsze po komplecie przychodziłem tam, aby spędzić z nimi jeszcze trochę czasu przed udaniem się na spoczynek. W pomieszczeniu panowało przyjemne ciepło, czego nie mogłem powiedzieć o swojej celi.

Tego wieczoru, w czasie ostatniego nabożeństwa zauważyłem, że miejsce obok Piotra, które zawsze zajmowała Julita, jest puste. Zastanowiło mnie to, jednak nie stanowiło powodu, aby rezygnować z modlitwy. Mniej więcej w połowie komplety z bocznej nawy wyszła Julita. Jej rozogniony wzrok i nerwowe ruchy zdradzały, że jest niezwykle poruszona.

Podeszła do mnie i nie zwracając uwagi na zainteresowanie oraz zamieszanie jakie wzbudziła, powiedziała wprost:

- Ona się budzi.

- Co? - w pierwszej chwili nie zrozumiałem.

- Ona się budzi i lepiej, żebyś tam był. - Chwyciła mnie mocno za rękaw kaftana.

Przeżegnałem się, napotykając pytające spojrzenie Piotra, a potem poszedłem szybkim krokiem za Julitą. W korytarzu słyszałem jeszcze za plecami śpiew braci. Minęliśmy dwu zdezorientowanych strażników, po czym znaleźliśmy się w jej pomieszczeniu. Miała rację. Ethernia budziła się, a właściwie dochodziła do siebie.

Biały płaszcz leżał na krawędzi posłania, a Elohima klęczała na posadzce, zwinięta w paroksyzmie bólu. Jej szeroko rozłożone na boki skrzydła drgały lekko. Blask od ognia w kominku rozpałał

wielobarwne iskry na połyskujących piórach. Cień skrzydeł okrywał jej sylwetkę jak całun.

W pierwszym odruchu chciałem pomóc jej wstać, ale Julita natychmiast mnie powstrzymała.

- One tego nie lubią. Są złe, kiedy dotyka ich śmiertelnik - powiedziała ostrzegawczo.

Elohima wsparła się na dłoniach, potem uniosła nieco. Długie, jasne włosy o złotym odcieniu zakrywały jej ramiona. Po chwili poruszyła się, podnosząc głowę. Zobaczyłem jej twarz i... oczy. Duże, uważne i łagodne oczy o niewiarygodnie zielonych tęczówkach.

- Boże, jaka ona piękna. - Miałem wrażenie, że widzę ją po raz pierwszy. Julita odeszła w głąb pomieszczenia, starając się utrzymywać daleko za moimi plecami.

Z wielkim wysiłkiem Elohima wyprostowała się, ale nie miała sił, aby wstać.

Siedziała więc, patrząc na nas. Opuściła bezsilnie skrzydła, tak że ścieliły się tuż nad samą posadzką. Kiedy zrobiłem krok w jej stronę, drgnęła niespokojnie.

- Pani, nie obawiaj się. Jestem Tomasz z Akwitanii, nic ci nie grozi - powiedziałem, przyklękając na jedno kolano.

Na jej twarzy nieoczekiwanie zagościły chłód i wyniosłość.

- Nie obawiam się ciebie, człowieku - jej głos brzmiał niezwykle melodyjnie. - Jakim prawem przetrzymujesz mnie w tym cuchnącym lochu?

- To nie loch, tylko kościół Najświętszej Pani, a jest skromny, bo stanowi własność zakonu, który ślubował wiarę i ubóstwo - wytłumaczyłem.

- Pokaż mi natychmiast drogę do wyjścia, człowieku nazywany Tomaszem. Żądam tego od ciebie!

- Mówiłam ci - odezwała się cicho Julita. - One takie są.

- A ty milcz! - Ethernia spojrzała na nią surowo. - Nie nakazałam ci mówić.

- Pani - zwróciłem się do Etherni. - Możesz opuścić to miejsce w każdej chwili, ale jesteś jeszcze słaba, a twoi towarzysze prosili mnie, abym zaopiekował się tobą, póki nie będziesz w pełni sił.

- Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób, człowieku. Co może dla mnie zrobić tak słaba jak ty istota?! Na pewno żaden z moich przyjaciół nie zniżył się do rozmowy z tobą.

Widzę, że twoje dłonie splamione są śmiercią innych ludzi. Jesteście jak pożerające się nawzajem zwierzęta.

Julita roześmiała się jadowicie.

Wstałem, ugodzony do żywego zachowaniem Elohimy.

- Pani. - Rozłożyłem szeroko dłonie. - Te drzwi zaprowadzą cię do głównej sali, a z sali wyjdiesz na dziedziniec twierdzy. Myślę, że jestem zwolniony z danego słowa, a więc rób, co uważasz za stosowne. Ashariel oraz Aschimalieel nie powiedzieli, jak niewdzięczne zadanie mi przeznaczili.

- Ashariel i Aschimalieel? - Na twarzy Elohimy pojawiło się coś na kształt zmieszania. - Gdzie ich widziałeś, człowieku?

- W wieży radży Tedonga, w magicznej krypcie, w której było twoje prawdziwe więzienie.

Ethernia podniosła się, stając na drżących nogach naprzeciw nas. Dopiero teraz dostrzegłem, że jest wyższa ode mnie o głowę. Przez jej szczupłość nie uświadamiałem sobie tego.

- Człowieku Tomaszu, czy pozwolisz, że potwierdzę prawdę w twoich słowach? -

spytała nieoczekiwanie łagodnym głosem.

- Nie zgadzaj się - odezwała się natychmiast Julita. - Ona chce sprawdzić twoje myśli i wspomnienia. Nie pozwól jej grzebać w swojej głowie.

- Jeśli potrafi to robić, na pewno i tak to uczyni. - Obojętnie wzruszyłem ramionami.

- Mylisz się, człowieku. - Ethernia znów przybrała wyniosłą pozę. - Nie jesteśmy takimi dzikusami jak wy i nigdy nie zrobimy czegoś takiego wbrew twojej woli.

Nie było w moim życiu wydarzeń, w których postąpiłbym niezgodnie z własnym poczuciem sprawiedliwości, nie zamierzałem więc niczego ukrywać.

- Jeśli chcesz, Ethernio, możesz sprawdzić mój umysł. Nie wzbraniam się przed tym -
powiedziałem.

W moim umyśle pojawiło się to samo uczucie spokoju, jakie towarzyszyło mi w krypcie. Nie trwało to długo i zanim się zorientowałem, minęło bezpowrotnie. Ethernia jeszcze przez dłuższą chwilę milczała, stojąc z zamkniętymi oczami. Kiedy je otworzyła, uśmiechnęła się do mnie.

- Dziękuję ci, człowieku. - Po jej wyniosłości nie pozostał nawet ślad. - Wiem, kim jesteś i dlatego nie spytam cię, co mogę zrobić dla ciebie w zamian.

- Za to dla mnie mogłabyś coś zrobić - przypomniała o sobie Julita.

- Czego oczekujesz?

Za drzwiami rozległy się szybkie kroki zbliżającej się osoby.

Ethernia rozprostowała skrzydła, a potem z zadziwiającą gracją oplótła nimi swoje ciało. Zarzuciła na ramiona pelerynę, tak że najmniejsza nawet fałda nie zdradzała ich obecności.

Piotr, wchodząc do pomieszczenia, stanął zaskoczony jej widokiem.

- Nic ci nie jest, pani? - spytał, kłaniając się. - Obawialiśmy się, że słabość, która cię dotknęła, nie minie szybko.

- Padłam ofiarą magii, ale teraz już powróciłam do zdrowia. - Ethernia skłoniła lekko głowę.

- Mój zakon dokłada wszystkich sił, aby wypenić ze świata zło, jakie niosą ze sobą magia i czary. - Piotr z dumą dotknął swojego miecza.

- Nie wątpię - stwierdziła wymijająco.

- Tomaszu, wydarzyło się coś, co wymaga twojej obecności. Opowiadałeś, że widziałeś różne stworzenia w Oriencie. Chciałbym, abyś coś zobaczył - zwrócił się do mnie.

- Oczywiście. Już idę - powiedziałem.

Ku mojemu zaskoczeniu, Julita oraz Ethernia ruszyły za nami. Przemknęliśmy przez kościół, nie przeszkadzając w nabożeństwie, a potem wyszliśmy bocznym wyjściem.

Na dziedzińcu zebrała się spora grupa osób. Wszyscy patrzyli na zachodnią wieżę, pokazując sobie coś nawzajem i dyskutując. Powiodłem spojrzeniem w kierunku, który wskazywali. Tuż pod szczytem wieży, na występie muru siedziała jakaś istota, którą w pierwszym momencie wziąłem za olbrzymiego orła. Zanim jednak otworzyłem usta, ubiegła mnie Julita.

- To harpie. Przeklęte harpie sułtana.

- Sułtana? - Piotr był zaskoczony.

- Tak. Sułtana - potwierdziłem. - On zajmuje się magią, widziałem w jego pałacu te stworzenia.

Harpia przestępowała z nogi na nogę, szczerząc złowrogo trójkątnie zęby. W pewnym momencie wysunęła spod upierzonych skrzydeł chude ramiona i zapierając się szponami o szpary cegieł, wpełzła na spadzisty dach.

- Celujcie w to cudactwo! - polecił stojącym nieopodal kusznikom Piotr.

- Ona i tak już nas widziała. To bez znaczenia. Sułtan wie już o nas. - Julita skrzywiła się z niechęcią.

- Strzelać! - Piotr machnął dłonią. Ciężki kusz syknęły i bełty pomknęły w stronę bestii. Przejmujący gardłowy pisk świadczył, że dosięgły celu. Harpia zachwiała się, a potem runęła w dół. Głucho uderzyła w ziemię u podnóża wieży, obok beczek z wodą.

Ludzie pobiegli w tamtym kierunku, aby na własne oczy zobaczyć ją martwą. W

spojrzeniu Etherni dostrzegłem najwyższą pogardę. Julita też nie wyglądała na zachwyconą.

Kilku stojących nieopodal rycerzy rozmawiało przyciszonym głosem, lecz zorientowałem się, że obiektem ich zainteresowania jest Ethernia. Miała na sobie biały płaszcz z czerwonymi krzyżami, zastrzeżony dla członków zakonu, a w ich oczach była tylko kobieta.

To tłumaczyło wszystko.

- Chodźmy stąd - powiedziałem, odwracając się od nich. Wiedziałem, że mogą zażądać, aby zdjęła barwy templariuszy, a to nie byłoby wskazane. Na szczęście panowało na tyle duże zamieszanie, że nikt nas po drodze nie zatrzymywał.

Wiedziałem, że skoro harpie są oczami sultana, Baghras w krótkim czasie stanie się obiektem jego zainteresowania. Na pewno będzie dążył do ujęcia mnie i ukarania zakonu za niedotrzymanie umowy. Spodziewałem się ataku jego wojsk, gwałtownego szturm na mury twierdzy, spodziewałem się wszystkiego, ale nie tego, co się przed chwilą wydarzyło. Nie doceniłem sultana oraz jego doradców.

Ethernia pozostała w pomieszczeniu kościoła, starannie unikając towarzystwa ludzi, natomiast ja i Julita wyprowadziliśmy się do celi przylegających do dormitorium. Kiedy następnego ranka poszedłem odwiedzić Ethernię, okazało się, że drzwi w bocznej nawie są zaryglowane i w żaden sposób nie byłem w stanie ich otworzyć. Ethernia odesłała strażników, a potem nikt już nie umiał dostać się w pobliże jej pokoju. Nawet wspólnie z ojcem Konradem nie mogliśmy tego uczynić. Furta drzwi po prostu wrosła w kamienną ramę.

- To wygląda jak... - Z lękiem dotykał drzwi, ostrożnie je badając. - ...jak magia.

Choć mówił półgłosem, jego szept wzbudzał niepokojące echo w zimnych przestrzeniach kościoła.

- Nie mów o tym nikomu - poprosiłem.

- Panie, magia w kościele może być tylko dziełem szatana. - Bał się. Przelykał

nerwowo ślinę, a jego rozbiegane oczy pełne były przerażenia.

- Wierz mi. To nie ma nic wspólnego z szatanem. - Uspokajającym gestem położyłem dłoń na jego ramieniu. Był otyłym mężczyzną, na pulchnym obliczu i otoczonej wiankiem włosów łysinie pojawiły się krople potu. Wytarł je delikatną dłonią.

- Może powinniśmy zawołać kogoś...

Nie przekonałem go, ale zanim zdołałem cokolwiek powiedzieć, drzwi same otworzyły się szeroko.

- Widzisz? - Uśmiechnąłem się. - Nie masz powodu do niepokoju.

- Nie jestem pewien. - Wskazał na wnętrze korytarza.

Kamienne ściany, podłogę oraz sklepienie pokrywał dziwny, błękitnozielony blask.

Jakby światło zmieniło się w ciecz i okleiło wszystko, zbierając się w szczelinach muru dużo grubszą, fosforyzującą warstwą.

Przekroczyłem próg, wtedy drzwi zatrzasnęły się gwałtownie z hukiem. Usłyszałem coś, jakby muzykę albo śpiew. To było przyjemne wrażenie, na granicy słyszalności. Kiedy dotknąłem ściany, światło przylgnęło do moich palców. Było ciepłe, ale zgasło po chwili, pozostawiając uczucie mrowienia, a właściwie łaskotania w dłoni.

Drzwi do pokoju Etherni czekały na mnie otwarte. Tam właśnie poszedłem. Elohima siedziała ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, z dłońmi złożonymi jak do modlitwy i zamkniętymi oczyma. Jej szata lśniła wszystkimi możliwymi kolorami w fałdach oraz załamaniach materiału. Wokół niej na podłodze powoli obracał się utworzony z intensywnie białego światła magiczny krąg. Symbole na nim wydały mi się znajome, choć wątpię, bym kiedykolwiek wcześniej je widział. Iskrzący się pył wypełniał przestrzeń pokoju.

Elohima otworzyła oczy i poruszyła dostojnie skrzydłami.

- Witaj, człowieku. - Uśmiechnęła się.

- Witaj, pani. Co to wszystko oznacza? - Zatoczyłem dłonią szeroki łuk.

- Staram się jak najszybciej odzyskać moc. Powiedz innym ludziom, aby mi nie przeszkadzali.

- Nie wiem, czy mnie posłuchają - stwierdziłem.

- Dlaczego?

- Ludzie boją się magii. Nie rozumieją jej.

- A ty?

- Co ja?

- Ty się jej nie boisz?

- Boję się, ale są w życiu rzeczy ważniejsze, dla których trzeba pokonać strach.

- Boisz się? Dziwne słowa w ustach kogoś takiego jak ty.

Zaczęła poruszać dłońmi w sposób, jaki widziałem kiedyś u orientalnych tancerek.

Powietrze wokół jej palców zaczęło drżeć. Miałem wrażenie, że te palce falująco zagęszczają powietrze.

- Każdy człowiek się boi. Boi się śmierci. Czy istotom takim jak ty strach jest obcy?

- My jesteśmy wieczne. Nie boimy się śmierci. - Wykonała dziwny ruch, jakby odpychała coś od

siebie i dwie falujące kule powietrza połączyły się w jedną, po czym zaczęły płynąć w moją stronę.

- My umieramy - stwierdziłem, patrząc uważnie na zbliżającą się powoli kulę.

- Ale też w pewien sposób jesteście wieczni - rzekła. - Podobno wierzycie w coś, co nazywacie duszą.

- Wierzymy. - Chciałem się cofnąć, ale moje nogi wrosły w podłogę.

- To nieprawda. - Uśmiechnęła się.

- Co więc jest prawdą?

- To, co widzisz.

Teraz już miałem pewność, że odebrała mi władzę w całym ciele.

- Co ze mną robisz?

- Nic, co powinno cię niepokoić. - Znow zamknęła oczy i wtedy kula dotknęła mnie.

Zawirowała wokół, po czym znikła, rozplywając się w powietrzu.

- Ty, człowieku, umierasz już teraz. Sułtan zatrul twoje ciało powolnie działającym zaklęciem, abyś nie mógł nikomu zdradzić jego tajemnic i opowiedzieć o wieży. - Jej zielone oczy patrzyły na mnie badawczo. - Uratowałeś mnie, teraz ja uratuję ciebie. Pamiętaj, nigdy nie ufaj żadnemu czarownikowi, czarnoksiężnikowi lub magowi.

Władza w ciele wróciła. Oszołomiony, zachwiałem się nieco i wsparłem o ścianę.

Nagła słabość omal nie powaliła mnie na kolana. Ethernia opuściła głowę, rozkładając na boki ramiona. Magiczny krąg zgasł, choć błękitna poświata, wypełniająca pomieszczenie, wciąż była intensywna.

- Chciałabym poznać cię dużo bliżej, człowieku. - Położyła dłonie na kolanach, układając je wnętrzem do góry. Uśmiechała się do mnie.

- Co masz na myśli? - Opanowałem się, stając prosto.

- Usiądź naprzeciw mnie - w tonie jej głosu nie było ani nuty rozkazu. Pewnie dlatego zrobiłem, co chciała, jedną dłonią przytrzymując wiszący przy pasie pugiński.

- Wciąż czuję, że się mnie obawiasz.

Miała rację, nie odpowiedziałem jednak.

- Połóż swoje dłonie na moich - powiedziała.

Zrobiłem to. Miała bardzo delikatne opuszki palców. Jej piersi zafalowały niespokojnie, a potem zamknęła powieki. Obrazy uderzyły we mnie gwałtownie. Były tak realne, że przeraziłem się tego. Zobaczyłem chmury i jakieś nic nieprzywodzące na myśl kształty. Natychmiast cofnąłem dłonie. Obrazy znikły.

- To magia? - zapytałem.

- To rzeczywistość, twoja rzeczywistość w przyszłości. Pokażę ci ją w zamian za twoją przeszłość.

- Nie chcę - wzbroniłem się natychmiast.

- Dlaczego?

- To może ją zmienić... jeśli będę wiedział, jaka będzie.

- Twój rozum wyrasta ponad przeciętność. - Zobaczyłem zadowolenie na jej twarzy. -

Pokażę ci jednak tylko kilka obrazów, dzięki którym łatwiej podejmiesz decyzje.

- Nie chcę - rzekłem mimo to.

- Uszanuję twoją wolę. - Uśmiechnęła się. - Mogę więc dać ci coś innego.

- Co?

- Sam zobaczysz. - Jej uśmiech stał się tajemniczy.

Powróciłem dłońmi do jej dłoni. Obrazy się nie pojawiły.

Poczułem jednak prawdziwy spokój i bezpieczeństwo, jakbym wrócił do dzieciństwa

- wtedy właśnie ostatni raz czułem się w ten sposób. Nieoczekiwanie pojawiło się wrażenie czyjejś obecności. Nie fizycznej. Raczej czyjaś osobowość otoczyła mnie, a ja znalazłem się w jej centrum. Obraz w moich oczach rozmył się w niewyraźne plamy. Zapadłem w głąb siebie.

- Rozluźnij się. Chcę tylko ciebie poznać - głos odezwał się w mojej głowie, ale wiedziałem, że to Elohima.

- W jakim celu to robisz?

- Są rzeczy, których nie pojmiesz. Wierz mi, że to ważniejsze dla ciebie niż dla mnie.

Otoczająca mnie osobowość zaczęła przenikać do mojego wnętrza. Jakby stopniowo nasze jestestwa się łączyły. Przynosiło mi to niezwykle ukojenie. Zdawałem sobie jednak sprawę z tego, że jestem tylko małą jej częścią, niewielkim fragmentem i nigdy nie odkryję prawdziwej natury oraz potęgi tej istoty. Poddałem się jej.

- Czas jest równie plastyczny jak przestrzeń i można na niego wpływać - głos był

wciąż we mnie. - Można go zwalniać, odwracać, przemieszczać się w nim jak w przestrzeni.

Wymaga to jednak wiedzy i mocy, które wam, ludziom, nigdy nie będą dane. Ja jednak sprawię, że nauczysz się kontrolować jeden z drobnych aspektów czasu. Będziesz umiał

dzięki temu przyspieszyć bieg swoich myśli i działać z szybkością, która wyda się niepojęta innym ludziom. A teraz daj mi poznać najmroczniejsze fragmenty twojej osobowości.

Rozluźniłem się, potem pozwoliłem, aby moje myśli biegły zupełnie dowolnym nurtem. Delektowałem się jej obecnością. Zdałem sobie sprawę z ogromu jej osobowości. Ja byłem tylko niedużym zagęszczeniem, małą sferą w rozległych, wypełnionych jej obecnością wymiarach. Kiedy mnie opuściła, miałem wrażenie powrotu chłodu i pustki.

Otworzyłem oczy, natrafiając na spojrzenie jej zielonych oczu. Uśmiechała się.

- Jesteś inny, niż myślałam - powiedziała. - Zadziwiłeś mnie.

- Co masz na myśli? - Wyglądała naprawdę dostojnie i dumnie, a jednak nie czułem wobec niej dystansu. Jeśli istniały kiedykolwiek anioły, Elohima na pewno była jednym z nich.

- Twoje życie pełne jest krwi i przemocy, a jednak zachowałeś coś, dzięki czemu możesz stać się jednym z exousiai.

- Kim, pani? - nie rozumiałem.

- Jeszcze musisz się wiele nauczyć, człowieku Tomaszu, ale wszystko w swoim czasie. Pomogę ci w tym. - Wstała, po czym zakreśliła wokół siebie łuk. Znow otoczył ją magiczny krąg. - A teraz zostaw mnie samą i zadbaj, by mi nie przeszkadzano.

- Tak, pani. - Ukłoniłem się, a potem powoli wyszedłem. Kiedy wróciłem do nawy, drzwi korytarza na powrót połączyły się z murem, zamykając dostęp do pomieszczeń Etherni.

Ojciec Konrad modlił się, leżąc krzyżem przed ołtarzem. Postanowiłem mu nie przeszkadzać.

Od tamtej pory Ethernia nie wzywała mnie już do siebie. Jedyne niedostępność tej części kościoła świadczyła o jej ciągłej obecności.

* * *

Sułtan uderzył, ale w zupełnie inny sposób, niż się spodziewałem. To był pochmurny, niedzielny poranek. Gęste mgły, spowijające dolinę, całkowicie zasłaniały jej widok. Było w nich coś nienaturalnego, coś, czego nie umiałbym nawet nazwać. Po posiłku, razem z dowódcą straży wybrałem się na mury twierdzy, aby sprawdzić rozlokowanie wartowników.

Minęliśmy właśnie południową wieżę i znaleźliśmy się koło bramy, kiedy chłodne, pełne wilgoci

powietrze przyniosło do naszych uszu obcy dźwięk. Jakby szcęk albo szelest oraz ledwie słyszalne prychnanie koni.

- To zza muru. - Dowódca zmarszczył brwi, nasłuchując.

- Tak. Zza muru. - Wychyliłem się przez blanki, obserwując okolicę. Mgła snuła się leniwie, a dźwięk narastał. Po chwili odezwała się muzyka. Znałem już tę muzykę.

Nadciągała armia sułtana. W całej swej potędze i sile.

- To dźwięki zwiastujące wojnę - powiedziałem, natrafiając na pytające spojrzenie dowódcy. - Oni nadchodzą.

Jego twarz pobladła.

- Trzeba natychmiast wszystkich powiadomić! - Odwrócił się, a potem pośpiesznie ruszył w stronę schodów.

Pozostałem, nadal w milczeniu nasłuchując. Odległość zniekształcała nieco dźwięki i perspektywę, ale przez bladobiałe opary poranka coraz silniej przebijała mroczna niepokojąca barwa. Kiedy przyglądałem się uważnie, w niektórych miejscach mogłem dostrzec, że to nie kolor ziemi, a falującego w rytm kroków ludzkiego morza. Mieliśmy jeszcze sporo czasu na przygotowania, lecz oni zbliżali się, przynosząc ze sobą nieubłagany wyrok losu.

Gdziekolwiek widać było ogniki pochodni. Kiedy dźwięki ucichły, a wojownicy stanęli, mgła się rozwiała, jak gdyby to, co utrzymywało jej istnienie, nagle przestało działać.

Widok zapierał dech w piersiach. Jak okiem sięgnąć stało mrowie wojska. W

równych szeregach, w milczeniu. Jeszcze nie spotkałem się z takim sposobem prowadzenia wojny u niewiernych. Zwykle do bitwy stawali w całkowitym nieporządku. Teraz jednak było zupełnie inaczej. Pierwsze szeregi składały się z rzędu nieuzbrojonych fellachów trzymających drabiny i haki. Dopiero za nimi stała falanga piechoty, łucznicy i hordy wojowników. W oddali dostrzegłem centrum wojsk, ubezpieczane przez ciężkozbrojnych konnych jeźdźców. Było tam jeszcze coś. Jakby olbrzymia skrzynia albo obudowany metalowymi ścianami wóz. Znałem wiele machin oblężniczych, ale to z pewnością nie było żadną z nich. Na okutych sztabami stali bokach widniał wzór, jakby węże. Musiałem wysilić wzrok, aby to dostrzec. Zawartość wozu musiała być niezwykle cenna, skoro stanowiła jądro armii.

Za moimi plecami odezwał się dzwon kościoła. Szybkie kroki, szcęk oręża oraz nerwowe pokrzykiwania świadczyły o mobilizacji w całej twierdzy. Po lewej i po prawej stronie kusznicy wbiegali na mury, a nad dziedzińcem podniósł się gęsty dym ognisk rozpalanych pod kotłami smoły. Wśród wbiegających na mury ludzi byli też Julita i ojciec Konrad. Kiedy stanęli obok mnie, mogli w pełni ocenić siły szykujących się do zdobycia twierdzy.

- Dobry Boże, miej nas w swojej opiece. Jesteśmy zgubieni! - zawołał z rozpaczą ojciec Konrad.

- Idź się pomodlić za nas, ojcze. - Spojrzałem na niego z przyganą. - Jeśli tylko w ten sposób umiesz nam pomóc.

- Ich jest tak wielu... - Julita stała tuż obok mnie. Jej rozszerzone źrenice i szybki oddech zdradzały panikę. Oparła się o występ muru, jakby upewniając się co do jego solidności i rozbieganym wzrokiem starała się ogarnąć rozpościerający się obraz. Nawet nie zauważyła, że wiatr zdarł z jej głowy kaptur, szarpiąc jasnymi włosami. W pewnym momencie armia sultana zaczęła skandować głośno wiwaty na jego cześć, a grom tysięcy głosów przetoczył się przez dolinę. Na ten dźwięk Julita skuliła się przestraszona.

Uspokajającym gestem położyłem dłoń na jej ramieniu. Spojrzała na mnie półprzytomnym wzrokiem.

- Nie obawiaj się. Wystarczy nas, aby obronić twierdzę. W Jerozolimie w trzydziestu braci broniliśmy klasztoru, a to przecież wspaniale umocniona twierdza. - Uśmiechnąłem się.

- Tym razem nie dam się wziąć żywcem. - Zaciśnęła dłoń na purbie, wyciągając sztylet spod szat.

- Bądź spokojna. Żaden niewierny nie wejdzie do twierdzy templariuszy. Masz na to moje słowo. - Dotknąłem dłonią swojej piersi w geście przysięgi. Wyraźnie podniosło ją to na duchu.

- Obiecuj mi, że mnie nie zostawisz - poprosiła po chwili.

- Obiecuję - powiedziałem. - A teraz muszę przysposobić się do bitwy. Ty możesz pomóc w lazarecie.

Odwróciłem się, zszedłem z murów i szybkim krokiem skierowałem się do zbrojowni. Panował w niej nieopisany ruch. Ludzie tłoczyli się, pokrzykiwali na siebie, pośpiesznie sprawdzali broń. Ledwie odnalazłem wolnego służebnego, który pomógł mi założyć zbroję oraz pas z mieczem i puginałem. Do walki pieszej nigdy nie używałem tarczy, która zbyt krępowała ruchy. Wolałem używać puginału jako lewaka. W zakonie znano ten mój dość niecodzienny styl walki.

Narzuciłem na ramiona płaszcz, nasunąłem na głowę hełm i czym prędzej powróciłem na mury. Julita stała tam jeszcze, a obok niej Piotr w zbroi rozdzielał właśnie zadania dla dowódców.

- Jak dobrze, że jesteś. - Mój widok go ucieszył. - Potrzebujemy doświadczonego rycerza do kierowania obroną bramy. To najtrudniejszy odcinek i bardzo potrzebujemy tam twojej pomocy.

- Jestem pod twoimi rozkazami, Piotrze. - Uśmiechnąłem się.

- Cieszy mnie to. - Oburącz uściśnął moją dłoń.

Za murami znów przetoczył się grom wiwatów.

Spojrzeliśmy wszyscy w stronę powiewających na wietrze zielonych sztandarów oblegającej nas armii.

- Dzieje się coś dziwnego. Spójrz, Tomaszu. - Piotr wskazał w stronę prawego skrzydła. - Wciąż

nadchodzą, ale to nie mamelucy. To rycerze naszego zakonu...

W pierwszej chwili myślałem, że mam przywidzenia, ale oczy mnie nie okłamały.

Zimny szary blask stali oraz białe kropierze na koniach i jaki z krzyżami były wyraźnym dowodem. Templariusze dołączyli do armii sułtana w równych szeregach chorągwi.

- Rozumiesz coś z tego? - Piotr spojrział na mnie, wyraźnie zdezorientowany.

Przez środek wojska przetoczyło się coś, co z tej odległości wyglądało jak żywa fala.

Od tajemniczego wozu aż do podnóża góry, na której wznosiła się twierdza, powstała szczelina, a właściwie przejście między wojskami. Wóz z wciąż towarzyszącymi mu ciężkozbrojnymi ruszył tym właśnie przejściem w naszą stronę, a temu wszystkiemu towarzyszyła dziwaczna muzyka wygrywana na cymbałach oraz egzotycznych instrumentach.

Milczałem, starając się zrozumieć to, co widziałem.

Trzech konnych zbliżało się krętą drogą pod bramę Baghras. Wyglądali na posłów, lecz jeden z nich był templariuszem, jeden dominikaninem, a jeden jeźdźcem sułtana. Wóz zatrzymał się na czele armii, oni natomiast podjechali pod samą bramę twierdzy.

- To brat Edward - powiedziałem, rozpoznając pierwszego z posłańców. - Widziałem go na dworze sułtana.

- Jeśli zakon sprzymierzył się z sułtanem, dlaczego ściągnęli tutaj aż tyle wojska? - spytał Piotr.

- Chodźmy się przekonać. - Podeszedłem do muru, po czym wychyliłem się tak, aby widzieć posłów.

Jeździec przyłożył dłonie do ust, a potem uniósł się nieco na koniu, nabierając powietrza w płuca.

- Wojownicy z Zakonu Świątyni! - krzyknął, niezbyt poprawnie wymawiając słowa. -

Jestem Mustafa Al-Murad, gwardzista sułtana Mohammeda Abdula Al-Sarafa, który wspomniałomyślnie ofiarował wam pokój. W imieniu mojego pana oraz Wielkiego Mistrza waszego zakonu domagam się spotkania z komandorem twierdzy. Towarzyszący mi mężowie zaświadczą o prawdziwości moich słów.

Odwróciłem się. Piotr przegarnął dłonią swoją gęstą brodę, a potem wydał rozkaz strażnikom, aby otworzyli bramę.

- Mam nadzieję, że nie jest to jakiś szatański podstęp - powiedział do mnie.

- Na pewno tak nie jest - odrzekłem, choć podobnie jak on miałem wątpliwości.

- Chodźmy do sali konwentu. Tam ich przyjmemy. - Piotr przywołał mnie gestem.

Julita poszła razem z nami, mimo że jej nie zapraszano. Nikt jednak nie protestował przeciw jej obecności.

Sala konwentu była pomieszczeniem o surowym wystroju, w którym raz w tygodniu zbieraliśmy się, aby omówić najpilniejsze problemy. Pobielone wapnem ściany, potężny krucyfiks oraz stół i ławy były jedynym wyposażeniem. Tym razem zebraliśmy się okuci w stal, pełni niepewności.

Kiedy na korytarzu rozległy się ciężkie kroki, wiedzieliśmy, że to posłowie.

- Witajcie. - Piotr skłonił lekko głowę na ich widok.

- Jestem komandorem tej twierdzy, to Tomasz z Akwitanii, ojciec Konrad, nasz kapelan, szatny i kwatermistrz zakonu, Ferdynand z Aranii oraz zbrojmistrz, Ludwik z Magdeburga.

- Kim jest ta dziewczka? - Dominikanin wskazał na Julitę.

- Kim jesteś, jeśli tak butnie pytasz? - Urażony jego arogancją, Piotr wystąpił o krok do przodu, kładąc dłoń na rękojeści miecza.

- Wybacz, bracie Piotrze - natychmiast odezwał się Edward. - To ojciec Paweł z Kastylii. Inkwizytor Watykański. Zanim rozpoczniemy rozmowy, proszę, przeczytaj ten dokument napisany do ciebie przez Wielkiego Mistrza.

Edward wyciągnął spod płaszcza zwinięty w rulon pergamin, a potem podał go Piotrowi. Ten złamał pieczęcie i marszcząc brwi, spojrzał na pismo. Widziałem, jak w miarę czytania na jego policzki występują rumieńce.

- Czy wiesz, czego żąda Wielki Mistrz w tym piśmie?

- Spojrzał na mnie rozpalonym złością wzrokiem.

- Tomasz z Akwitanii powinien opuścić salę, aby nie uczestniczyć w dalszych rozmowach - rzekł zdecydowanie Edward.

- Mój pan od waszego postępowania uzależnia przyszłość rozejmu między zakonem templariuszy a jego sułtanem - poparł go Mustafa. - Będzie wielce niezadowolony, jeśli...

- Milczcie! - Piotr wściekły wskazał na nich palcem.

- Milczcie! Znam wolę Wielkiego Mistrza i ocenę sytuacji sułtana, ale teraz, w tej twierdzy, to ja decyduję o tym, co słuszne, a co nie! Tomasza z Akwitanii znam od dawna i jestem pewien, że to wszystko zwykłe pomówienia oraz dworskie intrygi, oczerniające tak zacnego męża. A jego towarzysze są moimi gośćmi.

Podał mi pergamin, nie zwracając uwagi na konsternację posłów. Już kilka pierwszych słów wystarczyło mi, by zorientować się w sytuacji. Wielki Mistrz domagał się od Piotra wydania przedstawicielowi sułtana demona imieniem Ethernia, który zawładnął

moją duszą. Spodziewając się oporu z mojej strony, dał Piotrowi wolną rękę w zastosowaniu wobec mnie wszystkich środków, które umożliwią wypełnienie posłom zadania. Nie domagał

się ode mnie niczego wprost i o ile nie przeciwstawię się jego woli oraz woli sułtana, mogłem dalej pozostać w służbie zakonu, a moje przewinienia wobec sułtana miały być puszczane w niepamięć. Chodziło im tylko o Ethernię. Sułtan chciał ją mieć, a Wielki Mistrz mimo moich tłumaczeń sprzedał ją za cenę przetrwania zakonu. Ja nie byłem już nikomu potrzebny. List nakazywał też zwrot purby. Sułtan pokonał mnie. Jakikolwiek opór stawiał mnie w opozycji do Wielkiego Mistrza oraz skazywał na banicję z zakonu. Nawet gdyby Piotr stanął po mojej stronie, skazywało to całą twierdzę na upadek, a w dodatku bracia nie chcieliby jej bronić, stając naprzeciw innym templariuszy. Tak czy inaczej, przegrałem. Najwygodniejszym wyjściem z sytuacji była więc dla mnie bierność.

- Sułtan zrobi z niej kolejnego demona - powiedziała Julita i dopiero teraz zorientowałem się, że ona również czyta pismo, zaglądając mi przez ramię.

Zmiałem pergamin, a potem rzuciłem go pod nogi zakonnika.

- Stek bzdur - oceniłem. - Zresztą nawet gdyby ze mną tutaj był jakiś demon, na pewno nie poradzilibyście sobie z nim.

- Jestem specjalistą, demonologiem i egzorcystą - oznajmił ugodzony w swojej dumie dominikanin. - Moc demona jest na razie jeszcze mała. Wóz, który przysłał po niego sułtan, będzie wystarczającym zabezpieczeniem.

- Demon musiałby tam jeszcze wejść. - Roześmiałem się.

- Po to tutaj jestem. - Dominikanin splótł dłonie na piersiach.

- Oni mają w nim gorgonę. - Julita złapała mnie za ramię. - Ma rację. Zniewolą ją.

Zrobią z niej sługę, o to chodzi sułtanowi. Tylko gorgona jest w stanie odebrać jej wolę.

- Milcz, dziewczko - ofuknął ją dominikanin. - Jakim prawem zabierasz głos?

- Tomaszu, powiedz, że kobieta, którą tutaj ukrywamy, jest człowiekiem. - Piotr, wyraźnie zdezorientowany, spojrział na mnie bezradnie. - Powiedz, że nie włada tobą demon, a Wielki Mistrz jest w błędzie.

Był wspaniałym rycerzem, ale tylko rycerzem. Nie potrafił rozstrzygnąć, po której stronie jest jego miejsce. Nie umiał też określić, kto kłamie. Zresztą na swój sposób kłamali wszyscy.

Byłem przekonany, że Ethernia zabezpieczyła się przed takim obrotem sprawy.

Wierzyłem, że magiczna bariera, jaką stworzyła, jest nie do pokonania dla jakiegokolwiek człowieka. Mogłem być spokojny, dopóki tkwiła w swoim magicznym gnieździe.

- Wielki Mistrz jest w błędzie. - Spojrzałem na Piotra. - Ale kobieta, o której wiesz, nie jest człowiekiem. Jest kimś znacznie potężniejszym od nas... i lepszym.

- Jest opętany, to wyraźne znaki opętania! Biorę wszystkich tutaj obecnych za świadków! - Dominikanin tylko czekał na coś takiego.

Wymownym gestem rozchyliłem poły płaszcza, odsłaniając kolczugę. Ująłem rękojeść miecza.

- Jestem gotów oręzem dowieść każdemu słuszności moich słów - powiedziałem.

Zakonnik cofnął się przestraszony, a Mustafa zasłonił go, bez wahania sięgając po miecz. Piotr odsunął się na bok. W jednej chwili zostałem zupełnie sam. Inni templariusze stanęli z boku, swoim milczeniem przyzwalając gwardziście na rozstrzygnięcie sporu walką.

- Co wy robicie! - zrozpaczona Julita krzyknęła na rycerzy. - A ty, Piotrze!? Taka jest twoja lojalność wobec przyjaciela?! Wystarczy kawałek papieru, żebyś sprzedał go swojemu największemu wrogowi?

- Przestań! - Spojrzałem na nią surowo. - To nie twoja sprawa. Pozwól nam załatwić ją honorowo.

Julita nie miała jednak najmniejszego zamiaru podporządkować się moim słowom.

- Honorowo? Pozabijać się jak dzikusy to dla was honorowe wyjście? Widziałam już morze krwi i nigdy jeszcze w śmierci nie dostrzegłam honoru. - Odwróciła się w stronę dominikanina. - A ty, klecho? Każdy kościół obwieszacie aniołkami, a kiedy możecie... kiedy prawdziwa Elohima pojawia się w waszym świecie, ukrzyżujecie ją tak jak swojego Mesjasza?!

Nikt nie słuchał jej histerycznych wrzasków. Te argumenty nie mogły nikogo przekonać. Dłonią w której trzymałem puginał, zdjąłem hełm, pochylając się lekko do przodu. Czekałem na pierwszy ruch gwardzisty. Czas gwałtownie zwolnił. W pierwszej chwili myślałem, że to tylko moje złudzenie, ale nieoczekiwanie uświadomiłem sobie, jak wolno pulsują żyły w moich skroniach. Dźwięki stały się dziwnie niskie i niezrozumiałe.

Brzmiały jak przeciągły pomruk. Moje ciało też reagowało wolniej, natomiast zmysły wyostrzyły się nieoczekiwanie, nadążając za szybkim biegiem myśli.

Gwardzista ruszył na mnie. Widziałem wyraźnie, jak powoli robi krok, markując cios na wysokości głowy. Teraz rozumiałem słowa Ethern. To właśnie dała mi w zamian za moje wspomnienia. Myśli prześcigały czas. Klinga zatoczyła lekki łuk i skierowała się wprost na moją pierś. Miałem wystarczająco silny pancerz, aby wytrzymać ten cios, lecz gwardzista zamierzał zmylić mnie cięciem, a płynnym ruchem wydobyć zza pasa puginał.

Obaj znaliśmy sztukę walki dwiema rękami. Zwlekałem do ostatniej chwili, pozwalając klindze o włos minąć napierśnik, a potem przyklęknąłem, przepuszczając nad głową pchnięcie puginału.

Gwardzista nie spodziewał się tak precyzyjnej reakcji oraz tego, że obydwie ataki chybią. Stracił równowagę. Starając się ją odzyskać rozpaczliwym skrętem całego ciała, zaczął niebezpiecznie balansować na prawej nodze.

Opuściłem głowę, potem zapałem się z całej siły stopami i uderzyłem w niego ciałem, wykorzystując wagę zbroi. Nasze pancerze zwały się z jazgotem. Mustafa całkowicie stracił panowanie nad sytuacją. Runął na ziemię, wypuszczając z dłoni miecz.

Musiałem szybko to wykorzystać. Odwróciłem się, po czym zanim zdołał się podnieść, postawiłem stopę na jego plecach. Wyprężył się, a potem wsparł rozłożonymi szeroko ramionami na podłodze, ale nie pozwoliłem mu na swobodny ruch. Skrzyżowałem miecze pod jego szyją, tworząc z nich coś na kształt nożyc. Musiał pozostać uwięziony w tej niewygodnej pozycji. Czas powrócił do normy.

- Zabijcie go, zabijcie! - krzyknął dominikanin. - On sprzeciwił się woli zakonu i Wielkiego Mistrza!

Templariusze bez przekonania dobyli mieczy. Piotr pozostał bierny. Kiedy wykonali pierwszy krok w moją stronę, Julita podbiegła do mnie, a potem chwyciła leżący wciąż na posadzce miecz. Stała tuż przy moim ramieniu. Po sposobie, w jaki go trzymała, widziałem, że nie ma pojęcia o fechtunku. Zdjąłem hełm.

- Stań z boku. Ocalisz życie. Tutaj nie o ciebie idzie - powiedziałem zdecydowanie.

- Nie chcę do końca życia siedzieć w kościelnej kruchcie. - W zabawny sposób oburącz chwyciła rękojeść. - Chociaż raz w życiu zobaczę, jak to jest, walczyć o własne przekonania.

- Przekonania? - Zaskoczyła mnie. - Myślałem, że jesteś złodziejką?

- Przynajmniej na koniec mógłbyś mnie potraktować trochę lepiej. - W jej oczach widziałem łzy. - Ja cię bardzo... szanuję.

- Zabijcie ich oboje. Są w zмовie. Służą demonowi na zgubę naszej świętej wiary! -

głos zakonnika grzmiał donośnie.

Drzwi od sali otworzyły się z hukiem, wbiegli do niej kusznicy. Było ich ponad trzydziestu, a brat Ludwik natychmiast kazał im wziąć nas na cel. Templariusze wycofali się, pozostawiając nas odsłoniętych. Kusznicy przyklękli, gotowi do strzału. Z tej odległości widziałem wyraźnie ich oczy w szczelinach kapalinów.

Uwolniłem Mustafę, prostując się, zrezygnowany. Od początku nasza sytuacja była beznadziejna. Nie należało odwlekać nieuchronnego.

- Rzuć to! - powiedziałem, widząc, że Julita wciąż trzyma oręż. - To nie ma sensu.

Mój los się dopełnia. Najważniejsze, żeby sultan nie zrobił nic Etherni. Jeśli chcesz uczynić coś dla mnie, postaraj się do niej dostać i dopomóż jej w wydostaniu się z zasadzki. To będzie dużo mądrzejsze niż śmierć w moim towarzystwie.

- Ale ona mnie nie wpuści! No i jak się stąd wydostanę?! - Julitę ogarnęła rozpacz.

- Postaram się utorować ci przejście, reszta w rękach Pana. Stań za mną. - Zacisnąłem dłonie na rękojeściach mieczy, a potem przygotowałem się do walki. - Bóg jest wielki, Bóg jest miłosierny...

- Bóg jest wielki, Bóg jest miłosierny... - powtórzyła Julita załamującym się głosem.

Nieoczekiwanie dla wszystkich, zza szeregu kuszników wyszła okryta szczelnie płaszczem, zakapturzona postać. Była wyższa niż my. Pierwszy zauważył ją dominikanin, ale to Piotr wycelował w nią palcem i krzyknął głośno.

- To ona, demon!

Wszyscy zamarli, a postać minęła ich i stanęła na środku sali. Dopiero tam zsunęła kaptur. Jej jasne włosy rozsypały się na ramiona. To była Ethernia.

„Po co to zrobiłaś...?” - pomyślałem rozgoryczony.

- Żeby cię uratować, człowieku Tomaszu - jej głos zadźwięczał w mojej głowie, choć nawet nie spojrzała na mnie.

Mężczyźni, zaskoczeni jej urodą, przyglądali się w milczeniu. Nawet kusznicy rozluźnili szyk.

- Zaprzeście walki - powiedziała łagodnie. - Jestem, skoro chcieliście mnie zobaczyć.

Skrzyżowała ramiona na piersiach, lecz w jej obliczu nie widać było dumy; raczej zamyślenie.

- Przybywamy tutaj... - zaczął dominikanin.

- Wiem, ojcze Pawle, po co tutaj przyszliście - przerwała mu.

Zakonnik wyciągnął spod sutanny krucyfiks, ujął go demonstracyjnie oburącz, a potem podniósł do góry.

- A więc, demonie, podporządkuj się woli Pana Najwyższego, który włada...

Dźwięczny śmiech Elohimy przerwał jego słowa.

- Zamilcz, demonie, zaklinam cię w imię Pana... - znów zaczął zakonnik, ale Elohima powtórnie roześmiała się rozbawiona.

- Zaczekaj, ojcze. - Piotr złapał za krucyfiks i siłą zmusił zakonnika do opuszczenia dłoni. Chciał podejść do Etherni, ale zaniepokojona, cofnęła się natychmiast, w obronnym geście rozchyłając ramiona.

- Stój, Piotrze! - Zagroziłem mu drogę ostrzem miecza. - Nikt niech się nie waży do niej zbliżyć. Ani jej dotykać!

Dostrzegłem wściekłość w jego spojrzeniu, lecz podporządkował się mojemu poleceniu.

- Pani. Powiedz mi, kim naprawdę jesteś, bo - na Boga - nie chce mi się wierzyć, aby ten klecha mówił prawdę - zwrócił się do Elohimy.

- Co wiesz o istotach wyższych, człowieku Piotrze? - Uśmiechnęła się do niego.

- Niewiele. Powiadają, że są istoty złe i dobre. Jedne zważ się diabłami, inne aniołami.

- Zawstydział się nieco. - Nie jestem tak uczony jak Tomasz, pani...

- A więc zaufaj jego osądowi - poradziła.

- Uważaj, Piotrze, ona chce cię omotać - dominikanin zareagował natychmiast.

- A ty, człowieku Pawle, ile demonów widziałeś w swoim życiu?

- Wiele i żaden z nich nie oparł się sile Pana - stwierdził dominikanin butnie.

- Zabijałeś ludzi, nie demony. Żał mi ciebie - powiedziała ze smutkiem. - Dla prawdziwego demona byłbyś tylko marnym ludzkim żdźbłem, niewartym uwagi.

- W imieniu sułtana domagam się, abyście wydali mi natychmiast tę istotę! To twoja powinność, komandorze! - Zniecierpliwiony gwardzista chwycił Piotra za ramię, ale ten odtrącił go nerwowym ruchem.

- Prawdziwe zło jest w waszych duszach, ludzie. Tam, gdzie się tego nie spodziewacie. - Ethernia spojrzała na gwardzistę. - Oraz w tych, którym służycie.

- Dość tego! - zniecierpliwiał się dominikanin i ruszył w jej stronę, a wtedy Piotr zagroził mu drogę. Zakonnik zatrzymał się na jego szerokiej piersi jak na murze.

- Nawet nie wiesz, klecho, jaką przyjemność sprawi mi skrócenie cię o głowę -

zasyczał Piotr. - Daj mi więc okazję i zrób jeszcze jeden krok w stronę tej istoty.

Wyraźnie przestraszony, dominikanin wrócił na bezpieczne dla niego miejsce.

- Pani, jestem tylko prostym rycerzem - zwrócił się Piotr do Elohimy. - Objaw mi swoje prawdziwe oblicze.

Elohima uśmiechnęła się. Szata, którą była okryta, zafalowała, a potem za jej plecami rozpostarły się wspaniałe opalizujące skrzydła. Poruszyła nimi lekko, rozprostowując je w imponujący sposób.

Przez salę przetoczył się gwar gorączkowych rozmów i okrzyków zadziwienia. Część kuszników zdjęła hełmy i uklękła, a część w przerażeniu uciekła.

- Anioł, na Boga, to anioł! - słyhać było oddalające się głosy. - Jesteśmy zgubieni!

Módlmy się za nasze grzechy.

Piotr z pobladłym obliczem klęknął przed Ethernią, składając miecz przy jej stopach.

- Pani. Wybacz nam grzesznym. Składam w twoje dłonie swoje życie. Powiedz, co mam dla ciebie uczynić.

Elohima pochyliła się nad nim.

- Wstań, człowieku Piotrze. Czy chcesz mi pomóc z własnej woli?

- Tak, pani.

- A więc tak się stanie. Wstań teraz. - Elohima podniosła miecz, a potem podała mu go w wyciągniętych dłoniach.

Piotr, onieśmielony, jeszcze przez chwilę nie podnosił wzroku, następnie ujął miecz, ucałował go i wstał, zajmując miejsce obok niej. Teraz było nas już troje.

- Sułtan musi ją mieć, inaczej wszystkich was czeka śmierć z rąk jego wojowników! -

gwardzista nie ustępował.

- Nie będzie żadnego rozlewu krwi. Odejdę stąd, a wtedy wojska sułtana odstąpią od Baghras. - Powietrze wokół dłoni Elohimy zdawało się lekko falować.

- Nigdy cię stąd nie wypuścimy! - dominikanin poparł żądania gwardzisty, ale wtedy kusznicy bez czyjegokolwiek rozkazu, zupełnie odruchowo skierowali w ich stronę swoją broń.

- Przestańcie. Proszę was ludzie, przestańcie! - Elohima miała smutną twarz. - A ty, człowieku Pawle, zapamiętaj, że tylko ludziom potrzebne są drogi, aby dotrzeć do celu.

Nagle dłonie Elohimy rozświetliło oślepiające światło. Musiałem zmrużyć powieki, a wtedy gorący podmuch uderzył w nas z siłą powalającą z nóg. Z wielką trudnością utrzymałem równowagę. Oślepiony i ogłuszony całkiem straciłem orientację.

* * *

Wzrok oraz słuch wróciły mi dopiero po dłuższej chwili. Przez ten czas otaczały mnie dziwne zapachy i szum, których nie znałem. Z czasem zacząłem wyławiać poszczególne dźwięki. To był śmiech i gwar rozmów w nieznanym mi języku. Lekki powiew wiatru przynosił kwiatową woń. Otworzyłem powieki.

Staliśmy na rozległej łące, w sięgającej nam prawie do kolan trawie. Ja, Julita oraz Piotr. Wokół zebrały się skrzydlate istoty, z wyraźną ciekawością obserwujące nasze zachowanie. Były naszego

wzrostu, choć drobniejszej budowy ciała, a ich skrzydła miały śnieżnobiałą barwę. To one śmiały się, zapewne żartując z nas. Ich gustowne, dwubarwne szaty zdawały się być wykonane z jednego, umiejętnie udrapowanego kawałka sukna.

- To Archaje - pierwsze słowa Julity uświadomiły mi, z kim mamy do czynienia.

Istoty okręzały nas, jednak żadna z nich nie zbliżyła się na tyle, abyśmy mogli z nią porozmawiać.

Piotr milczał, oszołomiony zupełnie.

- Spójrzcie! - Julita wskazała na niebo. - Trzy księżycy!

Wysoko ponad horyzontem wznosiły się trzy niewiarygodnie duże tarcze o różnych odcieniach błękitu. Układały się w nieregularny trójkąt, a każda z nich miała inną wielkość.

- Gdzie my jesteśmy...? - Piotr spojrział na niebo z półotwartymi ustami.

- Wy, ludzie, dawno temu nazwaliście to miejsce rajem. - Ethernia stała pomiędzy nami spokojna i wyniosła. - To, co widzicie, jest tylko jego pozostałością.

- Co mamy zrobić dalej? - spytałem.

- Ty, człowieku Tomaszu, przeszedłeś próbę umysłu i serca, udowadniając, że jesteś jednym z Ischim. Przekonałeś mnie oraz Sealiaha, że możesz zostać exousiai. Czeka cię jeszcze ostateczna próba woli, do której przygotuję cię, wykorzystując całą swoją wiedzę.

Reszta będzie zależała już tylko od ciebie... oraz od twojego serca i umysłu.

- Pani, mówisz w sposób, którego nie rozumiem - stwierdziłem. - Wyjaśnij mi to...

- Nie teraz. - Uniosła dłoń, wzbraniając się gestem. - Jeszcze nie pora. - Dla dodania mi otuchy uśmiechnęła się. - Archaje opiekują się wami. Zawsze lubiły zajmować się ludźmi, bądźcie jednak dla nich wyrozumiali. Ostatnio wiele wycierpiały z waszego powodu i są nieco nieufne - powiedziała, po czym zrzuciła z siebie zewnętrzne, szare okrycie.

- Wybaczcie, ale muszę was teraz zostawić. Wrócę, kiedy przyjdzie na to czas.

Materiał błękitnej sukni, którą miała pod spodem, wyglądał na niezwykle misternie utkany. Na fakturę tkaniny naniesiono wzór przypominający liście. Sama suknia, choć obcisła w talii, była luźna, a szerokie rękawy zakrywały dłonie Elohimy ciemnogramatowymi mankietami. Spływający na ziemię dół sukni tworzyły trzy szerokie, nachodzące na siebie pasma materii, nie to jednak było w szacie najbardziej niezwykle. Rozcięcie sukni spięte było tylko w dwu miejscach: za pomocą ozdobnej broszy na piersiach oraz bardzo szerokiego pasa w biodrach. Gładki brzuch Elohimy pozostawał bez okrycia, również część jej piersi, a kiedy robiła krok - także uda. Zawstydzony Piotr opuścił wzrok. Ethernia wykonała kilka swobodnych zamachów skrzydłami, a potem na naszych oczach z niesłychanym wdziękiem wbiła się w powietrze i odleciała. Jakby czekając na ten sygnał, Archaje zrobiły to całą swoją gromadą. Pozostała tylko jedna Archaja, przyglądająca się nam ciekawie z

dużej odległości. Kiedy jednak zrobiłem krok w jej stronę, uciekła i ona.

- Nie sądzisz, że jest bardzo zarozumiała? - pytająco stwierdziła Julita.

- Kto? - nie rozumiałem w pierwszej chwili.

- Ta twoja Elohima - w każdym słowie Julity słychać było wrogość.

- Przemawia przez ciebie zazdrość. - Roześmiałem się.

- Zazdrość?! A czego ja mogłabym jej zazdrościć? - Wydeła usta pogardliwie.

- Raczej czego mogłabyś jej nie zazdrościć - stwierdziłem.

Umilkła obrażona.

- Musimy poszukać sposobnego do rozbicia obozu miejsca. - Udałem, że niczego nie dostrzegłem.

- Masz rację. - Piotr otrząsnął się nieco z oszołomienia.

Schowałem broń, zdjąłem hełm i rękawice, a potem ruszyliśmy przed siebie bez wyraźnie określonego kierunku.

Rośliny i drzewa, choć przypominały te znane z naszego świata, z bliska okazywały się odmienne: Na drzewach rosły przypominające jabłka owoce. Kiedy zbliżyliśmy się do jednego z nich, poruszyło gałęzią, opuszczając ją tuż przed nami. Jakiś spłoszony ptak zerwał

się, z przeraźliwym krzykiem wzbijając się w niebo. Julita ostrożnie zerwała owoc. Ugryzła go, a wtedy strużka soku pocięła po jej brodzie.

- Jakie słodkie! - Wytarła brodę wierzchem dłoni. - I jakie smaczne!

Zatrzymaliśmy się na chwilę w cieniu rzucanym przez koronę drzewa.

- Spróbuj. - Julita natychmiast podsunęła mi na wyciągniętej ręce drugi owoc.

- Jeśli naprawdę jesteśmy w raju, jedzenie jabłek nie jest najlepszym pomysłem -

stwierdził Piotr.

- To na pewno nie są jabłka, a poza tym wierzycie w legendy? - Julita była pewna swych racji.

- A ty wierzysz w anioły? - spytałem w rewanżu za jej uszczypliwość.

- Na pewno nie takie jak wy - odpowiedziała, była jednak zbyt zajęta zrywaniem owoców, aby wdawać się ze mną w dłuższą kłótnię. - Nadstawcie hełmy - powiedziała po chwili.

Kiedy to zrobiliśmy, wrzuciła do nich owoce, traktując je jak zwyczajne metalowe naczynia.

- Pani, to nie garnek, tylko oręż! - oburzył się Piotr.

- Masz, panie, ochotę głodować dziś wieczorem?

Umilkł, uznając widocznie jej rację.

Kiedy ruszyliśmy w dalszą drogę, dźwigaliśmy pod pachą pełne hełmy. Chwilami miałem wrażenie, że w świetle słońca, w powietrzu ponad łąką majaczą jakieś widmowe kształty. Kładłem to jednak na karb zmęczenia. Gdzieś po południu odkryliśmy rozległe jezioro, nad którym wznosiło się łagodne wzgórze z kilkoma drzewami na wierzchołku.

Wspaniałe miejsce na rozbiście obozu. Julita pomogła nam zrzucić z siebie zbroje, a potem rozłożyliśmy płaszcze na ziemi i po posiłku zapadliśmy w krótką drzemkę. Pory dnia były tutaj zupełnie inne. Wieczorem i nocą wschodziło drugie słońce o czerwonej, intensywnej barwie. Przesuwało się tuż nad horyzontem, wyciągając cienie w nieskończone pasma półmroku. Kiedy otworzyłem powieki, czerwień wypełniła wszystkie barwy swoim niepokojącym odcieniem. Przez cały swój sen czułem lekki, kojący powiew chłodu, któremu towarzyszył miarowo powtarzający się szelest. Podniosłem wzrok i zobaczyłem Archaję siedzącą tuż przy naszych głowach. Kołysała lekko skrzydłami, ochładzając nas. To była ta sama

Archaja, która odleciała jako ostatnia. Kiedy zorientowała się, że na nią patrzę, miała zamiar poderwać się i uciec. Szybkim ruchem chwyciłem ją jednak za stopę, tak że omal się nie przewróciła.

- Wybacz mi, istotno, moje zachowanie - rzekłem. - Nie zostawiaj nas jednak samych.

Ja jestem Tomasz...

- Wiem. - Uśmiechnęła się nieśmiało. - Wiem, kim jesteście. Ja jestem Restilia.

Puściłem jej stopę, a potem usiadłem naprzeciwko. Julita i Piotr spali nadal, Archaja powróciła więc do wachlowania skrzydłami. Była drobna, a jej twarz była twarzą bardzo młodej dziewczyny. Miała niepewną minę, za to chabrowe oczy wprost płonęły ciekawością, kiedy na mnie patrzyła.

- Czy wiesz, gdzie jest teraz wasza siostra? - spytałem.

- Która? - nie zrozumiała.

- Ethernia.

- Ethernia nie jest naszą siostrą. - Roześmiała się dźwięcznie. - Ona jest naszą... -

szukała odpowiedniego słowa - ...opiekunką.

- Opiekunką? Co to znaczy?

- Jest bardzo potężna i mądra. Broni nas przed innymi... przed sługami Satanaela.

Robi to od czasu wielkiego buntu. Ona jest Quaddishim.

- Czy wiesz, dlaczego Ethernia chce zrobić ze mnie exousi?

- Exousiai. - Znów się roześmiała, rozbawiona moją nieporadnością. - Bo jesteś Ischim.

- A kto to jest Ischim?

- Przeszedłeś przez próby i wypełnia cię moc istot światła. To znaczy, że jesteś Ischim. To trochę więcej niż zwykli ludzie.

- A exousiai?

- Quaddishim cię wtajemniczy.

- Wtajemniczy? W co?

- W swoją siłę. Osiągniesz najwyższy poziom ze wszystkich ludzi. Będziesz jej równy... albo...

- Albo co...?

- Postradasz zmysły. - Posmutniała.

- I po co to wszystko?

- Spytaj o to Quaddishim.

- Gdzie ona teraz jest?

- Na Wyspie Milczenia. Nie możesz tam iść... na razie nie możesz.

- To co mam robić?

- Teraz? - Rozchyliła ramiona. - Nic.

Niewiele dowiedziałem się z tej rozmowy, jednak lepsze było to niż całkowita niewiedza. Zamyśliłem się, Archaja zaś nie przerywała mojej zadumy. Dopiero kiedy Julita i Piotr obudzili się, wstała, a potem odeszła, pozostawiając nas na wzgórzu. Julita koniecznie chciała dowiedzieć się ode mnie wszystkich szczegółów dotyczących Archai. Podobnie Piotr.

- Na pewno jeszcze tutaj wróci, wtedy z nią porozmawiacie - powiedziałem, przemilczając wszystkie fakty dotyczące mnie bezpośrednio.

Ta dziwna pora dnia - nie noc i nie wieczór - była niezwykle gorąca. Julita długo przyglądała się nieruchomej tafli jeziora, w której odbijały się pomarańczowo złote chmury, a potem stwierdziła z westchnieniem:

- Nie sądzicie, że przydałoby się nam wykąpać?

- Bo ja wiem? - Piotra raczej nie zachwycił jej pomysł.

- Ja idę. - Wstała. - A ty, Tomaszu?

Czułem od siebie nieprzyjemny zapach nieświeżego potu, mieszający się z odorem przepoconego ubrania. Całe ciało zaczynało mnie swędzieć od gorąca.

- Dobry pomysł - przyznałem, wstając. - Chodź, Piotrze.

Wstał niechętnie, ale poszedł wraz z nami stromym zboczem pełnym osypujących się kamieni. Woda w jeziorze była wspaniale ciepła. Zrzuciliśmy buty, a potem we troje zanurzyliśmy się w niej aż po pachy. Obmyłem sobie twarz, nabrałem jej w usta i napiłem się. Wspaniale gasiła pragnienie. Piotr szybkimi, nerwowymi ruchami szorował na sobie ubranie. Julita zanurzyła się, znikając pod wodą, a kiedy już zaczynałem się o nią obawiać, wypłynęła niedaleko mnie, prychnąwszy z zadowoleniem. Jej jasne jak len włosy ułożyły się w długie pasma. Wypluła z ust fontannę wody, bawiąc się niczym mała dziewczynka.

- Cudownie. - Z lubością zgarniała wodę dłońmi na siebie.

- No! Gotowe. - Piotr ruszył w stronę brzegu. Z trudem pokonał tę niewielką odległość. Mokre ubranie zwisało na nim jak worek, utrudniając marsz. Już na brzegu otrzepał się jak mokry pies, rozsiewając dookoła siebie woalkę wilgotnych kropli.

- Jesteś bardzo szybki, Piotrze - krzyknęła za nim Julita. - Bardzo szybki albo bardzo niedokładny.

- Zbyt częste kąpiele to niegodne zbytki. - Machnął ręką, zirytowany. - Idę poszukać ustronnego miejsca, żeby wyschnąć.

Kiedy potykając się i złorzecząc, brnął w górę, oddalając się od nas, i mnie chciało się z niego śmiać. Jego przygarbiona sylwetka znikła gdzieś za wzgórzem.

Julita znów zanurkowała. Tym razem wypłynęła za moimi plecami. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, wypatrując jej przed sobą, aż do chwili kiedy rozległo się miękkie plaśnięcie dłoni, po którym strumień wody ochlapał moje plecy. Jej głośny, radosny śmiech pomknął nad powierzchnią jeziora.

- Przestań! - Odwróciłem się do niej.

- Dlaczego? - Nic sobie nie robiła z mojej poważnej miny.

- Bo to nam nie przystoi.

- Dlaczego?

- Jak to, dlaczego?

- Wytlumacz mi, dlaczego nam to nie przystoi?

- Nie jesteśmy już dziećmi.

- Nigdy nie umiałam zrozumieć u ciebie tego zamiłowania do nadmiernej powagi.

- My, rycerze zakonu...

- Już nie jesteś rycerzem zakonu - powiedziała, po czym znów mnie ochlapała.

Miała rację, i to właśnie nieoczekiwanie dotknęło mnie do głębi. Kolejne chluśnięcie spłynęło po mojej twarzy, przez moment zalewając mi oczy.

- Poczekaj, mała wiedźmo! - Rzuciłem się rozsierzdony w jej stronę, ale roześmiana głowa dziewczyny znikła pod wodą. Rozejrzałem się dookoła, nerwowo obracając, ale tafla się uspokoiła. Znów przez długie, niepokojące chwile nie działo się nic. Nagle tuż przy mnie, spod wody wynurzyła się jakaś zmięta szmata. Chwyciłem ją i wtedy uświadomiłem sobie, że to jest przyodziewek Julity. Zaniemówiłem z wrażenia. Kiedy Julita wypłynęła obok mnie, widok jej nagich ramion i ledwie zakrytych wodą piersi zmusił mnie do wstydliwego opuszczenia wzroku.

- Co robisz?! - Speszony, stanąłem do niej bokiem.

- Zrób to samo co ja - poradziła. - Dobrze wiesz, że nikt w Oriencie nie uznałby kąpieli nago za coś niestosownego.

- Nie jesteśmy w Oriencie.

- Nie jesteśmy też w Akwitanii, Tomaszu. Ostatecznie przecież możemy stanąć do siebie plecami.

Bez przekonania ściągnąłem z siebie koszulę, a potem rozsznurowałem spodnie.

Miała rację. Kąpiel bez ubrania była dużo przyjemniejsza, choć czułem się nieswojo. Niemal bezbronny. Zanim się zorientowałem, zebrała nasze pływające ubrania, zwinęła je w dużą kulę, a potem jednym zamachem wyrzuciła na brzeg.

- Chyba nie chcesz, żeby zginęły? - odpowiedziała na moje pytające spojrzenie.

- Bardzo dobrze pływasz - rzekłem, chcąc odwrócić jej uwagę od mojego zakłopotania.

- Wychowałam się nad wodą. - Poruszała ramionami z gracją tancerki, utrzymując się na powierzchni. - Co prawda, tam było dużo zimniej, ale latem kąpaliśmy się w rzece.

Opłynęła mnie szerokim łukiem.

W pewnym momencie poczułem na swoich plecach jej drobne dłonie. Drgnąłem.

- Umyję ci je - wyjaśniła.

Nie zaprotestowałem, więc po chwili poczułem, jak szoruje mnie kawałkiem materiału.

- Jesteś bardzo muskularny - oceniła.

- Jak każdy rycerz.

- Jak nie każdy rycerz - zaprzeczyła.

- Wielu ich widziałas bez okrycia? - Spojrzałem na nią z ukosa.

- Muszę ci odpowiedzieć? - Przesłała mi przelotne spojrzenie, połączone z figlarnym, przekornym uśmiechem.

- Nie. Nie musisz.

Umilkliśmy i przez dłuższą chwilę tylko plusk wody mącił spokój wokół.

- Odpowiedz. Wielu? - Nie wiem, dlaczego, ale ta myśl nie dawała mi spokoju.

Stała obok mnie, a potem zaczęła mi szorować ramię. Nie odpowiedziała jednak.

- Odpowiedz... proszę... - spróbowałem po raz ostatni.

- Pochodzę z rodziny bojarów, ale kiedy ziemię mojego ojca zajął Igor Czarnoręki, z całej rodziny pozostałam tylko ja. Zanim uciekłam z Rusi jako uczennica Alhazreda IV, musiałam się ukrywać... - Stała naprzeciw mnie i szorując mój tors, opowiadała. - Niemal cudem udało mi się zostać jedną ze służek w pałacu Czarnorękiego. Tam byłam bezpieczna, bo nikt nie szukałby córki bojara wśród pospólstwa. Pracowałam w łaźni. Dolewałam ciepłą wodę do cebrów, w których kąpali się wojownicy Czarnorękiego. Widziałam wielu rycerzy, więc mam porównanie.

- Czy żaden z rycerzy...?

- Daj spokój - zaprzeczyła natychmiast. - Miałam wtedy dziesięć lat. Byłam jeszcze dzieckiem.

- Rozumiem. A ten Alhazred IV? W jaki sposób cię stamtąd zabrał?

- Alhazred był potężnym magiem. Nie czarownikiem zajmującym się kuglarskimi sztuczkami bez ich zrozumienia, nie czarnoksiężnikiem spędzającym całe lata na dogłębnym studiowaniu arkanów magii, ale magiem. Był synem sukkuba i człowieka, tak przesiąkniętym magią, że nawet kiedy spał, nie używał łoża, tylko lewitował nad ziemią. To z nim Czarnoręki rozpoczął wojnę i to on zmienił w zgliszcza władztwo Czarnorękiego. Przyszedł

jak zły demon siejący zniszczenie i śmierć. Jego armię tworzyli nieumarli. Gdy wkroczył na dwór Czarnorękiego wraz ze swoimi przerażającymi Legionami, byłam jedyną osobą, która pozostała. Widziałam na własne oczy, jak siłą magii wyrwał serce z piersi oprawcy mojej rodziny, a jego ciało zmienił w swojego nieumarłego sługę.

- Dlaczego nie uciekłaś jak inni? - spytałem, zadziwiony jej opowieścią.

- Nienawidziłam Czarnorękiego. Marzyłam, by dożyć chwili, w której spotka go śmierć. Aby to zobaczyć, gotowa byłam oddać własne życie.

- Przyłączyłaś się do Alhazreda?

- To on mnie odnalazł. Ukryłam się na belce stropowej w sali tronowej. Myślę, że Alhazred od początku wiedział, że tam jestem, bo kiedy już dokończył dzieła, spojrział wprost na mnie i uśmiechnął się. Przywołał mnie do siebie. Nie masz pojęcia, co czułam, gdy musiałam stanąć przed nim, wśród tych wszystkich przerażających istot. Miał na sobie czarną, zdobioną złotem szatę nekromanty. Do dziś pamiętam, jak wtedy spojrział na mnie, a potem spytał: „A ty, nie poprosisz mnie o łaskę?”.

Ujęła moją dłoń, potem zaś podniosła całe ramię, nacierając je wodą.

- Odpowiedziałam mu: „I tak zrobisz ze mną, co będziesz chciał”. Wtedy dotknął

mojej głowy, powiedział coś, czego nie rozumiałam, a potem wsunął do mojej ręki ociekające krwią serce Czarnorękiego. „Jeśli chcesz, odejź, a jeśli chcesz, chodź ze mną” -

powiedział, po czym odwrócił się i odszedł.

- A ty?

- Pobiełam za nim.

- Długo z nim byłaś?

- Aż wyrosłam na kobietę. Nie byłam specjalnie zdolną uczennicą, zresztą Alhazred wcale nie chciał zrobić ze mnie czarnoksiężnika. Po prostu lubił mnie i tyle. Umiałam go rozbawić.

- Uciekłaś od niego?

- Raczej odeszłam. Kiedy odkrył, że przestaję już być dzieckiem, doszedł do wniosku, że krypty, astrale, strzygi, zjawy i magia nie są najlepszym otoczeniem dla dorastającej dziewczyny. Wyposażył mnie, a potem odeszłam od niego.

- I co dalej?

- Chcesz poznać całą historię mojego życia? - Znów na jej ustach pojawił się figlarny, przekorny uśmiech. - Jest bardzo długa.

- W tak młodym wieku?

- Pozory mylą.

- Co do wieku?

- Co do życia. Alhazred jest przez większość ludzi uważany za wcielenie zła, mnie jednak zastąpił ojca i przy nim czułam się bezpieczna. Nie wierzę tak jak ty i inni templariusze w jasne dobro oraz mroczne zło. Uważam tylko, że czasem zło albo dobro mogą zdobyć w czyjejs duszy przewagę.

- Ja chciałbym służyć tej lepszej stronie swojej duszy.

- A więc rób to - stwierdziła, po czym umilkła.

Stała tak blisko mnie, że czułem prądy wody wzbudzone każdym ruchem jej ciała.

Kiedy opuszczałem ramię, moja dłoń bezwiednie zsunęła się, lekko muskając jej pierś.

Zawstydzony, cofnąłem ją natychmiast. Z zaskoczeniem dostrzegłem na jej twarzy wyraz oczekiwania. Kiedy jednak nie wykonałem żadnego ruchu, roześmiała się, obracając wszystko w żart.

- A ja jestem według ciebie ładna? - spytała.

- Tak... - przyznałem szczerze.

- Ale nie tak jak Ethernia. Prawda?

- Jesteś ładna w inny sposób. Ona jest Elohimą.

- Ładna w inny sposób. - Zmarszczyła nos, przedrzeźniając mnie. - Moje ciało też ci się tak podoba jak jej?

- Nie widziałem twojego ciała. - Rozłożyłem ramiona w geście bezbronności.

Spoważniała, a widząc, że ja też jestem daleki od żartów i drwin, zalotnie odchyliła głowę do tyłu. Potem jej oczy zaczęły płonąć pragnieniem, które przyprawiło mnie o lęk, ale i sprawiło niepojętą przyjemność.

- Ale możesz go dotknąć i sprawdzić. - Jeszcze nigdy żadna kobieta nie patrzyła na mnie w taki sposób, jak ona wtedy. - Przekonaj się.

Ujęła moje dłonie, zanurzyła w wodzie, a potem poczułem, jak kieruje je wprost na swoje biodra. Zanim się zorientowałem, nasze ciała spotkały się i choć głębia nie pozwalała mi nic dojrzeć, dotyk zastąpił wszystkie moje zmysły. Byłem tylko mężczyzną, nie umiałem więc pohamować podniecenia. Jej bliskość odbierała mi całą wolę. Nasze nagie ciała dotykały się, czułem jej piersi na swoim torsie, niemal każde zaokrąglenie jej figury. W

ciemnych oczach Julity czerwone światło wieczora rozpałało ogień. Ostrożnie zsunąłem dłonie z bioder na jej sprężyste pośladki. Łydka dziewczyny dotknęła mojej nogi, po czym powędrowała w górę. Oplotła mnie swoją smukłą nogą, sprawiając, że zupełnie zapomniałem, kim jestem i czego powinienem unikać. Wciąż intensywnie patrzyła w moje oczy, bez słów przekazując mi swoje pragnienia. Jej usta miały smak najśłodsze miód i upajającą moc najprzedniejszego wina. Chwyliłem ją mocno, a potem przycisnąłem do siebie, choć wcale nie zamierzała uciekać. Pieszczoty

Julity zmieniały moją krew w gorącą lawę. Chwyciłem oburącz jej głowę, a potem sam zacząłem nadawać tempo pocałunkom.

Przeraźliwy, nieludzki, przypominający ptasi okrzyk odezwał się wysoko nad naszymi głowami, przetaczając się przez niebo jak grzmot pioruna.

- Co to?! - Julita przestraszona spojrzała w niebo.

- Nie wiem. - Dysząc, uniosłem głowę.

Krzyk powtórzył się, tym razem z boku, gdzieś na środku jeziora.

- Chyba powinniśmy jak najszybciej stąd odejść. - Mokrą dłońią wytarła smużki wody ściekające po jej twarzy.

- Spójrz tam. - Wskazałem palcem.

Jakiś widmowy, niewyraźny i przejrzysty kształt zawirował nad wodą.

- To chyba zjawa...

- To na pewno nie jest żadna zjawa. - W jednej chwili zmroził ją strach. - Uciekajmy!

Wyrwała się z moich objęć i popłynęła do brzegu. Ja nie umiałem pływać, więc niezdarnie rozpychając wodę, ruszyłem za Julitą. Krzyk odezwał się kolejny raz, a potem zaczął narastać za moim plecami. Kiedy odwróciłem głowę, zobaczyłem, jak coś niewidzialnego pruje wodę, mknąc wprost na mnie i tylko narastający wrzask zdradzał, jak szybko się to dzieje. Julita wybiegała na brzeg, a mnie woda sięgała do pasa, kiedy to coś było już przy mnie. Odwróciłem się twarzą w stronę, skąd nadciągało zagrożenie, a potem zapałem stopami w miękkim piasku dna. Wysilając wzrok, przygotowałem się do walki wręcz.

- Tomaszu, nie! - do moich uszu dobiegł przerażony głos Julity, a potem twardy jak ściana podmuch powietrza wyrzucił mnie w górę. Upadłem na wypełniony kamieniami brzeg, tracąc oddech. Krzyk przemknął nade mną, potem zaś pognął w górę, cichnąc zupełnie. Po chwili pozostało po nim tylko echo.

- Nic ci nie jest? Powiedz, że nic ci nie jest! - Julita podbiegła do mnie.

- Chyba nic. - Podniosłem się na łokciach, choć jeszcze kręciło mi się w głowie.

- Tak się przestraszyłam. - Uklękła obok, a potem objęła mnie i przytuliła się mocno.

Drżała na całym ciele.

- Uspokój się. Nic się nie stało. - Poglądziłem jej mokre włosy. Ściekające z nich kropelki wody łaskotały moją szyję.

Po chwili uspokoiła się, puściła mnie i usiadła obok.

- Nie patrz na mnie w ten sposób. - Dopiero po dłuższej chwili uświadomiła sobie, że się jej przyglądam. Zasłoniła dłońmi nagie piersi, choć jej uśmiech stał się zachęcający.

- Myślę, że to coś może jeszcze wrócić - powiedziałem, sięgając po leżące nieopodal ubrania. - Powinniśmy wrócić na wzgórze.

Wzięła ode mnie swoje mokre rzeczy, ale widziałem, że nie tego oczekiwała.

Ubrawszy się, poszliśmy w górę zbocza. Po drodze Julita poprawiała swój wygląd, choć mokre rzeczy przyklejały się jej do ciała. Piotr siedział pod drzewem, trzymając w dłoni miecz i nasłuchując.

- Słyszeliście? - spytał, widząc, że nadchodzimy.

- Co? - udałem zdziwienie.

- Jakieś zwierzę albo... zmora. - Rozglądał się niespokojnie.

- Nic nie słyszeliśmy - powiedziałem, siadając obok niego.

- Zupełnie nic. - Julita, zadowolona z mojego żartu, podtrzymała tę samą wersję.

- Pewnie coś mi się przywidziało. Za dużo dziwnych wydarzeń jak na moją głowę. -

Wsunął miecz do pochwy, a potem położył go przy swojej nodze.

Ustawiliśmy się twarzami do słońca, czekając, aż wysuszy nam ubrania. Po chwili Julita przysunęła się do mnie tak blisko, że poczułem jej biodro. Wymieniliśmy znaczące uśmiechy przy zupełnie nieświadomym niczego Piotrze. Wtedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że być może coś cennego w moim życiu umknęło przez to, że nie związałem się z żadną kobietą.

* * *

Miejsce, w którym się znaleźliśmy, było ze wszechmiar dziwne. Pozorny spokój i odosobnienie powodowało, że ogarniało nas rozleniwienie. Woda, w której się kąpaliśmy, przywracała siły, a owoce gasiły łaknienie lepiej niż dania na królewskich ucztach. Był to jednak dopiero początek owych dziwności. Gdy spaliśmy, pojawiały się Archaje, aby czuwać nad naszym snem, odchodziły jednak, kiedy tylko się budziliśmy. Wciąż miałem wrażenie, że otaczają nas jakieś niewidzialne siły. Nieświadomy wydarzeń, Piotr nie odstępował nas na krok, tak więc wzbudzał coraz większą niechęć Julity, która z kolei starała się być wciąż przy mnie i znaleźć chwilę odosobnienia. Najczęściej odwiedzającym nas Archajem była Restilia.

Lubiła figle, więc szybko zaprzyjaźniła się z Julitą, mnie jednak coraz bardziej doskwierała bezczynność. Aby zabić czas, czyściłem zbroję, ulepszałem wyposażenie lub z Piotrem ćwiczyliśmy walkę, ale oczekiwanie stawało się coraz bardziej nieznośne, a dni coraz bardziej do siebie

podobne. W przeciwieństwie do Elohimów, Archaje lubiły kontakt z ludźmi. Julita i Restilia często wzajemnie czesały się lub w inny sposób upiększały. Po długich przemyśleniach i rozmowach obaj z Piotrem pogodziliśmy się z myślą, że już nie jesteśmy templariuszami. Wciąż czułem się nieswojo z tego powodu, ale skoro zakon odwrócił się od prawdy, nie mogłem mu dalej służyć, nie tracąc swojego sumienia.

Czasami przenosiliśmy obóz w nowe miejsca, które za każdym razem okazywały się równie malownicze i równie puste; nie licząc oczywiście barwnych ptaków i zwierząt, choć te ostatnie pojawiały się z rzadka. Z daleka widywaliśmy też owe widmowe zjawy, ale nigdy już żadna nie zbliżyła się do nas.

Zupełnie zagubiłem rachubę dni, kiedy pewnego popołudnia Restilia pojawiła się w towarzystwie dwu innych Archajów: Tarosiela oraz Saamiela. Po raz pierwszy widziałem na ich twarzach taką powagę.

- Tomaszu, musicie iść z nami - powiedziała Restilia.

- Co się stało? - Julita, cerująca mój kaftan, spojrzała na nią zaniepokojona.

- Na razie nic, ale sylfy są bardzo niespokojne. - Tarosiel rozejrzał się po okolicy, potem jakby dla podkreślenia swoich słów wskazał palcem na odległy las. Spojrzeliśmy w tamtym kierunku, ale poza kołyszącymi się koronami drzew nie zobaczyliśmy nic dziwnego.

- Tam - powtórzył Tarosiel.

Dopiero wtedy dostrzegłem znane mi już widmowe zjawy.

- To są sylfy? - Byłem zaskoczony.

- Tak. Jest ich tutaj kilka. Jeden z nich... - Palec na ustach Restilii przerwał wywód Tarosiela. - No, w każdym razie one nie są groźne.

- Nie powiedziałbym. - Założyłem kaftan, który podała mi Julita.

- To prawda, że są dzikie, ale chyba nie wyrządziły wam żadnej krzywdy? -

zaniepokoił się Saamiel.

- W sumie nie, nie licząc kilku siniaków... - Wzruszyłem obojętnie ramionami.

- Mówiłam ci... - Restilia spojrzała z wyrzutem na Tarosiela, który wyglądał na szczerze zmartwionego.

- Wybaczcie mi, obiecaliśmy Quaddishim Etherni...

- Nic się nie stało. - Dotknąłem jego ramienia, patrząc mu wprost w oczy. To go uspokoiło.

- Nikt z nas nie ma władzy nad sylfami - dodał jednak.

Cały swój ekwipunek wrzuciłem do płaszcza, który po zwinięciu w tobołek przewiesiłem przez ramię, a potem poszliśmy za Archajami.

- Jeśli naprawdę są tak niegroźne, to przecież nie musimy się wcale przenosić -

zdziwił się Piotr.

- Wcale nie chodzi o nie - wyjaśnił Saamiel. - Jeśli one są niespokojne, to oznacza, że może stać się coś... złego. Teraz tak wiele tutaj się zmienia. A poza tym nadszedł już czas, aby Tomasz przygotował się do połączenia i oczyścił. Razem poczekamy na przewoźnika.

Tak chce Quaddishim Ethernia.

- Dokąd nas prowadzicie? - Julita wsunęła ramię pod mój łokieć, co nie umknęło uwadze Saamiela.

- Na Krawędź - odpowiedział.

- Na krawędź czego?

- Na Krawędź naszego świata. - Posmutniał.

Nawet nie przypuszczałem, jak krótka będzie to podróż i jak niedaleko od nas są Archaje. Przeszliśmy nieduży zagajnik pełen wielobarwnych kwiatów, a potem wzgórze i przed naszymi oczami ukazała się wspomniana przez Saamiela Krawędź. Znajomy łąd kończył się gwałtownie urwiskiem. Z tej odległości nie mogliśmy wyraźnie określić tego, co znajduje się w głębi przepaści. Archaje zebrały się niedaleko Krawędzi. Część z nich siedziała, inne rozmawiały, kilka spacerowało. Po raz pierwszy zobaczyłem też dzieci Archajów.

- Tak... - Restilia z uśmiechem uprzedziła moje pytanie. - Jesteśmy bardzo do was podobni.

- Jesteście śmiertelni? - zapytałem.

- Tak, ale w inny sposób niż wy. My pamiętamy swoje poprzednie życie.

Szliśmy w stronę urwiska, a mijane Archaje pozdrowiały nas podniesieniem dłoni i uśmiechami.

- Oto właśnie Krawędź - stwierdził Saamiel, kiedy stanęliśmy tuż przy niej.

Klęknąłem, a potem wychyliłem się przez nią. Widok, jaki rozpostarł się przed moimi oczami, wzbudzał grozę. Jak sięgnąć wzrokiem w lewą i prawą stronę ciągnęło się pionowe, najeżone skalnymi odłamkami urwisko. Nie mogłem znaleźć oparcia dla wzroku w wielusetmetrowej przepaści. Kiedy potrącony przeze mnie duży kamień runął w dół, mogłem obserwować, jak wiruje, opadając i odbijając się od skał. Stał się tak małym punktem, że nie mogłem go już dostrzec, a wciąż nie dosięgnął snujących się na dnie przepaści chmur, przypominających gigantyczny, falujący leniwie ocean. Gdzieś na jego horyzoncie wznosiło się kilka samotnych wysepek łądu, podobnych z tej odległości do strzelistych iglic, na szczycie których zieleniła się roślinność. Widok był niesamowity.

Wstałem, otrzepując kolana.

- Nie zawsze tak to wyglądało. Kiedyś nasza ziemia rozciągała się na większą część Ethenu. Byliśmy szczęśliwi i bezpieczni, a potem nastąpił wielki bunt i Satanael stał się najpotężniejszą istotą... - Saamiel patrzył gdzieś w dal, ale wyraźnie widziałem smutek w jego oczach.

- Ethernia mówiła, że kiedyś z wami mieszkali tutaj ludzie. Co się z nimi stało? -

wykorzystałem ten moment do zadania pytania, na które nie chciał mi odpowiedzieć dotąd żaden z Archajów.

- Odeszli. - Spojrzał na mnie nieoczekiwanie chłodno. - Odeszli tam, skąd pochodzisz, Tomaszu.

- Wygnaliście ich? Wygnał ich Bóg?

- Ty wciąż wierzysz w tego waszego Boga, człowieku... już niedługo go zobaczysz na własne oczy. - Saamiel odwrócił się i odszedł.

Jego reakcja zaskoczyła mnie.

- Czy powiedziałem coś obraźliwego? - zaniepokoiłem się.
- Wybacz mu. On wycierpiał najwięcej z nas. - Tarosiel uśmiechnął się smutno.
- Nikt nie chce nam powiedzieć, dlaczego to my, ludzie, staliśmy się powodem waszego upadku. - Rozdrażniona Julita wsunęła dłonie do kieszeni szat. - Dlaczego to taka tajemnica?
- Bo nikt poza Elohimami nie wie do końca, jak to się stało. - Tarosiel na pewno nie kłamał, choć wyglądał na zakłopotanego.
- Jak co się stało?
- Jak stało się to, że Elohimy... że one znikły, a potem przyszła... przyszły Legiony Satanaela.
- Elohimy znikły? - Podniosłem z ziemi swój bagaż.
- Tak. Najpierw Harut, później Marut, a potem już żaden Elohim nie potrafił nad tym zapanować, zresztą nie było czasu. Przyszły Legiony... i śmierć. - Tarosiel usiadł na ziemi, więc postąpiliśmy tak jak on. - Teraz pozostało już niewiele czasu i nadziei, no i ten skrawek Etheny, na którym żyjemy. Obecnie, gdy zwróciłeś nam Ethernę, jest być może jeszcze jakaś iskra nadziei, jakaś szansa na przetrwanie.
- Ile pozostało Elohimów? - Zaplotłem ramiona na kolanach.
- Kiedyś było ich dziewięćdziesiąt. Teraz pozostała tylko Quaddishim Ethernia. -

Opuścił głowę.

- Jest jeszcze Quaddishim Sealiah - wtrąciła nieśmiało Restilia.
- Tak, ale nikt nie widział go już od dawna. Może to tylko plotki. - Tarosiel podniósł dłoń w geście zwątpienia.
- Ethernia mówiła mi o nim - przypomniałem sobie.
- Ona nas wszystkich podtrzymuje na duchu. Może chciała cię uspokoić... - w głosie Tarosiela słychać było nutę zmęczenia. - Może i ona nie zna całej prawdy?
- A ludzie? Nie sądzicie chyba, że to oni mogli zagrozić istotom tak potężnym jak Elohimy?
- Zanim nastął wielki bunt, nie było ludzi. Byliśmy tylko my, Elohimy i Cherubiny.

Żyliśmy spokojnie. Satanael był jednym z Cherubinów, ale jego potęga już wtedy mogła równać się z potęgą niejednego Serafina. Była to jednak mroczna potęga. Mroczna i przerażająca - Tarosiel mówił, a wschodzące, czerwone słońce rozpalało jego skrzydła niepokojącą barwą. Wyglądał bardzo dostojnie, jednak coś zdradzało czającą się w nim rozpacz. - Elohimy otrzymują swą moc

bezpośrednio od swojego Serafina i mogą być Kreatorami. To Satanael namówił Elohimy, aby stworzyły was, ludzi, i to stało się zarzewiem wielkiego buntu wśród nich. Część sprzeciwiała się tej kreacji, część jednak to czyniła.

Każdy z nas, Archajów, wtedy właśnie otrzymał zadanie, jakie miał wobec was wypełniać.

Saamiel na przykład ma pomagać ludziom w doskonaleniu się, Rivatim potrafi nauczyć was istoty czasu i przemijania, Nith obdarza świadomością, Nimalon stworzył waszą mowę i zna wszystkie języki waszego świata. Zaraz potem, kiedy - wy, ludzie - staliście się skończoną kreacją, znikł Harut. Gdy nadeszły Legiony, Elohimy w pośpiechu stworzyły dla was świat.

Nie miały na to wiele czasu, dlatego jest tak niedoskonały. Potem przeniosły was tam, abyście nie rozpraszały ich w walce z Satanaelem. Wy jednak dość szybko odwróciliście się od nich. Ustanowiliście swoje prawa, a potem nieliczni z was, którzy poznali, jak korzystać z mocy Elohimów, zamiast stworzyć porządek, pograżyli wasz świat w chaosie walk o władzę.

- Mówisz o czarnoksiężnikach?

- Tak, Tomaszu, tak ich nazywacie. To właśnie jeden z nich, Porfirion wzbudził

zaufanie Quaddishim Etherni, a potem dla własnej korzyści pomógł radzy, który wykorzystując moc sukubów, uwięził ją w krypcie.

- Poznałem Porfiriona. Bardzo nam pomógł.

- Dopiero wtedy, kiedy nawiedził go Cherubin Ashariel. Wtedy pojął, komu przysłużył się jego czyn.

- Na pewno nienawidzicie nas, ludzi - wprost cisnęło mi się to na usta.

Archaj spojrział na mnie zaskoczony, po czym zamrugał nerwowo oczami.

- Mylisz się. Wy nas fascynujecie. Jesteście jedynymi istotami, które łączą w sobie obie moce. Z jednej strony potraficie zachowywać się jak rozwścieczone demony, z drugiej umiecie być niezwykle... ciepłi i czuli dla siebie. Zaciekawiacie nas, ale boimy się waszej mrocznej strony.

- A Zastępy Niebieskie, najpotężniejsza armia nieba, o której u nas nauczają, czy to prawda? - wtrącił się Piotr. - Dlaczego nie przybędą w obronie waszego świata?

Archaj umilkł. Odwrócił głowę w stronę oceanu chmur, snującego się pod urwiskiem.

- Zbliża się półmrok - powiedział. - Powinniśmy stąd odejść, jeśli nie przybędzie przewoźnik.

- Powiedz, czy Zastępy istnieją? - poparłem Piotra.

Tarosiel spojrział na mnie uważnie i po dłuższym milczeniu rzekł.

- To ty, Tomaszu, poprowadzisz je do ostatecznej walki. Przeszedłeś próbę umysłu, próbę serca, a

teraz czeka cię ostateczna próba twojej woli.

- Chyba zwariowaliście?! - Julita wybuchnęła szyderczym śmiechem. - Człowiek ma walczyć z demonami? Z armią demonów?! To absurd!

Archaje spojrzały na nią w milczeniu, ale nic nie odpowiedziały. Jakby wszystko zostało już powiedziane. Julita przestała się śmiać, a jej twarz zabarwił strach. Z oczu dziewczyny wyczytałem, że był to strach o mnie.

Archaje, czując nadchodzący koniec dnia, zbiły się w gromadę; przypominały stado niespokojnych ptaków. Nie dołączyliśmy jednak do nich, czekaliśmy dalej przy Krawędzi.

Piotr, nieco przybity tym, co usłyszał, wyciągnął się, na poły leżąc, na poły siedząc na murawie, a dwaj Archaje z wyraźnym napięciem wpatrywały się w widnokrąg. Julita, nie mogąc znaleźć sobie miejsca, przesunęła się bliżej mnie. Kiedy i to jej nie wystarczyło, podniosła się, po czym podeszła i usiadła, przywierając do mnie bokiem. Piotr, który od jakiegoś czasu domyślał się, że jesteśmy sobie bliscy, przesłał nam przeciągłe ni to ganiące, ni to obojętne spojrzenie. Pewnie uważał, że zbyt szybko zrezygnowałem ze ślubów czystości, choć z pewnością nie uświadamiał sobie, jak niewiele zaszło między nami.

- Nie musisz się na to wszystko godzić... - zaszeptała do mojego ucha, tak aby nie usłyszały jej Archaje.

- Być może nie muszę - przyznałem.

- Niech z powrotem przeniosą nas do naszego świata. Ukryjemy się gdzieś daleko.

Chciałabym być tylko z tobą - jej szept rozpalał moją wyobraźnię.

- To niemożliwe - zaprzeczyłem mimo to.

- Dlaczego?

- Słyszałaś przed chwilą. - Dotknąłem jej policzka, odgarniając z niego kosmyk włosów.

- To jest jakaś ich walka. My, ludzie, nie powinniśmy mieszać się w ich sprawy. One chcą cię wykorzystać do swoich celów - szeptała gorączkowo.

- To także nasza... moja walka - zaprzeczyłem powtórnie jej słowom. - Jeszcze nigdy nie miałem takiej pewności, takiego przekonania i takiej wiary, że powinienem to zrobić.

Całe życie walczyłem dla zakonu, teraz nareszcie walczę dla czegoś... wyższego.

- Dla tej zarozumiałej Elohimy?! - podniosła głos, a ostatnie jej słowa dotarły do uszu Archajów, które poruszyły się zaniepokojone.

- Nie mów tak o niej. - Surowo zmarszczyłem brwi. - Nie jesteś nawet w stanie pojąć, czym ona jest

naprawdę.

- Wybacz mi. - Zaplotła dłonie na mojej dłoni, przyciskając ją do swojej piersi. - Boję się, że zginiesz. Zrozum. Jesteś dla mnie ważny, ważniejszy niż wszyscy mężczyźni, jakich znałam dotąd.

- Uspokój się. - Zdobyłem się na pogodny uśmiech, choć i mną targało z wątpienie. -

Pozwól mi doprowadzić walkę do końca. Obiecuję ci, że kiedy to wszystko się skończy, będziemy mieli mnóstwo czasu tylko dla siebie i...

- ...i co? - podchwyciła, widząc moje zawahanie.

- ...i nigdy już żaden sylf nie przepędzi nas z jeziora - dokończyłem.

Bardzo dobrze zrozumiała moją aluzję, bo uśmiechnęła się kusząco.

- Zapamiętam twoją obietnicę - zastrzegła.

Pocałowałem jej dłoń, a potem spowaźnieliśmy. Powróciliśmy do czekania. Archaje wyraźnie się uspokoiły.

Czas mijał, a czerwień już zupełnie zapanowała nad bezmiarem nieba. Snujące się poniżej krawędzi chmury podnosiły się i opadały, przybierając fantastyczne, mieniające się barwami kształty. Kiedy już zupełnie ogarnęło mnie zniechęcenie, Archaje ożywiły się nieoczekiwanie. Pokazywały sobie coś palcami. Nawet te, które zdawały się spać w zwartej grupie, podniosły się i podeszły blisko nas. Od strony rozległych, pustych przestrzeni coś się zbliżało. Z tej odległości wyglądało jak drobny czarny punkt.

- Nadchodzi przewoźnik. - Na twarzy Tarosiela pojawiła się ulga. - Musisz się przygotować, Tomaszu.

- A my? - spytała Julita.

- Pozostaniecie z nami do powrotu Tomasza. Taka jest wola...

- Quaddishim Etherni, wiem. - Skrzywiła się z niezadowoleniem.

Kiedy sięgnąłem po miecz, Tarosiel natychmiast mnie powstrzymał.

- Nie zabieraj ze sobą żadnej broni. Nie będzie ci potrzebna. Twoja wola będzie twoją bronią.

Nie rozumiałem jego słów, ale posłuchałem jego polecenia.

Mały czarny punkt powiększał się z każdą chwilą, zmieniając się w olbrzymie, skrzydlate stworzenie.

- Na Boga, to smok! - Przestraszony Piotr nerwowo zacisnął dłoń na rękojeści broni.

- Biały smok. - Julita dla odmiany wyglądała na zafascynowaną tym widokiem. -

Prawdziwy biały smok...

Kiedy stworzenie obniżyło lot i przemknęło nad nami, przysłaniając rozpostartymi skrzydłami połowę nieba, mogłem przyjrzeć mu się z bliska. Podmuch wiatru owionął nasze twarze, uświadamiając nam, jak potężny jest mój przewoźnik. Jego ciało przykryte było piórami o jasnej barwie i niezwykle fantastycznym wzorze, układającym się w falujące pasma.

Również skrzydła pokrywało upierzenie, jednak ich barwa od spodu była jednolicie granatowa. Dopiero gdy się przechylił, zataczając krąg nad pobliskim lasem, aby zawrócić w naszą stronę, dostrzegłem, że ich górna powierzchnia jest ubarwiona jeszcze wspanialej niż tors. Stworzenie wylądowało niedaleko nas, wzniesając chmurę kurzu oraz łamiąc kilka gałęzi drzew. Kiedy wsparło się pewnie na czterech potężnych łapach, zwinęło skrzydła, unosząc do góry kark. Za łbem stworzenia rozchylił się wachlarz, przypominający pawie ogon. Był jednak dużo większy i gęstszy. Potężny, donośny ryk zawibrował w naszych uszach, kiedy z rozchylonej paszczy przewoźnika wydobyło się westchnienie.

Archaje bez jakiegokolwiek obawy podeszły do niego, gdy położył się płasko na ziemi, opierając łeb o jedną ze skał. Posypały się z niej drobne, kamienne okruchy.

- Nie traćmy czasu. - Tarosiela ożywił nagły przyływ energii. - Terczyn jest gotów.

Chodźmy.

- Ten smok ma imię? - domyśliłem się.

- To wy nazywacie go smokiem. Nie jest wcale dzikim zwierzęciem. Ma większą inteligencję niż wy, ludzie, i jest stworzeniem pełnym magii.

- Dlaczego nazywacie go przewoźnikiem?

- Zna wszystkie miejsca, o których my nie mamy nawet pojęcia i potrafi przenosić się między światami.

- Ja też przeniosę się do innego świata?

- Nie, ale inaczej nie dostałbyś się do Świątyni Siódmego Dnia. - Po chwili Tarosiel dodał z nutą smutku: - Do ruin świątyni.

- Czas na mnie. - Odwróciłem się do Julity i Piotra. - Miejcie na wszystko oko.

Piotr skinieniem głowy potwierdził, że postara się spełnić moją prośbę. Julita na pożegnanie dotknęła mojej dłoni. Odwróciłem się i powoli podszedłem do przewoźnika.

Przechylił nieco łeb, aby spojrzeć na mnie, a potem sapnął.

- Nie obawiaj się, śmiało, rycerzu - zachęciła Restilia. - Zasiądź na jego grzbiecie.

Bardzo ostrożnie chwyciłem jego łapę, a potem podciągnąłem się do góry. Uniósł ją, pomagając mi znaleźć się na wysokości swojego grzbietu. Kiedy zasiadłem, pokrywające go pióra poruszyły się, a moje nogi uwięzły w ich uścisku. Nie mogłem się uwolnić, ale równocześnie to właśnie silnie zespoliło mnie z nim. Kiedy upewnił się, odwracając łeb, że jestem na właściwym miejscu, wstał i powoli ruszył w kierunku Krawędzi. Jechałem na jego grzbiecie, jakby był wierzchowcem. Czułem, jak mi serce kołacze na samą myśl, co się za chwilę stanie. Kiedy przewoźnik zbliżył się do Krawędzi, stanął na tylnych łapach, a potem odbił się mocno i rozpościerając skrzydła, runął w dół. Z trudnością opanowałem krzyk przerażenia, gdy świat zawirował, a wiatr uderzył we mnie gwałtownie. Przewoźnik kilkoma szybkimi uderzeniami skrzydeł odzyskał równowagę, po czym wzniósł się ponad Krawędź, krążąc nad Archajami. Widziałem je wyraźnie, choć przypominały teraz maleńkie, zapatrzone w niebo lalki. Z każdym uderzeniem skrzydeł Terczyna unosiliśmy się wyżej.

Pomachałem do Julity, choć nie miałem pojęcia, czy zobaczy mój gest. Odpowiedziała mi jednak w ten sam sposób. Dopiero z dużej wysokości zobaczyłem, że ziemie, na których przebywaliśmy, są w istocie tylko wyspą, rozległym płaskowyżem mieszczącym się na szczycie potężnej góry. Dookoła rozpościerała się tylko pusta przestrzeń.

Przewoźnik skierował się w stronę czerwonego słońca, więc po pewnym czasie oddaliliśmy się od lądu. Ponad nami były chmury i pod nami całe ich morze. Zupełnie zagubiłem się w tej pustce. Tylko miarowy świst skrzydeł i chłodny nurt omywającego powietrza utrzymywał mnie w przekonaniu, że nie śnię. Straciłem rachubę czasu, kiedy przed nami, w dole pojawiła się pojedyncza, odcinająca się w przestrzeni iglica. Kolejny, nieduży skrawek lądu wyniesiony ponad chmury.

Przewoźnik okrążył go, wybierając najlepsze miejsce do lądowania, dzięki czemu mogłem obejrzeć dziwaczną budowlę wzniesioną na szczycie owego lądu. Przypominała wieżę, nie była nią jednak. Kolejne piętra wzniesione na obrysie okręgu tworzyły tarasy, o wciąż mniejszej średnicy, wsparte na zdobionych filarach. Budowla była olbrzymia, jednak kikuty wyrastające z jej szczytu zdradzały, że stanowi tylko wspomnienie dawnej świetności.

Przewoźnik wylądował miękko obok wieży, wykorzystując skrawek płaskiego lądu pomiędzy nią a przepaścią. Uwolnił mnie z uścisku swych piór, a kiedy stanąłem na ziemi, nie czekając, wzbił się z powrotem w niebo. Zostałem zupełnie sam.

Odprowadziłem go wzrokiem, po czym odwróciłem spojrzenie, przyglądając się nietypowej świątyni. Z bliska dostrzegłem wiele zarysowań i szczelin na murach. Fragmenty filarów oraz ścian z wyższych pięter leżały wokół porozrzucane, zarośnięte i do połowy zanurzone w ziemi. Ruszyłem pomiędzy nimi w stronę wejścia, do którego prowadziły szerokie, wyszczerbione zębem czasu schody. Buty chrzęściły, trafiając na skalne odłamki, pył i kamienne płyty. Słońce rozciągało wszystkie cienie aż poza granicę przepaści. Z bliska świątynia wydała się jeszcze większa. Do jej wnętrza prowadziły trzy wysokie wejścia. Dwa z nich były zasypane całkowicie przez gruz, trzecie, choć zatarasowane pozostałościami potężnych drzwi, odsłaniało wolną drogę. Przcisnąłem się tamtędy, stając w mrocznym przedsionku. Do połowy ukryta w ciemności figura nagiej kobiety patrzyła na mnie martwym spojrzeniem. Doszedłem do granicy światła, a potem zmrużyłem oczy, starając się wyłowić znane mi kształty. Na próżno. Nie mając oręża, czułem się niepewnie.

Zaczynałem żałować, że zaufałem Archajom i pozostawiłem broń na tamtej ziemi. Obok figury dostrzegłem stalowy świecznik. Wziąłem go, potem zacząłem nim silnie uderzać w posadzkę do momentu, aż wszystkie nogi podstawy odłamały się od reszty. Metalowy drąg był lepszą bronią niż zupełnie gołe ręce.

Nieco odważniej zanurzyłem się w mrok, odchodząc od wejścia. Za przedsionkiem otwierała się pusta i nieprzenikniona dla wzroku przestrzeń. W oddali dostrzegłem słaby, migotliwy płomień. Przyjrzałem się uważnie. To był ogień pochodni. Ktoś pozostawił ją tutaj zupełnie niedawno. Szybkim krokiem pokonałem dzielącą mnie od niej odległość, a potem chwyciłem, unosząc do góry. Blask ognia wyłonił zarys kształtu komory, w połowie zawalonej budulcem z wyższych pięter. Strop częściowo spoczywał na łukach, a częściowo -

przeobrażony w gruz - tworzył niebezpieczną i wysoce niestabilną układankę z potrzaskanych rzeźb, zdobień, gzysów oraz drewnianych, poczerniałych krokwi. Sądząc po kształcie, kiedyś dziewięć rzędów kolumn tworzyło wewnątrz drugiego przedsionka obiegającego dookoła świątynię. Teraz jednak z trudnością odnalazłem dalszą drogę w głąb.

Dzięki pochodni unikałem niebezpieczeństwa, w porę dostrzegając niezbyt szeroką, ale niezwykle głęboką szczelinę w zapadniętej podłodze. Kolejne drzwi z kamienną ramą o orientalnym, znanym mi z pałacu sułtana kształcie, otworzyły przede mną wewnątrz świątyni.

Stanąłem w jej progu zadziwiony. Musiała być naprawdę imponująca. Widziałem tylko fragment podłogi oraz pobliskie ściany, bo pochodnia nie była w stanie rozproszyć ciemności w tak wielkiej sali. Zaścielona odłamkami podłoga wykonana była z wielobarwnego kamienia ułożonego w misterne wzory, których symbolika stanowiła dla mnie zupełną zagadkę. Na ścianach, pomiędzy rozmieszczonymi w równych odstępach rzeźbami Elohimów, dostrzegłem starannie wyryte, tajemnicze pismo oraz obrazy przedstawiające sceny z ich życia. Ciemność, chłód i lekki powiew świeżego powietrza świadczyły o rozległości przestrzeni, w jakiej się znalazłem. Kiedy zrobiłem krok, po dłuższej chwili powróciło do mnie zwielokrotnione odległością echo. Podeszedłem do ściany i pomagając sobie migotliwym światłem skwierczącej pochodni, zacząłem przyglądać się obrazom. Jedna z płaskorzeźb przypominała posąg, który widziałem w wieży radży. Przedstawiała parę kochających się aniołów. Dotknąłem jej dłonią, a potem dmuchnąłem, oczyszczając z pyłu.

Tak, nie mogłem się mylić. Podobieństwo było aż nadto widoczne. To były dwa anioły w pozie identycznej jak ta, którą przedstawiała tamta rzeźba.

Nieoczekiwana świadomość, że ktoś mnie obserwuje, zmroziła w jednej chwili moją krew. Odwróciłem się gwałtownie, gotowy do obrony. Natrafiłem na spokojne spojrzenie zielonych oczu Elohimy. Przede mną stała Ethernia, w tej samej szacie, w której widziałem ją ostatni raz. Kiedy opuściłem metalowy drąg, minęła mnie, a potem podeszła do ściany i dotknęła jej w ten sam sposób jak ja. Po chwili spojrzała na mnie znad ramienia.

- Tutaj są wszystkie odpowiedzi na twoje pytania, człowieku Tomaszu. Nawet na te, których nie umiałbyś zadać, oraz na te, na które odpowiedzi nie zrozumiałbyś - powiedziała, a echo powtórzyło jej słowa.

- Dlaczego wezwwałaś mnie tutaj, pani? - Wypuściłem z dłoni metalową sztabę.

- Zastanawiasz się, czego można szukać w opuszczonym i zniszczonym miejscu? -

Uśmiechnęła się, choć jej twarz nie stała się ani o drobinę mniej poważna. - To jest właśnie problem was, ludzi. Zawsze dostrzegacie rzeczywistość taką, jaka jest, a nigdy taką, jaką może być.

- A jaką może być?

Nie odpowiedziała. Odwróciła się, a potem, zamykając oczy, położyła obie dłonie na rzeźbie kochających się aniołów. Chwilę później wewnątrz wyrytych w skale symboli wypełniło się złotym, intensywnym blaskiem, który jak roztopiony metal zaczął rozplýwać się wzdłuż wyłobień. Po chwili cała płaskorzeźba, a potem ściany wokół nas lśniły symbolami. Ze zdumieniem patrzyłem, jak blask coraz szybciej pokrywa całą przestrzeń świątyni i okrąża ją w dwie strony, aby ostatecznie zetknąć się i scalić po przeciwległej stronie komory. Na stropie wiszącym na niepojętej wysokości zabłysnęła błękitna kula, wokół której pojawiła się pajęczyna ciemnopurpurowych okręgów. Symbole na podłodze stopniowo nabierały barw odpowiednich do koloru kamienia, w jakim je wykonano. Jasne, słoneczne światło zaczęło sączyć się z figur Elohimów. Ponure, martwe pomieszczenie w jednym momencie wypełniło się życiem, a chwilę później zrobiło się w nim ciepło.

Zauważyłem, że znikły wszystkie prowadzące do niego drzwi oraz jakiegokolwiek ślady zniszczeń. Elohima odwróciła się do mnie. Poczulem wyraźną, choć ulotną woń kadzideł.

W oddali, na środku pomieszczenia dostrzegłem na lekkim podwyższeniu coś, co przypominało sporej wielkości basen. Lekka, unosząca się ponad nim para świadczyła, że jest pełen. Cztery złote posągi przewoźników pochylały się nad nim, a z ich pysków spływała woda. Wokół basenu stały małe naczynia, roznoszące wokół tę przyjemną kadzidlana woń.

- Pani, czy to łaźnia? - spytałem naiwnie.

- Nie - zaprzeczyła. - Świątynia Siódmego Dnia powstała jako miejsce przemian.

Niejeden mag oddałby wszystko, aby znaleźć się tutaj. Jesteś jednym z czterech ludzi, którzy zobaczyli to miejsce na własne oczy i jedynym, który pozna jego moc.

Poszła w stronę basenu. Jej kroki już nie wzbudzały takiego echa. Powietrze wypełniające salę zdawało się gęstsze niż normalnie. Poszedłem za nią, porzucając dogasającą pochodnię. Schyliła się, a potem zanurzyła dłoń w wodzie i przelała ją pomiędzy palcami, demonstrując jej właściwości. Drobne krople opalizowały bladym światłem.

- To nie jest zwykła woda? - domyśliłem się natychmiast.

- Tutaj nic nie jest zwykłe, człowieku. - Rozpostarła skrzydła. - Słyszałeś na pewno o wodzie przywracającej młodość i życiowe siły?

- Tak - potwierdziłem.

- To woda przemiany. Każda istota na świecie składa się z trzech składowych żywiołów. Wy, ludzie, składacie się z eterycznej ziemi, eterycznej wody i eterycznego ognia.

My, Elohimy, nie mamy w sobie pierwiastka ziemi, za to posiadamy pierwiastek powietrza.

- A demony?

- Najniebezpieczniejszy jest pierwiastek eterycznego ognia. Może przejąć dominację i doprowadzić do przerażających przemian. Jest dynamiczny i trudny do okiełznania. Dlatego właśnie my, Elohimy, musimy mieć w sobie pierwiastek wody i powietrza, które są zachowawcze i pozwalają nad nim zapanować. U was, ludzi, trwa stała walka pomiędzy ogniem a wodą. Ziemia jest neutralna, więc od was zależy, który pierwiastek dominuje.

Demony to istoty ognia. Nieokiełznane i prymitywne. Są istotami jednego eterycznego pierwiastka. - Usiadła na brzegu basenu, z wyraźną przyjemnością przegarniając wodę szczupłą dłonią. - Na pewno zastanawiałeś się, dlaczego jesteśmy tak dumne i unikamy was, ludzi, wzbraniając się nawet przed dotykem.

- Istotnie - przyznałem.

- Wasz ogień jest dla nas bardzo niebezpieczny. Istnieją sytuacje, w których... zaburza naszą równowagę. W pewnych aspektach jesteśmy delikatniejsze niż wy. - Jej uśmiech nieoczekiwanie stał się dużo swobodniejszy. - Dlatego właśnie, człowieku Tomaszu, jesteś pierwszym ludzkim mężczyzną, jakiego dotknęłam.

- Zdziwiasz mnie, pani. - Podeszedłem bliżej basenu, a potem, idąc jej śladem, usiadłem bokiem na jego krawędzi.

Kiedy zanurzyłem dłoń w wodzie, natychmiast zaczęła opalizować tak intensywnym blaskiem, że zaskoczony, cofnąłem rękę.

- Nie obawiaj się. To naturalna reakcja. Ta woda zawiera też pierwiastek powietrza.

Kiedy styka się z twoim ciałem, natychmiast stara się go nim nasycić.

- Mówisz, pani, rzeczy dla mnie niepojęte.

- Już niedługo staną się dla ciebie oczywistymi prawdami.

- Pani, jesteście potężnymi, mądrymi istotami. Wasza magia może tworzyć całe światy. Do czego potrzebny jest wam ktoś tak niedoskonały i słaby jak ja?

- Jesteśmy kreatorami. Nie potrafimy niszczyć życia lub walczyć, nawet w swojej obronie. Ty, Tomaszu, nie jesteś słaby. Jesteś tylko niedoskonały, a na to potrafię znaleźć radę. - Wstała, odchodząc w stronę małego cokołu, na którym zauważyłem dwa zdobione puchary z zielonego kryształu. Podniosła jeden, zgrabnym ruchem ujmując go od spodu, a potem podeszła do jednej z czterech granitowych mis, stojących na smukłych podstawach ukształtowanych na wzór pnących się

winorośli. Przechyliła lekko kielich, tak aby kilka kropli spadło na misę, potem zaś cofnęła dłoń, obserwując, jak wysoki, spokojny płomień podnosi się do góry. Kiedy w ten sam sposób rozpałała ogień we wszystkich misach, podeszła do mnie, stając tak blisko, że poczułem towarzyszący jej ulotny, przyjemny zapach.

- W krajach Orientu ludzie potrafią przyrządzać ten napój i nazywają go haoma.

Dzięki niemu mogą kontaktować się z nami lub przepowiadać przyszłość. - Podała mi kielich. - To jego najczystsza postać.

Ująłem niepewnie naczynie, a potem zjrzałem do jego wnętrza. Napój był

złocistożółty. Pachniał imbirem i cynamonem. Kiedy spojrzałem na Elohimę, znów uśmiechnęła się w ten swobodny, ku memu zaskoczeniu, kokieteryjny nawet sposób.

- Wypij to - powiedziała.

Przyłożyłem usta do brzegu pucharu, próbując. W pierwszej chwili poczułem cierpki smak popiołu, a potem słodki, przywodzący na myśl sok jakiegoś egzotycznego owocu.

Wytarłem usta wierzchem dłoni, kiedy drobna smużka płynu pociekła mi po brodzie. Po pierwszym łyku spojrzałem na nią.

- Nie obawiasz się chyba? - spytała.

- Nie - odrzekłem, choć nie była to pełna prawda.

Jej dźwięczny śmiech natychmiast zdradził, że przejrzała mnie na wylot. Oddaliła się, a potem podeszła do cokołu, biorąc drugi kielich. Z błakającym się w kącikach ust uśmiechem wychyliła go jednym spokojnym ruchem. Dla podkreślenia efektu, ostatnich kilka kropel wylała do płonącej misy, na moment wzniecając w niej większy ogień.

Jej spojrzenia, uśmiech i sposób zachowania przywodziły mi na myśl zachowanie kobiety uwodzącej mężczyznę. Odgoniłem z umysłu natrętne myśli, choć z każdą chwilą upewniałem się, że przecucia mnie nie mylą.

Naśladowając ją, zmrużyłem oczy, a potem wlałem w gardło cierpko-słodki płyn.

Poczułem słodycz, a potem rozgrzewającą siłę. Wstałem, odstawiając kielich na miejsce.

Odwrociłem się w jej stronę i oniemiałem.

Ethernia stała odwrócona do mnie plecami. Zdobiony pas jej szaty zsunął się w dół, z brzękiem upadając na podłogę. Zaraz potem rozchyliła szatę, a materia miękko spłynęła z jej ramion, ścieląc się u stóp. Zupełnie naga Elohima podeszła do basenu, potem zaś zanurzyła się w wodzie. Nie mogłem oderwać od niej wzroku. W każdym ruchu jej ciała była nieopisana harmonia. Kiedy jednak spojrzała na mnie, zakłopotany opuściłem wzrok. Dno basenu opadało łagodnie w stronę środka,

gdzie tworzyło prawdziwą głębię; Elohima odeszła daleko, aż woda zakryła jej piersi.

- Chodź do mnie, Tomaszu. - Wyciągnęła ramiona. - Musisz mi towarzyszyć.

- Pani. Wybacz moją śmiałość, ale czy nie sądzisz, że twoja nagość może być dla mnie niezręczna?

- Nie podobam ci się? - spytała z wyraźną przekorą. - Jestem brzydsza niż ludzkie kobiety?

- Ależ nie! - zaprzeczyłem gorliwie, może nazbyt gorliwie. I ona to zauważyła. - A więc pozbądź się szat i chodź do mnie. - Znowu wyciągnęła ku mnie ramiona.

- Pani. Nie znam zwyczajów istot wyższych i wybacz mi, jeśli źle je rozumiem, ale powiedz, czego oczekujesz ode mnie.

Jeszcze nigdy w jej zielonych oczach nie widziałem takiej swobody i rozbawienia.

Jakby nagle, za sprawą przedziwnego uroku, przestała być dumną, nieprzystępną Elohimą.

Nie widziałem nigdy piękniejszej istoty i sama myśl o tym, że mógłbym swoim grubiańskim zachowaniem zrazić ją do siebie, zupełnie mnie paraliżowała.

- Nie obawiaj się, Tomaszu. Nie jestem zwykłą dziewczką namawiającą cię na chwilę lubieżności. - W jej głosie nie odczytałem przygany, raczej łagodne pouczenie. - To, co wam, śmiertelnym, służy li tylko do prostej przyjemności i prokreacji, nam umożliwia prawdziwe połączenie astrali i wzajemne przeniknięcie się osobowości. Wspólne udoskonalenie.

Będziesz potrzebował pełni mojej wiedzy, więc chcę ci ją dać, a to jedyna metoda. Ja przeżyję twoje, a ty moje życie. Staniemy się prawie tożsami. Dopiero wtedy będziesz mógł stać się exousiai.

- Zdziwiał mnie to, co mówisz.

- Prawdziwe zaskoczenie jeszcze przed tobą, mężczyzno.

Światła wypełniające świątynię mnożyły rozbłyski i falujące półcienie, zamazując różnicę między jawą a snem. Zrzuciłem z siebie szaty i - patrząc na nią - zanurzyłem się w wodzie. Kiedy usiadłem, poczułem ciepło, a potem odniosłem wrażenie, jakby woda zamiast zatrzymać się na granicy skóry, przeniknęła moje ciało aż do kości. Kiedy spojrzałem na nie, pokrywał je intensywny blask. Odczułem niezwykłą ulgę. Jakby nagle opuścił mnie wielki ból, choć przecież takiego wcześniej nie odczuwałem.

- Zanurz się cały - poprosiła Elohima. - To przyspieszy działanie...

Postąpiłem, jak chciała. Trzymając się dłońmi brzegu basenu, zanurkowałem w nim.

Kiedy wynurzyłem się, zgarniając wodę z twarzy, Ethernia stała tuż przy mnie. Siedząc, miałem na

wprost twarzy jej gładki, płaski brzuch, po którym spływały strumyczki wody, oraz smukłe uda. Wciąż patrzyła na mnie z tajemniczym, kusicielskim uśmiechem i rozbawieniem w zielonych, hipnotyzujących oczach. Powolnym gestem wyciągnęła ramiona, kładąc mi na głowie swoje dłonie. Nie umiałem się pohamować. Byłem tylko mężczyzną.

Sam nie wiem, kiedy moje szorstkie i nienawykłe do pieszczot ręce znalazły się na jej biodrach.

- Powoli, rycerzu! - powstrzymała mnie ze śmiechem. - Jeszcze tylko odrobina tego, co wy, ludzie, nazywacie magią.

Znów jakieś uczucie, które odebrałem jako lekki chłód spływający wzdłuż mojej szyi, zaatakowało moje zmysły. Ethernia powiedziała coś, formułę w ich dziwnym języku, a potem przyciągnęła mnie do siebie, klękając. Moja twarz utonęła pomiędzy jej piersiami.

- Teraz już jestem twoja, a ty należysz do mnie - jej głos falował uniesieniem.

Zrozumiałem, od razu, czego ode mnie oczekiwała.

Nagle obrazy zaatakowały mnie, kiedy tylko poczułem na swoich ustach jej wargi.

Znalazłem się przed Świątynią Siódmego Dnia, wśród tłumu innych skrzydlatych istot; Elohimów. Byłem jednym z nich... jedną z nich. Nieopisana radość i uniesienie wszystkich udzieliło się również i mnie. Ponad wszystkim panował nastrój niesamowitej beztroski i odświętności. Świątynia była wspaniała, zdawała się sięgać nieba. To, co niedawno zobaczyłem oczami człowieka, stanowiło tylko resztki, sam dolny poziom, jedynie rdzeń Świątyni, o budowie w niczym nieprzypominającej wieży. Dolny poziom rozszerzał się ku górze, był wsparty dziesiątkami kolumn i niczym korona oplatał niewiarygodne, nieprawdopodobne, rozrastające się w przestrzeni konstrukcje, które same w sobie stanowiły budynki. Wokół świątyni nie było przepaści, tylko łagodnie opadające w stronę rozległej równiny zbocza. W moim polu widzenia pojawiła się męska, pogodna twarz Elohima.

- Chodźmy zobaczyć ich z bliska - język, w jakim się odezwał, był mi obcy, ale zrozumiałem każde słowo. Jego dłoń dotknęła mojego policzka.

Zaskoczony i obruszony, wzdrygałem się, powracając natychmiast do swojego ciała.

- To tylko obrazy dawnych wydarzeń - usłyszałem szept Etherni. Przez chwilę czułem, jak mocno oplatają mnie jej ramiona i uda, a jej piersi przylegają do mojego torsu.

Kiedy jednak chwyciłem ją pewniej w objęcia, przyciągnęła bliżej moją głowę, a potem poczułem muśnięcie jej ust i znów odpłynąłem, stając się nią, stojącą u wrót świątyni.

- Są. - Rozentuzjasmowany Elohim wskazał palcem. - Spójrz, mówiłem, że nam się uda!

Na schodach dostrzegłem dwoje nagich ludzi. Niepewni, przestraszeni, tuląc się do siebie, stali w połowie drogi między bramą a czekającymi Elohimami, nie wiedząc, co ze sobą począć.

- Są wspaniali, tak jak mówił Satanael - odpowiedziałem, a właściwie powiedziała Ethernia.

- Przywitajmy ich, ośmielmy! - Elohim chwycił moją-jej dłoń i pobieглиśmy w górę schodów.

Obraz znikł, skręcając się jak powietrzny wir, a potem uderzyła we mnie fala lęku i rozpacz. Niebo przybrało krwawą barwę. Ziemia drżała. Tuż przy mnie cały jej fragment zapadł się, rozsiewając odłamki skał i pył. Potężny huk zdawał się wstrząsać nawet niebiosami. Wokół w przerażeniu uciekały najprzeróżniejsze istoty, których nie umiałem nazwać, choć wydawały mi się bliskie. Stałem-stałam, nie mogąc uwierzyć w to, co się rozgrywało przed moimi oczami.

- Zaraz tutaj będą! - Ten sam Elohim podbiegł do mnie. Jego twarz pokrywał ziemny pył i krwawiące rany. W oczach płonęło przerażenie.

W oddali, kolejny gigantyczny fragment ziemi, na którym znajdowało się wiele istot, zapadł się z grzmiotem, zmieniając w kotłowaną ciał, kamieni i pyłu. Jakiś Archaj, z połamanym w wielu miejscach skrzydłem, wyczołgał się cudem na krawędź lądu, nie mając jednak siły, aby uciekać wystarczająco szybko. W czarnobrazowej chmurze pyłu zamajaczył

przerażający, olbrzymi cień. Archaj krzyknął na ten widok, ale zanim się poderwał, coś wciągnęło go w chmurę i jeszcze tylko przez moment jego białe skrzydła machały konwulsyjnie, znikając na zawsze za mroczną zasłoną.

- Im już nie pomożesz! - Elohim chwycił mnie mocno za ramiona, potrząsając energicznie. - Słyszysz!? Już nie pomożesz! Naszym obowiązkiem jest ratowanie tego, co pozostało z naszego świata! Musimy otworzyć bramy!

- Idź, proszę, idź! Ty się tym zajmij, a ja postaram się zebrać tych, którzy przetrwają tutaj. - Mój-jej głos załamywał się na każdym słowie.

W spojrzeniu Elohima pojawiło się zrozumienie. Pocałował mnie-Ethernię i pobiegł, zrywając się do lotu. Poczułem, jak wzbiera we mnie siła magii, zbyt jednak słabej, aby zapobiec zdarzeniom. Cofałem-cofałam się, widząc nadciągającą chmurę mroku. Wokół

panowały lament i zamieszanie. Nieoczekiwanie chmura się zatrzymała, a potem zaczęła opadać, zmieniając się w zwyczajny kurz. Drgania ustały. Niewyraźny, mroczny kształt odsłonił się przed moimi-jej oczami. Ten widok wstrząsnął do głębi całym-całą mną. Istota była potężna i olbrzymia. Jej masywne ciało pokrywała zakrzepnięta krew. Jej krew. Każde włókno potężnych mięśni było odkryte, a na ciele istota nie posiadała nawet kawałka skóry, by je okryć. Krew, zakrzepnięta w czarne płyty, tworzyła pancerz, pomiędzy którym drgały jasnoczerwone, oślizgłe włókna mięśni. Nad jej ramionami rozpościerały się błoniaste, czarne skrzydła, przypominające skrzydła nietoperza. Szczercząca zwierzęca kły głowa nie posiadała szyi, była zrosnięta mocnymi mięśniami z obydwoma barkami. W małych, jarzących się oczach można było odczytać wściekłość. Wściekłość, zwierzęcą nienawiść, furię i... ból. Zrozumiałem-zrozumiałam, że patrzę w oczy demona. Dopiero teraz dostrzegłem-dostrzegłam, że w dłoni, niczym zabawkę, trzyma oderwaną od ciała głowę Archaja. Najdziwniejsze było jednak to, co stało się chwilę potem. Demon upuścił głowę, a w jego oczach pojawiło się coś niewyobrażalnego: niewypowiedziane cierpienie i bezradność.

- Ratuj nas! - jego niski, przeszywający głos zadudnił w mojej-jej głowie. - Ratuj nas, Elohim!

- Obiecuję - to był mój-jej głos.

Przez tę rzeczywistość przedarło się na chwilę uczucie z mojej rzeczywistości, w której byłem Tomaszem z Akwitanii. Coś się zmieniło, jakieś gorące uczucie wypełniło moje lędźwia, a szybki, rwący się oddech Etherni zafalował mi w uszach. Dłonie znów na moment stały się dłońmi mężczyzny obejmującego jej biodra. Ten dźwięk i odczucia wyostrzyły się tylko na chwilę, a potem odpłynęły bezpowrotnie, rozmywając się jak sen.

Teraz obrazy się rozdzieliły. Miałem wrażenie, że uczestniczę w dwu rzeczywistościach jednocześnie. Zanim jednak skupiłem się na nich, były już trzy, później cztery, a potem sześć. Mój umysł przestał je analizować. Nie mogłem nadażyć za rwącą przez mój umysł rzeką obrazów i uczuć. Jakbym naraz znalazł się w tych wszystkich miejscach i nie mógł zrobić nic, poza biernym poddaniem się naturalnemu nurtowi wydarzeń.

Otworzyłem się zupełnie, pozwalając obrazom przepływać przez siebie bez jakichkolwiek oporów. Każdy z nich odciskał w moim umyśle swój ślad i zanim go sobie uświadamiałem, już pojawiał się następny, po nim zaś następny i następny. Wszystko działo się coraz szybciej, coraz intensywniej, a ja straciłem orientację, gdzie jest granica mojego ja, a gdzie zaczyna się ona. Wszystko mieszało się, przelewało przeze mnie i uzupełniało w jeden obraz, który z każdą chwilą stawał się dla mnie coraz wyraźniejszy. Momentami w przebłyskach swojej ludzkiej części świadomości widziałem jej wyprężone ciało, słyszałem jej pełne upojenia szepty i westchnienia, a potem znów odpływałem, aby po jakimś czasie ponad tę rzeczywistość rwącą w zapierający dech w piersiach sposób, znów przebił się obraz jej zielonych rozpalonych pożądaniem oczu. Zgubiłem się w tym zupełnie, poddałem się temu, a potem, długo potem wszystko ucichło i ustało, rozlewając się w pulsujące szkarłatem ukojenie.

* * *

Już w chwili, kiedy otworzyłem oczy, wiedziałem, że coś się zmieniło. Czuję się zupełnie inaczej niż dotąd, a najważniejsza zmiana dotyczyła mojego umysłu. Miałem wrażenie, jak gdybym do tej chwili żył w półśnie, a dopiero teraz się obudził, odrzucając od siebie urojenia i nieprawdziwe wizje. To, co do niedawna wydawało mi się tajemnicze lub przerastało moją zdolność do pojmowania, teraz stało się oczywistą prawdą. Wiedziałem, że Ethernia zmieniła mnie. Wiedziałem też, że jestem exousiai. Spojrzałem na swoje dłonie i nie rozpoznałem ich. Ślady po ranach znikły, podobnie jak odciski i szpecące zgrubienia na knykciach. To były dłonie młodzieńca.

Otoczała mnie przestrzeń. Wisiałem w niej wysoko ponad lustrem wody i daleko od jarzącej się pod sklepieniem kuli. Niedaleko, na wyciągnięcie dłoni, również w przestrzeni spoczywała Elohima. Poruszyłem się, potem powoli spłynąłem w dół, dotykając bosymi stopami zimnej posadzki.

Ognie w misach paliły się powolnym, spokojnym płomieniem. Pochyliłem się, przeglądając w wodzie. W pierwszej chwili nie mogłem uwierzyć, że ten ciemnowłosy młody mężczyzna to ja. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, iż ponad moimi barkami rozpościerają się olbrzymie skrzydła. Skrzydła o barwie, która zmienia się płynnie od szkarłatu na krawędzi poprzez krwistą czerwień, aż po pomarańczowe końcówki. Dzięki ich opalizowaniu przez chwilę miałem wrażenie, że płoną tym samym świętym płomieniem, który liże krawędzie misy. Wstając, wiedziałem już, że nie

jestem człowiekiem. Magia lub to, co nazywałem tym słowem, będąc jeszcze człowiekiem, wypełniła mnie bez reszty. Odbiłem się lekko stopami i poszybowałem z powrotem w stronę Etherni. Wbrew jej słowom nie pamiętałem większości obrazów, które przewinęły się przez mój umysł, jednak to ona była teraz najbliższą mi istotą. Miałem wrażenie, jakbyśmy znali się od wieków, choć z pewnością nie żyłem aż tak długo.

Kiedy poruszyła się, dotknąłem lekko jej policzka. Otworzyła oczy, a potem uśmiechnęła się.

- Witaj, exousiai - powiedziała, przeciągając się leniwie. - Jak się czujesz po przemianie?

- Inaczej... i wspaniale. Ile czasu minęło?

- Dwa ludzkie dni. Tyle byliśmy ze sobą połączeni.

- Powiedz mi, dlaczego mam czerwone skrzydła?

- To twój wewnętrzny ogień tak je zabarwił. Żadna z istot światła nie ma takiego ognia jak wy.

Oboje opuściliśmy się na ziemię. Nie odczuwałem ani wstydu, ani skrępowania, które towarzyszyły mi, gdy byłem człowiekiem.

- Mam wrażenie, że znam tę świątynię, że jest moim drugim domem - rzekłem i nagle zdałem sobie sprawę, że wcale nie wypowiadamy słów, aby rozmawiać. Oboje wymienialiśmy się myślami.

- A ja, że byłem na każdym polu bitwy, na którym walczyłeś. Twoje życie jest wypełnione bólem i cierpieniami. Przeżyłeś rzeczy straszne, ale też dzięki tobie zrozumiałam wasze pojęcie honoru. Tak bardzo mi ciebie żal.

- Ty również zaznałaś wiele zła. - Odwróciłem się do niej. Nasze ramiona się splotły.

- Zrobię wszystko, aby to naprawić. Jesteś mi najbliższa.

- Zapominasz o Julicie. - Jej nieoczekiwana myśl natychmiast trafiła drzazgą w moje serce. Miała rację. Zupełnie zapominałem o Julicie. Teraz jej wspomnienie wydało mi się wyblakłe i odległe.

- Powinniśmy rozłączyć już nasze astrale - oznajmiła, a potem poczułem, że jej obecność oddala się ode mnie. Wycofała się z moich myśli. Zrobiłem to samo.

- Powinieneś teraz wybrać swoje nowe imię, exousiai - tym razem do moich uszu dotarł jej głos.

- Wiem. Ty mi je nadaj - poprosiłem.

Zawahała się, ale po dłuższym czasie spełniła moją prośbę.

- Będziesz Quaddishim exousiai Passachiel.

- Stanie się, jak mówisz. - Uśmiechnąłem się. - Quaddishim Ethernio.

- Nie mów tak do mnie. Nie jesteś jednym z Archajów. Jesteś mi teraz równy i...

bardzo bliski. - Pocałowała mnie.

Sięgnęła po swoją szatę, po czym założyła ją na ramiona. Chciałem również przyodziać się w swoje rzeczy, powstrzymała mnie jednak.

- Chodź teraz za mną. - Ujęła moją dłoń, a potem pociągnęła w stronę ołtarza, którego wcześniej nie dostrzegłem.

Skromny, ukryty w głębokiej wnęce, składał się z kilku magicznych ogni płonących na wysokich podstawach oraz posągu przedstawiającego zamyślonego Cherubina.

Instynktownie wiedziałem, co należy zrobić. Dotknąłem jego głowy, później położyłem dłoń w miejscu serca, a na koniec dotknąłem ust w znaku milczenia. Ołtarz z chrzęstem poruszył

się, odsuwając w bok, a przed nami otworzyła się droga do kolejnego pomieszczenia, o kształcie spłaszczonej sfery. Z jej sklepienia i podstawy, niczym niepełny stalagnat, wyrastała struktura, której niemal stykające się wierzchołki zamiast ostrego zakończenia uformowały się na wzór kielichów kwiatów. W wolnej przestrzeni unosiła się, lśniąc złotem, zbroja.

Pomieszczenie było niezwykle skromne i prawie pozbawione zdobień, a ciemnoczerwony kamień zdawał się mieć prawie jednorodną barwę.

- Właściwie to Mizrach powinien cię pasować, ale jego nie ma, nie ma też wszystkich innych... - w jej głosie pojawił się smutek. - Możemy więc poniechać wszystkich formalności.

Nie poruszając skrzydłami, wznieśliśmy się na krawędź podstawy. Wiedziałem, że szkarłatna tunika z delikatnego materiału, ozdobiona czarnymi obszyciami oraz reszta odzieży o takich samych barwach jest moim nowym ubraniem. Kiedy założyłem je na siebie, sięgnąłem po zbroję. Była tak kunsztownie wykonana, że nie mogła wyjść spod ludzkiej ręki.

Zanim jej dotknąłem, czułem, jak bardzo nasycono ją magią. Zdawała się nic nie ważyć, a w gładkiej, złotej powierzchni otoczenie odbijało się jak w zwierciadle. Hełm, którego labrami były dwa skrzydła, przykrywał połowę twarzy; nigdy jeszcze nie widziałem podobnego mu wzoru. Ethernia pomogła mi przywdziać zbroję. Miałem wrażenie, że zbroja dopasowuje się do moich kształtów, kiedy tylko dopinam jej elementy. Nawet w czasie poruszania się żadna z jej części nie wydawała charakterystycznego, metalicznego brzęku. Kiedy w pełni już zbrojny, wykonałem kilka ruchów, odkryłem, jak wielkiej mocy nabrał teraz każdy gest.

Mogłem dłońmi miażdżyć kamień, a na ramionach podnosić całe bloki skał. Jeszcze żaden wojownik na świecie nie był tak potężny jak ja teraz.

- Jest coś jeszcze - powiedziała Elohima, a potem rozchyliła ramiona, zamykając oczy. W jej dłoniach zmaterializował się wspaniały, oburęczny miecz ozdobiony anielskimi symbolami.

- Przywołałam go dla ciebie z najwyższych sfer, w czasie odosobnienia na wyspie milczenia.

Myślałam już, że nie uda mi się to, ale wolą Serafinów było oddanie w twoje ręce ostatecznej broni. Pamiętaj! To przedmiot z najwyższych sfer. Uważaj, by jego moc nie wymknęła się spod twojej kontroli.

- Będę pamiętał - obiecałem, biorąc go ostrożnie. Poczułem, jak napęlnia mnie jego blask i poddałem się temu uczuciu.

- Nigdy też nie wypowiadaj jego imienia bez potrzeby - dodała.

- Przysięgam. - Ująłem go obiema dłońmi, unosząc do góry, a potem sycąc się jego blaskiem, podniosłem ponad głowę, na wyciągniętych ramionach. Na szerokiej, srebrnej klindze symbole pisma prawiecznych układały się w słowo JHWH.

Oślepiający biały blask rozjaśnił półmrok sali, poczułem, że to nie ja kieruję mieczem, lecz on przenika mój umysł i duszę. To on kieruje mną i moimi myślami, czyniąc mnie o wiele sprawiedliwszym i potężniejszym.

Ethernia uklękła przede mną.

- Niech wola Pana będzie twoją drogą, exousiai Passachielu - rzekła, pochylając z szacunkiem głowę. - Bądź naszym obrońcą i przeznaczeniem.

Kiedy opuściłem miecz, blask osłabł i znikł. Jeszcze przez dłuższy czas syciłem się dotykiem wspaniałego oręża, a potem przewiesiłem miecz przez plecy. Powróciliśmy do świątyni.

- Twoja przemiana się dopełniła - powiedziała Ethernia. - Już więcej nic nie potrafię dla ciebie zrobić.

- Wiem o tym. - Uśmiechnąłem się.

Jakby czekając na moje słowa, podeszła do ściany, po czym obie dłonie położyła na rzeźbie kochających się aniołów. Chwilę później wewnątrz wyrytych w skale symboli wypełnionych intensywnym blaskiem zaczęło gasnąć, a wraz z tym powracał dawny obraz zrujnowanej świątyni oraz mrok. Po chwili staliśmy w ciemności i przejmującej ciszy, wśród kamiennych odłamków konstrukcji, pokrytych pyłem rzeźb. Przejścia znów były otwarte. Nie śpiesząc się, wyszliśmy na zewnątrz. Właśnie wstawał dzień. Słońce jasnymi promieniami rozświetlało biel chmur. Kiedy schodziliśmy w dół szerokimi schodami, dostrzegłem, że na wierzchołku ruin siedzi przewoźnik. Szeroko rozłożył skrzydła, wygrzewając się w pierwszym blasku dnia. Miał zamknięte oczy, choć wiedziałem, że nie śpi.

Podeszliśmy aż do krawędzi łądu. Ethernia milczała, czułem, że nie ma ochoty połączyć w tej chwili naszych umysłów, dlatego powiedziałem:

- Nie wiem nadal dwu najważniejszych rzeczy.

- Jakich?

- Gdzie są Zastępy Niebieskie? Jakże istoty je tworzą?

- Tego nie wiem i nikt nie odpowie ci na to pytanie. To ty, Passachielu, masz moc, aby je sformować i to jest twoja ostateczna próba woli. Tyle wiem.

- A armia Satanaela? Gdzie ona jest?

- Tutaj, wszędzie dookoła. Wystarczy, że spojrzysz... - Zatoczyła dłonią szeroki łuk.

- Pokaż mi ją. - Nadal nie wiedziałem, o czym mówi.

- Otwórz umysł, Passachielu. Musisz jak najszybciej nauczyć się robić to bez mojej pomocy. - Położyła mi dłoń na oczach, a potem przesunęła nią wzdłuż mojej twarzy.

Oniemiałem, zaskoczony nagłą zmianą. Poniżej urwiska nie zobaczyłem już chmur, tylko to, co skrywały. Dno gigantycznej przepaści, pełne mroku, błota, szarych skał i ognistych jezior lawy oraz ruchu. Dopiero pod dłuższej chwili zdałem sobie sprawę, że ów ruch pochodził od długich szeregów brnących wśród tych apokaliptycznych pejzaży istot. Ich powykrzywiane demonicznie, zniekształcone ciała zdradzały mroczny charakter powołującej je do życia magii.

- To armia, którą dowodzą księżęta mroku - powiedziała, choć nie pytałem. - Istoty z dolnych sfer, wypełnione nienawiścią i żądzą niszczenia wszystkiego, co ma z nami związek.

Teraz gromadzą siły. Nikt nie wie, kiedy uderzą. Jest ich tak wielu, że... - W jej oczach nagle pojawiła się rozpacz i bezradność wręcz niewiarygodna u istoty tak potężnej jak Elohim. -

...czy wierzysz, że nam się uda? Powiedz, Passachielu. Czy zdołasz temu zapobiec?

Nie potrafiłem ogarnąć wzrokiem widoku, który roztaczał się, jak okiem sięgnąć aż po horyzont. Jeszcze chwilę wcześniej, zanim moje spojrzenie przeniknęło zasłonę chmur, wydawało mi się, że to spokojny, melancholijny poranek. Teraz jednak przeniknęło mnie na wskroś uczucie chłodu i przerażenia, nic już od tej chwili nie miało mi się wydawać takie jak jeszcze przed momentem. Nigdy, dokąd będzie istniała armia księżąt mroku. W milczeniu patrzyłem na rozgrywające się przed moimi oczami sceny. Zło, zło w najczystszej formie, zwierzało swe szeregi i nie istniała żadna siła, która mogłaby mu się przeciwstawić. Byłem już tylko ja i ostatnia Elohima. Nikt poza nami nie był w pełni świadom tego, co się dzieje i nikt nie stawał do walki. Brałem udział w wielu bitwach; od młodości już przywykłem do widoku maszerujących armii. Umiałem panować nad strachem i wykorzystywać go do mobilizacji sił

w najcięższej nawet sytuacji. Nie wiem jednak, czy widząc tę mroczną armię demonicznych sług umiałbym zachować zdrowe zmysły, wtedy kiedy byłem jeszcze człowiekiem.

Spojrzałem na Ethernę. W jej wpatrzonych we mnie oczach wciąż widziałem zadane mi pytanie.

- Jako człowiek nie umiałbym tego dokonać, teraz jednak postaram się wykorzystać całą moc, którą mi dałaś i wierz mi, zrobię to w najlepszy z możliwych sposobów.

Ethernia położyła mi dłonie na barkach, a potem przytuliła się, całym ciałem, ukrywając twarz i opierając policzek na mojej piersi. Otoczyłem ją ramionami.

- Boję się, nawet nie wiesz, jak bardzo się boję i jak bardzo przeraża mnie to, że nic nie potrafię poradzić - powiedziała, a potem się rozplakała. Pogładziłem uspokajająco jej włosy. Wtedy właśnie odkryłem w niej kobietę. Słabą, lękliwą kobietę, którą tak skutecznie potrafiła ukrywać głęboko w sobie, pod maską wyniosłości i dumy.

Zamknąłem umysł, by nie widzieć już ziemi pod chmurami, a potem pocałowałem ją delikatnie.

- Jeśli jest jakiś Bóg lub wyższa od nas istota, która stworzyła wszystko, na pewno nie dopuści, aby to były ostatnie chwile światła i nadziei. Jesteśmy potrzebni temu światu i istotom, które mają w sobie choć iskrę światła Stwórcy.

- Oby było, jak mówisz - powiedziała tak cicho, że ledwie ją usłyszałem.

Kiedy się uspokoiła, jakby wstydząc się swojej słabości, odepchnęła mnie lekko i oddaliła się, odwracając twarz. Kiedy powtórnie spojrzała na mnie, znów była dawną Elohimą. Dumną i nieprzystępną.

- Musimy wracać do Archajów - oznajmiła. - Są teraz jak pozbawione rodziców dzieci.

- Muszę wezwać Terczyna. - Spojrzałem w stronę przewoźnika.

- Nie będzie ci już potrzebny. - Chwyciła mnie za ramię i zanim się zorientowałem, gwałtownym ruchem pociągnęła w przepaść. Oboje runęliśmy w dół. Zadziałałem zupełnie odruchowo. Rozłożyłem szeroko ognistoczerwone skrzydła i poszybowałem w przestrzeń, zadziwiony swobodą, z jaką mogłem to czynić. Ethernia trzymała się tuż przy mnie.

Przewoźnik, widząc, że opuszczamy wyspę, przeciągnął się, naprężając potężne ciało, a potem z niezwykłą gracją poderwał się do lotu. We trójkę skierowaliśmy się w stronę oczekujących nas Archajów.

* * *

Płaskowyż, na którym spędziłem tyle dni, wydał mi się teraz jeszcze mniejszy niż poprzednio, kiedy oglądałem go z grzbietu przewoźnika. Gdy zbliżaliśmy się do niego, obniżając lot, Ethernia wskazała mi miejsce, które wybrała do lądowania. Nie musiała tego wcale robić. Wiedziałem, że to miejsce stanowi osadę Archajów. Mogło wydawać się dziwne, może już nie mnie, ale na pewno Julicie i Piotrowi.

W pionowych skałach, które półpięścieniem otaczały rozległą równinę, wydrążone niezwykle symetrycznie wnęki stanowiły siedziby Archajów. Nie było tutaj schodów ani okien, ani też niczego, co choć w pewnym stopniu kojarzyłoby się z ludzkimi siedzibami.

Wnęki były dość spore i najczęściej wyścielone miękkimi matami lub barwnym płótnem.

Żadna z nich nie posiadała oddzielnych drzwi lub ściany, a jedynie szerokie, ciężkie zasłony -

najczęściej wiszące gdzieś w rogach - które mogły odgrodzić ich wnętrza od szerokiej przestrzeni rozpościerającej się tuż za krawędzią podłogi. Od razu dostrzegłem Julitę i Piotra, odpoczywających w jednej z wnęk wraz z Tarosielem i Restilią. Tam właśnie się skierowaliśmy. Kiedy moje stopy spoczęły na twardym gruncie, złożyłem skrzydła, czując zmęczenie drążące moje ramiona po długim locie. Tarosiel i Restilia patrzyli na mnie z błyskiem nadziei i zrozumienia w oczach, Julita natomiast przyglądała mi się jak zupełnie nieznannej istocie. Dopiero teraz odkryłem, że jestem dużo wyższy, niż byłem dotychczas; uświadomiłem sobie, że dziewczyna sięga mi zaledwie do łokcia.

- Witajcie. - Tarosiel rozchylił lekko ramiona w geście pozdrowienia. - Dobrze, że już jesteście. Coś bardzo złego dzieje się za Krawędzią. Myślimy, że lada chwila mogą nadejść.

- Widzieliśmy, jak się gromadzą. - Słowa Etherni tylko podsyciły jego niepokój.

- Czy Quaddishim exousiai powołał Zastępy? - niecierpliwie spytała Restilia.

- Jeszcze tego nie zrobiłem - odpowiedziałem. - Ale wiem, że muszę się śpieszyć.

- Gdzie jest Tomasz? - Julita z wyrazem wyrzutu na twarzy spojrzała na Ethernię.

- Kto? - Ethernia zaskoczona tym pytaniem nie zdążyła zebrać myśli.

- Tomasz. Tomasz z Akwitanii! - Zacisnęła pięści.

- Passachiel... - zaczęła Elohima, lecz Julita nie pozwoliła jej skończyć.

- Ja pytam o Tomasza, nie o twojego skrzydlatego kochanka! - wybuchnęła wściekłością. - Oddaj nam Tomasza.

- Właśnie mówię ci, Julito, że Passachiel jest... jest w dużej części... w większości Tomaszem - wyjaśniła, najłagodniej jak umiała, Ethernia.

- W większości?! - Julita omal nie rzuciła się na nią z pięściami. - Zabiliście go, a potem on wykradł umysł Tomasza!

- Nie jesteśmy nekromantami, kobieto Julito. - Na twarzy Etherni pojawił się chłodny dystans. - Tomasz poddał się transformacji, aby zostać exousiai. Jest tą samą osobą, którą znałaś, ale o wiele potężniejszą.

- Nienawidzę was! - krzyknęła Julita, a jej głos załamał się w gwałtownym przypiływie rozpacz i bezradności. - Was i tej waszej magii! Jesteście jeszcze gorsi od nekromantów, bo wciąż opowiadacie o dobroci i miłości, a nie znacie nawet jej smaku!

Odwróciła się, a potem, nie mając gdzie uciec, pobięła do kąta pomieszczenia i jak bezradna dziewczynka usiadła w nim, oplatając ramionami kolana. Szlochała cicho. Archaje milczały, patrząc na wszystko bezradnie. Ethernia, urażona, stała w wyniosłej pozie, a Piotr nie odrywał ode mnie

wzroku.

Podszedłem do Julity, potem klęknąłem przed nią i najostrożniej jak umiałem, palcem wsuniętym pod podbródek, uniosłem jej głowę.

- To naprawdę ja. - Uśmiechnąłem się. - Wierz mi. Nic się nie zmieniło.

Przez długą chwilę spoglądała na mnie zaszklonymi przez łzy oczyma, a potem skrzywiła się boleśnie.

- To niemożliwe - stwierdziła. - Okłamujecie mnie.

- Wtedy, w wieży sułtana mówiłaś, że znasz się na magii, pamiętasz?

- Tak.

- Słyszałaś więc na pewno o Świątyni Siódmego Dnia. Świętym miejscu Elohimów.

- To podobno tylko legendy.

- To prawda. Ona istnieje... poza czasem. Zabiorę cię tam. Właśnie tam przeszedłem tę zmianę.

- Nie chcę, żebyś mnie nigdzie zabierał, ty... - W ostatniej chwili powstrzymała się przed przekleństwem. - Zostaw mnie w spokoju!

- Zostaw ją, ona i tak nie zrozumie. - Ethernia skrzyżowała ramiona na piersiach. -

Zresztą dla nas to bez znaczenia, a ją otacza zła aura. Na pewno w niczym nam się nie przyda.

Nie wiem dlaczego, ale jej chłodne słowa bardzo mnie dotknęły. Teraz ja też wyraźnie dostrzegałem słabość i ograniczenia Julity, ale jakiś impuls, jakaś iskra w głębi świadomości nie pozwoliła mi pozostawić tego w ten sposób.

- Pamiętaj, Ethernio, że ja wciąż mam w sobie ludzki ogień. Nie pozwolę, abyś moich ludzkich przyjaciół traktowała jak niesforne, źle ułożone zwierzęta, bez względu na ich niedoskonałości.

- Nie złość się na mnie, Passachielu, i rób, co uznajesz za słuszne. Masz rację. Ja nigdy do końca was nie zrozumieję - słowa Elohimy i ich intonacja zdradzały, że nie kłamie.

Nie było w nich ani odrobiny ironii lub nieszczerości.

Julita się nie opierała, więc wziąłem ją na ramiona, czując, jak jest teraz lekka, a potem podszedłem do brzegu podłogi.

- Wrócę do was niedługo. - Odwróciłem się, a potem odbiłem i poszybowałem, unosząc Julitę w spokojne, ustronne miejsce. Chciałem z nią porozmawiać bez świadków, a nawet jeśli przesłałbym jej swe myśli, Ethernia mogłaby usłyszeć. Wiedziałem, że nie mamy zbyt wiele czasu, coś jednak

nakazało mi to zrobić. Czuję pewien rodzaj winy wobec Julity.

Celowo wybrałem wzgórze nad jeziorem. Tam obniżyłem lot. Kiedy dotknąłem ziemi, pozwoliłem jej stanąć na własnych nogach. Usiedliśmy tuż przy drzewie, pod którym wtedy odpoczywaliśmy. Milczeliśmy przez długą chwilę, udając, że nie patrzymy na siebie.

- A więc teraz jesteś już jej - odezwała się pierwsza. Głos miała spokojny, choć falowały w nim jeszcze tony wzburzenia.

- Nie rozumiem? - Odwróciłem ku niej głowę.

- Myślisz, że ja nic nie wiem o misteriach Elohimów? - tym razem odczytałem wyrzut w jej głosie. - Robiłeś to z nią! Ze mną nie chciałeś, ale z nią? Wiadomo! Jaki mężczyzna odmówiłby jej?!

Wbrew sobie opuściłem wzrok.

- To nie jest tak jak myślisz...

- A jak?

- Między nami, między tobą a mną było to... cielesne, a z nią... prawie nic nie pamiętam. Między nami były obrazy, setki obrazów... nawet nie jestem pewien, co wtedy robiliśmy.

- Ale ja wiem. - Na twarzy Julity pojawiły się rumieńce. - Jesteś podły!

- Posłuchaj...

- Nie chcę cię słuchać!

Nieoczekiwanie pożałowałem, że znalazłem się tutaj. Jej ludzka małostkowość wydała mi się nagle nie do zniesienia. Zmusiłem się jednak do spokoju i uśmiechu.

- Musiałem to zrobić. Jako człowiek nie miałbym szans.

- Wolałam cię takiego, jaki byłeś wcześniej. - Wyrwała z ziemi kępę trawy, a potem zaczęła ją skubać nerwowo, jakby to była jakaś dziwna wróżba. Domyśliłem się jednak, że w ten sposób po prostu się uspokaja. - Byłeś dumny, starszym mężczyzną. Rycerzem. A teraz jesteś kimś zupełnie obcym. Nieludzkim. Jak reszta tych skrzydlatych stworów.

- To wciąż ja. - Chciałem ją dotknąć, ale gwałtownym gestem odepchnęła moją dłoń.

- I jesteś taki... taki... duży! - Nie potrafiła znaleźć innych słów, które oddałyby jej wzburzenie.

Złożyłem skrzydła, tak aby schować je za plecami.

- To nie pomoże - powiedziała natychmiast. - I tak wiem, że je masz.

- Mówiłaś, że Alhazred nauczył cię trochę magii. Jeśli chcesz, mogę nauczyć cię dużo, dużo więcej. Będiesz czarnoksiężnikiem tak potężnym jak sułtan albo radża. -

Spróbowałem innego sposobu, by ją uspokoić.

- Nie potrzebuję waszej magii, z niej nigdy nie wynika nic dobrego dla ludzi. Tylko śmierć i cierpienie. - Raptownie wyszarpnęła spod szaty purbę. - Aby cię zabić, wystarczyłoby mi to!

- Dlaczego więc tego nie zrobisz? - spytałem spokojnie.

- Bo pamiętam cię takiego, jakim byłeś. Dobrego dla mnie i... mojego. - Rozpłakała się. - A teraz jesteś jej... oddaj mi mojego Tomasza.

- Jestem Tomaszem.

- Ty jesteś Passachielem, nie pamiętasz? - przypomniała z wyrzutem.

Umilkłem. Mogłem zatrzeć w jej pamięci swoje wspomnienie, mogłem sprawić, aby natychmiast rozkochała się w Piotrze, zapominając o mnie, mogłem wreszcie zupełnie od nowa ukształtować cały jej umysł, zgodnie ze swoją wolą. Ale powstrzymała mnie świadomość braku jej przyzwolenia. Nie umiałbym tego zrobić bez jej zgody. Wtedy właśnie po raz pierwszy zastanowiłem się, czy nie jest to nasz najsłabszy punkt i czy właśnie dlatego zło triumfuje. Byliśmy mniej skuteczni przez własne sumienia. Z drugiej jednak strony, kim byśmy byli bez sumień i co różniłoby nas od demonów?

- Czy później, kiedy już się to wszystko skończy, na powrót staniesz się Tomaszem? -

Jej niespodziewane pytanie wyrwało mnie z zamyślenia.

- Nie wiem, czy będę chciał znowu być człowiekiem - odrzekłem zgodnie z prawdą.

- Nienawidzę cię. - Jej oczy zwęziły się w wąskie szparki.

- Przykro mi. Myślę jednak, że nie zasłużyłem sobie na to.

Wstała gwałtownie, a potem odeszła kilka kroków w stronę jeziora, zwracając się do mnie plecami. Patrzyła gdzieś w dal. Nie przeszkadzałem jej. Pomyślałem nagle, że przecież i z niej mógłbym uczynić kogoś na moje podobieństwo. Nie takiego samego, ale... byłbym jej wtedy dużo bliższy i ona mnie. Prawie już otwierałem usta, aby ją o to zapytać, ale uprzedziła mnie.

- Te Niebieskie Zastępy - jej głos wydał mi się przytłumiony. - Czym one są?

- Nie wiem. - Westchnąłem. - Sam muszę to odkryć. Wiem tylko, że na pewno nie są złożone z Archajów ani tym bardziej z Elohimów.

- Może z takich jak ty?

- Ja jestem tylko jeden. Nie będzie więcej.
- A więc nie masz zbyt wielkiego wyboru. Został ci jeszcze ten biały smok.
- To na pewno nie on.
- A ludzie?
- Są zbyt słabi.
- W takim razie przegrałeś. - Rzuciła mi przelotne spojrzenie.
- A ty razem ze mną. - Wstałem. - Satanael nie jest miłośnikiem sprawiedliwych rozwiązań. Następny będzie twój świat.
- Nasz świat. Pamiętasz? Podobno jesteś też Tomaszem.
- Nasz świat - poprawiłem.

Gwałtowny podmuch wiatru rozwał jej włosy. Okryła ramiona peleryną.

- Zrobiło się dziwnie chłodno - stwierdziła.

Gdzieś w oddali nad jeziorem znów pojawił się sylf. Wisiał kilka metrów nad lustrem wody, leniwie przesuając się w stronę przeciwnego brzegu. Julita zauważyła go dopiero po dłuższej chwili, reagując płochliwym cofnięciem.

- Nie obawiaj się go. - Stałem tuż obok.
- Tym razem mnie obronisz? - Znów wyczułem ironię.
- Nie muszę. - Udałem, że tego nie zauważam. - Sylfy są takie, jakimi pragniesz je widzieć. Jeśli się ich boisz, one boją się ciebie. Nie mają żadnego wyglądu, więc jeśli chcesz zobaczyć w nich przerażające stworzenia, takimi ci się pokażą, jeśli łagodne, ich wygląd będzie dla ciebie miły.
- A jakie są naprawdę?
- Takie jak twoje wnętrze.

Spojrzałem oczami Julity. Ona widziała tylko bezkształtną, bladoróżową chmurę.

Kiedy znów powróciłem do siebie, gwałtowny obraz uderzył moje oczy. Zobaczyłem białego smoka. Zanim jednak skupiłem się na tym, obraz sylfa rozmył się, falował jednak, jakby miał zamiar znów przybrać skończoną formę.

Chciałem skupić się na tym, ale Julita szybko odwróciła się w stronę zachodu, a potem wyciągniętą ręką wskazała mi coś na niebie. Na jej twarzy odmalowało się zaskoczenie, które przeszło w strach.

Nie umiała wydobyć z siebie głosu, dopiero z wielkim wysiłkiem krzyknęła jedno słowo:

- Mrok! Mrok!

Natychmiast tam spojrzełam. W naszą stronę z zawrotną prędkością pędziła ściana ciemności, utworzona z tumanu pyłu i czegoś, co przypominało splecione ze sobą, mroczne cienie. Znałem ten widok, choć widziałem go po raz pierwszy, i dobrze wiedziałem, co oznacza. Strefa ciemności sięgała od jednej do drugiej krawędzi horyzontu. Zbliżała się z niepojętą prędkością, wirując i przelewając wściekle. Miałem świadomość, że ten moment nadszedł, zanim zdołałem się do niego przygotować. Nie wiem, w jakim stopniu Julita zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa oraz z tego, czego stała się świadkiem, ale wszystkie dotychczasowe pretensje znikły z jej oblicza wyrażającego już tylko przerażenie.

Dźwięk narastał, najpierw był tylko niepokojącym szelestem, potem cichym, upiornym zawodzeniem, a kiedy stał się przejmującym aż do szpiku kości, wibrującym w umyśle i odbierającym wolę rykiem, czarna chmura przesłoniła słońce, sięgając nieba wysoko ponad naszymi głowami. W tej chwili odczułem nagłe ukłucie bólu i niepokoję. Nie mojego niepokoję. Zobaczyłem przez sekundę bladą twarz Ethern i usłyszałem jej głos.

- Obiecałeś, że zrobisz wszystko, co w twojej mocy. Pamiętaj.

Zaraz potem ściana mroku zamknęła się wokół, obejmując nas zimnymi mackami.

Jakby zwała się na nas lawina, okrywając nierealnym, półprzeźroczystym całunem.

Poczułem gwałtowny, duszący posmak śmierci. Julita chwyciła się kurczowo mojego ramienia.

- Trzymaj się jak najbliżej mnie! - rozkazałem, choć jej szeroko rozszerzone, wpatrzone we mnie oczy zdradzały, że nie musiałem tego robić. Mogłem odesłać ją gdzieś w bezpieczne miejsce pomiędzy światami, ale wiedziałem, że jeśli spożytkuję na to część swoich sił, może mi ich zabraknąć wtedy, kiedy będą potrzebne najbardziej. Chwyciłem Julitę mocno jedną ręką, a drugą sięgnąłem po miecz. Widziałem przestrzeń wokół nas, ale nie dalej niż na kilka kroków. Pociągnąłem dziewczynę za sobą, idąc jak najszybciej w stronę osiedla. Widmowe kształty gromadziły się wokół, na granicy mojego wzroku. Domyślałem się, co stanie się za chwilę. Nie pomyliłem się. Atak nastąpił jednocześnie ze wszystkich stron. Przestrzeń zawibrowała przejmującym wyciem istot, w których nie było nawet iskry człowieczeństwa lub cienia litości. Krzyk Julity zupełnie zagubił się w tym rwetesie. W

jednym momencie runęło na nas morze stłoczonych, przygarbionych ciał. Zamiast dłoni, istoty posiadały oręż z rozrośniętych monstrualnie pazurów. Natychmiast domyśliłem się, że to tylko zmaterializowane egregory demonów. Przednia linia ataku. Najmniej wartościowa część ich przerażającej armii.

Kilkoma silnymi uderzeniami skrzydeł podniosłem nas do góry, poza ich zasięg, a potem zakreśliłem mieczem okrąg. Oślepiające pioruny uderzyły z hukiem, zmieniając ziemię pod nami w rozpalone jezioro elementalnej lawy. Egregory, które już niemal dobiegały do nas, utonęły w nim w bolesnych

konwulsjach, a inne rozpięzły się, przerażone. Nie miałem wyjścia, wiedziałem, że muszę jak najszybciej znaleźć się przy boku Ethernia. Siłą własnej woli zakrzywiłem przestrzeń, miażdżąc wszystkie istoty stojące pomiędzy mną a osiedlem, potem zaś wyłoniłem się nad wioską.

Już z góry zobaczyłem, jak ciężka jest sytuacja. Piotr, osłaniany przez magię Ethernia, walczył, przerzedzając mieczem otaczającą go masę wrogów. Przestrzeń wokół niego była tylko małym okręgiem w nieprzebranym morzu naddciągających istot. Widziałem, że stopniowo opuszczają go siły, a jego ruchy stają się chaotyczne. Coś złego działo się też z Elohimą. Stała, z trudem podtrzymywana przez Restilię. Resztę swej mocy, której nie przekazywała Piotrowi, starała się skierować na barierę światła wokół schronień Archajów.

Ośłona ta uniemożliwiała sługom demonów przedostanie się do osiedla. Zobaczyłem jednak coś, czego nie dostrzegali Piotr i z czego z pewnością nie zdawała sobie sprawy Ethernia. W

ich stronę niepostrzeżenie zbliżała się istota otoczona gwardią inkubów. Jej błoniaste skrzydła i przerażający wygląd wydały mi się znajome, podobnie jak potężna głowa zrosnięta niemal z barkami.

Wiedziałem ze wspomnień Ethernia, że to jeden z książąt Satanaela. W pewnym momencie zatrzymał się, patrząc wprost na mnie nienawistnymi oczami, a potem wykonał

jakiś gest. Zanim zdołałem go pojąć, potworny ból sparaliżował moje ciało. Runąłem w dół

pomiędzy eggregory, resztkami sił starając się zamortyzować upadek. Wyraźnie poczułem, jak gruchoczę i zgniatam ciało pod sobą. To jednak pozwoliło przeżyć Julicie.

Upuściłem ją na ziemię, potem wstałem ciężko, wykorzystując chwilowe zaskoczenie napastników. Kiedy eggregory się otrząsnęły i uderzyły w nas, byłem już gotowy. Czas zwolnił. Chwyciłem oburącz miecz i obracając się wokół, wyrabiałem skrawek wolnej przestrzeni. Jedna z istot, wystarczająco szybka, aby uniknąć mojego ciosu, zamierzyła się na Julitę, ale ta przeszła ją purbą. Z ulgą stwierdziłem, że Julita też staje do walki, opanowując własny strach. Podniosłem wzrok, ponad głowami napastników ujrzałem odległe od nas miejsce, w którym walczył Piotr.

- Musimy się tam dostać! - krzyknąłem, a Julita potwierdziła ruchem głowy, że rozumiała. Widziałem, jak nieporadnym, słabym zaklęciem odpędziła kilka bardziej natarczywych eggregorów.

- Brawo! - dodałem jej otuchy, mocno ściskając ramię. Na bladej twarzy dziewczyny pojawił się ulotny uśmiech.

Korzystając z chwilowej przerwy, skupiłem się i ryzykując bezpieczeństwo Piotra oraz Ethernia, wysłałem w ich kierunku potężną kulę energii, która stopniowo się oddalając i rozładowując, rozrywała na strzępy każdą z istot, której dotknęła. Musiałem dobrać jej moc tak, aby znikła przed dotarciem do Piotra. Udało się. Już po chwili pobiegliśmy szeroką drogą, pomiędzy dwiema ścianami ciał. Kilka ostatnich kroków pokonałem, torując sobie miejsce mieczem. Czas był najwyższy. Piotr chwiał się już na nogach, wyprowadzając kolejne cięcia, a Ethernia nie umiała, nawet w takiej sytuacji, użyć zaklęć ofensywnych.

Żaden z Elohimów tego nie potrafił. Ich ogień był zbyt słaby.

- Musimy się wycofać! - krzyknąłem do Piotra.

- Zaskoczyli nas! - Pot szerokimi smugami spływał po jego twarzy. - Nie potrafimy uformować drogi do osiedla!

- Wytrzymaj jeszcze chwilę. Zajmę się tym! - Julita bez czyjejkolwiek ingerencji wsparła go swoją ludzką magią, odciążając Ethernę.

- Co ci jest?! - Widziałem, jak Ethernia wspiera się prawie bez sił na ramieniu Restilii.

- Nie wiem, czy nie stało się najgorsze... - usłyszałem jej słaby głos. - Zaczęło się jeszcze przed tym wszystkim, zaraz po twojej przemianie, ale myślałam, że jest chwilową słabością. A teraz...

Z rozpaczą patrzyła na swoje dłonie. Widziałem, jak ulatuje z nich eter powietrza. To właśnie było przyczyną jej niemocy. Bardzo poważną przyczyną. Przeraziło mnie to nie mniej niż ją. Zanim jednak zdołałem zebrać myśli, nowe wydarzenie całkowicie zaprzętnęło moją uwagę.

- Tomasz! - Odwróciłem głowę na krzyk Julity.

Egregory cofnęły się, ustępując miejsca inkubom. Piotr starał się zasłonić Julitę przed nimi. Inkuby górowały nad nim wzrostem. Można byłoby powiedzieć, że są pięknymi, muskularnymi młodzieńcami, gdyby nie wściekłość i zło emanujące z ich twarzy. Każdy posiadał długi, zakończony trójkątnym szpicem ogon, a ich ciała miały szary odcień.

Zaatakowały, zanim zdołałem cokolwiek zrobić. Zobaczyłem, że topór jednego z nich zagłębia się w barku mojego towarzysza, miażdżąc kołczugę i odsłaniając kości.

- Chryste! - pełen bólu krzyk wyrwał się z gardła Piotra. Upadł na plecy, wypuszczając miecz z bezwładnej dłoni. Krew obficie chlusnęła z rany.

Julita uciekła, a ja ze wściekłym okrzykiem zamachnąłem się, rzucając w stronę inkubów. Natychmiast się cofnęły, ustępując mi pola. Wyraźnie obawiały się mojej mocy.

Nie były pozbawionymi umysłu egregorami, które równocześnie kontrolował jeden demon, patrząc oczami każdego z nich. Były potężnymi istotami mroku. Zanim zdałem sobie sprawę, że celowo odciągają mnie w głąb swoich szyków, było za późno. Nie mogłem już zatrzymać wydarzeń, rozgrywających się za moimi plecami.

Książę Satanaela wyłonił się spośród swych sług i jednym ruchem powalił na ziemię Julitę, Restilię oraz Ethernę. Kiedy odwróciłem głowę, dostrzegłem, jak pochyla się i podnosi przepelnioną bólem Ethernę, trzymając ją niczym ptaka za nasadę skrzydła.

Elohima bezradnie starała się odzyskać równowagę, na próżno balansując szeroko rozpostartymi ramionami. Inkuby natychmiast odcięły mi drogę, stając pomiędzy mną a swoim dowódcą. Rozplątałem jednego z nich, ale natychmiast na jego miejscu pojawił się inny. Musiałem zasłonić się

przed ich toporami. Demon bez żadnego wysiłku oplótł

ramieniem szczupłe, wijące się ciało Elohimy, a potem spojrzał na mnie. Zobaczyłem, jak jego stopa przygniata do ziemi Julitę. Coś mrocznego wkradło się do mego umysłu.

- Przestań walczyć, exousiai, póki jeszcze żyje twoja człowiecza przyjaciółka - to był

jego dudniący, niski głos w mojej głowie.

Zatrzymałem miecz, wtedy inkuby oddaliły się, pozostawiając mnie sam na sam z demonem. Nagle cały szczyk bitwy ustał. W jednym momencie zaległa niesamowita i zupełna cisza, w której słyszałem szloch Julity.

- Kim jesteś?! - Przemogłem swoje obrzydzenie, wchodząc w jego umysł.

- Moje imię nic ci nie powie. Jestem Ahriman. Chcę, żebyś wiedział, exousiai, że to ty oddałeś tę skrzydlatą w nasze ręce. Mój pan Satanael będzie ci za to wdzięczny. Dopełniłeś koła przemian. Ona należy już do nas.

- Kłamiesz, bestio!

- Schlebiasz mi, ale to prawda. - Jego śmiech nappełnił mnie przerażeniem. - Teraz już wszystko w rękach mojego pana. Wiedziałeś o tym, że Elohimy nie mogą poznać zmysłowości człowieka? Ta mała samiczka, którą chciałeś osiąść, rozbudziła w tobie pożądanie. To właśnie zabiło twoją skrzydlatą. Poznała to uczucie od ciebie, a teraz jest nasza. Nasza, jak cała reszta jej braci. Jak ja i inni. Zaraziła się waszym ludzkim ogniem.

Znów usłyszałem ten przerażający śmiech.

- Wasz ogień jest ogniem przemiany, który teraz trawi skrzydlatą. Tylko zabieram to, co należy do mojego pana.

- Pokonam ciebie i twojego pana! Pokonam wszystkich was! - wykrzyczałem.

- Nawet nie wiesz, jak o tym marzę, exousiai. - Demon zaczął się cofać, a ja poczułem, że nie mogę zapanować nad swoim skostniałym ciałem. Nie miałem pojęcia, czy to magia, czy moje przerażenie odebrało mi w nim władzę.

- Zaprzepaściłeś wszystko, kiedy byłeś jeszcze człowiekiem. Może uda ci się to zmienić jako exousiai - głos demona słabł. - Spróbuj. Może nie wszystko stracone. Może jest jeszcze jakaś nadzieja...

Nie mogłem zrozumieć sensu słów demona.

- Zostawiam ci przewodnika, exousiai - usłyszałem jeszcze, a potem wycofał się z mojego umysłu.

Mrok rozplątywał się stopniowo, na powrót odsłaniając słońce. Nie było już demona, nie było jego

sług, nie było też Elohimy. Nie było nawet ciała, tylko puste pole niedawnej bitwy.

Piotr konał w kałuży krwi, Julita usiadła, szlochając ze spuszczoną głową, a osłupiała Restilia wpatrywała się we mnie. Nie mogłem zwlekać. Podbiegłem do Piotra. Były w nim jeszcze resztki tchnienia. Skupiłem w sobie całą pozostałą moc, modląc się, aby jej wystarczyło, a potem nakryłem dłońmi rozplątany bark. Przeszywający prąd popłynął przez moje ciało i targnął mną do głębi, gdy odczułem jego cierpienie. Zaraz potem jednak scalilem na powrót brzegi rany. Głowa Piotra opadła bezwładnie na bok, lecz wiedziałem, że już jest bezpieczny i będzie żył.

Wstałem, wspierając się na mieczu. Dopiero teraz zacząłem się zastanawiać nad ostatnimi słowami demona. Nie wiedziałem prawie nic o ich świecie, ale z jego ostatniej wypowiedzi wynikało, że z jakiegoś niepojętego dla mnie powodu jest po mojej stronie.

Przyszedł wypełnić polecenie swego władcy, ale nie posunął się ani o krok dalej. Wycofał się, choć mógł zakończyć wszystko rzezią Archajów, której nie potrafiłbym zapobiec.

To była najlepsza rękojmia jego słów oraz świadectwo, że mnie nie zwodzi.

Wątpiłem, aby jego motywem była chęć przejęcia władzy po Satanaelu. Wtedy wystąpiłby otwarcie przeciw niemu lub w tym celu połączył siły z nami. Gdybym choć trochę więcej wiedział o tym, jak wygląda istota jego podległości Satanaelowi... i dlaczego stałem się sprawcą upadku Etherni.

Resztki mroku znikły i słońce na powrót rozświetlało przestrzeń wokół nas. W oddali zobaczyłem przygarbioną sylwetkę okrytą czarnymi, sięgającymi ziemi szatami. Założony na głowę kaptur zupełnie zasłaniał twarz, podobnie jak długie, szerokie rękawy ukrywały dłonie.

Postać nie oddalała się ani nie przybliżała. Domyśliłem się, że jest to przewodnik, o którym mówił demon.

Podszedłem do Julity, potem pomogłem jej wstać.

- Byłaś bardzo dzielna. Naprawdę dzielna. - Wytarłem jej policzki z łez. -

Dzielniejsza niż niejeden mężczyzna i rycerz.

Starła się opanować, choć jej podbródek drżał lekko.

- Co teraz zrobisz? - spytała.

Milczałem, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Nie miałem najmniejszego pojęcia, co mam teraz czynić. Wciąż kołatała mi się w głowie myśl, że powinienem pomóc Etherni, bez względu na to, czy słowa demona są prawdziwe, czy nie. Być może istniał jakiś sposób, aby odwrócić jej przemianę. Na Boga, nie wiedziałem, jak groźna mogła być dla niej moja bliskość i jeśli zdecydowała się na nią, mając choć częściową tego świadomość, była najodważniejszą istotą na świecie. Zaryzykowała wszystko. Modliłem się, aby okazać się tego wartym.

- Co z Piotrem? - Ocknąłem się z zamyślenia, słysząc pytanie Julity.

- Nic mu nie będzie, ale stracił dużo krwi. Zostanie z Archajami. Ty też powinnaś z nimi zostać. Pomożesz opiekować się Piotrem.

- Nie! - gwałtownie zaprotestowała.

- Julito!

- Nie! - Po tonie jej głosu wiedziałem, że nie mam szans, by ją przekonać, a nie chciałem wpływać na nią wbrew jej woli.

- Bez względu na to, co zamierzasz zrobić, nie uwolnisz się ode mnie tak szybko. Jeśli ty mogłeś latać na białym smoku, ja też sobie poradzę, a poza tym... Tylko Ethernia może mi cię oddać.

Na dźwięk tego imienia poczułem bolesne ukłucie. Nie miałem pojęcia, co mogło się z nią stać i to bolało najbardziej.

- Jak chcesz - powiedziałem. - Ale wiedz, że nie masz pojęcia, jakiemu wyzwaniu będziesz musiała sprostać.

- Ty też!

Wiedziała dużo więcej, niż można by się po niej spodziewać. Spojrzałem w stronę zakapturzonej istoty stojącej samotnie w oddali.

- Poczekaj tutaj na mnie. Muszę z kimś porozmawiać. - Przewiesiłem miecz przez plecy, a potem powoli odszedłem w tamtą stronę. Tym razem Julita nie oponowała.

Szata przewodnika nie miała żadnych zdobień ani znaków. Na jego szyi jednak od razu dostrzegłem złoty łańcuch podtrzymujący medalion w kształcie pentagramu. Choć użyta do jego stworzenia magia mroku była potężna, odkryłem, że nie jest w stanie w pełni zabezpieczyć jego właściciela przed mocą światła, jakiej mogłem użyć. Istota, chroniąca się w ten niepewny sposób przede mną, była szczupła i wysoka. Kiedy stanąłem przed nią, poruszyła się i przemówiła.

- Mój pan, Ahriman, ofiarowuje mnie jako dowód swoich słów. Mam ci służyć, panie, i wypełniać twoje polecenia, dopóki taka będzie jego wola.

Głos był bardzo zmysłowy, kobiecy i uwodzący. Domyśliłem się natychmiast, że mam do czynienia z sukkubem. Chwyciłem róg kaptura, a potem zdarłem go z głowy istoty, aby upewnić się o tym.

Kruczoczarne, długie włosy rozsypały się na jej ramionach, a czarne jak noc oczy spojrzały szeroko rozwartymi źrenicami. Była ładna, jak wszystkie sukkuby. Krzyknęła boleśnie, a potem zasłoniła oślepięte oczy dłońmi o wąskich, długich palcach. Jej cera miała charakterystyczny, szary odcień, choć nieco mniej intensywny niż u inkubów.

- Jakie jest twoje imię? - spytałem.

- Panie, pozwól mi osłonić twarz. Wasze światło jest dla mnie zbyt jasne. - Skuliła się.

Bez słowa nakryłem jej głowę kapturem.

- Jestem Dekarabia, kapłanka ognia - powiedziała z wyraźną ulgą w głosie.

- Ja jestem Passachiel.

- Wiem, panie. Sam Satanael interesuje się tobą od czasu, kiedy uwolniłeś skrzydlatą.

- Kim są kapłanki ognia? - Byłem zdziwiony tym, że prawie nie odczuwam złej emanacji aury od tej istoty.

- Usługuję księżetom pana panów Satanaela w rytuale podtrzymania ognia.

- Czym różni się ogień ludzi od ognia Satanaela?

- Niczym, panie. To ten sam ogień transformacji i kreacji, któremu wszyscy służymy.

- A Ethernia? Gdzie teraz jest?

- Mój pan zabrał ją tam, gdzie Sealiah kończy już swą przemianę. Kiedy i ona zakończy swój cykl, pan panów Satanael przyjdzie również po nią.

- Czy możesz zabrać mnie tam?

- To miejsce zakazane dla nas kapłanek...

- Możesz?

- Tak. Mogę. Wolą mojego pana jest, abym wypełniała twoje polecenia.

- A więc tak będzie, kiedy tylko nabiorę sił - rzekłem. - A teraz chodź ze mną.

Kiedy idąc już w stronę osiedla, zobaczyłem, że ona wciąż stoi w tym samym miejscu, przywołałem ją gestem dłoni.

- Nie mogę, panie - przepraszając, skłoniła się lekko. - Tam są skrzydlaci...

- Obawiasz się nas?

- Waszej magii...

- Archaje prawie jej nie używają.

- Ale skrzydlaci w szczególny sposób nienawidzą nas, sukkubów... w dodatku ich światło... - przerwała, zdając sobie sprawę, że zdradza mi jeden ze swych słabych punktów.

- Mów dalej - polecilem.
- Ogień ludzi może zarazić Elohimy, a światło Archajów może zmieniać kapłanki ognia. Nasze ciała umierają...
- Ten medalion wystarczy, aby cię przed tym ustrzec - zauważyłem.
- Dał mi go mój pan, ale nie był tego pewien.
- Ja jestem. - Wykonałem przywołujący gest. - Chodź ze mną.
- Czy jesteś pewien, panie, że chcesz, aby twoi słudzy zobaczyli cię w moim towarzystwie?
- Archaje nie są moimi sługami. Jeśli coś dla mnie robią, czynią to z własnej woli.
- Jak więc utrzymujesz porządek wśród poddanych? - zdumiała się.
- Nie mam poddanych.
- A ci, którzy służą tobie?
- Robią to z własnego wyboru.
- Rozumiem. Używasz wobec nich magii...
- Nie używam. - Przeciągająca się dyskusja na ten temat zaczynała mnie powoli irytować. - Chodź! Skoro masz być moim przewodnikiem, powinnaś mi towarzyszyć.

Bardzo niezdecydowanie wykonała kilka pierwszych kroków. Trzymała się za mną.

- Mój pan Ahriman jest dla nas bardzo surowy... - odezwała się nieoczekiwanie.

Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale kiedy spojrzałem na nią, umilkła lękliwie.

Julita i Restilia poszły już do osiedla, tak więc, kiedy pojawiłem się razem z przewodnikiem, czekały na mnie wszystkie Archaje. Dopiero wtedy w pełni zdałem sobie sprawę, że stałem się ich jedyną nadzieją i wszystko, co wydarzy się od tej chwili, zależy tylko i wyłącznie od moich decyzji. Widziałem to w ich spojrzeniach, które śledziły mnie nieustannie, gdy wszedłem pomiędzy nie. Dekarabia kulila się pod ich natarczywym wzrokiem i zbliżyła do mnie tak, że przez chwilę niemal okryłem ją skrzydłem. Czulem otaczające napięcie. Milczące oczekiwanie. Znałem to zachowanie, było wspólne ludziom oraz istotom światła. W chwili zagrożenia, kiedy niepewność zawisała nad losem wszystkich, wybierano przywódcę, który powinien wziąć na siebie odpowiedzialność i poprowadzić swój lud. Wiedziałem, że wybór został dokonany.

Nikt nie zadał mi tego pytania, ale miałem świadomość, że wszyscy oczekują na odpowiedź. Zatrzymałem się więc. Spojrzałem wokół. Poczulem się znów jak w czasach, gdy w Ziemi Świętej broniliśmy się, garstką rycerzy powstrzymując szturm setek wojowników Mahometa. Tym razem

jednak nie miałem na sobie barw zakonu, a przeciwnicy nie byli istotami z mojego świata. Okoliczności jednak wyglądały tak samo. Nas była tylko garstka, a oni mogli nadejść w każdej chwili. Nie mogłem okazać własnego strachu i zwątpienia. Nie wobec istot patrzących na mnie z taką nadzieją.

Nadając swemu głosowi uspokajające brzmienie, powiedziałem:

- Quaddishim Ethernia przekazała mi swą wiedzę i doświadczenie, czyniąc mnie exousiai. Zналиście mnie jako człowieka Tomasza z Akwitanii, a teraz poznacie jako Quaddishim Passachiela. Nie mogliśmy przewidzieć tego, co stało się dzisiaj. Ofiara, jaką złożyła Quaddishim Ethernia, pozwoli nam powołać Niebieskie Zastępy i wydać wielką bitwę siłom, starającym się zniszczyć Prawdę Światła. - Wyciągnąłem miecz, unosząc go tak, aby wszyscy go dostrzegli. - Wiem, że walka jest obca wszystkim istotom światła, ale nie stanie się przyczyną ich upadku. Mój ogień będzie waszym ostrzem, waszym ramieniem i siłą, która obroni was przed Satanaelem. Święty miecz Serafinów stanie się narzędziem Armagedonu. Przysięgam, że nie spocznę, dopóki pokój i równowaga znów nie powrócą do waszego świata - mówiąc to, poczułem, jak moc spływa z miecza i wypełnia całe moje ciało.

Spojrzałem w górę, wtedy dopiero dostrzegłem, że wysoko ponad moją głowę chmury formują się w okrąg, którego centrum pozostaje pustą, wypełnioną błękitem nieba przestrzenią. Zerwał się lekki wiatr, świat poszarzał. Archaje patrzyły zafascynowane na to zjawisko. Odsunęły się z szacunkiem, pozostawiając wokół mnie szeroki krąg wolnej przestrzeni. Świadomość tego, co powinienem zrobić, spłynęła na mnie jak nieoczekiwane olśnienie. Opuściłem miecz, a potem ostrożnie dotknąłem jego sztychem ziemi pod swoimi stopami. Zacząłem wypowiadać słowa mocy, tak potężne, że nie umiałby nad nimi zapanować żaden człowiek. Przez moment dojrzałem pośród wpatrzonych we mnie twarzy Julitę. Widziałem, że nie może opanować zadziwienia.

Lekkim pchnięciem wbiłem miecz w ziemię, a potem rozłożyłem ramiona, na powrót patrząc w górę. Oślepiający snop światła uderzył we mnie wprost z nieba, rozwiewając część wirujących chmur. Ziemia zadrżała, a ja uniosłem się powoli, czując, jak światło wypełnia mnie i przepływa przeze mnie bez przeszkód. Obracałem się powoli pod naporem spiralnie zwiniętych strumieni mocy. Rozchyliłem skrzydła. Wypełniało mnie ciepło. Obraz świata w moich oczach rozplątał się jak sen. Wokół była tylko przestrzeń. Przestrzeń i blask.

Nieoczekiwanie zdałem sobie sprawę z obecności istoty dużo potężniejszej niż jakiegokolwiek moje wyobrażenie. Nie widziałem jej na razie, ale czułem ją wokół siebie.

Blask osłabł i wtedy zobaczyłem dookoła nieprawdopodobną liczbę gwiazd i pustkę wszechświata. To nieoczekiwane uczucie pustki i odległości przestraszyło mnie. Rozejrzałem się, wtedy ją dostrzegłem. Była olbrzymia, a choć wiedziałem, że to nie jest jej prawdziwy wygląd, ucieszyłem się, że ta potężna istota przybrała rozpoznawalne dla mnie kształty. Nie miałem pojęcia, jak wielką część wszechświata wypełnia, ani w jakim stopniu jest tutaj, a w jakim poza światem, ale kiedy ujrzałem jej potrójne, iskrzące się gwiazdami skrzydła, wiedziałem, że znalazłem się w mocy Serafina.

Jego oblicze było smutne. Nie śmiałem się odezwać ani poruszyć, wpatrzony w niego.

Powoli zbliżył do mnie swoje dłonie, w których mógłby zamknąć całe światy, a potem okrył mnie nimi. Znów oślepiła mnie jasność. Teraz jednak towarzyszyła jej wibracja i wysoki, ogłuszający dźwięk.

Otworzyłem oczy. Znów stanąłem na ziemi. Chmury wokół snopa światła bijącego z nieba zmieniły się w wir powietrzny i wtedy dopiero to dostrzegłem. Te chmury to były sylfy. Dzikie i nieokiełznane stworzenia o mocy większej, niż przypuszczałem. O mocy większej niż moc istot służących demonom. To ja miałem je okiełznać. Ująłem miecz, podniosłem go, a potem wypowiedziałem głośno jego imię.

Blask eksplodował, zalewając niebo nad naszymi głowami miliardami rozbłysków.

Znów huk przetoczył się ponad ziemią, a chmury zamigotały intensywnymi kolorami. Jak okiem sięgnąć, po błękitnym nieboskłonie majestatycznie szybowały istoty nazywane przez wszystkich ludzi ognistymi smokami.

Zrozumiałem, że dzieło się dopełnia. Miałem przed swoimi oczami armię, którą przyjdzie mi dowodzić. Archaje zaczęły śpiewać, a właściwie modlić się śpiewnym językiem. Po raz pierwszy od dawna zobaczyłem na ich twarzach nadzieję i spokój.

Schowałem miecz.

Smoki obniżyły lot i przemykały tuż nad naszymi głowami ze świstem rozcinanego skrzydłami powietrza. Ich barwa była niemal identyczna jak kolor moich skrzydeł. Mieniły się wszystkimi odcieniami czerwieni. Po dłuższej chwili zaczęły wybierać miejsca na spoczynek i jeden za drugim opadały na ziemię. Dopiero teraz można było w pełni uświadomić sobie ich liczbę. Zdawało się, że nie ma już nawet kawałka wolnego miejsca, a większość z nich wciąż krążyła w powietrzu. Ich cienie pędziły po ziemi we wszystkich kierunkach, powodując, że światło słońca migotało niczym szalone. Łopot i szelest ich skrzydeł zlewał się w głośny szum.

Dopiero kiedy niebo na powrót stało się czyste, Archaje przestały się modlić. Kiedy natrafiłem na spojrzenie Julity, uśmiechnąłem się. Ona odpowiedziała w ten sam sposób, jednak dostrzegłem, że nie patrzy już na mnie jak na mężczyznę. Patrzyła na boga.

* * *

Siedziałem sam, ucząc się nawiązywania więzi. Odkryłem, że kiedy wprowadzam się w pewnego rodzaju trans, oczy smoków stają się moimi. Potrafiłem w tym stanie kontrolować ich zachowanie. Umiałem być na raz w każdym z nich, stając się ich wolą i umysłem. Choć był to stan tak odmienny od tego, co znałem dotychczas, a równocześnie tak pełen mojej własnej trzeźwej oceny sytuacji, to jednak za każdym razem przejście do niego wydawało mi się nieuchwytnie. Po prostu nagle stawałem się nimi, a przy odrobinie chęci znów powracałem do własnego ciała. Nigdy też nie traciłem poczucia tego, co się ze mną dzieje. I właśnie oczami smoków zobaczyłem idące do mnie dwie osoby. Sam je wezwałem, czując, że jestem gotowy do działania. Wśród olbrzymich smoków wyglądały jak karzełki.

Kiedy na chwilę przejąłem wolę jednego ze smoków i podniosłem go z ziemi, a potem zacząłem iść

za tymi osobami, pobiegły przerażone, omal na siebie nie wpadając.

Pozwoliłem smokowi położyć się i zapaść w drzemkę, a potem wstałem i ze wzgórza swoimi oczami dostrzegłem biegnących.

- Nie obawiaj się - przesłałem słowa do umysłu Julity. - Jestem tuż obok.

Zobaczyłem, jak dwie figurki zwolniły, ale ich ruchy nie stały się wcale mniej lękliwe. Szczególnie Dekarabii. Archaje nie przyjęły jej do siebie, wyraźnie okazując wrogość; musiała więc trzymać się z dala od osiedla. Nie zauważyłem, aby przyjęła to ze specjalnym żalem. Można powiedzieć nawet, że odczuwała wyraźną ulgę, kiedy mogła trzymać się jak najdalej od nich. Ku mojemu zdumieniu podobnie zachowywała się Julita, choć ją Archaje darzyły zaufaniem i po prostu lubiły. Szczególnie Restilia wyglądała na zmartwioną tym, że jej dawna przyjaciółka tak się odsunęła. Podobnie Tarosiel, który wyraźnie szukał z nią jak najbliższego kontaktu. Specjalnie dla niej zaczął nawet przynosić soczyste słodkie owoce znad jeziora. Julita jednak często wymykała się z osiedla i cały ten czas spędzała z Dekarabią. Kładłem to na karb jej przeszłości spędzonej wśród sług nekromanty. Na pewno jako dziecko wychowane wśród nieumarłych i ożywieńców, czuła się bezpieczniej wśród nich niż wśród istot światła. Być może kiedyś jej przyjaciółką w dzieciństwie był jeden z sukkubów, które w swej istocie, poza wybujałym pragnieniem czerpania przyjemności z cielesnych uciech wszelkiego rodzaju, niewiele miały wspólnego z prawdziwie mrocznymi sługami Satanaela. Prawdę mówiąc, dziwiłem się nawet, że są jego kapłankami. Nie umiałem sobie wyobrazić, jaka jest rola istot stworzonych z eterycznej ziemi, wody i powietrza. Nie było w nich nawet odrobiny ognia, który stał się przyczyną potęgi Satanaela. Inkuby i sukkuby były istotami wody. Nie umiały oprzeć się swym wewnętrznym falom i to one rządziły ich zachowaniem. Przyływy i odpływy uczuć sukkubów doprowadziły do obłądu i samobójstwa niejednego mężczyznę, który wcześniej został przez nie uwiedziony, a potem odrzucony. Dekarabia na pewno nie była inna. Nie potrafiła panować nad swoimi pragnieniami i instynktami. Prawdopodobnie była przy tym mistrzynią zmysłowości. Dlatego żaden śmiertelnik, który spróbował miłości z sukkubem, nie umiał potem znaleźć satysfakcji w związku z innym człowiekiem. Inkuby dodatkowo wspomagały swoje zdolności magią, ale efekt ich zabiegów był podobny.

Stałem bez ruchu, czekając, aż Julita i Dekarabia podejną do mnie. Zauważyłem lekki lękliwy ruch, jakim Dekarabia skłoniła się przede mną. Julita zrobiła to samo, ale po prostu naśladowując ją.

- Co z Piotrem? - zagadnąłem, choć znałem odpowiedź.

- Dochodzi już do siebie - odezwała się Julita. - Dzisiaj nawet po raz pierwszy trenował z mieczem.

- Cieszy mnie to.

- Dlaczego nas wezwałeś? - spytała.

- Chciałem porozmawiać z Dekarabią... a potem z tobą.

Widząc, że nie rozumiała mnie w pełni, dodałem w jej stronę:

- Zostawisz nas na chwilę samych?

- Tak, tak oczywiście. - Kiedy gorliwie kiwnęła głową, jasne włosy zsunęły się na jej twarz.

Poprawiła je szybkim ruchem dłoni, a potem odwróciła się, odchodząc pomiędzy smoki. Dekarabia stała, milcząc.

- Zdejmij z głowy ten kaptur, nie lubię rozmawiać z kimś, kto wciąż zasłania swoją twarz - powiedziałam.

- Tak, panie. - Posłusznie zsunęła kaptur, choć gwałtowne mruganie oczami zdradzało, jak wiele ją to kosztuje.

- Chcę, żebyś jutro zabrała mnie tam, gdzie uwięziono Ethernę.

- Nie uwięziono jej, panie...

- Jak to nie uwięziono?

- Ona przechodzi przemianę. Teraz może już nawet sama nie będzie chciała wrócić tutaj. Może nawet nie będzie chciała cię znać.

- Wątpię w to.

- Tak jest zawsze, panie, przy każdej przemianie. - Przysłoniła dłonią czoło, aby ukryć oczy w cieniu i spojrzeć na mnie. - Powinieneś zdawać sobie z tego sprawę, panie.

- Co ty opowiadasz, diablico! - rozzłościłem się. - O jakiej przemianie mówisz?!

- Ty nie wiesz?! - przestraszyła się nagle.

- Nie. Opowiadaj!

- Panie. Nie mogę, jeśli nie wiesz.

- Mów. Rozkazuję ci!

- Panie. - Na jej twarzy pojawił się płaczący grymas. - Nie mogę. Mój pan byłby bardzo rozgniewany, że zdradziłam ci misterium wszystkich władców. Nie mogę. Użyłby mnie na pewno w obrzędzie okiełznania ognia...

Chwyciłem ją mocno za ramię, pochylając się, a potem zajrzałem głęboko w czarne źrenice. Jej umysł był na odległość jednej mojej myśli.

- Proszę, nie rób mi tego! - Natychmiast domyśliła się, co chcę zrobić. Padła na kolana, obejmując moje nogi. - Proszę, nie... błagam, nie rób tego, jeśli jesteś jednym ze skrzydlatych.

- Jestem inny niż oni - powiedziałem powoli. - Mam w sobie ludzki ogień.

- Nie! - Kuliła się jak zaszczute zwierzę, okrywając głowę ramionami. - Nie, Quaddishim Passachielu!

Moje imię zabrzmiało w jej ustach nieco nieporadnie.

- Widzę, że Julita nauczyła cię kilku naszych słów - stwierdziłem.

Drżała wylękniona, oczekując na chwilę, w której znajdę się w jej umyśle. Dopiero po dłuższym czasie, kiedy zorientowała się, że tego nie robię, ośmieliła się podnieść głowę. Jej policzki lśniły od łez. Uspokoila się trochę, widząc moje spokojne oblicze. Stopniowo na jej twarz spłynęło bezbrzeżne zdziwienie.

- Dlaczego tego nie zrobiłeś, panie? - Wytarła policzki.

- Bo mnie o to prosiłaś. Wstań. - Mocnym uściskiem pomogłem jej na powrót się podnieść. Wciąż mi nie dowierzała. Rozbieganym wzrokiem poszukiwała jakiegoś wyimaginowanego zagrożenia. Ono jednak nie nadchodziło.

- Jeśli nie możesz tego zrobić, uszanuję wolę twojego pana - kontynuowałem. - Twoja pomoc będzie mi bardzo potrzebna, a nie chcę, byś mnie znienawidziła, bez względu na to, co naprawdę myślisz na mój temat.

Zamilkła na pewien czas, a potem starannie dobierając słowa, odezwała się niepytana.

- Julita opowiadała mi o tobie, panie. O tobie, kiedy byłeś jeszcze człowiekiem.

- Co mówiła? - zainteresowałem się.

- Że byłeś sprawiedliwym rycerzem z zakonu, który nosi czerwone krzyże. Myślę, że jesteś nim nadal.

- To dziwne słowa z ust istoty takiej jak ty.

- Ja... ja... - zająknęła się. - A dokąd miałam iść? Skrzydlaci nas prześladują, a ludzie nienawidzą. Jestem istotą wody jak syreny albo nimfy. Tylko że one nikomu nie muszą służyć.

- Może i ty powinnaś iść za ich przykładem?

- Mój pan... ja potrzebuję... - znów zaczęła bąkać. - Nie wiem, czy zrozumiesz mnie, panie.

- Nie musisz mi tego tłumaczyć. Wystarczy, że pomożesz mi, tak jak obiecałaś.

- Taka jest wola mojego pana - powiedziała natychmiast z przekonaniem.

- A twoja?

- Wola mojego pana i moja - poprawiła się.

- I niech tak pozostanie.

Patrząc na nią, zastanawiałem się, czy naprawdę budzę w niej aż taki strach. Sposób, w jaki przede mną stała, pochylona głowa, lękliwe, szybkie spojrzenia, świadczyły o tym, jak bardzo się mnie obawiała. Zrozumiałem także, dlaczego demon przysłał sukkuba jako mojego przewodnika. Skoro była istotą wody, tyle samo dzieliło ją ode mnie, co od demona.

Mogła być idealnym pośrednikiem pomiędzy naszymi światami.

Dotknąłem jej policzka, a potem powoli, tak by się nie spłoszyła, zakryłem dłonią jej oczy.

- Teraz nasze światło nie będzie cię oślepiało - uspokoiłem ją, a potem cofnąłem dłonie.

- Dziękuję, panie. - Przestała mrugać, swobodnie rozglądając się dookoła.

- Zawołaj Julitę - powiedziałem.

- Tak, panie.

Odeszła, a po chwili wróciła Julita.

- Słucham? - Na jej twarzy widziałem obojętność, wiedziałem jednak, że cierpi.

Odczuwałem jej ból i zagubienie.

- Ostatnio oddaliłaś się bardzo ode mnie.

- Chcesz, abym modliła się do ciebie? - Nie umiała pohamować języka. - Jestem tylko ludzką kobietą. Do czego potrzebna ci taka ograniczona istota, Passachielu?

- Lubię cię.

- Dziękuję, panie. - Pokłoniła się z przesadną dbałością, lekko ujmując dłońmi krawędzie sukni.

- Nadal mi nie wybaczyłaś?

- Istoty wyższe nie potrzebują wybaczenia kogoś takiego jak ja.

- Mylisz się. - Ku zaskoczeniu dziewczyny ująłem jej dłonie, przyciągając ją do siebie, a potem siadając, nakłoniłem, aby usiadła wraz ze mną. Zrobiła to, nie rozumiejąc przyczyny. Teraz jej dłonie wydały mi się podwójnie małe i kruche. - Jesteś dla mnie nadal kimś bardzo ważnym. Wierz mi, gdybym mógł odwrócić własny los, zrobiłbym to dla ciebie, ale właśnie los przeznaczył mi zadanie, które muszę wypełnić i nikt nie zrobi tego za mnie.

Nie chcę jednak, żeby stało się to przyczyną twojej nienawiści do mnie.

- Rozumiem. - Przytaknęła ruchem głowy, a potem rozplakała się, wylewając z siebie całą boleść. Pozwoliłem jej na to, obejmując jej drobne ramiona.

Nie rozmawialiśmy przez długą chwilę. Po prostu byliśmy obok siebie. Ona zatopiona we własnej samotności i ja tak bardzo teraz od niej odległy.

- Piotr chce ruszyć razem z tobą. - Widziałem, jak wiele wysiłku kosztowało ją uspokojenie się i nadanie głosowi pozorów spokoju.

- A ty? Kiedy ostatni raz rozmawialiśmy na ten temat, chciałaś tego.

- Nadal chcę.

- Lepiej byłoby, gdybyście oboje bezpiecznie pozostali z Archajami. Część Niebieskich Zastępów będzie broniła was przed mrokiem.

- Piotr uparł się, aby walczyć przy twoim boku. - Nadgarstkami wytarła zaczerwienione oczy. - Nigdy nie zrozumiem tego waszego męskiego pędu do chwały. A ja nie mam po co wracać do swojego świata. Nie umiem też żyć tak jak te wypełnione dobrem, świętoszkowate Archaje.

- Szukasz śmierci? - zaniepokoiły mnie jej słowa.

- Chcę być przy tobie.

- Będziesz, ale zanim wyruszymy, muszę odszukać Ethernę - podzieliłem się z nią swoimi planami. - Dopiero kiedy ją odnajdę, nadejdzie czas walki. Do tego czasu proszę was, abyście pozostali tutaj. Niebawem wrócę.

- Dobrze - zgodziła się, bezwiednie potwierdzając to ruchem głowy.

- Tylko Dekarabia zna miejsce uwięzienia Etherni, wyruszę więc z nią.

- Zabierzesz ją ze sobą? - Przez jej twarz przebiegł cień zaniepokojenia.

- Tak.

- Ona wie?

- Rozmawiałem z nią... dlaczego pytasz?

- Nie... nic... tak tylko.

- A więc postanowione. - Westchnąłem z ulgą. Wiedziałem, że nadszedł czas działania.

Byliśmy już od kilku dni w drodze. Wokół nas pasma mgły słały się tuż przy ziemi i wirowały ponad naszymi głowami. Dekarabia prowadziła mnie skalistym brzegiem tuż przy urwisku, poniżej którego panował mrok. Kikuty uschniętych drzew ostatkiem sił

utrzymywały się przed upadkiem, wczepiając w ziemię przypominające szpony korzenie.

Wąski grzbiet, na którym ledwie mieściła się ścieżka, stanowił jedyną drogę do miejsca, które musiałem odnaleźć. Mgła oślepiła mnie i nie było w niej nic, co mógłbym nazwać normalnym. Była kwintesencją bólu i zagęszczoną formą eterycznego powietrza skażonego przez mrok. Dla Dekarabii nie stanowiło to jednak żadnej przeszkody. Zastanawiałem się, czy jeśli uświadomi sobie moją słabość oraz to, jak bardzo owa mgła pozbawia mnie sił, nadal pozostanie wobec mnie lojalna. Miałem nadzieję, że lęk przed jej panem w przewrotny sposób uchroni mnie przed takim niebezpieczeństwem.

Sukkub od czasu do czasu przystawał, odwracając się i patrząc, czy odległość między nami nie stała się zbyt wielka. Kiedy trafiałem na zagęszczenie mgły, z trudnością utrzymywałem równowagę.

- Odpocznijmy - powiedziałem w pewnym momencie, siadając na ziemi dla nabrania sił.

- Jak sobie życzysz, panie. - Podeszła do mnie, a potem usiadła obok.

Dziwny był to odpoczynek, w czasie którego siły wcale do mnie nie powracały.

Zauważyłem, że czarne oczy Dekarabii z lękiem wpatrzone są w mój miecz.

- To miecz Serafinów - wyjaśniłem, choć nie pytała.

- Wiem, panie. My mówimy na niego Nienazwany. Samo jego imię ma moc zadawania śmierci moim siostram i braciom. Nawet żaden z Elohimów nie odważyłby się wykorzystać jego mocy.

- Ja nie jestem jednym z nich.

- Ale mgła działa na ciebie, panie, w ten sam sposób jak na wszystkich skrzydlatych. -

Jej słowa natychmiast odpowiedziały na wątpliwości, które targały mną jeszcze przed chwilą.

Spojrzałem na nią. Tym razem patrzyła mi prosto w oczy. Nie opuściła spojrzenia.

- Cieszy cię to? - spytałem, oddychając z trudem, kiedy kolejne zagęszczenie mgły okryło nas całunem. - Nie. - Widziałem, jak się zawahała przez chwilę, a potem wyjęła spod swej ciemno atramentowej szaty coś wyglądającego jak nieoszlifowany kamień. Wstała i bardzo ostrożnie dotknęła napierśnika. Wzdrygnąłem się.

- Wybacz, panie, moją śmiałość. - Natychmiast się cofnęła. - Ten kamień wodnego pentagramu pozwoli ci swobodnie oddychać. Mgła działa w ten sam sposób również na moich panów. My, kapłanki, tworzymy dla nich takie pentagramy. Dlatego że mgła działa na was wszystkich, to miejsce jest jedynym stykiem pomiędzy waszymi światami.

Pozwoliłem jej zamocować kamień na napierśniku.

- Mówisz, jakbyś nie należała do żadnego ze światów - powiedziałem, czując natychmiastową ulgę.

- Jestem istotą wody. - Jej czarne oczy patrzyły na mnie odważnie. - Mgła nie działa na istoty wody, a poza tym... służę temu, kogo wybiorę.

- Jeszcze nie widziałem żadnego sukkuba służącego Elohimom.

- Mówiłam ci, panie, dlaczego tak jest.

- To prawda... mówiłaś. - Poprawiłem pelerynę przykrywającą moje skrzydła. -

Pewnie gdybym był teraz tylko człowiekiem, rozszarpałabyś mnie, zamiast mi służyć.

- Mylisz się. My nie rozszarpujemy ludzi. Wręcz przeciwnie. - Po raz pierwszy zobaczyłem uśmiech na jej twarzy. - Byłeś, panie, rycerzem z tego ludzkiego zakonu noszącego czerwony krzyż na białym płaszczu?

- Tak. Templariuszem. - Nie wiedziałem, do czego dąży.

- Templariuszem - powtórzyła. - Na pewno więc słyszałeś o twierdzy nazywanej przez nich Krzyż Wschodu i jego komendancie Gotfrydzie... - umilkła, starając się przypomnieć sobie jego przydomek.

- Gotfrydzie Czarnym? - pomogłem jej.

Znałem ową historię aż za dobrze, choć zakon wszystkimi siłami starał się zatuszować tę sprawę. Byłem jednym z zaufanych Wielkiego Mistrza, który pojechał do tej twierdzy, aby rozwiązać kłopotliwy i wstydlivy problem. Pamiętam dokładnie sceny, których świadkami wtedy się staliśmy. Bracia porzucili służbę, brama była zamknięta na głucho, a kiedy w końcu sekretnym przejściem dostaliśmy się za mury, okazało się, że nikogo nie ma na posterunkach. Broń porzrucano w nieładzie i nikt nie dbał o magazyny ani o kościół. Wszyscy byli opętani. Zachowywali się jak zwierzęta. Bracia żyli ze sobą, robiąc to na widoku, szerzyła się publiczna sodomia. Wszyscy byli w łachmanach, niedożywieni, ale w opętaniu nie przestawali bezcześcić zakonu i świętej kaplicy swym wyuzdanym zachowaniem. Samego komandora zastaliśmy zupełnie nagiego z dwoma innymi braćmi w jego łożnicy. Nikt nie umiał się z nim porozumieć. Mówił w dziwnym języku, którego nikt nie znał i wciąż kreślił pentagramy, którymi starał się przywoływać jakieś demoniczne istoty.

Odbyło się wiele procesów. Większość z braci poddano egzorcyzmom, które nic nie dały. Dopiero sprowadzony potajemnie czarnoksiężnik uwolnił ich z opętania. Po procesach, wszystkich braci skazano na śmierć, a komandor, który przyznał się sam do odprawiania rytuałów przywoływania demonów, został skazany na ścięcie mieczem.

- Wiesz coś o nim? - spytałem zainteresowany.

- Gotfryd Czarny chciał przywołać jedną z nas. Robił to tak nieporadnie i tak nieumiejętnie odczytywał księgę cienia, że pewnie żadna z kapłanek nie odpowiedziałaby na jego życzenie, ale... - Uśmiechnęła się, oblizując lekko wargi na to wspomnienie. - Był tak przystojnym mężczyzną, że ja i moja siostra Gardamon postanowiłyśmy przyjść do niego pewnej nocy. Był naprawdę zdolnym kochankiem. Po jakimś czasie udawało mu się zadowolić nas obie w jedną noc. Nauczyłyśmy go, jak ma przywoływać nas w prawidłowy sposób, jak czytać księgę i poznał nawet naszą mowę. Przysiągł

jednak w zamian za to, że dochowa pełnej tajemnicy. Tak było przez rok. Jednak kiedyś odczytał z księgi, w jaki sposób może zmusić nas do przyjscia wbrew woli i uczynić sobie powolnymi. Zmusił nas wtedy do tego, abyśmy służyły wszystkim jego najbardziej zaufanym wojownikom. Nie mogliśmy się przeciwstawić, ale mógł to zrobić mój pan - Ahriman. Kiedy dowiedział się, w jaki sposób ludzie odważyli się postępować z jego kapłankami ognia, sam pojawił się wśród nich. Sprawił, że ich umysły pomieszały się, a skoro tak nas pragnęli, widzieli nas w sobie nawzajem. Widzieli nas nawet w swoich zwierzętach. Ukaral ich w ten sposób, że hańbili siebie nawzajem, a potem zniszczył księge, tak że Gotfryd nie mógł już zmusić żadnej z nas do uległości. Później pozostawił ich samym sobie. Dlatego właśnie uważam, że mój pan jest dla nas sprawiedliwy.

- Boisz się go jednak - zauważyłem.

- Tak musi być - powiedziała z przekonaniem.

- Wcale nie musi... - zaprzeczyłem, a potem spojrzałem gdzieś przed siebie, gdzie mgły wypełniały pustą przestrzeń. - Jest jeszcze coś takiego jak dobro.

- Mój pan nie jest istotą światła. - Zsunęła rękawy tak, by ukryć dłonie, a potem zaplotła ramiona na kolanach.

- Byłem tam wtedy - zmieniłem temat.

- Gdzie?

- W twierdzy i widziałem Gotfryda.

- Pamiętam wszystkich rycerzy, wtedy przybyłych. Którym z nich byłeś, panie?

- Miałem krótką brodę i jako jedyny nosiłem dwa miecze.

- Pamiętam. - Znow się uśmiechnęła. - Byłeś wspaniale zbudowany. Chciałyśmy przyjść do ciebie, ale spaliście wszyscy w jednej sali.

- Wątpię, abyście mogli mnie skusić. - Uśmiechnąłem się.

- Nie doceniasz nas, panie. Nasza zmysłowość jest zupełnie inna niż skrzydlatych. Co to za pieszczoty, jeśli zamiast dreszczu własnej rozkoszy czuje się i widzi obrazy. Wybacz mi, panie, śmiałość, ale twoja zielonooka skrzydlata na pewno nie potrafiłaby dać ci połowy rozkoszy, jaką mężczyźnie umie dać najmniej wprawna kapłanka. Nasza miłość jest w pełni cielesna. Nie ma w niej miejsca na obrazy. Jest w niej tylko czysta, niczym niezmacona rozkosz... aż do zapamiętania. To dlatego ludzie tak nas pragną. Czy słyszałeś, aby któryś z nich pragnął tych anielskich wizji?

- Być może masz rację - nie zaprzeczyłem jej słowom.

- Pamiętasz, panie, kiedy modliłeś się, a potem w pustym refektarzu usługiwały ci dwie zakonnice.

- Pamiętam - potwierdziłem. - Nikt z braci nie uwierzył mi, że w twierdzy są kobiety.

To były dwie bardzo młode nowicjuszki. Czułem się wtedy dobrze w ich towarzystwie... były takie miłe...

- I kuszące?

- I kuszące.

- Twoi bracia mieli rację. W twierdzy nie było kobiet. - Na jej twarzy odmalowała się duma.

- To byliście wy? - domyśliłem się.

- Tak. I gdyby nie ten przeklęty czarnoksiężnik, poznałbyś nas bardzo blisko.

- Czarnoksiężnik?

- Tak. On zamknął naszą bramę do waszego wymiaru. Musiałyśmy szybko uciekać.

- Pamiętam. Zostałem nagle zupełnie sam, a w refektarzu nie było żywej duszy. -

Mimo upływu lat pamiętałem dokładnie tamte okoliczności.

- A teraz? Czy też chciałybyście mnie uwieść? - spytałem, śmiejąc się.

Natychmiast spłoszona spuściła oczy, a na jej twarz znów powrócił strach.

- Panie. Władasz Zastępami, masz w sobie moc, aby używać Nienazwanego. Mój pan i nawet pan mojego pana obawiają się ciebie. Jak śmiałabym myśleć, że mogę mieć nad tobą jakąś władzę?

Umilkliśmy. W tym dziwnym miejscu nie było ani nocy, ani dnia, nie miałem więc pojęcia, ile już czasu straciliśmy.

- Chyba powinniśmy ruszać. - Spoważniałem.

- Tak, panie. - Wstała natychmiast.

- Dekarabio. - Zatrzymałem ją, kiedy chciała się oddalić.

- Tak?

- Dziękuję.

- Za co, panie? - Zawstydziała się.

- Za ten pentagram. - Dotknąłem napierśnika. - Nie wiedziałbym, że możesz zrobić dla mnie coś takiego.

- To ty pierwszy, panie, uszanowałeś moją prośbę i pozostawiłeś nietknięte moje wspomnienia. - Uśmiechnęła się ostrożnie. - Gdybyś tego nie zrobił i tak wiedziałbyś, że mogę stworzyć pentagram

wody.

Odwróciła się. Wstałem ciężko, po czym poszedłem za nią. Ruszyliśmy dalej wzdłuż skalistego grzbietu. Miałem ochotę wzbić się w powietrze i pokonać ten dystans nad ziemią.

Wiedziałem jednak, że mgły sięgają wysoko i sam nie odnajdę drogi. Mógłbym nawet potem nie odnaleźć z powrotem ścieżki, która przypominałaby z góry ostrze noża przebiegające przez zamgloną pustkę. Z pentagramem szło mi się o wiele łatwiej, więc starałem się nie myśleć o locie. Łatwiejsza droga najczęściej nie była tą właściwą.

Dekarabia, tak jak poprzednio, szła przede mną, jednak z czasem odległość, jaką utrzymywała pomiędzy nami, stała się mniejsza. Domyśliłem się, że zbliżamy się do miejsca, o którym mówiła. Kiedy w oddali zamajaczyły mroczne, wypiętrzone kształty skał, zatrzymała się.

- To jest przed nami - w jej głosie dało się wyczuć obawę. - Dalej nie powinnam już iść. Jeśli zażadasz tego ode mnie, zrobię to, jednak nie powinnam...

- A więc zostań tutaj, aż wrócę. - Uspokajającym gestem dotknąłem jej ramienia.

- Jeśli Satanael dowie się, że to ja cię tutaj przywiodłam, zemści się na mnie za zdradę misterium przemian... - Czulem jej lęk. - Proszę, panie, nie zdradź nikomu, kto pokazał ci drogę.

- Nie wiem, jaki jest plan Ahrimana i nie mam pojęcia, dlaczego podarował mi ciebie, ale wierz mi, dopóki jesteś ze mną, dopóty nie spotka cię zemsta ze strony Satanaela. -

Lekkim ruchem nakłoniłem ją, aby usiadła. - A teraz czekaj.

- Tak, panie. - Skinęła głową.

Dalej ruszyłem już całkiem sam. Droga zaczęła wznosić się nieco, a luźne kamienie, które nieopatrnie trącałem stopami, osypywały się w dół z chrzęstem. Zwaliste kształty skał

z każdym moim krokiem stawały się bardziej wyraźne. Przypominały strzeliste iglice, choć z pewnością wiatr był jedynym ich rzeźbiarzem. Wszedłem pomiędzy nie, czując, jak bardzo obce jest mi to miejsce. Powykręcane i zdegenerowane rośliny o pokrytych igłami gałęziach porastały szczeliny między głazami. Otaczał mnie całkowity bezruch i martwota. Twarda, ubita ziemia była spękana z braku wody. Stałem, rozglądając się.

Zacząłem dostrzegać pewien porządek w pozornym nieuporządkowaniu skał.

Tworzyły okrąg o olbrzymich rozmiarach, obiegając dookoła wierzchołek góry, na której się znalazłem. Skierowałem się ku jego środkowi. Tam mgła zdawała się być rzadsza.

W pewnym momencie usłyszałem szloch. Bardzo cichy szloch. Przystanąłem, nasłuchując. Serce zaczęło mi bić intensywniej. Czując przyływ nadziei, przyspieszyłem.

Zaraz jednak ten sam głos zmroził moje serce. Szloch zmienił się w lament, a potem w przeciągłe,

niehumanne dźwięki - jak wycie rozwścieczonego zwierzęcia. Nieopanowany, niski i dudniący ryk demona wstrząsnął powietrzem. Po chwili ciszy znów pojawił się płacz.

Wszystkie dźwięki pochodziły na pewno z jednych ust. Bardzo ostrożnie zacząłem skradać się w tamtym kierunku.

Kolejny nowy odgłos zwrócił moją uwagę. Było to lekkie poskrzypywanie stalowego łańcucha. Spojrzałem w tamtym kierunku. Wysoko na jednej ze skał wisiała przerdzewiała konstrukcja. Znałem wiele narzędzi tortur i to było jednym z nich, ale z całą pewnością przeznaczono je nie dla człowieka. Jakiś cień przemknął ponad wierzchołkami skał i gdybym tam nie popatrzył, na pewno przeoczyłbym go wśród oparów.

Wyteżyłem wszystkie zmysły, ale nic się nie wydarzyło. Wiedziałem, że gdzieś wysoko, ponad mgłami krążą smoki, ale nie był to żaden z nich. Starłem się iść jak najciszej, wsłuchany w otoczenie. Lekki szelest z prawej strony zdradził zagrożenie. Tak, aby nie wydać najmniejszego dźwięku, dobyłem miecza. Rozstawiłem szerzej nogi, przygotowując się do obrony.

Szelest zbliżał się, a wraz z nim coraz intensywniejsza woń... rozkładających się zwłok. Krok, raczej szuranie nogami było nierównomierne. Wiedziałem już, z kim, a właściwie z czym mam do czynienia, nie miałem jednak pojęcia, co tutaj robią nieumarli. Z

mgły wyłonił się zombie. Sądząc po niekompletnym pancerzu pokrytym rudozielonymi zaciekami zgnilizny i toporze, który trzymał w oślizgłej dłoni, musiał być kiedyś wojownikiem. Gdy dostrzegł mnie swymi pokrytymi bielmem oczami, zamarł, a potem z jego ust zaczął wydobywać się cichy charkot. Scalająca i ożywiająca te nieszczęsne zwłoki magia była nadspodziewanie potężna, jednak nie mogła pochodzić od Satanaela. Na czaszce wojownika pozostały jeszcze pojedyncze długie pasma rudych, splecionych w warkocze włosów. Czułem ból, jaki odczuwają szczątki tego nieszczęśnika. Zanim zdołał zrobić cokolwiek, zebrałem w sobie moc i rozproszyłem zaklęcie nekromanty, który powołał go na służbę. Zombie runął jak podcięty, zmieniając się natychmiast w rozkładające się truchło.

Słyszając następne zbliżające się szuranie, zrozumiałem, że czeka mnie spotkanie z wszystkimi strażnikami tego miejsca.

Rozchyliłem skrzydła, a potem ująłem miecz za klingę, uniosłem go ponad głowę niczym krzyż i powołałem w umyśle formuły magii uwolnienia. Kiedy rozesłałem wokół

siebie moc wraz z zagęszczeniem eterycznego powietrza, w oddali rozległy się głuche odgłosy padających bezwładnie ciał. Dla pewności jeszcze trzy razy powołałem formuły magii Elohimów, a potem, upewniwszy się, że nic mi już nie zagraża, z powrotem ująłem miecz za rękojeść.

Zastanawiało mnie, kim jest nekromanta powołujący do życia zombie w służbie Satanaela. Odpowiedź na to dały mi sygile. Wiedziałem, że muszę je usunąć ze zwłok, aby nekromanta nie mógł powtórnie powołać swych sług. Bez problemu rozpoznałem ten znak.

Widywałem go bardzo często - w pałacu sułtana. Nie mogłem jednak w to uwierzyć.

Wiedziałem, jak magia śmierci zmienia wygląd ludzi zajmujących się nią nawet w pierwszym wtajemniczeniu, a ktoś dysponujący równie dużą mocą musiał być liczem. Sułtan i jego syn zajmowali się magią ceremonialną. Ich ciała nie były przecież w żaden sposób zmienione. Nie miałem jednak czasu, by zastanawiać się nad tym wszystkim. Zniszczyłem sygile usunięte ze wszystkich zwłok, potem zaś ruszyłem dalej. Jak się okazało, nie było innych straży poza nieumarłymi. Bez przeszkód dotarłem na miejsce.

Z oddali dostrzegłem wielką figurę przedstawiającą Serafina. Cokół został częściowo skruszony, przez co posąg pochylał się pod nienaturalnym kątem do przodu i pewnie gdyby jedno ze skrzydeł nie zaparło się na skale, runąłby całkiem. Figura miała utracone obie ręce, zniszczoną twarz i sporą wyrwę na wysokości pasa. Na jej torsie dostrzegłem namalowane krwią ofiarną demoniczne sygile. Wiele innych umieszczono na skałach. Zło, wypełniające to miejsce, przytłaczało mnie. Zobaczyłem ołtarz ofiarny, na którym leżała młoda dziewczyna.

Miała na sobie białe, przesiąknięte krwią szaty, a w miejscu jej piersi ziała odrażająca rana.

Wyrwano jej serce. Krew spłynęła po ołtarzu, zbierając się w specjalnych naczyniach.

Czułem wzbierającą nienawiść, ale wiedziałem, że muszę ją pohamować.

Niedaleko ołtarza siedziała jakaś istota. Wszedłem spomiędzy skał, podchodząc bliżej. Szloch, który słyszałem, pochodził właśnie od niej. W pierwszej chwili miałem wrażenie, że to Elohim, ale gdy spojrzała, przeszył mnie lęk.

Ciało tej istoty wyglądało tak, jakby spod pękającej skóry wyrastało żywe, gołe, ociekające posoką mięso. Jedno skrzydło tej postaci posiadało jeszcze matowe, bladobłękitne pióra, drugie jednak prawie zupełnie je straciło. Przypominało teraz błoniaste skrzydło nietoperza. Pozostało na nim tylko kilka sterczących dziwacznie lotek. Twarz istoty prawie w całości zmieniła się w upiorną mięsną maskę z wyszczerzonymi zwierzęco zębami. Tylko jedno oko miało znany mi wygląd, drugie płonęło krwistą czerwienią. Istota miała jeszcze normalny tors, jednak obie nogi i jedna ręka były wylęgającymi się spod resztek skóry kończynami demona. Całym ciałem wstrząsały bolesne, nasilające się drgawki. Kiedy stawały się szczególnie intensywne, powietrzem wstrząsał przejmujący, gardłowy ryk.

Spojrzenie normalnego oka było półprzytomne z bólu.

Zatrzymałem się, przyklękając. Oko obserwowało mnie, a potem z gardła wydobył się zduszony, gardłowy świst, w którym z trudnością rozpoznałem słowa.

- Witaj exousiai, Passachielu. - Nieokrywające zębów, lepkie od krwi wargi poruszyły się zapewne w uśmiechu. Wąska smużka posoki pomieszanej z śliną bezwładnie wyslizgnęła się pomiędzy zębów.

- Kim jesteś? - spytałem.

- Kiedyś byłem Quaddishim Sealiahem, teraz rodzi się we mnie mrok - przerwał, a kolejny atak

drgawek zamglili oko.

Poczekalem, az swiadomosc powroci do jego spojrzenia.

- Co moge dla ciebie zrobic? - spytalem.

- Dla mnie nic. - Zakaszal, krztuszac sie, a w swiszczacym oddechu pojawila sie nuta rozbawienia. - Chyba ze potrafisz mnie zabic.

- Dlaczego tak mowisz?

- Nienawisc. Czuję nienawisc! - glos stal sie niski i dudniacy. - Bol i nienawisc!

Panie, bogoslawie bol i twoja droge! Nienawisc oczyszcza umysl!

Jego zakonczona szponami dlon drgnela i szerokim lukiem pomknela w moja strone.

Odkoczyłem, zaslaniajac sie ramieniem. Atak zamarl jednak w polowie drogi. Sealiah opadl
zupełnie z sil.

- Wybacz mi, exousiai - odezwal sie po dluzszym czasie. - To ostatnie chwile, kiedy jeszcze jestem soba. Mrok zajmuje juz caly... caly moj rozum... Ledwie uwiadamiam sobie, co sie ze mna dzieje.

- Co sie stalo z toba i z innymi?

- Czas! Nie mam czasu! Sluchaj, exousiai! - Szpony dotknelo mojego ramienia i zacisnelo sie, zmuszajac mnie do wytezonej uwagi. - Ogień! Musisz odebrac ogien Satanaelowi. Zmienic go. Odebrac mu wladze. Tylko wtedy mozemy odejsc, odrodzic sie. To jedyna nadzieja dla istot swiatla. Musisz wierzyc, ze to mozliwe...

- Jak to zrobic, Quaddishim Sealiahu? - Znów przyklęknalem, aby patrzec w jego przerazajaca twarz.

- Jest ktos po tamtej stronie. Harut... on teraz... - Konwulsje napiely cale jego ciało, ale walczyl z nimi. - Ethernia. Ona bedzie ci potrzebna... - Kolejny atak powalil go na ziemie.

- A teraz odejdz... Odejdz! Nie wracaj tutaj...! Idz po nia!

Chcialem pomoc, ale bol odebral mu zupełnie swiadomosc. Wsciekly ryk wstrzasnal

powietrzem. Odszedlem kilka krokow i czekalem, jednak przytomnosc nie wracala do umyslu umeczonej istoty. Sealiahem szarpały konwulsje tak silne, ze upadl na ziemie i nie potrafil sie podniesc. Bardzo powoli odwróciłem sie, odchodzjac z uczuciem calkowitej bezsilnosc.

Przestrzen wewnatrz kamiennych kregow byla olbrzymia. Postanowilem odszukać Ethernie. Był to przeciez moj cel. Odszedlem juz na tyle daleko, ze calkowicie okryly mnie mgly, ale nadal wokol nie widzialem zadnego ksztaltu, ktory wskazalby mi kierunek.

Nie wiem, jak długo błądziłem, aż w końcu trafiłem na ślad - wbitą w ziemię drewnianą włócznię, na szczycie której zatknięto obciętą ludzką głowę. Krew jeszcze kapiała z szyi, wsiąkając w zbiegające się pod włócznią białe linie. Klęknąłem, sprawdzając końcami palców, czym jest biały proszek, którego użyto do ich wyznaczenia. Nie mogłem się mylić.

Pył z ludzkich kości. Linie tworzyły na pewno olbrzymi pentagram, a ja znajdowałem się na czubku jednego z ramion.

Wstałem, potem zdecydowany na wszystko poszedłem w stronę jego centrum. To miejsce przepełnione było nekromancją. Tam właśnie dostrzegłem dziwną, stalową, wspartą na czterech filarach klatkę. W jej wnętrzu stłoczeni i skuleni ludzie lamentowali, wzywając na pomoc Boga lub po prostu płacząc. Jakiś ksiądz, w wyglądającej jak łachmany sutannie, przysunął się jak najbliżej krat, a potem spojrzał na mnie pełnymi strachu i niedowierzania oczami. Nie powiedział nawet słowa, kiedy przeszedłem tuż obok niego. Moją uwagę przykuło jednak coś zupełnie innego. We mgle majaczyły sylwetki dwu inkubów. Pomiędzy nimi, jak kukielka, objęła się dużo drobniejsza sylwetka. To był zupełnie bezsilny, na poły wleczony, na poły niesiony przez nich człowiek. Osłabiony, nie mógł nawet przebierać nogami. Oddalali się.

Przyśpieszyłem, chcąc ich dogonić, i wtedy dostrzegłem Ethernię. Ten widok przejął

mnie chłodem i grozą. Leżała na czymś w rodzaju niskiej kamiennej krypty lub ołtarza ozdobionego rzeźbami gargulców. Jej skrzydła zwisały bezwładnie, ścieląc się na ziemi, ubrudzone błotem i plamami krwi tak bardzo, że prawie nie widać było ich błękitu. To nie była jednak jej krew. Wokół stały się na ziemi zwłoki ludzi, a inkuby zamierzały dodać do nich wleczonego przez siebie mężczyznę. Ethernia, półprzytomna i zapewne nieświadoma tego, co robi, pozwalała się obejmować i pieścić dwóm inkubom. Odwzajemniała lubieżne pocałunki jednego z nich, w czasie gdy drugi zajmował się pieszczaniem jej ciała połyskującego od ludzkiej krwi. Obok zobaczyłem kogoś jeszcze. To był Ahriman. Czuję, że zdaje sobie sprawę z mojej obecności, lecz nie spojrzał na mnie. Natychmiast też zrozumiałem cel zabiegów inkubów. Starali się przygotować Ethernię na połączenie z Ahrimaniem, za pomocą swojej mrocznej magii rozpalając w niej żądzę. Ludzkie ofiary i ich cierpienia miały oszołomić ją całkowicie, a zmysłowe igraszki omotać oraz zwieść jej umysł, aby zaczęła odczuwać zwierzęce wręcz pożądanie. Ahriman czekał na właściwy moment, aby ją osiąść. To on miał rozpaść w niej właściwy ogień przemiany, mający zmienić ją tak samo jak zmienił Sealiaha. Nie wiedziałem zbyt wiele na temat rytuałów mroku, ale zrozumiałem w tym momencie, że mój ogień wcale nie był dla Etherni tak groźny jak twierdził Ahriman.

Widocznie z jakiegoś powodu mój ogień nie skaził jej w sposób umożliwiający przemianę.

Dlatego inkuby oraz Ahriman, na polecenie swego władcy, odprawiali odrażający rytuał, by to zmienić. Oznaczało to dla mnie jedno. Nie wszystko było jeszcze stracone.

Dostrzegłem też licza, który asystował Ahrimanowi. Pokryty resztkami ścięgien i mięśni, szkielet nekromanty w zdobnych złotych, lecz zaniedbanych szatach stał wsparty na kosturze zwieńczonym czerwonym kryształem ognia. Wypełnione blaskiem czerwieni oczodoły licza skierowały się na mnie. Wiedziałem, że musiał odczuć spadek własnej mocy, kiedy pokonałem jego sługi. Dlatego rozglądał się zaniepokojony, a teraz - w tym momencie

- odkrył moją obecność.

Poczułem, jak mój gniew odpływa i wypełnia mnie spływające z góry błogosławieństwo. Świadomość mocy oraz sprawiedliwości. Zrozumiałem, co to oznacza.

Serafin wybrał mnie, abym został w jego imieniu sędzią.

- Tak, Świetlisty - odpowiedziałem nadpływającej mocy, a potem, nie zwracając uwagi na licza, który dźwignął swój kostur, chcąc rzucić na mnie mrok, uniosłem miecz.

Jaskrawe światło uderzyło z nieba, oślepiając w jednej chwili wszystkich poza mną.

Mgły się rozstały, a inkuby z przerażającym wyciem upadły na ziemię, tarzając się i wijąc.

Ich ciała zaczęły płonąć. Licz pośpiesznie wycofał się, otwierając portal, a Ahriman zachwiał

się, po czym upadł na kolana. Silny wiatr rozdarł powietrze, rozpędzając gęste opary mgieł i spychając je w dół. Stałem teraz w pełnym świetle, czując całym sobą, że jestem orężem w dłoniach sił o wiele potężniejszych niż sam Satanael. Ziemia zadrżała, kamienne bloki zakołysały się, rozsypując wokół odłamki skał. Teraz, w pełnym świetle dnia, widać było krążące nad moją głową smoki. Zastępy natychmiast rzuciły się w stronę ziemi. Słudzy Ahrimana, których nie dosięgło światło, chcieli uciec, lecz kończyli swój żywot w szponach przemykających nad skałami smoków. Bełkotane w wielu językach błagania o litość niewiele już mogły zmienić. Sprawiedliwość się dopełniała.

Ahriman, klęcząc, wsparł się na dłoniach - nie mógł dłużej utrzymać pionowej pozycji. Usłyszałem w głowie jego słaby głos.

- A więc jednak dokonuje się. Jesteś tak potężny, jak mówią, exousiai. - Z jego ramion i piersi zaczęła płynąć posoka.

- Dlaczego mi w tym pomogłeś? - Podszedłem do niego, nie zwracając uwagi na polujące wokół Zastępy.

- Bo tylko ty możesz mi to dać. - Jego okropna twarz wykrzywiła się w uśmiechu.

- Co?

- Śmierć. Daj mi ją. Teraz możesz to zrobić.

Patrzyłem na niego, nie wierząc w to, co usłyszałem. Nie zrobiłem nic.

- Proszę. Zrób to. - Widząc, że się ociągam, z wielkim wysiłkiem podniósł głowę. -

Zrób to, exousiai. Wiesz dobrze, że zasłużyłem. Zrób to dla kogoś, kto był kiedyś Elohimem...

- Kim właściwie jesteś?

- Spytaj lepiej, kim byłem. - Światło odbierało mu tchnienie. - Kiedyś mówiono na mnie Harut. To ja... przeze mnie stało się to wszystko. Byłem jednym z pierwszych... którzy poparli Satanaela, kiedy chciał stworzyć... stworzyć ludzi. Potem pierwszy, razem z Marutem... Nie przypuszczałem, że taki jest plan Satanaela. Zrozum. Nie chciałem tego.

- O czym mówisz? - Klęknąłem przy nim, jego głos był tak słaby, że musiałem uważnie słuchać, by rozumieć słowa.

- Kobiety... taki był plan Satanaela. Tylko on był świadomy, że wasz... ich ogień może zapoczątkować przemianę. Tylko on wiedział, że rozpalając go w otchłani, zyska nad nami pełnię władzy. Elohimy nie znikły. My nimi byliśmy. Każdy z książąt Satanaela.

Jeden ze smoków zamierzył się na Ahrimana, ale powstrzymałem go myślą.

Przemknął tuż nad nami, wznecając tuman kurzu.

- Uwiodłem ludzką kobietę, poznałem jej zmysłowość i stało się to, co potem z każdym z nas. Moje ciało napeęczało, zmieniło się, a ja oszalałem z bólu. Wtedy przyszedł

po mnie Satanael, z inkubami. I oczyścili mnie w rytuale ognia. Stałem się, kim jestem. -

Starał się podnieść głowę, ale nie potrafił. - Ogień Otchłani sprawia, że ból, który czujemy, staje się dla nas źródłem mocy i nienawiści. Nawet nie wiesz, jak bardzo można polubić to połączenie... nawet nie wiesz, exousiai, jakie to silne! - Zacisnął szpony. - To połączenie przyprawia nas o ekstazę. Wielbiłem za to Satanaela.

- Dlaczego szukasz śmierci?

- Pozostało we mnie coś z Haruta. Nie wiem, jak to się dzieje, ale nauczyłem się ujarzmić w sobie Ahrimana. Może dlatego że na początku magia Satanaela nie była tak potężna... nie wiem. - Z jego ust znów popłynęła posoka. - Wybrałem ciebie, kiedy jeszcze byłeś człowiekiem w tej śmiesznej, żelaznej skorupie. To ja doradziłem sułtanowi w imieniu Satanaela, aby cię posłał po zielonooką.

- Po Ethernię?

- Tak. Wiedziałem, że go zawiedziesz i ją uwolnisz, a potem nadejdzie taka chwila jak ta. - Roześmiał się z trudem. - Twojej zielonookiej udało się w jakiś sposób zabezpieczyć przed magią Satanaela. Jej przemiana zatrzymała się i nikt nie potrafi jej pobudzić. Nawet nasz pan. Pewnie było coś w tobie. Coś ze światła, kiedy jeszcze należałeś do świata ludzi.

To jednak bez znaczenia. Skrzydlaci są już pokonani. A ja chcę, abyś dał mi to, na co sobie zasłużyłem, sprowadzając cię w to miejsce.

Milczałem, a on coraz bardziej się niecierpliwił.

- Jeśli chcesz, exousiai, będę cię błagał. Nie chcę być już Harutem i nie potrafię być w pełni Ahrimanem. Daj mi ukojenie.

- Zrobię to, czego chcesz, jeśli i ty zrobisz coś dla mnie. - Wstałem, powoli podnosząc miecz do ciosu.

- Mów. Jeśli tylko potrafię, zrobię to dla ciebie.

- Odpowiedz, jak mogę dotrzeć do Satanaela i Otchłani.

- Jesteś bardzo odważny, exousiai. Zaczynj od sułtana, on cię tam zaprowadzi, i nie oddalaj od siebie Dekarabii. Niech dalej będzie twoim przewodnikiem. A teraz pośpiesz się! -

Jego ciałem wstrząsały drgawki. - Czuję, że moc opuszcza już twój miecz. Za chwilę może być za późno. To ostatnia szansa.

Kiedy ostrze opadło, z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk. Cieleśna powłoka upadła, a światło Serafinów sprawiło, że umęczony astral rozpląnął się w eterze powietrza.

Po Ahrimanie-Harucie nie pozostał ślad. Rozpląnął się w niebycie.

Rozejrzałem się wokół. Zastępy zakończyły już bitwę. Nie było mgieł, nie było sług mroku, a jasne promienie słońca oświetlały wszystko, wyostrzając kolory i zapachy.

Podbiegłem do Ethernii. Nie poznała mnie. W dziwnym zapamiętaniu chwyciła mnie za szyję, starając się nakłonić do pocałunków i pieszczot.

- Quaddishim Ethernio, oprzytomniej! Na światło i sprawiedliwość! - Jakimś leżącym na ziemi strzępem materiału zacząłem wycierać ją z krwi i błota. - Ocknij się, Elohim!

Błysk zrozumienia pojawił się w jej oczach.

- To ty, Passachielu?

- Tak. Przyszedłem po ciebie.

- Wydawało mi się, że jestem otoczona mrokiem. - Jej spieczona usta były prawie białe. - To chyba był sen... albo czyjeś myśli...

- Byłaś w mroku, ale teraz to już się skończyło. - Uczucie ciepła i szczęścia wypełniało mnie prawie całkowicie. - Zaraz cię stąd zabiorę. Wszystko będzie dobrze.

- Dziękuję, Passachielu, wierzyłam w ciebie. - Zamknęła oczy, zapadając w nieświadomość.

Bardzo delikatnie wziąłem ją na ramiona i podniosłem. Odwróciłem się. Chciałem jak najszybciej odejść z tego przeklętego miejsca. Teraz nie musiałem już na oślep szukać drogi wśród mgieł.

Wtedy właśnie dobiegł mnie lament i płacz. Moje oczy natrafiły na klatkę, w której stłoczono uwięzionych ludzi. Ksiądz, wcześniej obserwujący mnie w milczeniu, machał w moją stronę, przekładając ramiona przez kraty. Mówił niezbyt płynną łaciną.

- Archanielu Gabrielu, wzywam cię w imieniu Boga Najwyższego, nie zapominaj o nas maluczkich, skazanych na twoją łaskę! Ty, który władasz Niebieskimi Zastępami, uwolnij nas ze szponów Szatana! Błagamy cię!

Obok klatki, ze skały wypływał strumień wody, tworząc nieduży staw. Woda była chłodna i orzeźwiająca. Wiedziałem, że wcześniej nie było go tam na pewno. Teraz wokół

rozrastała się roślinność. Stłumione przez mrok życie w oszałamiającym tempie powracało w to miejsce. Postanowiłem wykorzystać sposobność. Odrodzona Woda Życia była jedną z emanacji mocy Serafinów. Właśnie w niej kąpałem się w Świątyni Siódmego Dnia.

Przechodząc tuż obok klatki, wypowiedziałem małe słowo mocy, które zmieniło w proch metalowe sztaby więzienia, a potem nie dbając już więcej o ludzi, pochyliłem się nad stawem. Zanurzyłem Ethernę w wodzie, starannie obmywając ją z brudu i krwi. Widziałem, jak światło powraca do jej ciała. Dostrzegłem też, że jej skrzydła nie są już tak idealnie białobłękitne jak przedtem. Na końcach pojawiły się bladopurpurowe odcienie. Ich rozkład upodabniał je do barw moich skrzydeł. Zrozumiałem, że jesteśmy teraz połączeni i to ja jestem jej Elohimem. Właśnie ta przemiana osłabiła ją i uodporniła przed Satanaelem. W

pewien sposób ja również dałem jej moc. Moc i odporność człowieka.

Dopiero po dłuższym czasie uświadomiłem sobie, że w pewnej odległości otacza nas półkole wylęknionych, niepewnych ludzi, przyglądających się nam z mieszaniną podziwu, strachu, szacunku i uwielbienia. Wszyscy klęczeli, modląc się do nas gorliwie. Spojrzałem na nich, a wtedy natychmiast opuścili wzrok. Tylko ksiądz miał więcej odwagi.

- Święty Gabrielu, ukaż nam drogę do prawdy, zabierz nas do raju, abyśmy mogli cieszyć się światłem Pana - odezwał się.

Zbliżyłem się do niego, a on natychmiast upadł przede mną krzyżem.

- Wstań. - Chwyciłem go za rękę. - Wstańcie wszyscy.

Szmer niedowierzania przetoczył się po nich, kiedy kolejno odważyli się podnieść z kolan.

- Gabriel nie jest moim imieniem i nie w mojej mocy jest zabranie was do raju -

rzekłem językiem Archajów, który musiał być zrozumiały dla nich wszystkich.

- Jak więc możemy cię nazwać, istoto światła?

- Jestem Quaddishim exousiai Passachiel.

- Wybacz nam, śmiertelnym, że ośmielamy się zaprzętać twoją uwagę naszymi doczesnymi sprawami, ale błagamy cię, wyprowadź nas stąd i nie pozostawiaj na pastwę demonów.

- Nie pozostawię was tutaj. - Uśmiechnąłem się.

Wybrałem odległe miejsce, a potem otworzyłem tam bramę do świata ludzi.

- Idźcie tam. - Wskazałem kierunek. - Niech każdy, wchodząc do tej bramy, pomyśli o miejscu, w którym pragnie się znaleźć. Tam właśnie zaprowadzi go to przejście. Śmiało, nie zwlekajcie. Za chwilę będziecie wśród bliskich. - Zachęciłem ich, widząc, że się ociągają.

Dopiero po moich słowach zaczęli oddalać się pojedynczo, choć wyraźnie sprawiało im przyjemność patrzeć na mnie. Na pewno brali mnie za archanioła, czyli kogoś ze swych wyobrażeń - kim nie byłem. Nie miałem jednak zamiaru tłumaczyć tego. Było to bezcelowe.

Kiedy wszyscy odeszli, spojrzałem na księdza, który jako jedyny pozostał w tym świecie. Jakby usprawiedliwiając się ze swej zwłoki, wyciągnął spod sutanny starannie złożoną szatę. Rozpoznałem w niej odzienie Etherni.

- Przyjmij to ode mnie, panie. Przechowałem to, wierząc, że tak należy postąpić. -

Podał mi ją na wyciągniętych ramionach, niczym relikwię. - Twoja towarzyszka była uwięziona razem z nami, a demony zachęcały młodych mężczyzn, by czynili z nią rzeczy, o których nikt nie powinien nawet myśleć... Kiedy żaden nie chciał spełnić ich woli, mordowali ich, a potem odprawiali szatańską mszę. Wierzyłem jednak, że Bóg nie pozwoli, aby tak pokalano jego anioła.

- Dziękuję, ojcze. - Przyjąłem zawiniątko. - A ty, nie chcesz znaleźć się wśród swych wiernych? - spytałem.

- Nie teraz, kiedy pojąłem prawdziwą moc światła. Grzeszyłem ciężko przeciw Bogu.

- Znów upadł na kolana. - Na pewno to wiesz, Quaddishim exousiai Passachielu. Wy przecież czytacie w naszych myślach i sumieniach jak w otwartej księdze. Grzeszyłem pychą, obłudą i dumą, wynosząc się dzięki swemu urzędowi ponad innych śmiertelników. Zdaję się na twój sąd. Skaż mnie na potępienie albo wyznacz pokutę. Inaczej nie umiałbym żyć dalej po tym, czego doświadczyłem.

- Podejdz tutaj. - Nakazałem mu gestem, a kiedy to zrobił, nałożyłem dłonie na jego głowę, potem zaś przesłałem mu kilka obrazów. Miał na imię Dionizy. Jego życie, tak jak życie większości ludzi, pełne było bólu, wyrzeczeń i cierpienia. Nadałem mu cel.

Wiedziałem, że odbierze to jako zesłane przez Boga objawienie. Przesłanie mówiło o tym, kim naprawdę jesteśmy, oraz że ludzie powinni kierować się w życiu wyłącznie sprawiedliwością. Gdy cofnąłem dłonie, miałem pewność, że jest już zupełnie innym człowiekiem.

- Dzięki, panie, za błogosławieństwo oraz prawdę, jaką mi wyjawileś - powiedział, a na jego twarzy malowało się autentyczne szczęście.

- Odejdz teraz i czyn według prawd, które poznałeś - nakazałem.

Kiedy przeszedł przez bramę, przejście się zamknęło. Powróciłem do Etherni.

Zaczynała właśnie budzić się z dziwnego stanu, w jaki wpędziła ją magia mroku. Ująłem jej dłoń, a

potem zamknąłem ją w uścisku swoich dłoni.

Zerwała się gwałtownie, z krzykiem przerażenia, kiedy jednak dostrzegła, że jestem tuż obok, ukryła się w moich ramionach. Drżała.

- Wiedziałaś, że przyjdiesz. - Po raz pierwszy w mojej obecności się rozplakała.

Uspokajałem ją dłuższą chwilę.

- Musimy stąd iść! - zapowiedziałem, gdy opanowała się na tyle, że mogłem wypuścić ją z ramion.

- A Ahriman? - spytała.

- Nie ma już Ahrimana i jego sług. - Uśmiechnąłem się. - Są jednak wszyscy inni książęta i mogą już wiedzieć o tym, co się tutaj stało.

- Masz rację. Chodźmy. - Wstała, rozprostowując skrzydła.

- Widziałem Sealiaha - wyznałem, kiedy się ubierała.

- Ja też. - Przegarnęła dłońmi mokre włosy, wytrzepując z nich resztki wilgoci. -

Teraz nie możemy liczyć na jego pomoc. Jest już na pewno jednym z książąt Satanaela.

- Ahriman pomógł mi odnaleźć cię tutaj.

- Ahriman? Nie wierzę! - Bezbrzeżne zdumienie odmalowało się na jej twarzy.

- Sama zobacz. - Pocałowałem ją w usta. Obrazy zawirowały w naszych myślach i oboje wiedzieliśmy wszystko o tym, co wydarzyło się pomiędzy jej porwaniem a tą chwilą.

- Otchłań? Co to jest? - zastanowiła się.

- Znam kogoś, kto może nam o tym dużo opowiedzieć.

- Dekarabia?

- Tak.

- Powinieneś na nią uważać.

- Dlaczego?

- Skoro uwodzi ludzi, może też uwieść ciebie. Jej zmysłowość jest dużo bliższa twojej.

- Obawiasz się sukkuaba, Quaddishim Ethernio? - Roześmiałem się.

- Nie, ale wiesz, że teraz jesteśmy połączeni... w parę.

- Wiem. - Pomogłem jej ułożyć suknię na plecach. - Przypuszczałaś, że tak będzie, wtedy w Świątyni Siódmego Dnia?

- Nie. Nie miałam pojęcia, że to możliwe, ale... - Spojrzała na mnie z uśmiechem. -

Jestem z tego zadowolona.

- Oznacza to także, że twoja zmysłowość jest teraz bliższa mojej - zauważyłem.

- Przestań... - skarciła mnie, a potem oboje oddaliliśmy się z tego przeklętego miejsca.

Dekarabii nie było w miejscu, w którym miała na mnie czekać. Przez moment zaniepokoiłem się, że któryś ze smoków mógł ją rozszarpać, jednak przecież wiedziałbym o tym. Dopiero kiedy przez dłuższy czas rozglądaliśmy się z Ethernią, dostrzegłem jamę w ziemi poniżej ścieżki, na stromym zboczu. Zeszliśmy tam, uważając, by nie stracić równowagi na obsuwających się kamieniach. Przeczucie nie myliło mnie. W jamie dostrzegłem Dekarabię i kogoś jeszcze. Drugiego sukkuba, który na nasz widok skulił się, zakrywając twarz. Był do złudzenia podobny do Dekarabii.

- Dlaczego ukrywasz się tutaj? - Podałem jej dłoń, pomagając wyjść z jamy.

- Rozproszyłeś mgły, panie, a twoja armia... to była krwawa jatka. - Choć stała obok nas, z niepokojem spoglądała na pełne smoków niebo.

- Nie obawiaj się. Tobie nic nie grozi - uspokoiłem ją.

- To moja siostra Gardamon - wyjaśniła, widząc moje zainteresowanie. - Ukryłyśmy się tutaj. Mój pan Ahriman... to prawda, co ona mówi? Zabiłeś go?

- Pewnie w to nie uwierzysz, ale taka była jego wola - powiedziałem.

- Wierzę. Tobie, panie, wierzę. - Poczuję jej niepokój. - Czy teraz mnie wygnasz od siebie, panie?

- Nie. Chciałbym, abyś mi pomogła - poprosiłem, choć równie wyraźnie czułem niechęć, jaka przepełnia Ethernę w stosunku do tych istot.

- Panie. Moja siostra Gardamon chciałaby iść ze mną. Teraz nie ma nikogo, komu mogłaby służyć.

- Ona też jest kapłanką ognia?

- Tak.

- Jeśli poręczysz za nią, może się do nas przyłączyć.

- Dziękuję, panie. - Ukłoniła się.

- A teraz chodźmy - rzekłem, wyciągając dłoń do Gardamon.

Bardzo powoli podała mi dłoń, a gdy wyciągnąłem ją z jamy, natychmiast ją puściła.

Ruszyliśmy w drogę powrotną, Ethernia starała się trzymać jak najdalej od nich. Tylko świadomość, że obie mogą być nam potrzebne, powstrzymywała ją przed sprzeciwem.

* * *

Siedzieliśmy wszyscy na łące, wspólnie się naradzając, ja jednak wciąż myślałem, co zatrzymało Julitę z dala od nas. Wiedziała, że zależy mi, aby była obecna na tej naradzie, jednak po prostu nie przyszła. Nie umiałem znaleźć wytłumaczenia jej zachowania.

- Może po prostu nie może jeszcze ci wybaczyć. - Ethernia w lot odgadła, co mnie trapi.

- Może... - Uśmiechnąłem się.

- Co mówicie? - Piotr przerwał kreślenie planów na piasku, patrząc na nas zaniepokojony.

- Nie, już nic... - Uśmiechnąłem się. - Widziałeś może dzisiaj Julitę?

- Nie - zaprzeczył.

- Ona już od dłuższego czasu nie odwiedza nas nawet. Przeniosła się gdzieś nad jezioro - słowa Tarosiela pełne były żalu. - Nie powinieneś sprowadzać do nas tych sukubów, Passachielu.

- Są nam potrzebne - wytłumaczyłem. - Znają miejsca, o których ja nie wiem nic.

- Nie wyniknie jednak nic dobrego z ich obecności. - Restilia poparła Tarosiela, a dodatkowo czułem, że Ethernia jest ich milczącym sojusznikiem.

- Obiecuję, że żaden z sukubów nie zakłóci waszego spokoju. - Rozumiałem ich, ale nie mogłem pozbyć się tak cennych sprzymierzeńców jak te dwie diabllice. - Zresztą one boją się was nie mniej

niż wy ich.

Piotr zrezygnowany i zniechęcony tym, w jaki sposób rozmowa po raz kolejny odeszła od głównego tematu, którym była wyprawa do wieży sułtana, westchnął ciężko, a potem roztarł piach, zamazując rysunki.

- Jesteście gorsi niż ludzie. Nie ma w was za grosz dyscypliny - mruknął.

- Nie złość się, przyjacielu. - Tarosiel roześmiał się, a potem poklepał go po ramieniu.

- Żaden z nas, poza Passachielem, nie był wojownikiem ani człowiekiem.

- Masz rację, Piotrze - z uśmiechem powróciłem do przerwanej z nim rozmowy. -

Powinniśmy się skupić. Mów więc dalej.

- Dobrze, ale tym razem wysłuchajcie mnie do końca - zaznaczył. - Jeśli większość wojsk sułtana obozowała pod Baghras, na pewno zdążył je odwołać, a jeśli spodziewa się naszego ataku, rozlokował je tutaj. - Zakreślił plan ziem sułtana. - Tutaj i tutaj. To najlepsze miejsca. Wojska mogą tutaj obozować bardzo długo bez obawy, że wyczerpią się zapasy żywności na tych ziemiach, i w każdej chwili mogą w ciągu dwu dni spotkać się w jednym miejscu, by uderzyć na przeciwnika z całą siłą. Warto byłoby jednak wcześniej sprawdzić, czy tutaj i tutaj, a także tutaj nie czekają na nas jakieś zasadzki.

- Ludzka armia nie jest dla nas największym zagrożeniem - wtrąciła Ethernia. - Jeśli istnieje naprawdę związek pomiędzy sułtanem a nekromantą, czeka nas spotkanie z nieumarłymi.

- Możliwe nawet, że napotkamy Legiony Satanaela - powiedziałem. - Przeczuję to i niemal nabieram takiej pewności.

- Jest mało prawdopodobne, by Satanael związał się jakimś paktem z sułtanem. Sułtan jest tylko człowiekiem. Nie ma nic do zaoferowania Satanaelowi - odezwał się Tarosiel.

- Obyś miał rację. - Ethernia patrzyła gdzieś na odległe miejsce planu wykreślonego przez Piotra.

- Zrobimy tak: zanim udam się tam, wyślę Terczyna na rozpoznanie rejonów, o których mówiłeś, Piotrze - postanowiłem.

Piotr z uśmiechem skłonił lekko głowę, zadowolony, że uwzględniłem jego sugestie.

- Później razem z Ethernią przeniesiemy się do pałacu sułtana i odszukamy go, trzymając w odwodzie Zastępy. Musimy się dowiedzieć, jak odnaleźć Otchłań i -

najważniejsze - co możemy tam spotkać.

- Nie sądzę, aby chciał to zdradzić. - Tarosiel miał wątpliwości.

- Jest tylko człowiekiem. Nakłonimy go do tego. - Pewność Etherni oddaliła jego zastrzeżenia.

- Czy te sukuby nie mogłyby powiedzieć ci tego wszystkiego, exousiai? - spytała Restilia.

- Nie. One tego nie wiedzą. Satanael przenosi kapłanki do Otchłani i z powrotem wedle własnego uznania. Nie wiedzą, jak tam dotrzeć bez jego woli.

- Passachielu, jaka będzie moja rola w tej bitwie? - Piotr nie zamierzał zostać pominięty w założeniach.

- Dobrze, że o to pytasz. - Uśmiechnąłem się. - Ty najlepiej będziesz umiał określić, ile i jakich wojsk ma sułtan, a także, jakie stanowią zagrożenie. Znajdziesz swoje miejsce na grzbiecie Terczyna. Będziesz śledził ruchy wojsk i staniesz się naszym okiem.

- Mam latać? - Na jego twarzy pojawiła się bladość.

- Latać będzie Terczyn, ty nim pokierujesz. - Położyłem dłoń na ramieniu Piotra. -

Wiem, że jesteś mężnym wojownikiem i poradzisz sobie.

- Dołożę wszelkich sił, żebyś był ze mnie zadowolony, Passachielu. - Dotknął

rękojści swojego miecza.

Restilia siedziała tuż obok niego. Wiedziałem, że stara się zawsze być jak najbliżej Piotra, on jednak był dość szorstkim mężczyzną i zdawał się tego nie dostrzegać. Jej spojrzenie zdradzało teraz, jak bardzo lęka się o niego.

- Wierz mi, pani. To nie pierwsza i nie ostatnia walka, w jakiej biorę udział przy boku Tomasza - powiedział, odwracając się do niej i po raz pierwszy dostrzegłem, że jej zainteresowanie wzbudza u niego coraz silniejszy odzew. Ukradkiem położył na jej dłoni swoją dłoń w uspokajającym geście.

Wymieniliśmy z Ethernią dyskretne uśmiechy, przekazując sobie w ten sposób, że oboje dostrzegamy to samo. Tylko Tarosiel wyglądał na przygnębionego i nieobecnego.

- Wyruszymy za dwa dni. - Wstałem, kończąc w ten sposób naradę. - Teraz pójdę poszukać Julity.

- Poczekaj, idę z tobą. - Ethernia wstała szybko.

- A więc chodźmy. - Ująłem jej dłoń, a potem rozpostarliśmy skrzydła i unieśliśmy się w powietrze.

Zapowiadał się chłodny, lecz słoneczny wieczór. Od czasu kiedy Zastępy strzegły ziemi Archajów, nie powtórzył się już żaden napad Legionów Satanaela. Kiedy wybraliśmy się na Krawędź, jak okiem sięgnąć dno przepaści było zupełnie opustoszałe. Nie pozostał

nawet ślad po przeklętych sługach Satanaela. Wycofali się daleko, w głąb swoich ziem.

Uwielbiałem takie swobodne loty w towarzystwie Etherni, kiedy chłodne powietrze omywało nasze ciała niczym strumień wody. Świadomi tego, że nikt nas nie widzi, figlowaliśmy, napadając na siebie wzajemnie tylko po to, aby ścigać się potem, kreśląc na niebie szalone piruety. Ethernia stała mi się tak bliska, że już prawie nie pamiętałem, jak wiele dzieliło mnie od niej, kiedy jeszcze byłem człowiekiem. Nie pamiętałem nawet, jak to jest być człowiekiem.

Nad jeziorem pojawiliśmy się tuż przed zmrokiem, zniżając lot tuż nad jego gładkim zwierciadłem odbijającym obraz błękitu. Jakaś iskrząca się srebrzyście kopuła natychmiast przyciągnęła naszą uwagę. Nawet z większej odległości widać było, że to dziwaczny dom wzniesiony ze stopionego krzemu. Dlatego połyskiwał wyraźnie. Miał kształt spłaszczonej kuli i stał w tak niewielkiej odległości od wody, że przybijające leniwie fale omywały jego ścianę. Ethernia pochyliła skrzydło, skręcając w tamtym kierunku, poszybowałem więc za nią. Nad piaszczystym brzegiem zwolniliśmy i cicho opadliśmy, dotykając stopami ziemi.

Najmniejszy nawet dźwięk nie zdradzał czyjejkolwiek obecności. W wejściu do domu wisiała czarna, zdobiona złotem zasłona. Ethernia skrzywiła się na widok wzoru przedstawiającego pentagram. Szerokim gestem dłoni odsłoniłem przejście, wchodząc do wnętrza. W prawie pustym pomieszczeniu wypełnionym zapachem dymu z ziół oraz poblaskiem ogników płonących w kilku wypełnionych olejem spodkach, natychmiast zauważyłem Julitę i oba sukkuby. Julita spała, podobnie jak Dekarabia oraz Gardamon. Ich nagie ciała były splecione ramionami oraz nogami; w półmroku połyskiwały od potu. Na podłodze, tuż obok posłania, leżały rozrzucone w nieładzie szaty. W milczeniu wymieniliśmy spojrzenia z Ethernią. Julita poruszyła się, wzdychając przez sen, a wtedy Dekarabia przywarła do niej mocniej i pocałowała ją prosto w usta, lekko gładząc dłonią jej włosy.

Julita uśmiechnęła się, odpowiadając bezwiednie taką samą pieśczęcią. Długi ogon Dekarabii, zakończony trójkątnym szpicem, drgnął, a potem zaczął pełznąć niczym wąż, oplatając ciało Julity. Ethernia rozłożyła skrzydła, przybierając pełną dumy, wyniosłą postawę. Jej twarz przypominała teraz kamienną maskę, choć ukrywała najwyższe obrzydzenie.

Gardamon przywarła z tyłu do Julity i podobnie jak Dekarabia, nie otwierając oczu, na poły tylko świadoma, na poły senna, zaczęła pieścić dziewczynę. Zupełnie nie zdawały sobie sprawy z naszej obecności. Dłoń Gardamon zsuwała się w dół brzucha Julity, a kolejny ogon wpełznął pomiędzy jej uda.

- Julito! - celowo nadałem swojemu głosowi władczy, donośny dźwięk.

Sukkuby skamieniały. Trzy pary szeroko rozwartych oczu spojrzały na mnie z zaskoczeniem, które natychmiast zmieniło się w przerażenie.

- Julito, przydziej się i wyjdź, aby ze mną porozmawiać. - Przybrałem taką samą jak Ethernia pozę.

- Tak, panie - odpowiedziała bezwiednie Julita, starając się dłońmi osłonić przed moim wzrokiem swoją nagość. Sukkuby odczołgały się w najciemniejszy kąt pomieszczenia.

Zapanowała pełna napięcia i wyczekiwania cisza.

Odwrociłem się, a potem bez jakiegokolwiek więcej słowa wyszliśmy z Ethernią na zewnątrz.

- To nie jest najlepszy pomysł, aby ona nam towarzyszyła - Ethernia postanowiła podzielić się ze mną swoimi wątpliwościami. Byliśmy już wystarczająco daleko od domu, by ktokolwiek nas słyszał.

- Wiem, ale tylko ona zna wystarczająco dobrze zwyczaje nekromantów. Była wychowanką jednego z nich. - Uspokajającym gestem dotknąłem jej policzka. - Wbrew temu, co o niej sądzisz, jest po naszej stronie.

- Ufam twojej wiedzy na jej temat. - Uśmiechnęła się lekko. - I dlatego zrób to, co uważasz za słuszne.

Już po chwili zasłona wisząca w wejściu domu poruszyła się, po czym zobaczyliśmy Julitę. Idąc w naszą stronę, poprawiała jeszcze swój wygląd, związując z tyłu głowy długie włosy niebieską wstążką. Założyła na siebie czarną szatę, taką samą, jaką nosiły sukkuby.

- Zostałaś kapłanką ognia? - spytałem, nie kryjąc ironii.

- Nie. - Uśmiechnęła się, spłoszona. - Moje szaty były już bardzo zniszczone.

Dekarabia podarowała mi jedną ze swoich.

- Zauważyliśmy, że jesteście sobie bardzo bliskie - stwierdziła kwaśno Ethernia.

Julita umilkła. Jej policzki jeszcze błyszczały od potu.

- Przygotuj się do drogi - rzuciłem krótko. - Jutro wyruszamy do pałacu sułtana i będziesz nam potrzebna.

- Tak. Oczywiście. - Skinęła szybko głową.

- Jutro przed świtem przyjdź do nas. To wszystko.

Odwrociliśmy się, po czym ruszyliśmy przed siebie, mając zamiar odejść.

- Passachielu! - Lekko stłumione wołanie Julity zatrzymało mnie na chwilę.

Odwrociłem się, stając do niej bokiem.

- Tak? - spytałem.

- Passachielu, czy ty... bardzo jesteś rozgniewany? - Unikała naszych spojrzeń.

- Nie interesuje mnie, co robisz z własnym życiem, Julito. Jesteś wystarczająco dojrzała, by samodzielnie wybierać ścieżki swojego losu - stwierdziłem, a potem kilkoma energicznymi machnięciami skrzydeł uniosłem się w powietrze. Ethernia poderwała się do lotu chwilę później. Pozostawiliśmy dziewczynę samą.

Na świecie ludzi panowało upalne lato. Miasto i pełen ogrodów pałac sułtana wyglądały z daleka jak senny miraż. Wiedziałem jednak, że jest zupełnie inaczej. Spędziłem w tym miejscu tak wiele czasu. Różnica polegała na tym, że to, co kiedyś wydawało mi się niepojętą, zadziwiającą architekturą, teraz przypominało mi nieporadne konstrukcje dziecka.

Magiczna wieża, która wzbudzała strach niepojętą budową, teraz w moich oczach była nieudolnym, ludzkim naśladownictwem prawdziwej magii. Sułtan spodziewał się naszego przybycia, sądząc po ilości wojska, jakie strzegło dróg do pałacu, oraz liczbie pałacowej gwardii, poukrywanej w każdym zakątku korytarzy i pomieszczeń. Na nic się jednak nie zdało to sułtanowi, który nie domyślał się pewnie, że przybędziemy poza czasem. I że czas dla niego i jego ludzi się zatrzyma, a oni zastygną dla nas jak figury, stając się zupełnie niegroźni. Nawet gdyby któryś z nich miał odrobinę daru postrzegania pozazmysłowego, zobaczyłby nas tylko jako jedno mgnienie, lekki łopot, cień, który przeminąłby w jednym momencie. Pewnie nawet nie uświadomiłby sobie, że jesteśmy czymś więcej niż tylko zwodzeniem zmęczonych oczu.

Szliśmy pomiędzy skamieniałymi ludźmi, zupełnie nie niepokojeni i żadna ludzka istota nie mogła nam zagrozić. Ludzka - bo nie dotyczyło to istot mroku znających i władających czasem nie gorzej niż my.

Julita nie wyprzedzała nas, trzymała się na samym końcu. Zauważyłem, że fascynuje ją stan, w jakim znaleźli się ci wszyscy ludzie. Domyślałem się, iż jako złodziejka zdawała sobie sprawę, jak wielkie możliwości otworzyłoby przed nią opanowanie tej dziedziny magii, o której pewnie nawet dotąd nie wiedziała.

Kiedy odwróciłem się nieoczekiwanie, przyłapałem ją na tym, że przystanąła, oglądając medalion jednej ze służek sułtana, zmarłej w pozie skupienia obok pałacowej fontanny. Medalion, który miała na szyi, promieniował lekko nieokreśloną magiczną aurą, która poza czasem stała się niezwykle łatwa do zauważenia. Julita dotykała go właśnie koniuszkami palców, a w jej oczach widać było błysk chciwości.

- Nie rób tego! - powstrzymałem ją.

- Ja tylko... oglądam - bąknęła zmieszana. Od tamtej historii w jej chacie, z opryskliwej dziewczyny zmieniła się w przestraszoną i uległą służkę. W dziwny sposób rozdrażniało mnie to i irytowało, choć ze wszystkich sił starałem się, aby jej tego nie okazać.

Julita przyśpieszyła natychmiast, dołączając do nas. Szliśmy długim, pełnym złotych zdobień korytarzem prowadzącym do zastrzeżonej dla sułtana części pałacu. Wiedziałem, że kiedy go odnajdziemy, będziemy musieli wyłonić się spoza czasu, a wtedy informacje od Piotra na temat ewentualnej mobilizacji wojowników sułtana staną się dla nas na wagę złota.

Korytarz kończył się szerokim przejściem o łukowym kształcie, a za nim stało dwu mameluków. Minęliśmy ich, wchodząc do pomieszczenia. Natychmiast rozpoznałem sułtana.

Był razem z nim jego syn. W pomieszczeniu znajdowało się też kilku dworzan.

Najprawdopodobniej rozpoczęli naradę, sądząc po pozach, w jakich zamarli.

Pomieszczenie znajdowało się w głębi budynku, dlatego panował tutaj względny chłód, ale za to stosunkowo ciemne wnętrze rozjaśniało tylko kilka lamp.

- Przygotuj się - zwróciłem się do Julity, a potem świat powoli ożył, napelniając się dźwiękami i naturalnymi odgłosami. Ludzie zaczęli się poruszać. Jeszcze przez drobną chwilę pozostaliśmy niezauważeni, zbliżając się do sułtana. Nikt nie spodziewał się, że w pustej dla nich przestrzeni nieoczekiwanie pojawią się trzy postacie. Jednak zaraz potem wszystkie rozmowy ucichły jak ucięte, a niedowierzające oczy skierowały się na nas i nasze skrzydła. Nikt z pałacowej straży nie zareagował, kiedy stanęliśmy tuż przed sułtanem.

- Sułtanie Mohammedzie Abdulu Al-Sarafie. Przychodzimy do ciebie w imieniu istot światła, które za sprawą twojej magii zostały skrzywdzone przez Satanaela - odezwała się wyniosłym tonem Ethernia. - Powiedz, czy masz coś na swoje usprawiedliwienie, zanim spotka cię los, na jaki zasłużyłeś?

- Istoty... istoty światła? - jego usta poruszały się przez moment, jakby nie mogąc wydać dźwięku. - Wy istniejecie?

- Tak samo jak ty i twoje plany zniszczenia nas - rzekłem. - Wysłałeś Tomasza z Akwitanii, aby zgładził jedną z istot światła. Teraz masz ją przed sobą, a także tego, który kiedyś był człowiekiem i nazywano go Tomaszem.

- Jesteś... jesteś Quaddishim... exousiai... - Dopiero teraz do umysłu sułtana dotarło, kto stanął przed nim. Jego przerażone oczy dostrzegły miecz Serafinów przewieszony przez moje plecy. - Nie! nie! - krzyknął, zasłaniając się ramionami. - Ja nie jestem niczemu winien, nie wiedziałem... to on... ja nie mogłem inaczej!

Nikt z pałacowej straży nie drgnął nawet. Dworzanie milczeli wpatrzni w rozgrywającą się przed ich oczami scenę. Nie dowierzali, że widzą istoty, o których mówią wszystkie ich religie. Pewnie nawet Julitę brali za kogoś więcej niż człowieka. Może w czarnej sukni kojarzyła im się z aniołem śmierci. Najpierw pojedynczo, a potem niemal jak na komendę, uklękli i z czią się pochylili, niemal dotykając twarzą posadzki. Z ich strony nic nam nie groziło. Modlili się do nas.

Sułtan, nie wstając, zaczął odczołgiwać się do tyłu, jednak natychmiast poczuł, że zapiera się plecami o drewniane, misternie rzeźbione parawany otaczające jego siedzisko.

Spojrzałem na Rahmana. Był zupełnie blady, ale starał się wymówić jakieś zaklęcie.

Pozwoliłem mu na to, po czym, gdy chciał go użyć, rozproszyłem je leciutkim gestem.

Rozległo się coś na pograniczu syku i szumu, a czerwona poświata eksplodowała na dłoniach Rahmana. Skrzywił się z bólu, tracąc władzę w rękach. Krzyknął głośno, widząc, jak palce zaciskają się niczym szpony, kalecząc do krwi wnętrza dłoni.

- Mów, Mohammedzie Abdulu Al-Sarafie. Każde twoje słowo zostanie wysłuchane, zanim odpowiesz za swoje czyny. - Zrobiłem krok w jego stronę, po czym przyklęknąłem i pochyliłem się nad nim.

- Jestem tylko sługą, nie miałem wyboru. - Sułtan ze strachem patrzył na mnie, a kiedy poruszyłem skrzydłami, odruchowo zasłonił się, jakby przed ciosem. - Ten mag...

poznałem potężnego maga, który obiecał nauczyć mnie mrocznej magii, mówił, że da mi prawdziwą moc i władzę. Uległem jego namowom. Nie kłamał. Pokonałem wszystkich wrogów, ale zapłaciłem straszną cenę. Jestem jego sługą. To on włada moim krajem. On rozkazał mi wysłać tego templariusza, on i przerażający demon, który przyszedł wraz z nim.

Nie znam jego planów. Jestem tylko ich wykonawcą.

- Masz jednak wolę i nie musisz mu być podległy - powiedziałem.

- Muszę, Quaddishim exousiai. On zna wszystkie moje myśli, ukarze każdą próbę sprzeciwu i może... potrafi zniszczyć duszę... - Jego twarz w niczym nie przypominała oblicza dumnego człowieka, którego znałem z czasów pobytu w tym pałacu. - Na moich oczach zabił całą moją rodzinę i widziałem, jak to robił. Dał mi wzrok, przeklęty dar, przez który widziałem, jak niszczy, rozprasza w powietrzu eter ich dusz. Teraz pozostał mi tylko Rahman.

Nieoczekiwanie w jego oczach pojawiła się nadzieja.

- Zabij nas exousiai, zabij i ocal nasze dusze. Błagam. Zrób to szybko, zanim on się zorientuje i zmieni nas w nicość. - W nieoczekiwanym przyływie energii chwycił mnie mocno za rękę.

Ethernia podeszła, a potem pochyliła się nad nim. Położyła mu smukłą dłoń na czole.

Chociaż jej twarz była zupełnie bez wyrazu, w zielonych oczach odczytałem współczucie dla władcy. Widziałem, jak wzmacnia jego aurę, przekazując mu trochę światła. Na pewno czuł

teraz błogie uczucie spokoju, jakie odczuwa każdy człowiek w kontakcie z istotami światła.

W kilka chwil się uspokoił.

- Nie obawiaj się. - Na twarzy Etherni pojawił się łagodny uśmiech. - Dusze twojej rodziny połączyły się z bytem, który wy nazywacie Bogiem. Żaden byt nie znika. Najwyżej łączy się z nim i odradza jako inny. Mag, któremu służysz, okłamał cię. Wykorzystał

niewiedzę was, ludzi, aby cię omotać.

Kiedy chciała się oddalić, sułtan chwycił ją za przedramię.

- Pani. Chcę służyć wam. Jeśli to możliwe, powiedz, jak mam odkupić winy i stać się twoim sługą.

W oczach Rahmana pojawił się dziwny błysk zrozumienia, idąc w ślady ojca, klęknął.

Wiedziałem, że ich nagłe nawrócenie jest nieszczerze i obłudne. Obaj, spodziewając się klęski swojego pana, postanowili przyłączyć się do obozu zwycięzców. Kierowała nimi chłodna rachuba i nie miało to nic wspólnego z uczuciami. Ethernia zdawała sobie z tego sprawę równie dobrze jak ja, jednak nie okazała tego.

- Co postanowiłeś? - usłyszałem w swojej głowie jej pytanie.

- Oddaj go mnie - odpowiedziałem.

Odeszła, a ja stanąłem przed nimi.

- Nie w naszej mocy jest odkupienie waszych win i nie przed nami powinniście zdawać z nich rachunek. Jeśli jednak chcecie nam służyć, pokażcie drogę do tego maga.

- Tak, panie, co tylko rozkażesz - zapewnił gorliwie sułtan.

- Czy jesteś również związany z Satanaelem?

- Z Satanaelem? - Tym razem jego strach był tak autentyczny jak ten na nasz widok. -

Nie, panie. Nigdy nie służyłem Panu Ciemności... na pewno nie w świadomy sposób.

- Wiesz, gdzie jest Otchłań?

- Nie, panie. Żaden człowiek tego nie wie. Podobno nikt, kto tam był, nie powrócił żywy. Znam tylko kilka legend. Podobnie jak o was... skrzydlatych.

- Nie nazywaj nas skrzydlatymi - odezwała się Ethernia.

- Wybacz, Zielonooka. - Sułtan natychmiast pokornie pochylił głowę.

- Tak też mnie nie nazywaj. - Tym razem wyglądała na rozgniewaną. - Jestem Quaddishim Ethernia.

- Jeszcze raz wybacz, pani. Demon, który rozkazał mi wysłać templariusza, nazywał cię w ten sposób.

Od razu domyśliłem się, że mówi o Ahrimanie.

Pomogłem mu wstać, a potem podobnie postąpiłem z Rahmanem.

- Zaprowadźcie nas do maga - zażądałem.

- Tak, panie. - Jego uległa twarz zmieniła się w kamienną maskę, kiedy odwrócił się do swoich dworzan. Ostrymi słowami wydał kilka poleceń, po których ludzie rozbiegli się jak spłoszone stado.

Dwu zbrojnych mameluków ruszyło przed nami, torując drogę przez pałacowe korytarze. Rahman co chwilę zerkał na Julitę. Najwyraźniej intrygowała go.

Szła w pewnej odległości za nami, więc kiedy zwolnił, zrównał się z nią.

- Kim jesteś, istoto światła? - spytał w pewnym momencie, starając się mówić jak najciszej, aby nie przyciągać naszej uwagi. Julita nie zrozumiała go, powtórzył więc pytanie w kilku językach i dopiero gdy na koniec odezwał się po łacinie, uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Nie ma we mnie więcej światła niż w lampie oliwnej. Jestem człowiekiem tak samo jak ty.

Umilkł, a po chwili zastanowienia spytał ponownie.

- Czy masz na imię Julita?

- Tak. - Zaskoczona, omal się nie zatrzymała.

- Byłaś uczennicą Alhazreda IV?

- Skąd o tym wiesz?

- Znam cię z jego opowiadań - odpowiedź była starannie przemyślana.

Spojrzał na sztylet zatknięty za pasem szat Julity.

- Masz ze sobą purbę? - znów zagadnął.

- Tak. - Wydawała się zaskoczona pytaniami, które zdawały się do czegoś dążyć.

- Ojczy - Rahman zwrócił się do sułtana, zniżając głos do szeptu. - Jest z nami uczennica Alhazreda i ma ze sobą purbę. Tak jak było powiedziane...

- Gdzie było powiedziane? - zaciekawilem się.

- Chodzi o przepowiednię - gorliwie wyjaśnił sułtan. - To ważne, panie, aby purba była w rękach zaufanej ci osoby. Na nieumarłych nie działa ani magia demonów, ani magia anielska. Są zawieszeni między światłem a mrokiem. Tylko purbą możesz pokonać liczę.

Nawet twój miecz Serafinów nie pokona go, tylko uwolni z truchła ciała, ale wtedy... będzie jeszcze gorzej.

- O czym mówisz? - Byłem zaskoczony. Czułem, że mówi prawdę, coś jednak przede mną ukrywał.

- To prawda, Passachielu - odezwała się Julita. - Astral licza degeneruje się i zmieni go w ducha opętania, który będzie żerował na ludzkich umysłach. Doprowadzi do szaleństwa swojego żywiciela, a kiedy ten zginie, natychmiast znajdzie następnego, którego opęta. Tak bez końca.

Szliśmy jednym z wielu prawie pozbawionych ozdób korytarzy, który prowadził do wieży. Chciałem powiedzieć coś do Etherni, a kiedy odwróciłem głowę, gdzieś na krawędzi mojego wzroku pojawił się nieoczekiwany i gwałtowny ruch. Natychmiast tam spojrzałem.

Rahman dotknął dłonią symbolu bramy, gwałtownym rzutem ciała dosięgając ściany. Zanim zdążyłem zareagować, wszyscy ludzie rozplynęli się w zakrzywieniu przestrzeni, znikając z korytarza. Płyty z czarnego kamienia sukkubów opadły z hukiem, zamykając nas w ciemnej klatce. Odruchowo wyciągnąłem miecz, stając plecami do Etherni; zupełnie zapomniałem, że ona nigdy nie była wojownikiem.

- To pułapka - głos Etherni wibrował strachem.

- Nie inaczej - powiedziałem spokojnie.

- Julito! - krzyknęła, lecz odpowiedziała jej cisza.

- Jesteśmy tylko my. - Całkowite ciemności zaczęły ustępować dziwnej, pomarańczowoczerwonej poświacie, pojawił się też syk albo szum.

- Ona też nas zdradziła! - Po raz pierwszy widziałem Ethernię tak wylęknioną.

Podłoga zaczęła oddzielać się od ścian, a syk i światło wydostawały się spod niej.

- Trzymaj się jak najbliżej mnie - rzekłem i w tym właśnie momencie kamienne płyty podłogi rozsypały się w pojedyncze segmenty, a potem runęły w dół, my wraz z nimi.

Gorące, duszące opary natychmiast odebrały nam oddech. Tracąc równowagę, rozpostarłem szeroko skrzydła. Pod nami otworzyła się upiorna, rozległa przepaść, na dnie której wrzały płynne, rozpalone do czerwoności skały. Stamtąd pochodził ów huk i blask. Gardziel miała wielką średnicę. Kiedy podniosłem głowę, zrozumiałem, że cały pałac sultana jest zbudowany na niej, niczym czop zamykający ją u samej góry. Łukowe belki, wpuszczone głęboko w skały, podtrzymywały ciężar całej budowli, zabezpieczając ją przed niechybnym upadkiem w przepaść. Ściany gardzieli, choć nierówne, zdawały się być pokryte stopionym szkliwem, które nie mogło dać żadnego oparcia nawet stopie akrobaty. Przyduszeni oparami, machając ciężko skrzydłami, opadaliśmy powoli, czując, jak siły opuszczają nas z przerażającą szybkością. W oparach było niemal tyle samo magii, co w mroku demonów.

Tylko że to była magia nekromancji.

Tuż nad jeziorem lawy dostrzegłem bezkształtną bryłę, która okazała się sporej wielkości wyspą wyniesioną wysoko ponad powierzchnię lawy. Na jej szczycie znajdowało się coś, jakaś dziwaczna budowla. Nie mieliśmy wyboru. Ratując się przed upadkiem wprost do rozpalonego tygła, opadliśmy na najeżoną odłamkami powierzchnię wyspy. Rozbryzgi bulgoczącej w dole kipieli docierały niemal aż na jej wysokość.

Oboje, ja i Ethernia dyszeliśmy ciężko. Pentagram, który dostałem od Dekarabii nie działał. Widocznie nie był przeznaczony na tego rodzaju magię.

- Czyżbyśmy byli aż takimi głupcami, Passachielu? - spytała z rozpaczą Ethernia. -

Wystarczy tak prosta pułapka, by nas pokonać?

- Na razie żyjemy - powiedziałem, wspierając się na mieczu.

- Na razie... - Nie mogła dłużej stać, upadła ciężko na kolana.

Jakiś ruch przed nami uświadomił mi, że nie jesteśmy sami.

- Chodźmy! - Podniosłem ją, przytrzymując pod ramię, a potem, zataczając się, ruszyliśmy w tamtym kierunku. Nie było sensu, by to odwlekać.

Budowla nie posiadała żadnych cech ludzkiej konstrukcji. Prowadziło do niej coś w rodzaju mrocznej jamy, a ona sama przypominała zestawione ze sobą skalne bloki o stosunkowo regularnym szpiczastym kształcie. Mimo pozornego nieładu w sposobie ich łączenia, dostrzec można było pewnego rodzaju porządek. Dziwny i złowrogi.

- Jesteśmy na samym dnie. - Ethernia zadarła głowę, patrząc tam, gdzie wysoko ponad naszymi głowami majaczył widok szkieletu zamku sułtana. - Pewnie Otchłań jest już niedaleko.

- To miejsce nie ma nic wspólnego z Otchłanią - uspokoiłem ją. - To tylko jama w ziemi, nora jakiegoś szatańskiego pomiotu.

- Mówisz jak człowiek - rzekła zaskoczona.

- I myślę jak on. To bardzo mi pomaga.

- Czy tak samo jak ludzie potrafisz zdradzić? Podobnie jak sułtan i jego syn?

- Quaddishim Ethernio, twoje zachowanie może tłumaczyć tylko lęk, a on nie powinien mieć dostępu do istot wyższych - przywołałem ją nieco do porządku.

- Wybacz, Passachielu - zawstydziała się.

Kiedy zbliżyliśmy się do mrocznej jamy, poczułem słodki, trupi smak. Moc opuściła mnie, a miecz Serafinów tak bardzo ciążył w dłoni, że nie potrafiłem nawet unieść broni do góry. Ciągnąłem go ciężko za sobą, a sztych z chrzęstem pozostawiał długi ślad na ziemi.

Słabe iskry pochodni rozjaśniały wnętrze jamy i półkolistego korytarza prowadzącego w dół.

Miałem wrażenie, że rozpalono je specjalnie dla nas. Oczekiwano naszego przybycia, a więc sytuacja była podwójnie trudna. Trafiliśmy na przygotowanego przeciwnika. W myślach zacząłem przypominać sobie dawną modlitwę, która tyle razy przygotowywała mnie do bitwy.

Bóg jest wielki,

Bóg jest miłosierny,

Jestem tylko Jego ostrzem,

Jestem Jego mieczem i tarczą,

Za mną kroczy sprawiedliwość i Jego łaska,

To On przyniesie światu pokój, miłość i światło wiary, A kiedy zabierze mnie do Siebie,

Stanę po Jego prawicy,

I ujrzę tych, którzy przede mną

I za mną oddali życie za prawdę wiary.

Korytarz kończył się dużym pomieszczeniem - sądząc po jego rozmiarach, jedynym w tym dziwnym budynku. Brud i nieład powodował, że łatwo można było wziąć tą komnatę za opuszczoną, jednak sterty książek oraz przedmiotów zaścielających poczerniałe i zniszczone półki przy ścianach zdradzały, że jest to czyjeś schronienie. Wielki stół, z blatem pokrytym niezliczonymi plamami i głębokimi bruzdami, zarzucony był zwojami, a kilka lamp zawieszonych na długich łańcuchach oświetlało go bladym blaskiem. Właśnie w ich świetle dostrzegłem wysokie krzesło, na którym spoczywały szczątki kogoś, kto kiedyś był

człowiekiem. Rozpoznałem natychmiast; jego ozdobione złotem szaty i kostur z kryształem, którego nie wypuszczał z rąk. Nie poruszał się i wyglądał jak ludzkie szczątki, którymi był, jednak ja wiedziałem dobrze, jaka jest prawda. Czekał, aż się zbliżymy.

W głębokim cieniu za jego krzesłem coś się poruszyło. Skupiłem uwagę i w ciemności wyłowilem znane mi kształty postaci. Był tam sułtan, jego syn i Julita. Ktoś jeszcze stał nieco głębiej, a gdy przesunął się bliżej światła, dostrzegłem go wyraźniej. To była kobieta, a właściwie ktoś, kto był kiedyś kobietą. Blada cera i zwierzęco nieprzytomny wzrok od razu zdradziły wampira - kolejną istotę zawieszoną pomiędzy życiem a śmiercią, bliżej jednak życia niż w przypadku licza. Po zasłanej odrażającymi odpadkami podłodze kręciły się szczury w poszukiwaniu łatwego żeru. Unikały jednak stołu, na którym leżał

martwy człowiek. Grymas jego zastygłej twarzy i rozplątana pierś świadczyły o tym, że umierał długo i w cierpieniach. Nie znałem go, jednak kilka pozostałych na jego ciele fragmentów zbroi i podarty, pokryty krwią płaszcz naznaczony czerwonymi krzyżami, zdradzały, że kiedyś był jednym z templariuszy. Teraz na pewno stał się obiektem doświadczeń licza.

- Zaspokoję twoją ciekawość, skrzydlaty. - W oczodołach licza błysnęła czerwień. -

Ten śmiertelnik, jeden z twoich dawnych braci jest szczególnym prezentem ze strony sułtana.

Kiedyś z jego powodu omal nie dostałem się w ręce inkwizycji za uprawianie czarnej magii.

Umarł jak powinien bohater: za swoją wiarę. Teraz jednak sprawię, że częściowo powróci do własnego ciała i nie zazna spokoju, będąc jednym z moich sług. Najbardziej poniżonych sług.

Wampirzyca wydała coś w rodzaju mściwego syku, a gdy się uśmiechnęła, jej wargi odsłoniły zupełnie normalnie wyglądające zęby.

- Ciebie jednak spotka zupełnie inny los. Ciebie i twoją zielonooką przyjaciółkę. -

Pozbawione okrycia skóry ścięgnięta na twarzy drgnęły.

- Masz ostatnią szansę podporządkować się prawom światła - odezwała się Ethernia.

- Szansę?! - Jego śmiech zawibrował nieprzyjemnie w powietrzu. - To oznaczałoby dla mnie śmierć, dobrze o tym wiesz, zielonooka. Nie podporządkowuję się żadnym prawom.

Ja je tworzę. Dzięki temu nawet śmierć nie znalazła do mnie dostępu. Nawet śmierć.

Znów się roześmiał, a potem wstał, wspierając się na lasce. Spod ścięgien okrywających jego dłoni wystawały żółte kości.

- Na co czekasz, Passachielu, czy też Tomaszu. Podnieś miecz i zakończ moje istnienie, jak to zrobiłeś z tym zdrajcą Ahrimanem. - Wycelował we mnie jeden ze swoich przypominających szpony palców. - Co się stało? Nie potrafisz? - szydził ze mnie.

Starłem się z całych sił, ale miecz wyslizgnął mi się z dłoni i upadł na ziemię. Nie potrafiłem nawet go utrzymać.

- Wiedziałem, że tak będzie - triumfował. - Wiedziałem i byłem przygotowany na tę chwilę od lat. Dlatego właśnie pragnę, aby trwała jak najdłużej i nie skończę z wami w jednym momencie.

Gorączkowo poszukiwałem jakiegoś sposobu wyjścia z sytuacji, która z każdą chwilą stawała się groźniejsza. Widząc, jak mocuję się z mieczem, licząc podszedł bardzo blisko, tak że poczułem bijący od niego odór.

- Zdziwiasz, nieprawdaż? - Pochylił się, aby zwrócić na siebie całą moją uwagę. -

Z wami, skrzydlatymi, jest właśnie dokładnie tak jak przewidywał Satanael. Oddacie własne istnienie za przegraną sprawę w imię swoich śmiesznych idei. Dlatego tak łatwo przewidzieć, co zrobicie.

Odszedł, a Ethernia przesłała mi pełne rozpaczy spojrzenie.

- Nie trudź się, czerwonoskrzydły. Twój miecz w niczym ci nie pomoże. Nie znasz pełni mocy magii śmierci i dlatego wiedziałem, że mój podstęp się powiedzie. - Zmęczony usiadł na krześle. Jego ruchy przywodziły na myśl strudzonego starca. - Panuję nad waszym światłem i wygaszam je. Wy słabniecie, a ja przekroczyłem granicę, poza którą moja moc jest wystarczająco silna, by was spętać. Nawet na was, potężne Elohimy, jest sposób.

Niedoceniacie siły podstęp.

- Na ciebie też jest sposób. - Z wściekłością zacisnąłem zęby, wstając. - Nie bądź tak pewien swojej siły.

- O tak. - Znów się roześmiał. - Jak zwykle, mówisz prawdę, skrzydlaty. Jednak ten sposób jest poza twoim zasięgiem.

Wykonał lekki gest i z cienia wyłonił się Rahman, trzymający pod ramię Julitę.

- Pamiętasz zapewne tę małą samiczkę, która tak bardzo przypadła ci do gustu jeszcze jako człowiekowi? To właśnie jest mój podstęp!

Triumfował i dlatego pragnął, abym poznał cały jego plan. Delektował się tym i to właśnie stanowiło jego słaby punkt. Musiałem tę pychę w jakiś sposób wykorzystać, choć nie wiedziałem jeszcze, w jaki.

- Mówiłam ci, że ona nas zdradzi - usłyszałem Ethernę.

Po sposobie, w jaki Rahman trzymał ramię Julity, domyśliłem się, że wbrew przypuszczeniom Etherni, liczy nie do końca jej ufał.

- Podsunąłem ci ją. To był mój pomysł.

Julita chciała wyszarpnąć się z uścisku, ale Rahman brutalnie przytrzymał ją przy sobie. Sułtan i wampirzyca zaczęli przygotowywać jakieś naczynia, ustawiając je na zastawionym przedmiotami stole. Zastanawiałem się, gdzie są inni słudzy licza. Było mało prawdopodobne, aby przebywał tutaj właściwie sam. Z jakichś powodów nie dostrzegaliśmy jednak żadnego z nich. Wtedy przyszło mi do głowy, że skoro oszczędza moc na nas dwoje, mógł odwołać ich wszystkich, aby dysponować pełnią swojej magicznej siły. Oznaczałoby to, że jego słudzy są na powrót martwymi ciałami, porzucanymi po kryptach na tej przeklętej wyspie wśród jezior lawy. Zapewne po rozprawie z nami będzie kolejno przywoływał ich do służby. Jeśli moje rozumowanie nie było błędne, wynikały z niego dwa istotne fakty: po pierwsze - samotny liczy był dla nas jedynym liczącym się przeciwnikiem, po drugie - zgromadził tak wiele mocy, że mógł się czuć zwycięzcą. Brakowało mi tylko drobnego elementu, wskazówki, która pozwoliłaby mi obrócić te fakty na naszą korzyść.

- Czy to prawda, Julito? - czułem, że muszę zadać jej to pytanie. - Od początku grałaś swoją rolę?

- To nieprawda! - Tym razem udało się jej wyszarpnąć. Spojrzała na nich z nienawiścią. - Nie grałam żadnej roli. Ten śmierdzący trup kłamie!

- Kiedyś mówiłaś na mnie inaczej. - Odwrócił się do niej, wyciągając rękę, jakby chciał dotknąć jej policzka, chociaż był zbyt daleko. - Kiedyś nazywałaś mnie mistrzem, moja mała.

- Alhazred! - Na jej twarzy obrzydzenie zmieszało się z niedowierzaniem.

- Tak. - Podeszedł do niej, ale odsunęła się natychmiast. - Tak, mój czerwonoskrzydły.

Kiedyś byłem jej mistrzem, a teraz ona stała się moim narzędziem - zwrócił się do mnie.

- Kłamiesz! Kłamiesz! - krzyknęła Julita.

- Nie, moja mała. Wy, ludzie, jesteście zabawni. Myślicie, że jesteście najinteligentniejszymi istotami na świecie, a tymczasem można czytać w waszych myślach jak w otwartej księdze. Ja po prostu wiedziałem, jak się zachowasz, a całą resztę wykonałaś sama. - Uśmiech Rahmana świadczył o tym, że również on miał swój udział w tym planie. -

Radża wiedział, że przyjdiesz wykraść mu klejnot czarnej gwiazdy, a czarnoksiężnik, który ci to zlecił, jest moim uczniem. - Licz uniósł kościstym palcem jej podbródek. - Pamiętasz nasze długie rozmowy przy ogniu w bibliotece?

- Wtedy byłeś człowiekiem. - Tym razem nie cofnęła się.

- Nigdy nie byłem nim całkowicie i nikt nie wie o tym lepiej niż ty. - Wcisnął jej w dłoń jakiś przedmiot. - Wybacz, że posłużyłem się tobą bez twojej wiedzy, ale tylko w ten sposób miałem pewność, że nie zdradzisz się przed skrzydlatymi.

Julita rozchyliła dłoń, w której błysnął opalizujący, szary kamień.

- Oto nagroda za to, co dla mnie zrobiłaś.

- Chcesz mi to dać? - Wydawała się nie dowierzać.

- Tak. - Pieszczotliwy dotyk policzka nie wzbudził już obrzydzenia Julity. - Dam ci.

Będziesz mogła dokończyć swoją zemstę na rodzie Czarnorękiego. Z tym kamieniem staniesz się dla nich niematerialną i nieśmiertelną zjawą. Aniołem śmierci, który dopełni zemsty za los twoich bliskich. Wiem, że o tym marzyłaś przez cały czas, kiedy byłaś ze mną.

Znam cię dobrze, moja mała. Śmierć Igora to za mało dla tak dumnej kobiety. Musisz jeszcze tylko zrobić dla mnie jeden drobiazg.

- Wiem. - Jej blady uśmiech świadczył o tym, że licząc osiągnął z nią porozumienie.

- A więc daj mi ją. Oddaj purbę - niecierpliwie poprosił Alhazred.

Odczułem, że Julita waha się jeszcze.

- Nie rób tego! - krzyknąłem. Chciałem wykonać kilka kroków w jej stronę, ale gwałtowne uderzenie magii ognia powaliło mnie na plecy. Ethernia cofnęła się zupełnie bezradna pod ścianę.

- No proszę. Exousiai pokonany u moich stóp. - Alhazred zacisnął dłoń na swej lasce.

Kamień ognia jarzył się jeszcze przez chwilę.

- Nie rób tego... - powiedziałem i głos odmówił mi posłuszeństwa.

Licz zbliżył się do mnie. Dół jego szaty włókł się po brudnej podłodze. Obuta w orientalny trzewik stopa spoczęła na mojej piersi. Pochylił się, opierając łokieć na udzie.

Wpatrywał się we mnie przez chwilę.

- Miałem nadzieję, że wypełnisz swoją powinność wobec zakonu i uwolnisz nas od zielonookiej. Myliłem się. Ahriman przechytrzył nas wszystkich. Miałem jednak drugi plan.

Moją małą, powabną Julitę. Skrzywdziłeś ją, exousiai. Szczerze chciała, abyś stał się jej mężczyzną. Wiem, że prawie jej się udało. Prawie. Gdybyś poznał do końca swoją zmysłowość, pewnie Satanael nie miałby problemu z zielonooką. Teraz byłaby już jedną z jego księżnych. Ale również w tym planie miałem plan kolejny. Wiedziałem, że jeśli zawiedziesz, dotrzesz do mnie, a wtedy purba musi znaleźć się w bezpiecznych dłoniach zaufanej mi osoby.

- Jest więc sposób... - Chciałem podnieść się na łokcie, ale jego stopa zdawała się mieć wagę góry.

- Nie schlebiaj sobie - zasyczał. - Ty mógłbyś, co najwyżej, pozbawić mnie kontaktu z tymi marnymi szczątkami, w których zakotwiczyłem swoje jestestwo. Stałbym się wtedy demonem opętującym ludzi, pasożytem, który bawiłby się ich życiem. Znalazłbym sobie jakiegoś żywiciela, bawił się, odbierając mu władzę nad ciałem albo zmuszając do najohydniejszych rzeczy, a kiedy już doprowadziłbym go do obłędu lub znudził się nim, skończyłbym jego życie samobójstwem i znalazłbym sobie nową ofiarę do zabawy. Czy ty, istota światła, skazałbyś na cierpienia niewinnych ludzi, mając świadomość, że to twój czyn uczynił z nich moje ofiary?

Kiedy odszedł, moc jego magii osłabła. Mogłem się podnieść.

- Stój tam! - rozkazał mi. - I nie czyni niczego bez mojego pozwolenia. Mówiłem ci, moja mała, że nie ma zła ani dobra i że to my sami tworzymy te pojęcia. Pamiętasz? - zwrócił

się do Julity.

Potwierdziła ruchem głowy.

- Ta istota światła, kiedy jeszcze była człowiekiem, pogardziła tobą. Odrzuciła cię.

Czy nie chciałabyś zobaczyć, jak teraz to ona cierpi?

- Chciałabym. - Julita spojrzała na mnie z nienawiścią. Nie wątpiłem w to.

- Na nic zdadzą się tutaj twoje Zastępy, exousiai. - Licz podszedł do stołu. Zaczął przygotowywać się do nieznanego mi rytuału.

- Mnie można pokonać purbą - rzekł. - Tylko purbą, ale pod warunkiem, że jej ostrze poprowadzi dłoń osoby, z którą byłem związany w czasach, gdy nie byłem jeszcze tym, kim jestem. Tak się jednak

nie stanie. Skrzywdziłeś moją małą Julitę, a teraz ofiaruję jej przyjemność patrzenia na to, jak dwaj ostatni skrzydlaci kreatorzy poznają błogosławieństwo cierpień, zanim staną przed obliczem Satanaela.

Wykonał zachęcający gest w stronę dziewczyny.

- Podejdź tutaj, moja mała. Przy moim boku będziesz miała lepszy widok.

Julita zmierzyła mnie zimnym spojrzeniem, a potem stanęła tuż przy ramieniu licza.

Zaraz za nimi stanął sułtan, jego syn i wampirzyca.

- Podaj mi teraz sztylet. - Licz rozłożył dłonie, zbierając w sobie moc.

W dłoni Julity błysnęło trójkątne ostrze.

- Zrobię to, o co mnie prosiłeś, Alhazredzie - jej słowa zabrzmiały niewinnie i nikt poza liczem nie doszukał się w nich niczego złowrogiego.

- Ale wtedy... - zaczął licz. Zakołysał się lekko, tracąc na moment równowagę.

Julita nie wykonała zamachu, po prostu wsunęła ostrze w miękkie truchło jego piersi.

Zrobiła to powoli, jednak nikt z zaskoczonych towarzyszy licza nie zdążył zareagować.

Gwałtowny, ogłuszający pisk i huk zlały się w jedno. Potężna fala wybuchu rozerwała na strzępy ciało licza. Kawałki ścięgien, odłamki kości, strzępy materiału zawirowały w powietrzu, a ciężki stół runął od siły podmuchu. Wokół padały z brzękiem przedmioty.

Szklane naczynia tłukły się na drobne odłamki. W miejscu, w którym stał, przez moment majaczył jakiś cień, pewne zagęszczenie mroku, jednak zaraz po chwili rozwiało się w niebyt.

Stojąc na chwiejnych nogach, obserwowałem to uważnie, oczekiwałem momentu, w którym powrócą do mnie wszystkie siły. To jednak nie następowało.

Sułtan i Rahman z krzykiem padli na ziemię. Ich ciała pokryły pełgające języki ognia.

Zamiast jednak spopielenia, ciała starzały się w tak szybkim tempie, że w ciągu kilku chwil spod marszczącej się skóry wyjrzały kości. Obaj wydali ostatnie tchnienie niemal w tym samym momencie. Ich zasuszone zwłoki wyglądały odrażająco w odświętnych szatach.

Wampirzyca, w pierwszej chwili przestraszona, uciekła w kąt. Po chwili jednak, kiedy zorientowała się w sytuacji, zaczęła niepostrzeżenie zbliżać się do Julity. Skradała się, gotowa do skoku.

- Julita, za tobą! - krzyknąłem, wciąż niegotowy do działania.

Dziewczyna odwróciła się gwałtownie a wampirzyca rozchyliła usta, pokazując wyszczerzone,

zwierzęce kły. Jej jarzące się na tle trupiobladej skóry oczy przypominały dwa węgle. Julita rzuciła w nią purbę, lecz chybiła. Sztylet z brzękiem potoczył się po ziemi. W

geście paniki Julita rzuciła w wampirzycę szklanym naczyniem pełnym obrzydliwej zawartości, ale i tym razem chybiła. Rzuciłem się do przodu, jednak coś znów podcięło mi nogi. Cokolwiek mnie wciąż więziło, nie pochodziło od licza. Gdyby tak było, odeszłoby razem z nim.

Julita chwyciła leżący obok przewróconego stołu kostur licza, podniosła go do góry i natychmiast zaczęła wygłaszać jakąś nieznaną formułę. Na sam jej dźwięk wampirzyca rzuciła się do ucieczki. Dla niej jednak było za późno. W chwilę później jej ciało legło obok szczątków Rahmana. Wszystko ustało. Tylko ogniki w kilku lampach, które nie zgasły, falowały nieśpiesznie. Julita uważnie rozejrzała się po pomieszczeniu, a potem odłożyła laskę i zaczęła płakać. Usiadła na ziemi, splatając ramiona na piersiach, a potem skuliła się jak przestraszona kotka, wciąż szlochając.

Dałem jej chwilę, kiedy zaś nieco się uspokoiła, odezwałem się:

- Julito. Dziękuję za to, co dla nas zrobiłaś, w imieniu wszystkich istot świata.

Na jej twarzy z zaskoczeniem odczytałem nagłą wściekłość. Wytarła łzy dłońmi, potem wstała, otrzepując szaty.

- Nie robiłam tego dla was! - powiedziała. - Wy, skrzydlaci, nic mnie nie obchodzicie. Nienawidzę was i nienawidzę śmierdzących sługusów Satanaela. Toczcie sobie swoje wojny i nie mieszajcie w nie niewinnych ludzi. Nie ma żadnej prawdy, dla której warto ginąć, ale wy, dumni nieśmiertelni, nigdy tego nie zrozumiecie.

Stała naprzeciw Etherni, z zadartą głową patrząc wprost w jej oczy.

- A ciebie nienawidzę najbardziej - zasyczała. - Gdyby to ode mnie zależało, oddałabym cię Satanaelowi.

- Dlaczego więc nam pomogłaś? - Ethernia starała się panować nad sobą, choć z jej twarzy można było odczytać urazę. Stała sztywna i wyprostowana, z rozchylonymi majestatycznie skrzydłami.

- Nie wam. Zrobiłam to dla niego.

- Dla kogo?

- Dla niego!

- Dla Alhazreda? - Sucho roześmiała się Ethernia.

- Tak, dla niego. - Julita aż zacisnęła pięści. - Dla niego, ty bezduszna, zrozumiła Elohimo. Pewnie cię zadziwię, ale są rzeczy, których nie jest w stanie pojąć twój przepotężny, oślepiiony światłem umysł. Ja go kochałam jak ojca. To on nauczył mnie całej wiedzy o życiu i swoim świecie; nic nie chciał w zamian. Kiedy był jeszcze człowiekiem, najbardziej obawiał się, że pociągnie go za sobą moc mroku. Alhazred był chaotykiem. Nie dzielił świata na dobro i zło, jednak bał się, że któregoś

dnia nekromancja o władnie nim zupełnie i postanowił przejść przemianę, stając się liczem. Wy nie wiecie, jak to jest, a on mi opowiedział. Człowiek po przemianie w licza staje się potężny i prawie nieśmiertelny, zatracą jednak wszystko, co niegdyś kochał. Jest wtedy zdolny wyłącznie do nienawiści. Mój mistrz nauczył mnie, jak należy zabić licza i pouczył, jak powołać się w tym na jego poprzednie życie, a potem sam stworzył inwokację na purbie, odwołującą się do jego własnej woli. Alhazred, którego kochałam, związał mnie przysięgą, że jeśli kiedyś spotkam jego licza po przemianie, zabiję go. Przysięgłam mu to. Zabiłam jedynie jego cień. Cień wspaniałego człowieka. Gdyby nie on, byłabym pewnie nałożnicą któregoś z wojowników Czarnorękiego.

- Może to byłoby dla ciebie lepsze. - Obrażona Ethernia podniosła wzrok, patrząc gdzieś ponad głową dziewczyny.

- Chyba dla ciebie, suko! - zaperzyła się Julita.

- Przestańcie - musiałem im przerwać. - W ten sposób nie dojdziemy do niczego.

Julito, musisz nam pomóc. Jesteśmy wciąż uwięzieni.

- Ja nic nie muszę! - Podeszła do mnie. Zrozumiałem, że teraz dopiero odważyła się powiedzieć, co naprawdę myśli i wszelkie powstrzymujące ją dotąd powody znikły. W jednej chwili przestała być nam posłuszna. - Skąd wiesz, że w ogóle zrobię dla was cokolwiek, skrzydlaci? Może po prostu pójdę sobie stąd i pozostawię was tutaj?

Oddaliła się, a potem zupełnie nie zwracając na nas uwagi, zaczęła przeglądać książki.

Rozłożyła na ziemi sporej wielkości płat jakiegoś materiału, następnie rozgarniała przedmioty i część z nich układała na materii, przygotowując do zabrania.

Miecz wciąż wydawał mi się za ciężki do podniesienia. Kiedy stopą rozgarnąłem śmieci, pośród kurzu pokrywającego posadzkę wyraźnie dostrzegłem wyryty pentagram. To była moja pułapka. Nie mogłem jej opuścić, a gdy tylko zbliżałem się do jej krawędzi, siły natychmiast mnie opuszczały. Ethernia, idąc za moim przykładem, odkryła taki sam znak.

Kiedy zacząłem go dokładnie badać, zorientowałem się, że moc go zasilająca pochodzi gdzieś spod posadzki. Było jednak zbyt ciemno, bym zauważył szczegóły. Szukałem szczeliny lub innego sposobu, aby uwolnić siebie i Ethernię, na próżno jednak.

- Spróbuj wezwać Zastępy, Passachielu - poprosiła Ethernia.

- To niemożliwe, dopóki się stąd nie uwolnię. Wiesz o tym, Ethernio. - Klęczałem, rozgarniając dłonią piach i kurz.

Julita spojrzała na mnie przelotnie, a potem - zajęta pakowaniem - powiedziała obojętnie:

- Jeśli szukasz zejścia do komnaty kryształów, ono jest tuż obok mnie.

- Komnaty kryształów?

- Komnata kryształów. Każdy, nawet początkujący, nekromanta wie, że to najpewniejsza metoda przeciw wam. - Dopiero teraz przerwała pracę i wyprostowała się, brzegiem rękawa wycierając spocone czoło. - Trzyma was w miejscu siła lawy, wzmocniona i skondensowana przez kryształy.

Usiadłem, bezradnie splatając dłonie na kolanach.

- I co teraz? - Ethernia od razu zrozumiała, że się poddałem.

- Teraz wszystko zależy od niej - westchnąłem ciężko.

- Nie wierzę. - Ethernia wyglądała na zszokowaną. - Passachielu, powiedz, że żartujesz.

- On nie żartuje - odrzekła za mnie Julita, z wyraźną satysfakcją zbliżając się do Etherni. Przez dłuższą chwilę mierzyły się spojrzeniami jak dwie wściekłe kocice.

- Julito. Na boga, w którego wierzysz. Zrób dla nas tę jedną rzecz, a potem możesz odejść, dokąd zapragniesz - przemogła swe opory Ethernia.

- Ja nie wierzę w żadnego boga ludzi ani w wasze bzdury o sprawiedliwości. -

Przerwała na moment, bo na zewnątrz rozległ się dziwny, narastający dźwięk. Jakby szum.

Po chwili ze szczelin komnaty posypał się kamienny pył, a ziemia ledwie wyczuwalnie się zakołysała.

- To już długo nie potrwa. - Julita jeszcze przez pewien czas rozglądała się, wężąc niebezpieczeństwo. - Nikt nie kontroluje komnaty kryształów. Energia lawy zaczyna się uwalniać.

Prawie biegiem rzuciła się w stronę swoich łupów, zawięła je w materiał i starannie zawiązała pakunki.

- Julito! - Wiedziałem dobrze, jak wiele kosztuje Ethernię zniżenie się do próśb o pomoc w stosunku do Julity. - Nie robisz tego dla nas, tylko dla swoich braci, ludzi.

- Ludzie nie są moimi braćmi. Dla nich tym bardziej nie zrobię nic. - Spieszyła się coraz bardziej. Podbiegła do mnie, ciągnąc tobołki.

- Trzymaj to. - Prawie siłą wcisnęła mi je w dłonie. Były związane tak przemyślnie, że tworzyły jedną, przypominającą kiść winogron całość.

- Po co mi to? - Wzruszyłem ramionami.

- Ja tego sama nie wyniosę. Chyba chcieliście się dowiedzieć, w jaki sposób dotrzeć do Otchłani? Alhazred wszystko zapisywał w swoich księgach cienia. Umiem je odczytać.

Zebrałam wszystko, co przypomina mi jego artefakty otworzyć, ale nie mam czasu sprawdzić, czy czegoś nie pominęłam. Zostało nam niewiele czasu...

Kolejne zakolysanie gruntu omal nas nie przewróciło, pokazując wyraźnie, co było przyczyną jej nagłego pośpiechu.

- Teraz zejść na dół i odchylić główny strumień, a wy musicie wyjść z tych kręgów i nie zbliżać się do nich. Potem pozostanie nam niewielka szansa na ucieczkę w górę.

Teraz zrozumiałem, że ona po prostu wyładowała na nas swoją złość, drażniąc się z nami, a w rzeczywistości od samego początku starała się nie tylko znaleźć drogę ucieczki, ale także szukała odpowiedzi na pytanie, które sprowadziło nas tutaj.

Kamienną płytę przykrywającą zejście na dół dostrzegłem dopiero w momencie, kiedy Julita z zadziwiającą sprawnością przesunęła ją na bok. Bez chwili zawahania zeskoczyła w dół. Kolejne zachwianie gruntu spowodowało, że odłamki kamienia z sufitu zaścieliły z grzechotem podłogę, a gryząca chmura pyłu zawisła w pomieszczeniu. Nie miałem jednak pojęcia, czy było to skutkiem samego zjawiska, czy też wynikiem działań Julity, bo chwilę później poczułem, jak znikają pętające mnie więzy. Chwyciłem miecz, przewieszając go przez plecy, a potem przerzuciłem przez ramię pakunki i podbiegłem do zejścia, w momencie gdy pojawiła się w nim umorusana i brudna twarz Julity. Podałem jej wolną dłoń, pomagając wydostać się na górę. Wtedy właśnie wszystko wokół zaczęło trzeszczeć. Podłoga pod nogami Julity pękła niczym szklana tafla. Trzymałem jej jedną dłoń, jednak gdy runęła z krzykiem przerażenia w otwierającą się pod jej stopami przepaść, wypuściłem pakunki, chwytając ją pewnie drugą ręką.

- Szybko! - Ethernia podbiegła, w ostatniej chwili ratując pakunki przed upadkiem w dół. Chwilę później zawałiła się reszta podłogi, a my, machając energicznie skrzydłami, zawiśliśmy kilka metrów ponad gruzowiskiem przemieszanych mebli, książek, kryształów i kamienia.

- Tam! - Kątem oka dostrzegłem wyrwę w stropie.

Podciągnąłem wyżej Julitę, tak aby pewnie trzymała mnie za szyję, a potem przytrzymując jedną ręką jej talię, odzyskałem swobodę ruchu, by polecieć do otworu. Na zewnątrz szalały żywioły. Kiedy wznieśliśmy się ponad wyspę otoczoną lawą, od razu dostrzegłem, że stopniowo pogrąża się ona we wrzącej, ognistej kipieli. Coraz bardziej przechylona na jedną stronę, zorana rozszerzającymi się bruzdami pęknięć, z każdą chwilą zbliżała się do swego końca. Jej ruchom towarzyszyły huczące fontanny lawy i wstrząsy.

Wielkie kawałki odrywającego się ładu ginęły w przepastnej głębinie ognia.

Wznosiliśmy się w górę, gdy nowe zjawisko przykuło naszą uwagę. Misterna konstrukcja, przytrzymująca pałac sultana na szczycie gardzieli, od drgań zaczęła tracić stateczność. Coraz większe kawałki łuków i wsporników sypały się w dół, mijając nas niebezpiecznie blisko. Kiedy posypały się wielkie, granitowe bloki, a światło dzienne przedostało się do nas przez wyrwane fragmenty konstrukcji, zrozumiałem, że również chwile pałacu są policzone.

To był prawdziwy taniec ze śmiercią. Pod nami huczało morze lawy, strzelając w górę płonącymi mackami, a na nasze głowy spadały głazy, mogące w okamgnieniu zmiażdżyć nas lub strącić w bulgoczący w dół tygiel. Oboje z Ethernią lawirowaliśmy, umykając przed nadlatującym

zagrożeniem. Julita przestała patrzeć na to, co się dzieje wokół, wciskała twarz w moją pierś. Uchylałem się przed gruzem i płytami, choć kilka razy bolesne uderzenia w skrzydła wytrącały mnie z równowagi. Powoli jednak wznosiliśmy się, a to dawało nadzieję.

Kiedy nareszcie dotarliśmy do wylotu pionowego tunelu, z pałacu sułtana pozostały tylko szczątki oraz zgliszcza na krawędzi przepaści ziejącej gorącem i gryzącymi oparami.

Miałem nadzieję, że wszyscy niewinni ludzie zdążyli uciec z pałacu, zanim runął w dół.

Wynurzyliśmy się z tego przekłętego miejsca, a potem wznieśliśmy wprost w wypełnione słońcem czyste niebo. Rozwarta gardziel zniszczonej kryjówki nekromanty wyglądała jak rana w środku ogarniętego paniką miasta. Snop dymu wznoszącego się wprost do góry rzucał długi cień na domy i ulice. Część wzgórza, na którym stał pałac, zawałiła się wraz z nim, przez co gardziel przybrała nieregularny kształt. Przy każdym zamachu naszych skrzydeł obraz się oddalał.

- Wracajmy do siebie - powiedziała Ethernia, a na jej twarz spłynęła radość.

- Wracajmy - rzekłem, a potem zacząłem otwierać przejście.

* * *

Staliśmy na Krawędzi, przyglądając się przejmującemu widokowi, jaki roztaczał się pod nią. Armia mroku znów nadciągała. Teraz już w całej swojej sile. Widać było, że tym razem nie chodzi o zwykły wypad lub krótkotrwały najazd. Armia ustawiała się w szykach, w idealnym porządku i w starannie przemyślany sposób.

- Satanael postanowił nie czekać - uprzedził moje słowa Piotr.

- Ale to oznacza, że boi się nas. - Uśmiechnąłem się do niego.

Staliśmy tylko w trójkę: ja, Ethernia oraz Piotr. Archaje bały się nawet zbliżyć do Krawędzi, mimo że w powietrzu krążyła większość Zastępów.

- A może po prostu jest tylko poirytowany nieudolnością swoich sług i chce osobiście zakończyć to, co rozpoczął? - Ethernia wyglądała na wyraźnie przygnębioną.

- Gdyby było to dla niego tak proste, na pewno nie rzuciłby na szalę wszystkich swoich sił. - Starałem się rozwiać dręczące ją wątpliwości.

Lekki powiew wiatru niósł ze sobą nieokreśloną, ledwie wyczuwalną woń.

Wiedziałem, że to nieomylny znak silnej magii mroku. Widziałem, jak Legiony formują się w coś, co ludzie określają mianem chorągwi. Każdy z dowódców trzymał w dłoniach sztandar zwieńczony niezrozumiałymi dla mnie symbolami oraz rzeźbą.

- Julita prosiła, byś przyszedł do niej. Ma ci coś ważnego do powiedzenia, Passachielu. - Piotr, choć nie widział nawet połowy tego, co ja, równie uważnie przyglądał

się nadciągającemu wrogowi.

- Muszę więc iść do niej. Może udało jej się coś wyczytać z ksiąg Alhazreda. -

Prawdę mówiąc, od czasu powrotu nie widziałem jej jeszcze. Teraz domyśliłem się, dlaczego. Nie namawiałem Etherni, by mi towarzyszyła. Ona sama nie nalegała. Wiedziałem, że niechęć pomiędzy nimi ma dużo głębsze podłoże, niż wyglądało to na pozór. Obawiałem się, aby w najważniejszym momencie nie przyczyniło się to do naszej przegranej. Miałem jednak zbyt wiele spraw na głowie, aby w tym momencie zaradzić konfliktowi.

Dom Julity nad jeziorem z oddali przypominał kamienny kopiec Alhazreda. Dopiero teraz to odkryłem. Jednak zbieżność kształtu była przypadkowa - iskrzące się ściany odbijały barwy niczym lustro i nie miały w sobie nic z czerni. Teraz co chwilę ich błękitna powierzchnia rozbłyskiwała czerwienią, kiedy któryś ze smoków przemknął wystarczająco nisko, aby rzucić cień.

Zbliżyłem się do domu, a potem powoli odsunąłem wiszący w wejściu materiał.

Podłogę domu pokrywały rysunki oraz symbole naszkicowane niedbale i niezwykle gęsto.

Wszędzie wałały się pootwierane książki, a pośród nich, wprost na posadzce, spała Julita.

Jasne włosy zsunęły się na policzek, zupełnie zasłaniając twarz. Tuż przy niej czuwała Dekarabia, która jednak na mój widok chciała natychmiast uciec w najdalszy kąt chaty.

Szybkim ruchem dłoni nakazałem jej ciszę i uspokoiłem, uśmiechając się. Przywołałem też Gardamon ukrywającą się w półmroku.

- Od dawna śpi? - spytałem półgłosem.

- Nie, panie - w ten sam sposób odpowiedziała Dekarabia. Obie obserwowały mnie, jakby wciąż oczekiwały, w którym momencie spadnie na nie kara.

- Pracuje bez wytchnienia nad zaklęciem otwarcia - dodała Gardamon. - Dla ciebie, panie.

- Czy udało jej się znaleźć drogę do Otchłani?

- Tak, panie... i nie, zarazem. - Dekarabia po chwili milczenia szybkim gestem chwyciła moją dłoń. - Panie, wybacz nam nasze ostatnie zachowanie... Jesteśmy istotami wody, to dlatego. Jesteśmy takimi, jakimi nas stworzono... nie umiemy być inne...

Wiedziałem, że chodzi jej o to, na czym je przyłapaliśmy. Skrzywiłem się, a one przyjęły to za zły znak. Niemal sparaliżowane strachem, padły na ziemię, składając mi głęboki pokłon.

- Ukarz nas, panie! Wiemy, że na to zasłużyliśmy! Ale nie wydawaj nas teraz Satanaelowi! Pozwól nam pozostać przy tobie i wymierz nam karę! - błagały.

- Nie będzie żadnej kary. - Uśmiechnąłem się, zmęczony. - Wiem, kim jesteście i nie mogę

spodziewać się po was, że staniecie się istotami światła. To ja proszę was, byście mi pomogły.

Z niedowierzaniem podniosły głowy.

- Co możemy zrobić dla ciebie, panie?

- Jesteście kapłankami ognia. Opowiedzcie mi o nim wszystko, co wiecie.

- Ta wiedza nie zda ci się na nic, panie.

- Dlaczego?

- Aby nad nim zapanować, musiałbyś być istotą wody. Jesteś inny niż skrzydlaci, ale to za mało.

- Czy wy umiałybyście to zrobić?

- Zapanować nad ogniem Satanaela?

- Tak.

- Umiałybyśmy, ale potrzebowałybyśmy do tego pomocy.

- Czyjej?

- Dwu skrzydlatych i dwojga ludzi. Mężczyzny i kobiety.

- Dlaczego?

- Tam, w Otchłani, pojmiesz to, panie.

Julita obudzona naszą rozmową, westchnęła, a potem podniosła głowę, odgarniając dłonią włosy. Jej oczy były podkrążone i szklily się ze zmęczenia.

- To ty, Passachielu? - Usiadła.

- Tak. Chciałaś mnie widzieć.

- Tak. Tak, chciałam. - Stopniowo senne otępienie ją opuszczało. Ziewnęła szeroko, nawet nie zadając sobie trudu, aby zakryć usta.

- Podobno odkryłaś drogę do Otchłani? - spytałem niecierpliwie. - Wybacz, że jestem natarczywy, ale musisz natychmiast powiedzieć mi wszystko, co wiesz. Legiony Satanaela nadciągają, a nic nie dałoby nam takiej przewagi, jak uderzenie wprost w jego kryjówkę i pokonanie go, zanim bitwa zacznie się na dobre.

- Wiem, jak otworzyć wrota Otchłani, ale to dla nas nieosiągalne. - Uśmiechnęła się smutno.

- Dlaczego? - spytałem.

- Jeśli Satanael sam ich nie otworzy i nie wezwie ciebie, trzeba złożyć ofiarę, aby się z nim widzieć.
- Oburącz podsunęła bliżej mnie jedną z ksiąg, a potem wskazała kilka wersetów, choć i tak nie umiałem pojąć ich symboliki.

- Jaką ofiarę?

- Musiałbyś zabić niewinne dzieci. Najlepiej noworodki lub starsze dzieci, ale w okrutny sposób. To nie Alhazred wymordował rodzinę sułtana. Sułtan sam zdecydował, że użyje jej do ofiar, składając wizyty swemu panu, Satanaelowi.

Przewróciła kilka stron, dzięki czemu ujrzałem ryciny przedstawiające sposób, w jaki należy składać ofiary Satanaelowi.

- Obrzydliwość. - Poczułem, jak przeszywają mnie dreszcze na samą myśl o tym, co czuli najbliżsi sułtana.

- A czy wy nie znacie innego sposobu? - spytałem sukkuby, choć z góry znałem ich odpowiedź.

- Nie, panie. On nas wzywa. Same nie potrafimy ani wydostać się stamtąd, ani tam trafić - wytłumaczyła natychmiast Gardamon.

- A Satanael potrafi wezwać was wbrew waszej woli?

- Nie - zaprzeczyły niemal równocześnie.

- Otchłań. Gdzie to w ogóle jest? - zwróciłem się do Julity.

- Całkiem niedaleko. - Uśmiechnęła się blado. - Pod naszymi nogami. Bardzo głęboko w ziemi, bez jakiegokolwiek drogi prowadzącej do podziemnych pieczar. Nie spodoba ci się w tamtym miejscu. Ono jest... żywe.

- Jak to „żywe”? - Byłem zaskoczony.

- Nie wiem dokładnie, ale tak tutaj można wyczytać. - Wskazała jeden z wersetów, a potem przesunęła palec wyżej. - Nie rozumiem jednak tego, co napisano tutaj. Naprawdę się starałam, ale nie potrafię...

- Rozumiem. Dziękuję ci za to, co dla mnie zrobiłaś. - Ostrożnie dotknąłem jej policzka. Obawiałem się, że zareaguje gwałtownym cofnięciem, ale nie zrobiła tego.

- Jestem bardzo zmęczona - powiedziała z przepaszającym uśmiechem.

- Wiem. - Położyłem dłonie na jej głowie, a potem zamknąłem oczy, odnawiając jej aurę. Na pewno poczuła ulgę i powrót sił.

- Dziękuję. - Zamrugła oczami, wzdychając z ulgą. Wstałem, a potem ująłem jej dłonie i pomogłem jej stanąć pewnie na nogach.

- Myślę, że w każdej chwili możemy spodziewać się tutaj ataku Legionów. Muszę iść na Krawędź i zająć się obroną - wyjaśniłem, choć nie pytała o to.

- Pozwól nam iść ze sobą. - Julita nie wypuściła moich dłoni z uścisku.

- Może później. Teraz będzie tam bardzo niebezpiecznie. - Bałem się o nie.

- Właśnie teraz możesz potrzebować nas najbardziej, panie - Dekarabia natychmiast poparła Julitę.

- Przeczytałam sporo o Legionach, a nie będę teraz miała czasu, aby opowiedzieć ci o wszystkim. - Julita zacisnęła nerwowo palce. - Pamiętasz? Kiedy byłeś jeszcze Tomaszem, kilka razy moje rady przydawały ci się. Teraz może być podobnie.

- Zgoda - potwierdziłem swoje słowa ruchem głowy, choć targały mną wątpliwości. -

Ale przydzielę wam kilka smoków, a kiedy tak postanowię, schronicie się najdalej od Krawędzi, jak tylko można.

- Dobrze - zgodziły się równocześnie.

Opuściliśmy ich chatę, potem powróciłem z nimi nad Krawędź. Ethernia i Piotr nawet nie odwrócili się, aby sprawdzić, kto nadchodzi. Byli zbyt wpatrzeni w mrowie nadciągających istot. Zdawało się, że cała przestrzeń aż po widnokrąg jest wypełniona ruchem, że nie ma ziemi, tylko przelewający się ocean istot mroku, którego fale przybijają do Krawędzi naszej ziemi. Ponad wszystkim unosiły się ciężkie, siwe chmury zabarwione czerwienią. Jedyne niebo nad naszą wyspą swym bladym błękitem opierało się temu.

Położyłem dłoń na ramieniu Etherni, a potem drugą na ramieniu Piotra. Spojrzeli na mnie. W oczach Etherni zobaczyłem łzy.

- Nigdy nie sądziłem, że jako śmiertelnik, na własne oczy ujrzę dno piekła. - Błada twarz Piotra wyrażała nieoczekiwaną determinację. Zacisnął dłoń na rękojeści miecza. -

Wierzę, że Pan miał w tym swój zamiar i poddał mnie najwyższej próbie.

- Tak jest z pewnością, kimkolwiek jest Bóg, w którego wierzysz - potwierdziłem jego słowa.

- Nie chcę, aby nasz czas skończył się w ten sposób - usłyszałem w głowie słowa Etherni. - Nawet jeśli teraz uda nam się obronić, co będzie za drugim, za trzecim razem?

- Nie myślę o obronie - odpowiedziałem jej w ten sam sposób. - Myślę o tym, jak zaatakować.

- Rozejrzyj się, Passachielu. - Jej rozpacz uderzyła we mnie gwałtownym uczuciem bezsilności. - Kim my jesteśmy? Kim jesteś ty? Twoimi sprzymierzeńcami są śmiertelni: rycerz z zakonu i wychowanka nekromanty. Liczysz na pomoc dwu sukubów, które popadły w niełaskę Satanaela. Co będzie, jeśli powrócą do swego pana? Zastępy tylko przedłużą naszą agonię. Jesteśmy garstką pamiętających o sile światła. Bezsilną garstką.

Od strony osiedla nadeszły Archaje. Były przerażone i zbiły się w gromadę. Stały niedaleko, wpatrzone w nas. Wśród nich dostrzegłem Restilię, Saamiela i Tarosiela.

- Nie jesteśmy bezsilni. Dlatego właśnie trwamy jeszcze tutaj. - Zajrzałem głęboko w jej myśli, starając się ją uspokoić. - Kiedyś, jako człowiek, myślałem, że to my wybieramy sobie przeznaczenie. Jest inaczej. Przeznaczenie wybiera sobie nas, czyniąc z nas bohaterów lub przegranych. Podążajmy swojemu przeznaczeniu, Ethernio, i przyjmijmy je, jakim jest.

Winniśmy to wszystkim i wszystkiemu, w co wierzymy. Spójrz na nich. - Głową wskazałem Archaje. - Ich wiara w sens prawdy i światła nie będzie trwała ani sekundy dłużej, jeśli zobaczą w nas zwątpienie i bezsilność. Nasza siła jest ich siłą, ale nasze zwątpienie stanie się ich klęską. Nie odbieraj im nadziei. Nie teraz.

- Rozumiem. Wybacz, Passachielu. - Ethernia tak, aby nikt tego nie zauważył, wytarła łzy opuszkami palców. - To była tylko chwila słabości.

Uśmiechnąłem się do niej, mocno ściskając za ramię. Odpowiedziała słabym uśmiechem.

- Co robimy, Passachielu? - Piotr niecierpliwił się nieświadomy naszej rozmowy.

- Zaraz wszystko ci powiem, Piotrze. - Podeszedłem bliżej Krawędzi. Julita stała tam, obserwując armię Satanaela i rozmawiała o czymś z Dekarabią oraz Gardamon. Kiedy podeszedłem, umilkły.

- Passachielu, musisz mnie wysłuchać - widząc mnie, odezwała się, zanim zadałem pytanie. Wyglądała na pobudzoną jakąś myślą.

- Mów. Dla ciebie zawsze mam czas.

- Spójrz! Spójrz tam. Co widzisz? - spytała, wskazując ręką na równe szeregi Legionów.

- Armie Satanaela.

- Tak, ale zobacz, jak jest podzielona. Nie widzisz tego?

- Czego?

- Satanael ma zbyt mało generałów, by dowodzić tak wielką armią. O! Tam, tam i tam. - Energicznymi ruchami pokazywała poszczególne chorągwie. - Widzisz te proporce?

- Tak.

- Każda grupa mająca proporzec z rzeźbą nie ma swojego generała. Dowodzi nią sam Satanael.

- Co to zmienia?

- Nie domyślasz się? - Jej oczy pałały podnieceniem. - To klucz do naszego zwycięstwa. Satanael podpira się magią. Zwyczajną magią mroku. A na każdą magię można znaleźć sposób. W przypadku

kamieni władzy, tych rzeźb wieńczących proporce, sposób jest dziecinnie prosty.

- Mów, proszę.

- Nauczyłam się wiele, słuchając waszych męskich rozmów w Baghras. Spójrz.

Ustawił wojska tak, aby część armii, którą włada za pomocą magii, znalazła się poza twoim zasięgiem. To jego odwody. - Gestykulowała żywo. - Siły Zastępów mogą być zbyt małe, żeby poradzić sobie z całością jego armii. Na pewno zamierza rzucić przeciw nam swoich generałów, a reszty armii użyć pod koniec walki, kiedy będziemy już zbyt wykrwawieni, by przeciwdziałać magii mroku.

- Rozumiem. - Nieoczekiwany przypływ energii i wiary spowodował, że chwyciłem mocno jej drobne ramiona, a potem uniosłem ją wysoko ponad głowę, jakbym nagradzał

małą dziewczynkę.

Roześmiała się, widząc moją radość.

- Jeśli uda nam się odebrać proporce dowódcom, ta część armii, którą dowodzi Satanael, zmieni się w bezładną przerażoną masę demonów, a trzon dowodzony przez generałów jest zbyt słaby, aby powstrzymać Zastępy! - podsumowałem.

- Dokładnie, jak mówisz, ale postaw mnie na ziemi. - Wciąż się śmiała. - Jesteś dla mnie zbyt wielki i kręci mi się w głowie.

Postawiłem ją na ziemi, ale zanim to zrobiłem, nie opanowałem się i pocałowałem ją w usta. Uderzyły we mnie obrazy z jej wspomnień. Niczym krótki błysk, ale odczytałem je bardzo wyraźnie. Wspominała chwilę, kiedy była z Dekarabią. W czasie zbliżenia z sukkubami, chciała widzieć mnie. Mnie jako Tomasza. Przez ten ułamek chwili w moim umyśle eksplodowało jej pragnienie i żądza zbliżenia się z Tomaszem. Sukkuby na swój sposób tylko starały się jej to umożliwić.

Julita na pewno domyśliła się, co zaszło, bo w jej oczach w jednym momencie zabłyśły iskry przerażenia. Udałem jednak, że nie zaszło nic istotnego.

- Jak mogę odebrać proporce? - spytałem, aby zamaskować nasze wspólne zmieszanie.

- Zwyczajnie, jeśli potrafisz pokonać inkuba. Jest jednak pewien problem. -

Spoważniała.

- Jaki?

- Dekarabia i Gardamon powiedziały mi, że tylko dotknięcie ich przez istoty światła może pozbawić je mocy. Nie wiem, czy ty z Ethernią zdążycie to zrobić, zanim będzie za późno. Jest was tylko dwoje, a pomoc ludzi czy sukkubów jest w tym wypadku niemożliwa, nawet gdybyśmy mieli skrzydła.

- Rozumiem. - Spojrzałem na przestraszone Archaje i w tym momencie zrozumiałem, że są moją jedyną nadzieją. Stały wystarczająco blisko, aby usłyszeć rozmowę. Po ich minach wiedziałem, że zrozumiały też, czego mogę od nich oczekiwać.

Saamiel i Tarosiel wymienili się spojrzeniami, a potem - przy milczącej zgodzie reszty Archajów - podeszli do mnie.

- Rozkazuj, Passachielu - powiedział Saamiel.

Rozłożyłem szeroko skrzydła, a potem podniosłem do góry miecz.

- Posłuchajcie. Nadeszła chwila, w której zadecyduje się, czy mrok na zawsze pojmie we władanie nasz świat i czy Satanael stanie się jedynym kreatorem. Chcę, aby każdy z was rozważył w swoim sercu, czy jest gotów oddać swe istnienie, aby się temu sprzeciwić.

Potrzebuję waszej pomocy i choć nie potraficie walczyć, od was zależy los tej bitwy. Niech te z was, które chcą przyłączyć się do walki, pozostaną tutaj ze mną, te zaś, które nie czują się na siłach, niech powrócą do swoich domów i oczekują na rozwój wypadków, mając świadomość, że w pełni rozumiem ich wybór i nie oczekuję niczego, czemu by nie podoleli.

Decydujcie więc.

Przez grupę Archajów przebiegł szmer, ale żaden nie odszedł.

- Passachielu. Wszyscy jesteśmy z tobą! - Nie zorientowałem się, kto z grupy wzniósł ten okrzyk.

- Rozkazuj, co możemy dla ciebie zrobić!

Widziałem, jak Ethernia podchodzi do Julity, a potem kłania się przed nią w geście pojednania. Zaskoczona Julita wykonała szybkie, speszzone dygnięcie.

- Posłuchajcie więc. - Podniosłem dłoń. - Do walki nie wystarczy pewna ręka.

Potrzebny jest też błyskotliwy, otwarty umysł. On decyduje o porażce lub zwycięstwie. Wy będziecie umysłem, a waszymi dłońmi będą smoki. Każdy z was będzie miał ich trzysta przy swoim boku. One będą was broniły i to one staną się waszą tarczą, kiedy poszybujecie ponad Legionami. Słyszeliście, co powiedziała Julita. To właśnie stanie się waszym celem.

Przemkniecie na tyły i odbierzecie proporce, a tym samym władzę Satanaelowi. Kiedy to zrobicie, powrócicie tutaj, a wasze zadanie się zakończy. Dopiero wtedy ja uderzę na generałów Satanaela i z pomocą mocy światła, obrócę w pył ich przeklętą armię. -

Wskazałem na Piotra. - Ty, mój przyjacielu, zajmiesz się ochroną wszystkich, którzy pozostaną tutaj lub powrócą po wykonaniu zadania. Otrzymasz Terczyna i dziewięćset smoków.

- Tak, Passachielu. - Piotr położył dłoń na sercu w geście przysięgi.

- Nie mamy zbyt wiele czasu. Musimy uderzyć, zanim armia Satanaela skończy się formować. - Opuściłem miecz, wbijając go w ziemię. - Zanim jednak zaczniemy to, co nieuniknione, niech każdy z nas w ciszy pomyśli o tym, co jest dla niego najważniejsze i o tym, co przywiodło go tutaj oraz spowodowało, że walczy po stronie światła.

Klęknąłem na jedno kolano, widząc, że wszyscy wokół - idąc za moim przykładem -

zwracają się w stronę miecza. Ethernia uklękła obok mnie, a Julita zrobiła to samo po mojej prawej stronie. Piotr zdjął z głowy hełm, potem zaś zaintonował: *Bóg jest wielki,*

Bóg jest miłosierny,

Jestem tylko Jego ostrzem,

Jestem Jego mieczem i tarczą...

Restilia zasłuchana, klęknęła tuż obok niego, chłonąc każdy ruch ust Piotra.

Słyszałem, jak Julita powtarza jego słowa. W panującej ciszy, docierające z dołu odgłosy wydawały się podwójnie złowrogie. Choć były słabe, ich nieludzkie przejmujące brzmienie powodowało, że nie mogłem w pełni skupić myśli.

- Bez względu na to, co stanie się później, wiedz, że jesteś mi najbliższą istotą - to były myśli Etherni skierowane wprost do mnie.

- I ty jesteś mi bardzo bliska, Ethernio - odpowiedziałem w ten sam sposób.

Kiedy zobaczyłem wpatrzona w siebie oczy Julity, zrozumiałem, że i ona na swój prosty sposób widzi we mnie swojego Tomasza. Ze spokojnym uśmiechem uściśnąłem lekko jej dłoń. Czuję, że to ostatnie chwile przed czekającym nas wyzwaniem. Że później nic już nie będzie takie samo i każdy z nas zmieni się tak bardzo, jak bardzo potrafi zmieniać bitwa.

Tę wiedzę posiadałem na pustynnych polach Ziemi Świętej. Wiedział o tym także Piotr i być może zdawała sobie z tego sprawę Julita. Miałem jednak pewność, że żaden z Archajów nie przypuszczał nawet, co go czeka. Pozostawała nadzieja, że ich czyny będą odzwierciedleniem ich słów. W przeciwnym wypadku to była nasza ostatnia modlitwa na własnym pogrzebie.

Pozwoliłem wszystkim na tak długą chwilę zadumy, jak potrzebowali, a potem wstałem, ująłem miecz i stanąłem na Krawędzi. Podniosłem do góry oręż, wzywając moc światła. Nadeszła natychmiast, jakby Serafin czekał tylko, aż go wezwę. Blask oślepił

sukkuby, ale Julita zajęła się nimi troskliwie. W jednej chwili rozdzieliłem siły Zastępów, zgodnie z planem przydzielając każdemu ich część.

- Czas zaczynać! - Odwróciłem się do Archajów, czując przepelniającą mnie moc. -

Niech was prowadzi światło!

- I ciebie, Passachielu - odpowiedziały Archaje, po czym powietrze wypełnił

sprężysty świst ich skrzydeł. Poderwały się do lotu, potem zaś przyłączyły do Zastępów, malejąc w oczach.

- ...i powróćcie tutaj wszystkie - dodała Ethernia, choć nie mogły już tego słyszeć.

Staliśmy twarzą do Krawędzi, patrząc na Legiony. Ponad naszymi głowami przez dłuższy moment krążyły formujące się Zastępy, a potem szumiące skrzydłami morze czerwieni przelało się przez Krawędź jak lawina, opadając na zaścielające ziemię sługi Satanaela. Tylko czasami można było wyłowić w tym mrowiu ruchu i dźwięku pojedyncze, drobne strzępki bieli. To były Archaje.

Generałowie uformowanych już chorągwi, spodziewając się frontalnego ataku, podnieśli alarm i szeregi trzonu Legionów najeżyły się długimi lancami skierowanymi wprost w niebo. Głośny, dudniący, bojowy wrzask wstrząsnął powietrzem. Jednak - ku zdziwieniu generałów Satanaela - Zastępy przemknęły ponad przygotowanymi chorągwiami, kierując się w stronę formujących się odwodów. Tam właśnie pojawiły się pierwsze oznaki zamieszania.

- Zobacz, zobacz! - krzyknęła Ethernia, choć ja nie mniej uważnie obserwowałam owo miejsce.

To był najlepszy moment z możliwych. Udało nam się uderzyć, zanim przeciwnik zdołał zaprowadzić porządek w swoich szeregach. Ogłuszający łoskot, z jakim zwarły się armie, doszedł do naszych uszu wyraźnym, choć odległym echem.

- Zaczęło się. - Piotr dłonią wykonał znak krzyża.

Zamknąłem oczy, przebiegając myślą do Zastępów. Ujrzałem wszystko ich oczami.

Niemal czułem szpony rozdzierające ciała demonów, odurzający zapach śmierci oraz krwi, otaczający wszystko dookoła. Smoki uderzały, a potem podrywały się do lotu tylko po to, by zatoczyć krąg i po chwili uderzyć ponownie. W powietrzu panował nieopisany ścisk i tumult.

Nie mniejszy jak na ziemi. Chwilami mogło się wydawać, że nie istnieje ziemia ani niebo, tylko splecione, rozszarpujące się nawzajem ciała. Ten obraz przesłaniał wszystko. W

ogłuszającym ryku tysięcy gardeł nikt nie umiałby rozróżnić poszczególnych głosów.

Chwilami dostrzegałem przemykające przez to piekło, przerażone Archaje. Zdjęła mnie trwoga, że wysyłanie ich tam może okazać się prawdziwym szaleństwem.

Kiedy otworzyłem oczy, znów miałem przed sobą panoramę roztaczającą się z urwiska i widok na bitwę, która z tej odległości wydawała się niemal nierealna.

Generałowie Satanaela, odkrywszy nasze plany, zaczęli pośpiesznie zawracać swoje wojska, starając się wesprzeć rozsypujące się szeregi odwodów. Było to dla nich niezwykle ryzykowne,

jednak nie miałem teraz wystarczająco dużo sił do dyspozycji, aby wykorzystać szansę i uderzyć na nich w tak dogodnym momencie. Mogłem odwołać część Zastępów, które wcześniej przydzieliłem Archajom, jednak naraziłbym je na zbyt wielkie niebezpieczeństwo.

Wtedy właśnie powrócił pierwszy z Archajów - Saamiel. Wylądował tuż przy nas, a na jego brudnej od kurzu i krwi twarzy promieniował radosny uśmiech zwycięstwa. Bez słowa rzucił mi pod stopy porzecz wydarty jednemu z dowódców armii mroku. Zaraz za nim powrócił kolejny Archaj, i kolejny porzecz z głuchym dźwiękiem dołączył do pierwszego. Wydawało się, że plan jest realizowany bez większych problemów, jednak jako pierwszy dostrzegłem niepokojące objawy. W miejscu, w którym powinna być teraz Restilia, działo się coś dziwnego. Smoki, zamiast atakować w swój najskuteczniejszy sposób, nie dotykając ziemi, opadły pomiędzy demony i siejąc spustoszenie w ich szeregach fontannami płomieni, szybko traciły siły, walcząc w zwarciu. Sytuacja z każdą chwilą stawała się groźniejsza.

- Restilia! - Piotr patrzył w dokładnie tym samym kierunku.

Oczami smoków zobaczyłem, co się dzieje w tamtym miejscu. Jeden z książąt Satanaela pochwycił Restilię, a smoki starały się przyjść jej z pomocą. Restilia wiała się na ziemi, usiłując uwolnić się z uścisku. Jej połamane skrzydła krwawiły, a księżę trzymał ją za włosy, wolną dłoń ujmując porzecz. Jego armia osłaniała go, więc żaden ze smoków nie zdołał temu zapobiec.

- Muszę jej pomóc, Passachielu! - Piotr, choć nie widział tego, co ja, odwrócił się, chcąc dosiąść białego smoka.

- Zostań tutaj! - Chwyciłem go za ramię, nadając swemu głosowi władcze brzmienie.

- Ja dotrę tam szybciej i zdziałam więcej. Pozostań na swojej pozycji.

- Nie możesz tego zrobić! - zaniepokojona Ethernia chciała mnie powstrzymać. - Jeśli coś ci się stanie, będziemy bezsilni. Nie ryzykuj tak lekkomyślnie.

- Tam jest jeden z książąt. Tylko ja mogę przeszkodzić mu w powtórnej mobilizacji odwodów - powiedziałem, po czym wykonałem kilka szybkich kroków i odbiłem się od Krawędzi, zawisając na skrzydłach. Poszybowałem wysoko ponad armią mroku. Kilka zabłąkanych beltów, opalizujących fioletową poświatą magii minęło mnie niebezpiecznie blisko. Każdy zamach skrzydeł zbliżał mnie do centrum walki. Nie można było jeszcze rozsądzić, na czyją stronę przeważa się szala zwycięstwa. Kiedy wpadłem między walczących, omal nie wytrąciły mnie z równowagi podmuchy powietrza, gdy rozpędzone smoki mijały mnie, opadając w stronę ziemi. Były tak blisko, że czasami omal ocieraliśmy się o siebie. Pomiedzy nimi dostrzegłem kilka harpii, ale były tak przerażone, że tylko trzepotały skrzydłami, piszcząc przeraźliwie. Walka pode mną wrzała. Uskakując na boki i schodząc z linii ataku smoków, lawirowałem i starałem się jak najszybciej dotrzeć na tyły.

Chrzęst pancerzy, jęki i wrzask wprost ogłuszały. W trudno dostępnych miejscach smoki zawisały nad ziemią, a potem snopem ognia wypalały sobie drogę w dół. Dostrzegłem też kilka z nich, leżących martwych w piachu; ich ciała rozszarpały rozwścieczone Legiony.

Wzbiłem się nieco wyżej, potem zanurkowałem, kierując się zgodnie z ruchem smoków, po czym uskoczyłem w bok i szerokim łukiem dotarłem na miejsce.

Znałem jego imię ze wspomnień Ethernii: Bafomet - jeden z potężniejszych sług Satanaela. Miałem wrażenie, że czekał na mnie, bo gdy opadłem na ziemię, obnażonym mieczem torując sobie miejsce, odwołał swoje sługi i puścił nieprzytomną Restilię, prostując się z dumą. Jeden ze smoków pochwycił ją natychmiast, kierując się w stronę Krawędzi.

Bafomet nie zwrócił na to uwagi, mocniej ujmując proporzec. Jego błoniaste skrzydła rozprostowały się za plecami. Wiedział, co chcę zrobić i czekał na mój ruch.

Z uniesionym mieczem, obszedłem go półkolem, uważnie stawiając stopy na ubitej ziemi. Jego oczy wyglądały jak dwa szkliste, czarne kamienie. Nagle wykonał szybki, ledwie dostrzegalny zamach, potem zaś uniósł wolną dłoń, nie wypowiadając najmniejszego nawet słowa mocy. Przestrzeń pomiędzy nami wykrzywiła się jak wypukłe lustro, a gwałtowny podmuch odrzucił mnie do tyłu. Utrzymałem jednak równowagę, ciężko balansując ciałem.

Chciałem spowolnić czas, ale Bafomet odkrył to i nagle obaj stanęliśmy pośród ciszy i zatrzymanych w ruchu postaci. Mimowolnie popatrzyłem na ten niewiarygodny widok. Ruch odbywał się nadal, był jednak tak spowolniony, że smoki zdawały się być zastygłymi w przestrzeni figurami. Otaczał mnie teraz świat bezruchu, jednak do tego samego świata dostał

się za mną Bafomet. Wiedziałem, jak wielkie stanowi zagrożenie. Podobnie jak ja, potrafił

używać magii bez wypowiadania słów i bez artefaktów - był równie przesiąknięty mocą mroku, jak Elohimy mocą światła.

Nie czekając na jego dalsze ruchy, wykonałem półobrót, a potem ciałem mieczem Serafinów, starając się dosięgnąć jego torsu. Znowu wykonał ten sam szybki gest, ale tym razem to on w jednej chwili oddalił się, powodując, że ostrze ze świstem rozcięło pustą przestrzeń. Zaraz po tym nastąpiła seria jego bardzo szybkich, choć słabych ataków, które jednak zmusiły mnie do obrony. Uwolniłem się, szerokimi zamachami skrzydeł wzbijając się na chwilę w powietrze. Kiedy opadłem na ziemię w pewnej od niego odległości, obaj mogliśmy nabrać tchu. Nie pozwoliłem sobie jednak na zbyt długi odpoczynek. Wiedziałem, że w ten sposób wzmacniałem również jego. Aby odzyskać siły, musiałem wraz z nim wyłonić się spoza czasu. Dźwięki i ruch powróciły w jednej chwili. Kątem oka obserwowałem sytuację na niebie. Widziałem grupy smoków powracające w stronę Krawędzi.

Kolejna seria moich i jego ataków nie przyniosła rozstrzygnięcia. Podobnie jak następna. Czas mijał, musiałem się śpieszyć. Wiedziałem, że Bafomet zaczyna grać na zwłokę, starając się maksymalnie mnie osłabić, a samemu oszczędzić siły. W pewnym momencie wezwał wszystkie otaczające nas demony, by mnie zaatakowały. Uciekłem, podrywając się do góry, potem zaś wezwałem część złuzowanych już Zastępów znad Krawędzi. Dało mu to jednak kolejną przerwę, w czasie gdy ja krążyłem ponad jego głową.

Uderzyłem wraz z Zastępami, które utorowały mi do niego drogę. Ukryłem się pomiędzy szeregami Zastępów, tak że stracił mnie na moment z pola widzenia. Wystarczyło, aby niepostrzeżenie

przedostać się w nurcie atakujących z góry smoków i bez wiedzy Bafometa znaleźć się za jego plecami.

Ciałem bez chwili zastanowienia szerokim zamachem miecza. W ostatnim momencie zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, ale zdołał wykonać tylko jeden zamach skrzydłami, by unieść się nieco nad ziemię. Ostrze miecza rozplatało mu bark, odcięło jedno ze skrzydeł i otworzyło szeroką ranę na plecach. Upadł na wznak, z rozdzierającym rykiem, wciąż jednak trzymając proporzec. Wykorzystując ruch miecza, zatoczyłem nim wąskie koło, a potem ostrze z chrzęstem odcięło jego rękę, niczym sierp kłosa zboża. Proporzec z zaciśniętymi na nim dłońmi wylądował na ziemi, a powietrze przeszył kolejny ryk.

Chwyciłem proporzec i nie oglądając się za siebie, wzbiłem się w niebo. Kiedy poszybowałem w stronę Krawędzi, zdałem sobie sprawę, że walka pode mną już ustaje.

Przestrzeń wokół pełna była krążących beczynnymi smoków. Wypatrywały coraz rzadszych celów na ziemi. Pod spodem panował prawie całkowity bezruch wśród splecionych, martwych ciał, pokrywających każdy kawałek ziemi. Odwody Satanaela przestały istnieć. Ta część naszego planu się powiodła. Archaje zdołały powrócić na Krawędź i wykonać swoje zadanie. Kiedy i ja tam się znalazłem, główny trzon sił Satanaela zawracał, powtórnie ustawiając się do boju. Wylądowałem tuż przy rozproszonych i w większości zalegających na ziemi Archajach. Ich zmęczone, umazane twarze natychmiast zwróciły się w moją stronę.

Przy nieprzytomnej Restilii klęczał Piotr, trzymając ją w objęciach. W oczach miał łzy.

Pierwszy raz widziałem go w takim stanie. Ethernia starała się ulżyć jej cierpieniom.

Położyłem dłoń na ramieniu Piotra, a kiedy spojrzał na mnie, bez słowa podałem mu proporzec, na którym wciąż tkwiły zaciśnięte dłonie Bafometa. Ujął go z mściwą satysfakcją, a potem odrzucił na stertę innych pororców. Ethernię przebiegł dreszcz obrzydzenia.

- Nie martw się o nią. Wszystko będzie dobrze - powiedziałem do Piotra.

- Nie powinieneś jej wysłać! - w jego głosie pojawił się wyrzut. - Ona jest taka delikatna i krucha!

- Pamiętaj, Piotrze, nie zmuszałem nikogo do walki, a dziś każdy z nas może stracić wszystko.

- Tak... wybacz... - Powoli uściśnął moją rękę, na znak przeprosin.

Wstałem i lawirując między odpoczywającymi Archajami, podeszedłem do Krawędzi.

Legiony nadchodziły. Były bardzo blisko. Patrząc na ich zwarte szeregi, przez moment zwątpiłem w swoje siły i powodzenie dalszej części planu. Zacząłem gromadzić nad sobą całość Zastępów. Podniosłem miecz, ale wciąż nie czułem wsparcia ze strony Serafina. Niby smoki zebrały się nad Krawędzią, gotowe do odparcia Legionów, niby wszystko przebiegało zgodnie z moimi zamysłami, ale wiedziałem, że w istocie wciąż walczę sam. Nikt poza mną nie zdawał sobie z tego sprawy. Nawet Ethernia, kiedy podeszła do mnie, pozostawiając Restilię pod czułą opieką Piotra. Wyczytała jednak w mojej głowie, że coś mnie niepokoi.

- Passachielu... - chciała spytać.

- Daj mi się skupić, Quaddishim.

Mój oficjalny ton spowodował, że natychmiast umilkła.

Archaje, widząc, że przygotowuję się do wypowiedzenia słów mocy, odeszły, gromadząc się daleko od Krawędzi. Podobnie Julita i sukkuby oraz Piotr. Ethernia skłoniła się przede mną na znak, że za chwilę wypełni mnie moc Serafina, a potem oddaliła się powoli. Zostałem sam naprzeciw nadciągającej armii.

Uniosłem miecz, a potem przywołałem jego moc.

Nic nie nastąpiło.

Zamknąłem oczy, by skupić się na tym, co robię. Również i tym razem nie nastąpiło nic. Miecz pozostał tylko zimnym kawałkiem stali. Spojrzałem na niego, jednak kolejna próba okazała się równie bezowocna.

Opuściłem miecz, nie rozumiejąc tego, co się dzieje. Nie przestraszyłem się. Raczej ogarnął mnie smutek. Byliśmy tak blisko zwycięstwa, a teraz, w jednej chwili, z jakichś niepojętych przyczyn, mogliśmy tylko przyglądać się, jak wraz z Legionami zbliża się nasza zguba. Spojrzałem za siebie. Ethernia, Julita, Piotr, sukkuby, Archaje. Wszyscy, którzy mi zaufali i oddali los w moje ręce, czekali w napięciu, nie wiedząc nawet, że ich zawiodłem.

Zawiodłem dokładnie wtedy, kiedy potrzebowali mnie najbardziej. Nie mogłem znieść ciężaru pełnych wiary spojrzeń. Odwróciłem głowę. Ciemne chmury sunące tuż nad horyzontem zdawały się nieco podnosić. Wiedziałem, że choć Zastępy są potężne, ich atak tylko spowolni marsz Legionów, wspartych mroczną mocą Satanaela. Musiałem jednak walczyć, choćby tylko po to, aby odwlec w czasie naszą klęskę.

Po raz drugi wezwałem Zastępy i wtedy dostrzegłem, że ponad moją głowę dzieje się coś niepokojącego. Zastępy znikają. Smoki za sprawą niezrozumiałych dla mnie zjawisk zaczęły rozpląwać się w powietrzu. W ciągu kilku zaledwie chwil Zastępy przestały istnieć.

Niebo nade mną wypełniło się drgającymi, widmowymi cieniami, jakby nagle powietrze zaczęło wrzeć, a potem wszystko rozpląnęło się i zapanował bezruch. Przerazone głosy za moimi plecami świadczyły o tym, że teraz wszyscy odkryli straszną prawdę.

Jeszcze nigdy nie odczuwałem tak wszechogarniającej bezsilności jak w tamtym momencie. Najdłuższym momencie mojego życia.

- Chcę być koło ciebie, kiedy to się stanie - to była myśl Etherni. Odczułem wyraźnie jej rozpacz, ale równocześnie gorące pragnienie, aby jeszcze choć raz być blisko mnie.

Zapraгнаłem iść do niej, ale w tym momencie coś dostrzegłem. Chmury zaczynały zmieniać barwę.

Już nie były sine i ciemne. Ponad nimi gromadziło się coś, co powodowało, że coraz silniejszy blask rozjaśniał je od góry. Blask narastał tak szybko, że zanim się zastanowiłem nad istotą tego zjawiska, chmury wprost eksplodowały światłem.

Najpierw przez szczeliny pomiędzy chmurami na ziemię spadły długie, pionowe wstęgi światła, a potem powierzchnia chmur zaczęła gwałtownie maleć, coraz liczniejsze zaś snopy blasku poczęły zlewać się w jedną, potężną ścianę. Tam, gdzie światło dosięgło już armii Satanaela, oślepienie demony porzucały broń, padając na kolana i osłaniając się przed nim w panice. Po chwili nie było już chmur, tylko nieprzebrane przestrzenie wypełnione światłem. Światłem Serafina. Dopiero teraz poczułem, jak spływa na mnie moc. Nie była to jednak zwyczajna moc, jakiej doświadczałem dotychczas. Miałem wrażenie, że kolejnym skinieniem jestem w stanie zmienić w popiół cały świat, po czym następnym gestem wykreować na nim raj pełen życia. Wraz ze światłem, nad ziemię spłynęły istoty, których nie widziałem dotąd. Ledwie mogłem patrzeć na nie bez mrużenia oczu. Były ich setki, tysiące; przelatowały ponad moją głową, kierując się w stronę armii Satanaela.

- Oto Zastępy. Prowadź je, exousiai - odległy, choć donośny głos przeniknął mnie do szpiku kości. Zrozumiałem, że to Serafin. - Poprowadź anioły sprawiedliwości.

- Tak, panie! - uniosłem ramiona i wtedy dostrzegłem, że i ja, niczym pancerzem, cały pokryty jestem oślepiającym blaskiem. Takim samym jak przelatujące obok na wyciągnięcie dłoni anioły. Poderwałem się do lotu, potem uleciałem wysoko, otoczony świetlistymi istotami.

Uderzyliśmy bez wahania. Demony nie potrafiły się nawet obronić. W kilka chwil zdecydowały się losy bitwy, kiedy czoło Legionów złamało szyki, uciekając. Zapanował

niesamowity chaos, gdy spanikowana masa mieszała się z utrzymującymi jeszcze pozory porządku oddziałami. Krążyłem ponad nimi, czując zbiorową świadomość aniołów. Nasze umysły scalały się w jedno i wspólnie decydowaliśmy o kolejnych krokach. Jednak to moje doświadczenie było dla nich decydujące.

Anioły nie walczyły w znany mi sposób. One przenikały, przelatowały przez ciała demonów jak duchy, w jednej chwili odbierając im życie. Nie było sposobu, aby zasłonić się przed nimi lub zatrzymać je w locie.

To była chyba najkrótsza walka, jakiej byłem świadkiem. Najkrótsza i najdziwniejsza.

Kolejne fale demonów padały niemal równocześnie, gdy uderzał w nie przyływ istot światła. Jakby ktoś szybkimi cięciami gigantycznego miecza wycinał sobie drogę na całej szerokości Legionów.

Wypatrywałem książąt. Jednak nie zobaczyłem żadnego z nich. Satanael musiał

zdawać sobie sprawę z tego, co zaszło i kosztem utraty armii odwołał ich wszystkich. Musieli być dla niego najcenniejsi, skoro nie zdecydował się poświęcić również ich.

Kiedy ostatnie, ledwie żywe z przerażenia demony skryły się w zagłębieniach ziemi, anioły uniosły się do góry, zaprzestając walki.

- Otwieram ci drogę do Satanaela - to był ten sam potężny głos.

Purpurowofioletowe ostrze światła z przenikającym wszystko, wysokim, wibrującym dźwiękiem uderzyło w ziemię. Rozległ się huk pękających skał, a drgania ziemi powaliły większość wysokich, przypominających iglice skał. Rozdzierający grzmot poprzedził

otwarcie się szerokiej przepaści, na dnie której zobaczyłem dziwne zarysy czegoś, co z pewnością nie było dziełem podobnych mi istot. Zobaczyłem przedsiónek Otchłani.

Widziałem tylko widmowy zarys dna, bo szczelinę wypełniał pył i drobne, odrywające się co chwilę od ścian, odłamki skał.

Zastępy odeszły, a światło zgasło w jednej chwili. Niebo znów było błękitne. Teraz wszystko zależało już tylko ode mnie. Nie wiem dlaczego, może było to przeczucie, ale zdawałem sobie sprawę z tego, że z Satanaelem muszę zmierzyć się bez pomocy Serafina.

Istniał po temu jakiś nieznan mi powód. Byłem teraz zupełnie sam ponad ziejącą podę mną przepastną jamą. Powoli obniżyłem lot, a potem dotknąłem stopami ziemi, tuż przy rozpadlinie. Myślami przywołałem Ethernę.

Nie czekałem zbyt długo, gdy pojawiła się ona oraz biały smok, niosący na grzbiecie Julitę, Piotra oraz oba sukkuby. Wzbiłem się z powrotem, dając im znak, aby podążali za mną, potem zwinąłem skrzydła i runąłem w dół, między dwie skalne ściany szczeliny.

Widziałem coraz wyraźniej to, co zaścielało jej dno. Wykonałem kilka szybkich uników, aby nie wpaść na ostre jak pazury skalne półki, następnie zaś wyhamowałem energicznymi zamachami skrzydeł. To coś było wielkie i poruszało się powoli. Spojrzałem w górę, na piętrzące się teraz nade mną gigantyczne urwiska. Smok i Ethernia byli jeszcze bardzo wysoko. Widziałem ich jako dwa świetliste punkty.

Powoli zbliżyłem się do owego czegoś. Wyglądało jak grzbiet wielkiego, zakopanego w ziemi lewiatana. Dziwaczna, zrosnięta w chaotyczny sposób pajęczyna szkieletu przytrzymywała tętniącą i falującą żywą tkankę. Jakby mięso. Kiedy dotknąłem jej końcem miecza, osobliwy skurcz, niczym fala, wykrzywił cały grzbiet. Do moich uszu dotarł

zduszony, dobiegający ze spodu jęk.

Oddaliłem się, czekając, aż nadejdą moi sojusznicy.

Świst skrzydeł lądującej tuż przy mnie Etherni spowodował, że odczułem spokój.

Julita, Piotr i sukkuby pojawili się chwilę później. Po minach Dekarabii i Gardamon poznałem, że wiedzą, czym jest falująca i przelewająca się obrzydliwie masa. Obawiały się jednak reakcji Julity i milczały. Nie zapytałem ich o to. Postanowiłem działać.

- Stańcie jak najdalej - powiedziałem, a potem podszedłem do tego czegoś. Przez chwilę przyglądałem się żyłom i ścięgnom, a potem podniosłem miecz i ciąłem z półobrotu.

Rana rozchyliła się natychmiast, ziejąc pustką, z jej wnętrza wydobył się przeraźliwy, zwierzęcy pisk. Odruchowo cofnąłem się, z gotowym na kolejny cios orężem.

Seria obrzydliwych drgawek szarpnęła całą powierzchnią, brzegi rozcięcia wybrzuszyły się i zaczęły wibrować. Wyglądało tak, jakbym rozciął gigantyczny worek, z którego zaczyna uchodzić powietrze. Bardzo powoli zajrzałem do wnętrza dziury, wtedy w jednej chwili rozległ się suchy trzask pękających kości i rozdarcie poszerzyło się, zmieniając w wielką, wypełnioną pustką paszczę. W jej wnętrzu nieoczekiwanie pojawił się gwałtowny ruch. Zanim uświadomiłem sobie jego źródło, brzegi rozdarcia wywinęły się, ukazując swą wewnętrzną stronę. Z kolejnym trzaskiem pękającego szkieletu, olbrzymi wywinęty płat oddzielił się od powierzchni i uniósł do góry niczym monstrualny słup. Wtedy właśnie wszyscy zobaczyli spodnią stronę. Jakby ktoś rozszarpał ludzkie ciała, a potem ich członki pozrastały się w makabryczne, jednolite ciało pełne rąk, nóg, torsów i głów, połączonych w jeden organizm.

Julita zaczęła krzyczeć, przerażona, a pobladły Piotr nie potrafił oderwać spojrzenia od rozgrywającej się przed jego oczami sceny. Ramiona, zawieszane w przestrzeni, wykonywały rozpaczliwe, gwałtowne ruchy, na próżno starając się znaleźć jakiś punkt zaczepienia. Głowy wykręcały się na szyjach, patrząc na nas przerażająco przytomnym wzrokiem. Niektóre z nich wykonywały tylko ruchy ustami, inne, posiadające jeszcze resztki gardeł, zawodziły przeraźliwie. Ruchome kłębowisko ciał przywodziło na myśl gniazdo wijących się żmij.

- Dobry Boże! Co to jest?! - wykrzyknął Piotr.

- To przedsionek Otchłani - powiedziała cicho Dekarabia.

- Jak mogłaś służyć tym mocom, pomioście szatana! - W spojrzeniu Piotra zapłonęła nienawiść.

- Ja tylko zajmowałam się ogniem...

- Diablice! Przeklinam was!

- Zamilcz, Piotrze! - rzekłem ostro. - To nie miejsce i pora na takie kłótnie, teraz kiedy jesteśmy zdani na siebie! Dekarabia i Gardamon pomogły nam jak nikt inny dotąd!

- Wybacz, Passachielu. - Piotr z trudem opanował wzburzenie.

- Przepróż Gardamon i Dekarabię.

Widziałem, jak z wahaniem przesyła im niechętny, milczący ukłon.

- Znacie dalszą drogę? - spytałem Dekarabię.

- Tak, panie. Przesionek to miejsce przywołań.

- Prowadźcie - przywołałem je ruchem dłoni.

Podeszły do mnie, a potem, pomagając sobie nawzajem, wsunęły się w głąb nieprzyjemnego,

ciemnego wnętrza wypełnionego zawodzeniem ludzkich głów. Widziałem, z jak wielkim obrzydzeniem Julita i Piotr idą w ich ślady. Tylko Ethernia starała się nic po sobie nie pokazywać.

Kiedy i ja znalazłem się w cuchnącym, choć szerokim korytarzu, mogłem w pełni ogarnąć jego budowę. Sklepienie, wsparte na filarach z poprzerastanych ścięgien i kości stanowiła wijąca się masa ludzkich głów i członków. Na ścianach było ich znacznie mniej, a pod nogami mieliśmy tylko ciepłą, ludzką skórę, której żywy kobierzec słał się, układając w nierówne wnęki i zagłębienia. Niektóre z dłoni trzymały pochodnie, inne kadzidła, z których wydobywała się odurzająca, intensywna woń.

Ruszyliśmy w głąb przepastnych korytarzy. Nie mogłem znieść spojrzeń tysięcy śledzących nas oczu. Dziwna architektura krętych, opadających i wznoszących się spiralnie korytarzy wywoływała u mnie nieodparte skojarzenia z magiczną wieżą sułtana. Na pewno, kiedy tutaj się znalazł, postanowił odtworzyć w swej ludzkiej skali choć część tego okropnego miejsca.

Im dalej odchodziliśmy od przedsionka, tym uważniej przyglądałem się sukkubom.

Ich zachowanie nie zmieniło się, jednak idąca tuż przy mnie Dekarabia zdawała się coraz silniej pobudzona. Na jej twarzy pojawiły się wypieki, a oddech stał się krótki i urywany.

Kiedy przez nieuwagę skrzyżowała ze mną spojrzenia, natychmiast chciała uciec wzrokiem.

Ja jednak odkryłem wszystko w tym właśnie krótkim momencie, kiedy patrzyły na mnie jej płonące pożądaniem i zwierzęcą niemal ekstazą źrenice. Zrozumiałem odrażającą prawdę - to miejsce, te zrośnięte ludzkie ciała jęczały nie z powodu kaźni. One odczuwały to samo, co było celem istot takich jak Dekarabia. Odczuwały wszechogarniającą wspólną i współdzieloną cielesną rozkosz. I właśnie ona tak silnie działała na sukkuby. Ona przyciągała je na służbę Satanaela.

Nikt nie zatrzymał nas ani też nikt nie zaatakował, choć zbliżaliśmy się do samego serca żywej Otchłani. Wszystko tutaj; każdy łuk, wnęka czy misa z wodą stworzone były z tej żywej mieszanki ludzkiego ciała. Mijaliśmy tak niewiarygodne wytwory skalającej ciała siły, że nie miałem pojęcia, jakie było ich przeznaczenie. Łańcuchy ze splecionych ramion, głowy obracające się powoli na kole z puszczeli - wszystko było straszne i niezrozumiałe.

Najciężej znosiła ten widok półprzytomna z przerażenia Julita. Kilka razy musieliśmy przystanąć, a ja i Piotr staraliśmy się uspokoić ją, dodać trochę odwagi, choć i my czuliśmy się coraz bardziej nieswojo.

Nie wiem, ile czasu zajęło nam dotarcie do miejsca, w którym przed naszymi oczami rozpostarł się zupełnie nowy widok: olbrzymia sala, a na jej środku płonący w kręgu, sięgający niemal sklepienia, ogień. Dekarabia nie musiała nic mówić. Wiedziałem, że jesteśmy na miejscu. To był dziwny ogień. Nie czułem jego ciepła. Pośród płomieni dostrzegłem księżęta Satanaela. Stali w kręgu, milcząc. Zatrzymaliśmy się tuż przy wejściu.

Na środku kręgu, wśród ognia, wznosiła się wysoka piramida, na szczycie której pysznił się czarny tron, pełen poruszających się sygili mocy.

Od razu zrozumiałem, że księżęta stanowili już ostatnią linię obrony Satanaela.

Ostatnią, choć nie słabą. Kiedy wzniosłem oczy do góry, ku miejscu, w którym zasiadał

Satanael, oniemiałem. Nie znałem jego wyglądu, ale nie spodziewałem się tego, co ujrzałem.

Widziałem prawie naga, wspaniałą kobietę o smagłym ciele. Strzępki purpurowej materii zdobionej złotem ledwie ją okrywały. W jej uśmiechu i sposobie, w jaki na nas patrzyła, nie umiałem doszukać się wrogości. Gdy była już pewna, że wszyscy na nią patrzymy, wstała, a potem ujęła w dłoń berło zwieńczone czaszką.

- Witajcie, skrzydlaci. - Spojrzała na mnie. - Witaj, Tomaszu. O, przepraszam, Quaddishim Passachielu. Jesteś jeszcze bardziej imponującym exousiai, niż myślałam.

- Kim jesteś? - spytałem.

- Kiedyś, podobnie jak ty, byłam człowiekiem, zanim nie poznałam mojego pana Satanaela. Mam na imię Lilith. - Zaczęła powoli schodzić w naszą stronę. - Jestem dużo starsza, niż mógłbyś sobie wyobrazić, a jednak spójrz... - W wymownym geście rozłożyła ramiona. - Moc mojego pana daje mi wieczną młodość. W gruncie rzeczy dzieli nas dużo mniej, niż byłbyś skłonny przyznać.

Kiedy weszła w ogień, widziałem, jak płomienie otoczyły ją, nie czyniąc żadnej krzywdy. Całe ciało kobiety otoczone ogniem wydawało się mieć barwę złota. Księżęta rozstąpili się, przepuszczając ją z szacunkiem.

- Gdzie ukrył się twój pan? - spytałem, rozglądając się wokół.

- Nigdzie. Nawet nie wiesz, skrzydlaty, jak jest blisko ciebie. - Roześmiała się dźwięcznie.

Kiedy wyszła z kręgu ognia, płomienie jak welon popłynęły za nią przez pustą przestrzeń. Przyciągane tajemniczą siłą, lizały swymi mackami jej ciało. Dopiero kiedy odeszła wystarczająco daleko, płomienie uspokoiły się, powracając do kręgu.

- Moje małe służki, nasz pan gotów jest wybaczyć wam, jeśli powrócicie do niego ze skruchą. - Uśmiechnęła się do sukkubów.

- Ona cię zwodzi - usłyszałem myśl Etherni.

- Wiem. Bądź spokojna - odpowiedziałem w ten sam sposób.

- Na pewno to, co oglądasz, wydaje ci się odrażające. - Lilith zatoczyła szerokim ruchem ramion okrąg. - Mylisz się jednak. Mój pan dał tym ludziom to, czego oczekiwali.

Wieczną rozkosz. Czyż nie za tym tęsknili przez całe życie? Zadowalali się tylko iskrami szczęścia, krótkimi chwilami tego, co obecnie stało się ich powszechnością, gdy zjednoczyli się z panem. To, co widzisz, jest nieuniknioną ceną, którą musieli zapłacić. Wierz mi jednak, jeśli którykolwiek z nich musiałby na nowo podejmować decyzję, nie zmieniliby jej. Cóż możecie im zaoferować wy,

Elohimy? - Z pogardą popatrzyła na Ethernę. - Tylko mgliste obietnice powtórnych narodzin. Mój pan daje im szczęście na wieczność. Szczęście i wspólną rozkosz.

- Odbierając im wolę i czyniąc z nich bezwolne zwierzęta?

- Po co komukolwiek wola, jeśli pozbywając się jej, może uwolnić się od wszystkich trosk życia doczesnego?

- To obrzydliwe! Obrzydliwe! - Julita chwyciła mnie mocno za przedramię. -

Wyprowadź nas stąd, błagam!

- Nie bój się, mała samiczko, będziesz perłą kolekcji mojego pana. Damy ci do towarzystwa tego wojownika spod znaku krwawego krzyża. - Lilith w złośliwym uśmiechu wyszczerzyła drobne zęby.

- Skąd przyszedł ci do głowy pomysł, że dam się namówić na zdradę wszystkiego, w co wierzę? - spytałem.

- Bo oboje byliśmy kiedyś ludźmi i oboje wiemy, jak bolesnym doświadczeniem jest pędzić ludzki żywot. - Kusiła mnie każdym ruchem i uśmiechem. - Twoja zielonooka towarzyszka nie wie najważniejszej rzeczy. Każdy exousiai jest powoływany przez Serafina, ale kiedy wykona swoje zadanie i nie jest już potrzebny... - Znów uśmiechnęła się w cyniczny sposób. - Jak wy to mówicie? Oddaje swoją moc...

Spojrzałem na Ethernę. Wyglądała na zaskoczoną, ale po jej minie poznałem, że Lilith może mieć rację.

- Kiedy już przestaniesz emanować potęgą Serafina, staniesz się kimś takim jak Archaj, z tą jednak różnicą, że Archaje nie są tak - przez moment szukała właściwego słowa -

nie są tak prymitywne dla dumnych Elohimów. Będiesz pariasem wśród skrzydlatych, Passachielu. Kimś innym. Wiesz dobrze, że Elohimy brzydzą się przemocą. Będą pamiętać nie to, że zostałeś ich wybawcą, tylko to, że jesteś zdolny do przemocy i mordu. Tak Passachielu, jesteś bardziej bliski nam niż im.

Płomienie w kręgu falowały, a potem uniosły się nieco i zobaczyłem w nich obraz. Z

początku niewyraźny, ale kiedy nabrał ostrości, miałem wrażenie, że istnieje naprawdę, oddzielony od nas tylko kurtyną płomieni. Zobaczyłem siebie na tronie wśród książąt Satanaela. Moje skrzydła pokrywał ogień, a twarz była zupełnie nieruchoma. Trzymałem wsparty sztychem o podstawę tronu czarny miecz z płomienistym ostrzem. U moich stóp, wpatrzona we mnie z oddaniem leżała Lilith. Rozpoznawałem się wyraźnie, jednak było we mnie coś innego, obcego.

- Może nie uwierzysz, Passachielu, ale to jest twoje przeznaczenie. Powinieneś być jednym z ognistych aniołów zemsty. Do tego naprawdę zostałeś powołany. Wierz mi, jesteśmy dla siebie stworzeni, bo jesteśmy tacy sami. To właśnie chce ofiarować ci mój pan.

Twoje prawdziwe przeznaczenie. I mnie.

Jej uśmiech wydał mi się łudząco podobny do uśmiechu Julity, a równocześnie była w nim cała wyniosłość Etherni. Nie umiałem oderwać wzroku od jej twarzy. Wydawała mi się tak piękna. Miałem wrażenie, że znaliśmy się kiedyś dawno temu, a teraz spotkaliśmy się po latach.

Ktoś wciąż szarpał moje ramię, ale nie chciałem się rozpraszać. Zapraǳiałem chłonać ten nastrój i owo dziwne uczucie.

- Będziesz miał władzę, której będziesz panem i nikt ci jej nie odbierze. Pragniesz tego. Zawsze pragnąłeś. Pamiętasz, kiedy twój brat przejął tron? Czy nie czułeś wtedy uczucia zawodu? Czy twoje pierwsze dni pobytu w zakonie rycerskim nie były wypełnione goryczą? Pragnąłeś władzy tak samo jak on i z pewnością byłbyś lepszym następcą niż on. -

Dłonie Lilith kojąco masowały moje ramiona z prawie matczyną czułością, a jednak ich dotyk rozpałał we mnie prawdziwie męskie pragnienia. - Mój pan ofiaruje ci więcej, dużo więcej. Niewyobrażalną władzę, przy której los twojego brata będzie śmiesznym i mało istotnym żywotem prostaka. Jedną swoją myślą będziesz mógł ofiarować mu lub odebrać wszystko - szeptała mi do ucha. - Będziesz mógł wyrównać krzywdy, których doznałeś jako człowiek. Będziesz Aniołem Zemsty. Władcą Legionów. To ty będziesz sprawiedliwością i to ty będziesz ustalał jej reguły. Tylko twoje sumienie stanie się wyznacznikiem prawdy.

Chyba masz do siebie zaufanie, Passachielu? Przecież ufasz swojemu poczuciu sprawiedliwości? Mój pan nie będzie cię ograniczał. Będziesz czynił wszystko, co uznasz za słuszne jako Anioł Zemsty.

Gwałtowne szarpanie za ramię nie pozwoliło mi skupić się na słowach Lilith.

Spojrzałem tam. Zobaczyłem uczepioną mojego ramienia jasnowłosą dziewczynę. Znałem ją, ale nie przypominałem sobie jej imienia. Wyglądała brzydko, kiedy płakała. Odtrąciłem ją zdecydowanym ruchem, nie patrząc nawet, jak upada na ziemię.

- Masz rację, Passachielu - słowa Lilith spływały słodką rzeką do mojego umysłu. -

Wszyscy wciąż czegoś od ciebie chcą. Najwyższy czas, aby sami zadbali o siebie. Zaczynij żyć tak, jak powinien żyć ktoś taki jak ty. Bez ograniczających twoją wolność zobowiązań i skrupułów. Pamiętaj, Passachielu - komuś, kto wycierpiał tyle co ty, należy się całkowita wolność. Mój pan ci ją daje. Ja będę twoją służką i wierz mi, spełnię wszystkie twoje pragnienia w takim wymiarze, o jakim nie może zamarzyć żaden mężczyzna na świecie.

Powoli podeszliśmy do ognia. Kiedy wyciągnąłem dłonie, płomienie muskały lekko moje palce. Było to przyjemne, choć przynoszące ból uczucie. Lilith stała tuż obok mnie.

Nagle zapraǳiałem jej w sposób, o jaki siebie nawet nie podejrzewałem. Chciałem wziąć ją i równocześnie sprawiać jej ból. Poniżyć i tym samym w niewyjaśniony sposób wywyżżyć.

Płomienie rzucały na nas dzikie, migotliwe światło. Ona zdawała się wyczuwać moje pragnienia. Podeszła bardzo blisko, a potem zarzuciła mi ramiona na szyję. Widziałem tylko jej uległe,

wpatrzony we mnie oczy. Przyciągnęła mnie silnie. Poczułem na swym biodrze jej gładkie udo.

- Nie powstrzymuj swych naturalnych instynktów. Marzę o tym, abyśmy spełnili ten rytuał razem. Jestem twoją niewolnicą, zrób ze mną, co chcesz - szeptała.

Chwyciłem ją mocno. Poczułem na swoich wargach jej parzące usta. W umyśle wciąż słyszałem jakiś krzyk, ale nie zwracałem nań uwagi.

- Jest jeszcze tylko jedna rzecz, którą musisz zrobić, aby spełniło się nasze pragnienie.

- Lilith odchyliła się nieco.

- Mów - niecierpliwiłem się.

- To będzie twój chrzest, zwykła formalność. - Spojrzała w bok, a ja powiodłem wzrokiem za nią. - Ta skrzydlata... musisz oddać ją świętym płomieniom.

Obraz przed moimi oczami krzywił się i wybrzuszał. Ledwie widziałem stojącą w dali od ognia grupkę, otoczoną przez księżęta Satanaela. Moje zmysły zdawały się mnie zawodzić. Kiedy spojrzałem w ogień, krąg był pusty.

- No, proszę, mój władco. - Dotknęła palcem moich warg. - Zrób to dla nas... uwolnij się od nich. Pamiętasz? Musisz być wolny. Oni są dla ciebie nikim.

Wciąż czułem słodycz i tę bolesną ekstazę, jaką mi ofiarowywała. Patrząc na tę dygocącą ze strachu zgraję, nie czułem nic poza niechęcią. Ich obecność oddalała ode mnie chwilę połączenia z Lilith. Musiałem temu zaradzić.

- Pozbądź się skrzydlatej... - słowa Lilith wskazywały mi prostą drogę.

Wypuściłem ją z ramion.

Czując, że się zataczam, ciężkim krokiem podszedłem do nich. Księżęta odsunęli się na bok. Brutalnie złapałem szczupłe ramiona Elohimy i zacząłem ciągnąć ją w stronę ognia.

Wrywała się z całych sił, ale byłem dużo silniejszy. Kiedy upadła na ziemię, chwyciłem ją za skrzydła, potem zaś powlokłem po ziemi. Nie rozumiałem ani jej słów, ani głosów w mojej głowie.

To był lekki błysk, który jak przeszywająca strzała, dosięgnął mnie w ułamku chwili.

Zobaczyłem go kątem oka i jakaś mroczna zasłona opadła z moich zmysłów. Odzyskując równowagę, stanąłem na szeroko rozstawionych nogach. Rozejrzałem się dookoła. Julita klęczała, starając się podnieść miecz Serafina. Właśnie z niego pochodził ów błysk. Wiedza Julity na temat magii była na tyle duża, że dotknięcie Nienazwanego nie zabiło jej, jednak poparzyło dłonie dziewczyny i oślepiło ją blaskiem. Klęczała nad nim, przyciskając do piersi zaciśnięte dłonie. Trzeźwość umysłu powróciła do mnie natychmiast. Wypuściłem Ethernę, a potem rzuciłem się w stronę miecza. Kiedy chwyciłem pewnie jego rękojeść, Lilith warknęła wściekle kilka niezrozumiałych słów.

Wyprostowałem się, unosząc oręż do ciosu, ale Lilith mnie przechytrzyła. Książęta rozpięzchli się, uciekając, a ona chwyciła słaniającą się na nogach Ethernę i pchnęła ją wprost w ogień. Okropny okrzyk bólu oraz przerażenia rozdarł podziemia. Płomienie natychmiast dosięgły ciała Elohimy. Jej suknia stanęła w ogniu, a pióra na skrzydłach zwinęły się niczym odlane z wosku i zapłonęły błękitnym ogniem.

- Nie! - wrzasnąłem bezsilnie, wyprowadzając cięcie z półobrotu. Lilith rzuciła się biegiem w głąb Otchłani. Jej okrutny śmiech oddalał się wraz z nią. Ja chybiłem, jednak jakiś przedmiot, wirując ze świstem, przemknął tuż obok mojej głowy. Zanim pojąłem, co się dzieje, purba z głuchym odgłosem wbiła się w środek pleców Lilith.

Lilith umilkła natychmiast, osuwając się na ziemię. Odwróciłem głowę. Obok Julity stał Piotr i to z jego ręki zginęła najwierniejsza powiernica Satanaela. Nie miałem czasu na słowa. Rzuciłem się w stronę ognia. Ethernia upadła, a jej ciało płonęło. Wiła się z bólu. Jej gładka skóra zmieniła się w krwawą, pękającą skorupę. Kiedy chciałem rzucić się na pomoc, ogień owionął mnie, odrzucając od siebie śmiertelnym, gorącym tchnieniem. Moje dłonie poddały się jego mocy. Czułem potworny ból i zapach przypalonego ciała. Ethernia przestała się ruszać.

Dekarabia i Gardamon podbiegły do ognia, a potem zaczęły odprawiać dziwny rytuał.

Przypominał tańce derwiszów, które oglądałem na dworze sułtana. Płomienie zawirowały, mieszając się ze sobą, potem zaś niczym pęk rozchyliły się szeroko na boki. Leżąca w ich centrum Elohima znalazła się teraz poza obszarem ich działania.

- Pomóżcie nam! - Dekarabia krzyknęła w stronę Julity i Piotra. - Stańcie po przeciwnych stronach!

Julita zebrała wszystkie siły i, podtrzymywana przez Piotra, powłócząc nogami, podeszła do kręgu. Kiedy oboje zajęli wskazane im przez sukkuba miejsca, ogień znów zmienił kształt, wysuwając macki w ich stronę. Teraz przypominał krzyż, którego ramiona tworzyły przyciągane przez moich towarzyszy płomienie. Sukkuby i ludzie stali wystarczająco daleko, aby żar ich nie dosięgnął, na tyle jednak blisko, by moc, za pomocą której przyciągali do siebie święty ogień Satanaela, podtrzymała istnienie owego krzyża, w centrum którego leżała nieprzytomna, spalona Elohima. Przez jej ciało przebiegały bolesne skurcze.

Bez zastanowienia, wykorzystując szczelinę w zwartej ścianie ognia, przedostałem się do niej. Najdelikatniej jak potrafiłem, ująłem ją i podniosłem do góry w ramionach.

Kiedy wyszedłem z kręgu, za moimi plecami coś eksplodowało. Podmuch rozrzucił

nas po pomieszczeniu, a potem wszystko wokół zaczęło kołysać się i drzeć. Ludzkie członki, niczym kiście winogron uwieszone na ścianach trzęsły się w jednym rytmie. Za moimi plecami rozległ się wściekły okrzyk gniewu, od którego powietrze przykryło nas kolejną falą podmuchu. Kiedy się odwróciłem, zasłaniając sobą Ethernę, nade mną, w kręgu ognia stał

Satanael.

Jego błoniaste, czarne skrzydła sięgały niemal szczytu sali. Potężne ciało pokrywał

pancerz zrosniętych ze sobą kości i ścięgien, jego twarz przypominała nagą czaszkę, w jej oczodołach jarzyły się nienawistne oczy. Zacisnął z wściekłością dłoń, aż rozległ się suchy trzask, a potem wymierzył we mnie szponiasty palec.

- Czy za mało chciałem ci dać, głupcze!? - ryknął. - Czy oni dali ci więcej?!

Wyprężył potężne ciało, a z jego gardła wydobył się trudny do opisanego, przerażająco dziki ryk. Po chwili jednak uspokoił się, a jego głos przeszedł w syk.

- Mogłeś mieć władzę, uwielbienie Lilith, mogłeś być mi równy. - Wykonał krok w moją stronę. - A teraz zaprzepaściłeś wszystko, głupcze. Twoja głupota będzie przyczyną twojej przegranej.

Jego potężny cios cisnął mną o ścianę.

- Nie ruszajcie się, ludzkie robaki. - Odwrócił się do Piotra i Julity. - Mogę zabić was jednym skinieniem palca.

Piotr zamierzył się na niego mieczem. Podbiegł kilka kroków, a potem ciął z całej siły, wykorzystując siłę swojego ciała. Miecz zadźwięczał metalicznie i odbił się od kolana Satanaela, nie czyniąc mu najmniejszej nawet krzywdy. Dwa następne, nieszkodliwe ciosy Satanael przyjął z obojętnością, a potem jednym ruchem złapał Piotra za gardło i uniósł na wysokość swojej twarzy.

- Mówiłem ci, robaku! - Roześmiał się, zaciskając rękę. - Nie mam teraz na ciebie czasu. Poczekaj na swoją kolej.

Piotr, ledwie żywy, szarpał się, wisząc wysoko nad ziemią. Był teraz bezsilny, ale rozproszył uwagę Satanaela, co pozwoliło mi przypuścić szybki atak. Poderwałem się z ziemi, a potem jednym ruchem wyprowadziłem cios z półobrotu w górę. Miecz błysnął

oślepiającym światłem. Nie poczułem żadnego oporu, gdy miękko zagłębił się w bok Satanaela, przecinając go na wysokości biodra.

Ryk zaskoczenia i niedowierzania uderzył w nasze zmysły. Satanael upadł na kolana, a uwolniony Piotr odczołgał się w stronę stłoczonej w panice grupy.

- Myślisz, że cokolwiek zmienisz? - wysapał Satanael po chwili ciszy. Klęczał, podpierając się prawym ramieniem. Podniósł na mnie rozwścieczony wzrok. - Spójrz, jaka jest potęga ognia!

Ogień w kręgu wystrzelił w górę, a potem długimi, wijącymi się leniwie pasmami popłynął przez przestrzeń w stronę Satanaela. Kiedy zaczął omywać jego bok, rana pełna jego posoki zablizniła się i znikła. Dopiero teraz zauważyłem, że również do ciała Lilith płynął ogień. Na pewno jej pan starał się w ten sposób przywrócić kobiecie życie.

Zrozumiałem, dlaczego moim prawdziwym zadaniem jest nie walka z Satanaelem, tylko odebranie mu ognia. To od niego wszystko się zaczęło i to on może wszystko zakończyć.

Satanael jednak równie dobrze jak ja wiedział o tym. Potrzebowałem jakiegoś fortelu, sztuczki, aby odciągnąć go od kręgu.

Satanael podniósł się i stanął naprzeciw mnie. W każdym, najdrobniejszym jego ruchu widać było pewność siebie i bijącą od niego grozę.

- Co teraz, skrzydlaty? - szydził ze mnie. - Pomoc Serafina tutaj nie sięga.

Stałem naprzeciw niego. On nie mógł dosięgnąć mnie, dopóki w moich dłoniach był

Nienazwany, ale ja również nie mogłem nic zrobić jemu.

Kątem oka dostrzegłem, że zniekształcona potwornie przez ogień Ethernia poruszyła się, a potem podniosła.

- Mrok... jest we mnie mrok - usłyszałem jej słabe myśli. Kiedy otworzyła oczy i spojrzałem wprost w jej twarz, która zmieniła się w oblicze jednego z książąt, zrozumiałem, że Lilith, wrzucając ją w krąg, dokonała na niej przemiany. Jednak nie dobiegła ona do końca, o czym przekonały mnie następne myśli Etherni.

- Dla mnie jest za późno, Passachielu. Wykorzystaj mądrze szansę, jaką ci dam.

Następnej już nie będzie.

- Panie. Jestem twoja! - odezwała się, a jej głos zmienił się teraz w świszczący, przejmujący głos demona. - Dokończ na mnie rytuał przemiany. Panie, błogosławię ból i twoją drogę! Nienawiść oczyszcza umysł! Chcę należeć do ciebie!

Satanael odwrócił głowę w jej stronę, a potem roześmiał się z triumfem.

- Nie mógłbym odmówić twojej prośbie, moja piękna - powiedział. Z wyraźnym zadowoleniem rozłożył skrzydła i rozchylił ramiona.

- Niech dopełni się krąg przemian, a klęska Legionów zmieni się w wielki triumf mocy ognia!

- Wejź do kręgu... za mną - usłyszałem myśl Etherni.

Satanael podszedł do sukkubów, a potem pochylił się nad nimi. Przerażone, skuliły się, przywierając do siebie, jakby to dawało im większą szansę na ratunek.

- Wiem o waszych winach wobec mnie! - Podniósł je i jak kukiełkami cisnął nimi w stronę ognia. - Zaczniście taniec, jeśli nie chcecie stać się ofiarami w rytuale okiełznania ognia! - ryknął donośnie.

Dekarabia i Gardamon natychmiast stanęły naprzeciw sobie i rozpoczęły taniec.

Ogień, zrazu leniwie, a potem coraz wyraźniej poddawał się ich woli i naśladował ich taneczne ruchy.

Satanael zbliżył się do Etherni i niemal czule dotknął jej ramion. Kiedy drgnęła w bolesnym skurczu, cofnął się nieco.

- To już nie potrwa długo - rzekł uspokajająco. - Uwolnię cię od tego uczucia, sprawię, że ból stanie się dla ciebie rozkoszą.

Poprowadził ją w stronę kręgu ognia.

- Pamiętaj... wejdź do kręgu - to były ostatnie słabe myśli Etherni.

Ogień rozstąpił się, a kiedy Satanael i Ethernia stanęli pośrodku kręgu, otoczył ich i podniósł się do góry. Julita i Piotr, zupełnie bezwolni, patrzyli, nie rozumiejąc nawet, czego są świadkami. Satanael w ekstatycznym uniesieniu wypowiadał słowa w języku mroku, a ich rytm splatał się z rytmem nadawanym falującemu ogniu przez taniec sukubów. Ethernia uniosła się lekko nad ziemię, po czym owinięta wirującą woalką ognia, zaczęła obracać się zgodnie z jej kierunkiem. Jej ciało błyszczało czerwienią.

- Przygotujcie się na mój sygnał - przesłałem szybką myśl do Julity i Piotra. Oboje spojrzeli na mnie zaskoczeni. - Na mój sygnał podbiegniecie do ognia i zrobicie to samo, co poprzednio. Musicie dołączyć do tańca Dekarabii i Gardamon - to była kolejna skierowana do nich myśl. Piotr poruszył twierdząco głową na znak, że rozumie, a potem bardzo szybko powiedział coś do Julity. Ona również przesłała mi ledwie widoczny znak.

Satanael, zajęty rytuałem, przestał zwracać na nas uwagę, całą swą moc kierując w stronę Etherni. To był właśnie ten moment.

„Teraz! - pomyślałem. - Teraz albo nigdy!”.

Piotr i Julita poderwali się z ziemi, podbiegając do kręgu. Płomienie buchnęły w ich kierunku. Julita zasłoniła oczy przedramieniem, a jej poderwane podmuchem włosy, rozsypały się wokół głowy jak złota kaskada. Pochyliła się nieco do przodu, osłaniając przed gorącym, ale Gardamon i Dekarabia, które w lot pojęły nasze zamiary, zmieniły nieco swój taniec i płomienie rozstąpiły się, pozwalając im stanąć we właściwym miejscu. I to ściągnęło uwagę Satanaela. Zanim jednak zdołał zorientować się w sytuacji, odbiłem się mocno od podłoża i z silnym zamachem skrzydeł wylądowałem w kręgu, tuż obok niego. Julita i Piotr, naśladowując ruchy Dekarabii i Gardamon, zmienili krąg w krzyż.

- Przestańcie, nakazuję wam przestać! - przeciągły ryk Satanaela skierowany był do sukubów. - Oddajcie mi z powrotem ogień!

Przestraszona Gardamon, poddając się jego woli, opóźniła nieco ruchy, a uwolnione częściowo płomienie z podwójną siłą uderzyły w stronę Piotra i Julity, wykrzywając się w niedomknięty trójkąt. Ja też całym ciałem poczułem zmianę mocy i nagłe uderzenie żaru.

- Przestań! Nie słyszysz, co do ciebie mówię?! - Satanael zamierzył się na Dekarabię, ale podniosłem miecz i zablokowałem uderzenie jego szponów. Ryknął wściekły, jednak kolejne uderzenie zakończyło się w ten sam sposób. Cofnął się więc i jeszcze bardziej zaburzył przepływ mocy, całą

siłę ognia kierując na ludzi. Chciał ich w ten sposób spalić.

Wiedziałem, że wysiłki Dekarabii mogą nie uchronić ich przed tym.

- Gardamon, pomóż nam, proszę - przesłałem myśl.

Gardamon pod wpływem moich słów otrząsnęła się z odrętwienia. Natychmiast zaczęła pomagać Dekarabii i ludziom. Ogień znów przyjął kształt krzyża. Wiedziałem, że w tym właśnie momencie moc odpłynęła od Satanaela. Ethernia powoli opadła na ziemię.

Ogień się zmieniał. Od strony Julity i Piotra jego barwa zaczynała połyskiwać coraz jaśniejszymi odcieniami błękitu.

Wyglądało tak, jakby ludzi otoczyła błękitna aura i spływała w płomienie, powodując ich coraz silniejsze świecenie. W pewnym momencie aury Piotra i Julity spłotyły się, tworząc nad płomieniami świetlisty most. To samo stało się między Gardamon i Dekarabią, choć ich połączone aury miały kolor ciemnogrnatowy.

Ten nowy, utworzony z błękitu i granatu krzyż zaczął wchłaniać w siebie płomienie.

Moc płomieni wzmacniała aury, powodując ich coraz intensywniejsze świecenie.

- Nie, nie! - Satanael zatoczył się i, oślepiiony, padł na kolana.

Świetlisty krzyż przecinał się w punkcie, w którym stała Ethernia. Wiedziałem wyraźnie to miejsce. Miałem też świadomość, że jest to punkt, w którym gromadzi się cała moc. Musiałem zamknąć ją i ukierunkować. Istniał tylko jeden przedmiot, który mógł

zapanować nad tak wielkim nagromadzeniem energii, i miałem go w dłoniach. To miecz Serafina.

- Nie rób tego! - Satanael wyciągnął w moją stronę rękę. - Rozkazuj mi. Powiedz, co mam dla ciebie zrobić!

Wibracja i nagromadzenie mocy stawały się coraz potężniejsze. Wiedziałem, że z każdą chwilą mogą wymknąć się spod kontroli. Moc napływała już z całego otoczenia. Punkt świecił intensywnie. Jakby z powietrza wysnuwały się pojedyncze pasemka światła i spływały wprost do przyciągającego je centrum. Pasemek było wciąż więcej i więcej, aż zmieniły się w rosnącą kulę blasku. W jej wnętrzu znalazła się Ethernia, jednak ciało Elohimy przypominało mroczny cień, pustkę we wnętrzu sfery. Satanael już prawie dokonał

przemiany Etherni, a ja potrzebowałem jej mocy. Nie wiedziałem, czy sam podołam zadaniu.

Nie wiedziałem też, czy ona nie będzie chciała temu przeszkodzić.

- Passachielu... zastanów się! - dyszał Satanael.

Blask zajął już całą przestrzeń we wnętrzu kręgu, zakrzywiając ją i skręcając. Żar ognia znikł

zupełnie, a światło wypełniło Otchłań. To były ostatnie chwile na podjęcie jakiegokolwiek działania.

- Już się zastanowiłem - rzekłem. - Zastanowiłem się dawno temu, kiedy byłem jeszcze człowiekiem. Giń, przeklęty!

Podniosłem miecz, po czym starając się trzymać go jak najpewniej, sztychem w dół

opuściłem oręż w punkcie, w którym zebrała się cała moc światła. Całym sobą czułem, jak miecz wibruje pod naporem rwącego przez niego strumienia mocy.

- Głupcze, myślisz, że mnie pokonasz? Że odebranie mi ciała zmieni cokolwiek? -

Śmiech Satanaela był bardzo słaby i przerywany kaszlem. - Ja zawsze będę obecny... zawsze będę wśród ludzi... oni mnie pragną tak samo jak was... jestem im nie mniej potrzebny...

Nie zwracałem na niego uwagi. Czułem, że z każdą chwilą zaczynam tracić kontrolę nad mocą, a to mogło być niebezpieczne, zarówno dla Satanaela, jak i dla nas. Wysoki, syczący dźwięk, jaki towarzyszył temu zjawisku, zmienił się w nierównomiernie falujące dudnienie. Coraz silniejsze uderzenia szarpały całym moim ciałem. Miałem wrażenie, jakbym walczył z jakimś olbrzymem, z całych sił starającym się wyrwać z moich dłoni miecz. Nie poddawałem się, wszak czułem, że rękojeść powoli zaczyna wymykać się z mojego uścisku.

Wtedy właśnie gdzieś z boku wysunęły się dwie dłonie i objęły wraz ze mną rękojeść miecza. To była Ethernia. Nie usłyszałem żadnej jej myśli, ale wiedziałem, że ostatkiem swej woli stara się mi pomóc.

Ostrożnie opuściliśmy przeładowany mocą miecz, a potem wbiliśmy jego sztych w środek kręgu Satanaela. Oboje w tym samym momencie cofnęliśmy dłonie.

Cały blask w jednej chwili spłynął do miecza, który rozbłysnął oślepiająco. Była to tak jasna biel, że bez osłaniania oczu nie mogliśmy nań patrzeć. Na zdającą się wiecznością chwilę ucichły wszystkie dźwięki. Oślepiające światło rozgorzało pełną siłą, a potem blask spłynął z miecza, rozładowując moc na całym otoczeniu. Z białego w podłoże sztychu eksplodowały pokrzyżowane piorunami kręgi jasności. Poczulem na twarzy potężny podmuch i odruchowo się pochyliłem. Z tysięcy ludzkich gardeł wydobył się okrzyk przerażenia, a potem nagle nastąpiła całkowita ciemność. Ciemność tak nieprzenikniona i tak pełna milczenia, że nie mogłem w nią uwierzyć. Nie widziałem zupełnie nic. Nie miałem pojęcia, co może nastąpić za chwilę. Czekałem.

Dopiero po dłuższym czasie dotarła do mnie świadomość, że to już koniec. Że wydarzyło się już wszystko. Świat zmarł.

* * *

Pierwszy dźwięk, jaki do mnie dotarł poprzez pustą, ciemną przestrzeń brzmieniem przypominał chrobotanie lub skrobanie. Nie wiedziałem, co stało się ze wszystkimi, lecz wyraźnie czułem ich obecność. Porozrzucani w mroku, nie dawali znaku życia, jednak byli tam. Ten odgłos jednak nie miał nic wspólnego z nimi. Echo wyostrzało go i wzmacniało.

- Passachielu, jesteś tam? - głos Julity odbił się od pustych przestrzeni korytarza, powracając jako zwielokrotnione, coraz cichsze pytanie.

- Skąd tutaj takie echo? - kolejne pytanie zadał Piotr.

Mały płomyk zamigotał gdzieś z boku, a we wszechogarniającej czerni pojawiły się zarysy ścian i podłóża. To Dekarabia przywołała mały ognik, który płonął pomiędzy jej rozchylonymi dłońmi. Za chwilę drugi, taki sam płomień pojawił się między dłońmi Gardamon. W bladym świetle mogliśmy zobaczyć siebie nawzajem i pozostałość Otchłani.

Wszystko, co do tej pory było żywą częścią ścian i otoczenia, zmieniło się w kamień - w czarną, jednolitą bryłę kamienia sukkubów. Wyglądało to jak jakaś monstrualna rzeźba, wykonana dłonią szalonego mistrza - ludzkie posplatane dłonie, głowy zastygłe w okrzyku bólu. Najbardziej jednak niezwykłą rzeczą był wielki posąg skamieniałego Satanaela i kamienny miecz, który jeszcze niedawno był najpotężniejszym orężem na świecie, a teraz, zespolony z podłożem, stał się częścią jednolitej, kamiennej pieczary.

Skrobanie nie ustawało; dobiegało od strony kamiennej armii Satanaela, złożonej z jego książąt - ich również spotkał los pana mroku. Ethernia leżała tuż obok mnie. Jej zniekształcone ciało, zwinięte w paroksyzmie bólu, nie zmieniło się w kamień, nie powróciło też do dawnej postaci. Ethernia na moich oczach koniała w męczarniach. Pochyliłem się nad nią, ale najprostsza nawet moja myśl nie była w stanie przedostać się do jej umęczonego umysłu. Klęknąłem, podnosząc ostrożnie jej głowę. Miała zamknięte oczy, a przez wyszczerzone w demonicznym grymasie kły ze świstem wydostawał się szybki, urywany czasami oddech.

- Spójrzcie! Elohimy się odradzają! - krzyk zaskoczonych Julity na moment odwrócił

moją uwagę od Etherni.

Na figurach powstałych z ciał książąt Satanaela zaczęły pojawiać się pęknięcia, a drobne fragmenty kamienia odpadały od zwartej całości. W pewnym momencie pierwsza z figur z donośnym hukiem pękła, siejąc wokół odłamkami, a z jej wnętrza wyłoniła się niematerialna postać. Mgielny, pozbawiony ciała Elohim. Jego ciało składało się z samego eteru światła, a jasny, błękitny blask zalał wnętrze pieczary. Zaraz potem kolejny Elohim opuścił kamienną celę swojego zdeformowanego ciała.

Widząc to, Piotr klęknął, ale zamiast się modlić, patrzył z zafascynowaniem na kolejne, pojawiające się Elohimy. Zmęczony, wsparł się ciężko na mieczu.

Elohimy rozprostowywały skrzydła i powoli nadpływały w naszą stronę. Nie mogły mówić, dopóki pozostawały bez ciała, ale ich myśli przebiegały mój umysł jak wodospad.

Wydawało mi się, że znam każdego z nich, choć wiedziałem, że są to wspomnienia Etherni.

Ashariel spłynął tuż przed Julitą, a potem dotknął jej poparzonych dłoni i twarzy.

Jego eteryczne dłonie przeniknęły wskroś jej ciała i wiedziałem, że natychmiast poczuła ulgę, a rany się zagoiły. Jedyne sukkuby z obawą odsunęły się pod ścianę. Elohimy otoczyły mnie i Ethernię; z ich myśli zrozumiałem, że stało się najgorsze, co mogło ją spotkać. Ponieważ nie przemieniła się do końca w jednego z książąt, jej ciało nie umarło, jednak nie pozostało w nim nic z istoty, jaką była. Czekало ją wyłącznie cierpienie. Najwyższa cena za wygraną walkę z Satanaelem.

- Passachielu, czy one pozostaną już takie... niematerialne? - spytał Piotr.

- Nie. - Uśmiechnąłem się smutno. - Odejdą na pewien czas, odbudują swoje ciała i będą jak kiedyś. Tylko Ethernia...

- Co z Ethernią? - zaczął, po czym umilkł, nagle uświadamiając sobie, co ją spotkało.

Elohimy, jak targane wiatrem poruszały się niespokojnie, to się unosząc, to znów opadając.

Wziąłem Ethernię na rękę i bez słowa skierowałem się w stronę wyjścia z Otchłani.

- Zaczekaj, Passachielu - nieoczekiwana myśl zatrzymała mnie w miejscu.

To był Elurian. Zbliżył się, spoglądając mi w twarz. Przez jego świecąca sylwetkę prześwitywał obraz korytarza. Na chwilę zanurzył swoje dłonie w głowie Etherni, a potem odpłynął nieco do tyłu, choć nie poruszał skrzydłami.

- Jeśli jesteś gotów, powinieneś udać się do Świątyni Siódmego Dnia. - Wraz z kolejną jego myślą pojąłem plan. - To twoja decyzja i to ty za nią zapłacisz.

- Rozumiem - odpowiedziałem myślą.

- Przemyśl to dobrze - odczułem smutek emanujący z ich myśli i Elohimy znikły, gasnąc jak senne zjawy.

Odwróciłem się, ruszając na powierzchnię. Moi towarzysze bez słowa dołączyli do mnie.

Na powierzchni przywitał nas obraz zniszczenia i pobitej jatk. Wznieśliśmy się do góry, potem powróciliśmy na Krawędź, gdzie czekały wiedzące już o wszystkim Archaje.

Nie było jednak wiwatów ani radości. Wszyscy czuliśmy się zbyt wycieńczeni i przygnębieni. Nie czas na świętowanie, teraz kiedy zostawiliśmy za sobą zgliszcza i śmierć, bez względu na to, jak podłych istot dotyczyła. Po raz pierwszy zazdrościłem ludziom, Archajom i sukkubom zdolności snu. Kiedy już zapadli w senne odrętwienie, pozostałem sam, czuwając przy Etherni, a moją głowę wypełniały nerwowe, męczące myśli. Nie miałem już mocy, nie było już Zastępów, ani też wrogów, nie czułem obecności Serafina; zostałem sam z cierpieniem istoty, która przywiodła mnie aż tutaj. Kiedy nad horyzontem zaczął

pojawiać się poblask świtu, wiedziałem już, że nie będę w stanie nigdy z tym się pogodzić.

To ja musiałem zapłacić ostateczną cenę. Potrzebowałem do tego pomocy Julity.

Świątynia Siódmego Dnia nie zmieniła się ani trochę od czasu, kiedy przybyłem tutaj przed przemianą. Jedynie kilka głazów nachyliło się nieco bardziej na stromym zboczu. Julita nie miała pojęcia, dokąd ją przyprowadziłem. Na jej, przejętej naszym losem twarzy nie widziałem nawet cienia zaskoczenia. Pewnie przypuszczała, że to kolejne ruiny w zniszczonej krainie. Dopiero kiedy poprowadziłem ją schodami do mrocznego przedsionka, zrozumiała, że to cel naszej podróży. Ethernia wciąż pozostawała w letargu i był on dla niej o niebo lepszy niż cierpienia, jakich dostarczyłoby jej ciało, gdyby odzyskała przytomność. W

przedsionku powitała nas ta sama figura nagiej kobiety. Nie zwróciłem jednak na nią uwagi, tylko Julita obdarzyła ją przelotnym spojrzeniem.

Znałem drogę na pamięć, więc pomogłem Julicie ominąć rozpadlinę w podłodze, a kiedy poczułem na twarzy powiew chłodnego, świeżego powietrza, wiedziałem już, że dotarliśmy na miejsce. Ułożyłem Ethernię na posadzce, potem podniosłem pochodnię i podałem Julicie. Kiedy ją zapaliła, rozejrzała się wokół, natychmiast dostrzegając symbole na ścianach i figury aniołów.

- Co to za miejsce? Co to za pismo? - spytała.

- Tutaj są zapisane wszystkie odpowiedzi na twoje pytania. Nawet na te, których nie umiałabyś zadać, oraz na te, do których odpowiedzi nie zrozumiałabyś - powiedziałem odruchowo, zanim zdałem sobie sprawę, że powtarzam słowa Etherni.

- Czy to jest Świątynia... Siódmego...

- Tak. Świątynia Siódmego Dnia.

- Dobry Boże! Jaka kiedyś musiała być potężna. - Julita z fascynacją oraz pewnego rodzaju żalem rozejrzała się wokół. - A teraz nic z niej nie pozostało.

- Istnieje nadal. - Uśmiechnąłem się. - Poza czasem.

- Jak to poza czasem?

- Zaraz przekonasz się o tym. - Odszedłem w głąb sali.

- Nie mamy teraz czasu na rozmowy.

Tak jak przypuszczałem, odpowiednie symbole znalazłem daleko od wejścia, w zapomnianej przez wszystkich wnęce. Dotknąłem ich, przywołując świątynię. Złote światło rozbiegło się po zagłębieniach symboli, a sala wynurzyła się z czasu.

- Nie wierzę! - Julita zadarła głowę, podziwiając lśniące nieskalane ściany.

Wiedziałem dobrze, jak bardzo oszołomił ją ten widok.

- Jest tak wspaniała jak opowiadał Alhazred. - Wykonała kilka chwiejnych kroków i omal nie potknęła się o podest, na którym stała misa z wodą przemiany. Podniosłem Ethernię, potem minąwszy

Julitę, poszedłem do basenu zwieńczonego posągami przewoźników. Bardzo ostrożnie zanurzyłem w nim Ethernię.

Julita, nieco ośmielona, podeszła do mnie, przyglądając się temu, co robię.

Woda wokół ciała Etherni zalśniła krwawo, a czerwień zaczęła barwić ją, rozpluwając się wokół jak farba. W tym stanie jej ciało nie mogło odrodzić się od samej mocy wody przemiany.

- Posłuchaj mnie uważnie. - Odwróciłem się do Julity, a potem położyłem obie dłonie na jej ramionach, patrząc uważnie prosto w oczy dziewczyny. - Bez względu na to, co będzie się działo, nie przerywaj przemiany. Jeśli coś będzie nie tak, jeśli coś się nie uda, przy piątym posągu - wskazałem go dłonią - jest symbol przedstawiający bramę i krzyczące usta.

Pamiętaj, wystarczy, że go dotkniesz. Świątynia Siódmego Dnia odejdzie poza czas już na zawsze, ale ty powrócisz do świata, a Archaje zadbają, byś dotarła, dokąd tylko zapragniesz.

Pamiętasz?

- Tak, Passachielu. - Potwierdziła energicznym ruchem głowy.

- Słuchaj więc dalej. - Wypuściłem ją z uścisku i zacząłem rozbierać się z szat. -

Kiedy znajdę się razem z Ethernią w wodzie życia, ty też wypij ten napój w zielonym pucharze. To haoma. Jej resztki wylej do misy, w której płonie ogień. - Sięgnąłem po puchary, podając jej jeden. Sam wypilem duszką zawartość swojego.

- Twoje zadanie będzie bardzo proste. Wystarczy, że uda ci się utrzymać dłonie na tych dwu symbolach wyrytych na brzegu basenu obok przewoźnika.

- Passachielu. - Julita wystraszyła się nagle, kiedy zanurzyłem się w wodzie.

- Tak? - zapytałem.

- W jakim celu to wszystko? Nie rozumiem.

- Oddam Etherni wszystko, co ofiarowała mi kiedyś, gdy byłem jeszcze człowiekiem.

To powinno pozwolić jej na powrót do dawnej postaci. W czasie przemiany ja stracę świadomość, a Ethernia długo jeszcze pozostanie nieprzytomna, dlatego potrzebny jest mag, który będzie kontrolował przepływ mocy.

- I ja mam nim być? - W jej głosie zabrzmiała panika.

- Nie obawiaj się. To bardzo proste.

- Nigdy tego nie robiłam. Znam się na nekromancji...

- To wystarczy. - Przerwałem szybkim ruchem dłoni. - Segmenty mocy zbudowane są tak, że poradzisz sobie z nimi, nie wiedząc nic o magii światła. Wystarczy, że kiedykolwiek parałaś się jakąkolwiek magią. - Zawahałem się przez moment. - A poza tym, pamiętaj o symbolu przy piątym posągu. To twój ratunek.

Czując, jak woda przemiany przenika mnie na wskroś, wziąłem głęboki oddech i ułożyłem się obok Etherni.

- Passachielu, a co z tobą? - Julita wciąż zwlekała.

- Ja się nie liczę. Na Boga, zaczynaj już! - powiedziałem ostro.

Zapamiętałem jeszcze łzy w oczach Julity i oślepiające światło rozbłysło w moim umyśle, odbierając mi wolę oraz przytomność. Moje ciało osunęło się w niebyt.

* * *

Obudził mnie intensywny zapach. Nie umiałem określić jego nazwy, był mi jednak dziwnie znajomy i bliski. Czulem drzenie i ból wszystkich członków ciała. Byłem zbyt słaby, aby unieść powieki, jednak mimo wszystko żyłem. Otworzyłem spieczone usta, ale nie umiałem wydobyć z siebie głosu, by zadać dręczące mnie pytanie. Do moich uszu docierały strzępki słów wypowiedzianych podniesionymi, kobiecymi głosami.

- Trzeba powiadomić hospodara Piotra...

- Wezwijcie medyka...

- Szybko...

- Okryjcie go ciepło...

Nie wiem, ile to trwało, ale otaczały mnie głosy, a ja odpływałem w nieświadomość i powracałem, wciąż nie mogąc zapanować nad słabością własnego ciała. Czasem słyszałem męskie rozmowy, czasem wydawało mi się, że do moich uszu sączy się szept sukkubich zaklęć, a nieraz, nadal nie odróżniając snu i jawy, słyszałem smutny śpiew Julity.

Kiedy w końcu udało mi się odemknąć powieki, wokół panowała noc. Przez otwarte okno do komnaty wpadało pachnące ogrodem i wiosną powietrze. Przekręciłem głowę, zerkając w tamtą stronę. W świetle księżycy zobaczyłem kominek i osobę siedzącą obok niego na głębokim drewnianym krześle. Choć było ciepło, na kolanach miała derkę. Długie blond włosy, rozsypane w nieładzie na ramionach, w świetle księżycy lśniły srebrem. Spała.

- Julita - wyszeptałem łamiącym się głosem. - Julita...

Chciałem głęboko zaczerpnąć powietrza, ale chwycił mnie gwałtowny kaszel.

Spokojny oddech dziewczyny urwał się natychmiast. Czujnie podniosła głowę, a potem pośpiesznie

podbiegła do łóżka.

- Tomaszu, Tomaszu! - Rzuciła mi się na szyję, ściskając z radością. - A więc jednak się udało, Bogu niech będą za to dzięki. Modliłam się o to. Wiesz? Ja się modliłam, żebyś mnie nie zostawił.

- Ethernia, co z Ethernią?! - Ta myśl wciąż kołatała mi się w głowie.

Julita odsunęła się gwałtownie jak oparzona i zamilkła.

- Mów - poprosiłem.

- Oddzieliła się...

- Co?

- Oddzieliła się od swojego ciała i odeszła tam, gdzie odeszły wszystkie Elohimy.

Odnalazła na pewno swoje dopełnienie.

Choć byłem oszołomiony i osłabiony, dobrze pamiętałem, jaka miała być struktura przemiany.

- Co się stało?

- No mówiłam ci, nic. - Wzruszyła obojętnie ramionami, a potem nagle zmieniła temat, ożywiając się na powrót.

- Wiesz, jesteśmy na Rusi. Teraz to nasz dom. Nasz, czyli mój, twój i Piotra. -

Zachichotała. - Piotr jest teraz wyznawcą Haruta, to pewnie przez Restilię. - Znów zachichotała. - Ona teraz udaje człowieka.

- Co się stało, że Ethernia się oddzieliła... - Zacisnąłem zimne palce na jej dłoni.

- Nic. - Znów obojętnie wzruszyła ramionami, poważniejąc. - Znam się na magii i zmieniłam trochę segmenty mocy. Dzięki temu ty żyjesz, a skrzydlata znalazła się wśród swoich. Czy to źle?

- Nie tak miało być. - Ciężko opadłem na posłanie.

- A jak miało być?! - rozzłościła się. - Uratowałam ci życie. Myślisz, że ta dumna skrzydlata okazałaby ci jakąś wdzięczność, gdybyś był martwy? Wątpię.

- Czy mówiła coś... zanim odeszła?

- Tak. - Julita wydeła usta. - Coś o poświęcaniu się i innych idiotyzmach, które wygłaszają Elohimy, kiedy nie wiedzą, jak się zachować. Ale wiesz, czego nie powiedziała?

- Czego?

- Nie powiedziała nawet „dziękuję” za to, co dla nich wszystkich zrobiłeś.

- To oczywiste, że jest mi wdzięczna.

- Taaaak! - Zagwizdała przeciągle, aby podkreślić swój ironiczny podziw. - Jeśli myślisz, że zobaczysz ją jeszcze kiedykolwiek, śmiało możesz czekać do następnego życia.

W tym stanie na pewno będzie cię unikała jak ognia. Co jej po takim... człowieku. Gardamon i Dekarabia pomogły mi wyciągnąć cię z najcięższego stanu, w jakim byłeś. One przynajmniej wiedzą, co to znaczy wdzięczność. Nawet wobec człowieka.

- Jestem człowiekiem. - Dopiero teraz w pełni sobie to uświadomiłem.

Na dłuższą chwilę zapadło milczenie, po którym Julita pochyliła się nad moją twarzą i zaszeptała:

- Tak, jesteś człowiekiem. - Jej uśmiech stał się tajemniczy i obiecujący. - I mężczyzną.